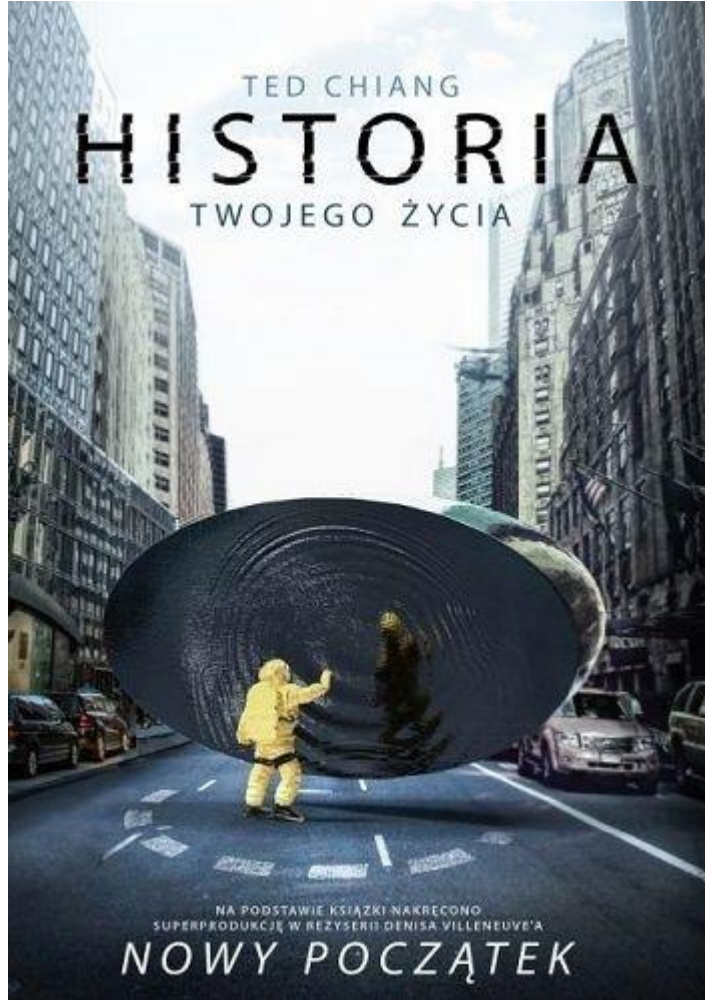


TED CHIANG
HISTORIA
TWOJEGO ŻYCIA



NA PODSTAWIE KSIĄZKI NAKRECONO
SUPERPRODUKCJE W REŻYSERII DENISA VILLENEUVE'A
NOWY POCZĄTEK

Ted Chiang

Historia twojego życia

Tytuł oryginału:

Stories of your life and others

Zawiera:

Wieża Babilonu

Zrozum

Dzielenie przez zero

Historia twojego życia

Siedemdziesiąt dwie litery

Ewolucja ludzkiej nauki

Piekło to nieobecność Boga

Co ma cieszyć oczy

Wieża Babilonu

(Tower of Babylon)

Gdyby wieżę położyć na równinie Szinar, przejście od jej podstawy do szczytu zajęłoby dwa dni. Póki wieża stoi, wejście na jej szczyt trwa miesiąc i jeszcze pół, jeśli idzie się bez obciążenia. Nieliczni jednak wchodzą na wieżę z pustymi rękami, kroki większości ludzi spowalnia wózek z ceglami, który ciągną za sobą. Między dniem, kiedy cegła zostaje załadowana na wózek, i dniem, kiedy się ją z niego zdejmuje, by stała się częścią wieży, mijają cztery miesiące.

Hillalum spędził całe życie w Elam i znał Babilon jedynie jako nabywcę elamickiej miedzi. Jej sztabki ładowano na statki i spławiano rzeką Karun do Niższego Morza, kierując je następnie ku Eufratowi, Hillalum i pozostali górnicy podróżowali lądem, idąc obok kupieckiej karawany objuczonych onagrów. Szli zakurzoną ścieżką, która schodziła z płaskowyżu i wiodła przez równiny na zielone pola podzielone kanałami i groblami.

Żaden z nich nigdy nie widział wieży. Stała się widoczna, kiedy wciąż dzieliło ich od niej wiele staj: linia cienka niczym pasmo lnu, chwiejąca się w drżącym powietrzu, wznosząca się ze skorupy błota — Babilonu. Gdy się przybliżyli, skorupa zmieniła się w potężne mury miejskie, ale oni widzieli tylko wieżę. Gdy opuścili wzrok do poziomemu rzecznej równiny, zobaczyli ślady pozostawione przez wieżę w otoczeniu miasta: Eufrat płynął teraz na dnie szerokiego koryta, które wyłobiono, by zdobyć glinę do wyrobu cegieł. Na południu było widać niezliczone szeregi pieców do wypalania cegły. Nie płonął już w nich ogień.

Kiedy podeszli do bram miasta, wieża wydała się potężniejsza od wszystkiego, co Hillalum potrafił sobie wyobrazić: kolumna tak szeroka jak cała świątynia, lecz wznosząca się tak wysoko, że przestawała być widoczna.

Cała grupa szła z zadartymi głowami, mrużąc w słońcu oczy.

Nanni, przyjaciel Hillaluma, trącił go łokciem. Nie posiadał się ze zdumienia.

— Mamy na to wejść? Na szczyt?

Górnicy doszli do środkowej bramy w zachodnim murze, z której wychodziła jakaś karawana. Kiedy tłoczyli się w wąskim pasku cienia padającego od muru, ich brygadzysta, Beli, zawołał do strażników stojących na szczycie baszty przy bramie.

— Jesteśmy górnikami wezwanymi z krainy Elam.

Strażnicy uradowali się. Jeden z nich odkrzyknął:

— To wy macie przekopać się przez sklepienie niebios?

— My.

Całe miasto świętowało. Uroczystości zaczęły się przed ośmiu dniami, kiedy wysłano w górę ostatnie cegły, i miały trwać jeszcze dwa dni. Co dzień i co noc miasto cieszyło się i tańczyło, ucztowało.

Wraz z wypalaczami cegieł siedzieli ciązacze wózków, mężczyźni z nogami oplecionymi węzłami mięśni stwardniałych od wspinania się na wieżę. Co ranka zaczynała drogę nowa grupa; wspinała się przez cztery dni, przekazywała ładunek następnej grupie ciągaczy i piątego dnia wracała do miasta z pustymi wózkami. Łańcuch takich zespołów prowadził aż na szczyt wieży, ale tylko te najniższe świętowały z mieszkańcami miasta. Tym, którzy mieszkali na wieży, wysyłano wcześniej dość wina i mięsa, by uczta rozciągnęła się na całą wysokość pylonu.

Wieczorem Hillalum oraz pozostali elamiccy górnicy siedzieli na glinianych stołkach przy długim stole uginającym się od jedzenia, jednym z wielu ustawionych na miejskim rynku. Górnicy wypytywali ciągaczy o wieżę.

— Ktoś mi mówił, że murarze, którzy pracują na szczycie wieży, lamentują i wydzierają sobie włosy, kiedy spada cegła, bo zastąpienie jej nową trwa cztery miesiące, ale że nikt nie zauważa, kiedy spada człowiek. Czy to prawda? — zapytał Nanni.

Jeden z rozmowniejszych ciągaczy, Lugatum, potrząsnął głową.

— O, nie, to tylko taka opowiastka. Na wieżę wspina się nieustająca karawana cegieł; na szczyt docierają ich tysiące codziennie.

Strata jednej z nich nic nie znaczy dla murarzy. — Nachylił się do słuchaczy. — Jednak jest coś, co cenią bardziej niż ludzkie życie: kielnia.

— Dlaczego?

— Jeśli murarz upuści kielnię, nie może pracować, dopóki nie przyślą mu na górę następnej. Całymi miesiącami nie może zarobić najedzenie, musi zaciągać długi. Strata kielni wywołuje wielki lament. Jeśli jednak spadnie człowiek, a zostanie jego kielnia, ludzie przyjmują to ze skrywaną ulgą. Następny, który upuści swoją kielnię, może sobie wziąć tę dodatkową i dalej pracować, nie wpadając w długi.

Hillalum był przerażony i przez chwilę starał się gorączkowo przeliczyć, ile kilofów przynieśli ze sobą górnicy. Po chwili zrozumiał.

— To nie może być prawda. Dlaczego nie kazać przynieść na górę zapasowych kielni? Ich waga byłaby niczym w porównaniu z tymi wszystkimi cegłami. I z pewnością utrata człowieka oznacza poważne opóźnienie, chyba że jest na szczycie dodatkowy murarz. Bez kogoś takiego trzeba czekać, aż przyjdzie z dołu.

Wszyscy ciągacze ryknęli śmiechem.

— Tego nie oszukamy — powiedział rozbawiony Lugatum. Zwrócił się do Hillaluma. — Zaczniecie się wspinać zaraz po zakończeniu święta?

Hillalum napił się piwa z miseczki.

— Tak. Słyszałem, że dołączą do nas górnicy z jakiejś zachodniej krainy, ale ich nie widziałem. Wiecie coś o nich?

— Tak, pochodzą z kraju zwanego Egiptem, ale nie wydobywają rudy, tak jak wy. Dobywają kamień.

— My też wydobywamy kamień w Elam — odezwał się Nanni z ustami pełnymi wieprzowiny.

— Nie tak jak oni. Oni tną granit.

— Granit? — W Elam dobywało się wapień i alabaster, ale nie granit. — Jesteś pewien?

— Kupcy podróżujący do Egiptu powiadają, że mają tam zigguraty i świątynie zbudowane z olbrzymich bloków wapienia i granitu. Rzeźbią też w granicie ogromne posągi.

— Ale obróbka granitu jest bardzo trudna.

Lugatum wzruszył ramionami.

— Nie dla nich. Królewscy architekci sądzą, że kiedy dotrzecie do sklepienia niebios, tacy kamieniarze mogą się przydać.

Hillalum skinął głową. To zapewne prawda. Któż mógł wiedzieć, czego będą potrzebować? — Widziałeś ich?

— Nie, jeszcze nie przybyli, ale są spodziewani za kilka dni. Mogą jednak nie pojawić się przed zakończeniem święta, wtedy wy, Elamici, wejdziecie na wieżę sami.

— Wy pójdziecie z nami, prawda?

— Tak, ale tylko przez pierwsze cztery dni. Potem musimy zawrócić, a wy, szczęśliwcy, pójdziecie dalej.

— Dlaczego uważasz nas za szczęśliwców?

— Bardzo chcę wejść na sam szczyt. Kiedyś ciągnąłem z wyższymi zespołami i dotarłem na wysokość dwunastu dni wspinaczki, ale nigdy nie zaszedłem wyżej. Wy zajdziecie.

— Lugatum uśmiechnął się smutno. — Zazdroszczę wam, że dotkniecie sklepienia niebios.

Dotknąć sklepienia niebios. Rozbić je kilofami. Hillulamowi zrobiło się nieswojo na tę myśl.

— Nie ma powodu do zazdrości... — zaczął.

— Właśnie — wtrącił Nanni. — Kiedy skończymy, wszyscy ludzie będą mogli dotknąć sklepienia niebios.

Następnego ranka Hillalum poszedł obejrzeć wieżę. Stał na wielkim placu, który ją otaczał. Z boku wznosiła się świątynia; oglądana oddzielnie, wywierałaby ogromne wrażenie, ale obok wieży stała niezauważona.

Czuł jej przemożną masywność. Według wszystkich opowieści wieża została zbudowana tak, aby była mocna jak żaden ziggurat; wzniesiono ją z dokładnie wypalonych cegieł, podczas gdy zwykłe zigguraty budowano z cegieł suszonych na słońcu, a wypalane cegły stanowiły tylko warstwę zewnętrzną. Osadzano je w zaprawie ze smoły ziemnej, która wsiąkała w wypaloną glinę i twardniejąc, wiązała tak mocno, jakby sama była cegłą.

Podstawa wieży przypominała pierwsze dwa poziomy zwykłego zigguratu. Pierwszy — ogromna kwadratowa platforma o boku jakichś

dwudziestu łokci i wysoka na czterdzieści — miał na południowej ścianie potrójne schody. Na nim znajdowała się druga, mniejsza platforma, na którą można się dostać tylko środkowymi schodami. Sama wieża zaczynała się właśnie na tej drugiej platformie.

Każdy jej bok miał sześćdziesiąt łokci długości. Wznosiła się niczym kwadratowy słup dźwigający ciężar niebios. Oplatała ją łagodnie wznosząca się, wcięta rampa, niczym skórzany pas owinięty wokół rękojeści bicia. Nie: spojrzawszy jeszcze raz, Hillalum spostrzegł, że wieżę obiegają dwie przeplatające się rampy. Na zewnętrznej krawędzi każdej z nich stały słupy. Nie były grube, lecz szerokie, co sprawiało, że dawały cień. Kiedy patrzył w górę wieży, widział przeplatające się pasy — rampa, cegły, rampa, cegły — aż na pewnej wysokości zaczęły się one ze sobą zlewać. Wieża wznosiła się coraz wyżej, poza zasięg wzroku; Hillalum zamrugał, zmrużył oczy i poczuł, że kręci mu się w głowie. Cofnął się chwiejnie parę kroków i odwrócił, przesyty dreszczem.

Przypomniawszy sobie historię o czasach po Potopie, opowiadaną mu w dzieciństwie. O tym, jak ludzie znów zaludnili wszystkie zakątki świata, zamieszkując więcej krain niż kiedykolwiek przedtem. Jak dopłynęli do krańców świata i zobaczyli ocean spadający w mgłę, prosto w czarne wody Otchłani daleko w dole. Jak zdali sobie sprawę z rozmiarów ziemi, uznali, że jest mała i zapragnęli zobaczyć, co leży za jej granicami, zbadać całą resztę dzieła Jahwe. Jak spojrzeli w niebo i zastanawiali się nad siedzibą Jahwe nad zbiornikami z wodami niebios. I jak przed wieloma wiekami zaczęła się budowa wieży, słupa sięgającego nieba, schodów, po których mogliby wejść ludzie, by zobaczyć dzieła Jahwe, i po których mógłby zejść Jahwe, by zobaczyć dzieła ludzi.

Opowieść o tysiącach ludzi trujących się bez odpoczynku, lecz z radością, pracowali bowiem, by lepiej poznać Jahwe, zawsze napawała Hillaluma otuchą. Kiedy Babilończycy przybyli do Elam w poszukiwaniu górników, przeżywał wielkie emocje. Kiedy jednak stał teraz u podnóża wieży, jego zmysły zbuntowały się, uparcie twierdząc, że nic nie powinno wznosić się tak wysoko. Kiedy patrzył w górę wieży, nie miał wrażenia, że znajduje się na ziemi.

Czy powinien wspiąć się na coś takiego?

Rankiem, kiedy mieli wyruszyć na górę, druga platforma była od krawędzi do krawędzi zastawiona mocnymi, dwukołowymi wózkami ustawionymi w rzędach.

Wiele z nich załadowano wszelaką żywnością: workami jęczmienia, pszenicy, soczewicy, cebuli, daktyli, ogórków, bochenków chleba, suszonej ryby. Były tam niezliczone olbrzymie gliniane dzbany z wodą, winem z daktyli, piwem, kozim mlekiem, oliwą palmową. Inne wózki zostały wyładowane towarami, które można by sprzedać na bazarze: naczyniami z brązu, koszykami z trzciny, belami lnu, drewnianymi stołkami i stołami. Były tam też utuczony wół i koza, którym kapłani nakładali kaptury, żeby nie mogły patrzeć na boki i nie bały się wysokości. Po dotarciu na szczyt miały zostać złożone w ofierze.

Dalej stały wózki z kilofami i młotami górników oraz wyposażeniem małej kuźni. Ich brygadzista zarządził też, by część wózków załadowano drewnem i wiązkami trzciny.

Lugatum stał przy wózku i naciągał liny przytrzymujące drewno. Podszedł do niego Hillalum.

— Skąd jest to drewno? Po opuszczeniu Elam nie widziałem żadnych lasów.

— Na północy rośnie las, który został zasadzony, gdy rozpoczęła się budowa wieży. Pocięte drewno jest spławiane Eufratem.

— Zasadziliście cały las?

— Kiedy architekci zaczęli budować wieżę, zdali sobie sprawę, że do wypalania cegły będzie potrzeba o wiele więcej drewna, niż znajdowało się go na równinie, więc kazali zasadzić las. Specjalne grupy ludzi dostarczają wodę i sadzą nowe drzewko za każde wycięte.

Hillalum zdziwił się.

— I to daje całe potrzebne drewno?

— Większość. Wycięto też wiele innych lasów na północy, a drewno sprowadzono rzeką.

Przyjrzał się kołom wózka, odkorkował skórzany bukłak i nalał nieco oliwy między koło i oś.

Podszedł do nich Nanni, patrząc na rozpościerające się przed nimi ulice Babilonu.

— Nigdy jeszcze nie byłem tak wysoko, żeby móc patrzeć z góry na miasto.

— Ani ja — rzekł Hillalum, lecz Lugatum tylko się roześmiał. — Chodźcie. Wózki są już gotowe.

Wkrótce wszyscy mężczyźni poustawiali się w parach przy swoich wózkach. Stali między ich dyszlami, do których były przymocowane pętle ze sznura. Wózki ciągnięte przez górników były przemieszane z wózkami zwykłych ciągaczy, po to by nowicjusze utrzymywali właściwe tempo. Lugatum i jego towarzysz mieli wózek stojący tuż za wózkiem Hillaluma i Nanniego.

— Pamiętajcie — powiedział Lugatum — żeby trzymać się jakieś dziesięć łokci za wózkiem przed wami. Na zakrętach cały ciężar spoczywa na ciągnącym z prawej, więc będziecie się zmieniać co godzinę.

Ciągacze zaczęli już się posuwać w górę rampy. Hillalum i Nanni pochylili się i zarzucili pętle swojego wózka na przeciwne ramiona. Wyprostowali się razem, unosząc przód wózka z ziemi.

— A teraz ciągnijcie! — zawołał Lugatum.

Naparli na liny i wózek ruszył z miejsca. Gdy koła zaczęły się już obracać, ciągnięcie wydawało się dość łatwe i górnicy szybko okrążyli platformę. Kiedy jednak dotarli do rampy, musieli pochylić się mocniej.

— To ma być lekki wózek? — mruknął Hillalum.

Rampa była na tyle szeroka, że pojedynczy człowiek mieścił się obok wózka, jeżeli musiał go minąć. Powierzchnię miała wyłożoną ceglami. Toczące się po niej od wieków koła wyłobiły dwie głębokie koleiny. Nad głowami ciągaczy wznosiło się sklepienie wsparte na kroksztynach; szerokie, kwadratowe cegły zachodziły na siebie, spotykając się pośrodku. Słupy z prawej strony były tak szerokie, że rampa nieco sprawiała wrażenie tunelu. Jeśli nie patrzyło się w bok, nie miało się poczucia przebywania na wieży.

— Śpiewacie przy pracy? — zapytał Lugatum.

— Kiedy kamień jest miękki.

— To zaśpiewajcie którąś z waszych górniczych pieśni. Wołanie dotarło do pozostałych górników i po chwili wszyscy śpiewali.

W miarę jak skracały się cienie, wchodzili coraz wyżej. Otaczało

ich tylko czyste powietrze i szli w cieniu chroniącym od słońca, więc było znacznie chłodniej niż w wąskich zaułkach miasta na poziomie ziemi, gdzie przemykające na drugą stronę ulicy jaszczurki padały w południe z gorąca. Patrząc w bok, górnicy widzieli ciemny Eufrat i zielone pola ciągnące się całymi stajami, poprzecinane lśniącymi w słońcu kanałami. Babilon stanowił złożony wzór ściśniętych ulic i budynków rażących wzrok wybielonymi gipsem ścianami; było go widać coraz mniej, ponieważ wydawało się, że coraz bardziej przybliża się do podstawy wieży. Hillalum znów ciągnął za linę po prawej stronie, bliżej krawędzi, kiedy usłyszał, jak na rampie poziom niżej ktoś krzyczy. Zaprzagnął zatrzymać się i spojrzeć w dół, ale nie chciał zakłócać marszu, a i tak nie mógłby wyraźnie zobaczyć niżej leżącej rampy.

— Co się tam dzieje? — zawołał do idącego z tyłu Lugatuma.

— Jeden z twoich górników boi się wysokości. Czasami zdarza się ktoś taki wśród tych, którzy wspinają się na wieżę pierwszy raz. Taki człowiek przywiera do ściany i nie może wejść wyżej. Co prawda nieliczni odczuwają to tak szybko.

Hillalum zrozumiał.

— Znamy podobny lęk ogarniający tych, którzy chcą zostać górnikami. Niektórzy nie mogą wejść do kopalni ze strachu, że zostaną zasypiani.

— Naprawdę? — zawołał Lugatum. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem. A jak ty się czujesz na wysokości?

— Nic nie czuję. — Zerknął jednak na Nanniego; obaj znali prawdę.

— Drżą ci dłonie, co? — szepnął Nanni.

Hillalum potarł rękoma szorstką linę i skinął głową.

— Ja też to czułem, przedtem, kiedy byłem bliżej krawędzi.

— Może powinniśmy mieć na głowach kaptury jak ten wół i koza — mruknął żartobliwie Hillalum.

— Myślisz, że my też zaczniemy się bać wysokości, kiedy wejdziemy wyżej?

Hillalum zastanowił się. To, że jeden z ich towarzyszy poczuł strach tak szybko, nie wróżyło dobrze. Otrząsnął się: tysiące ludzi wchodziło na wieżę bez strachu i głupio byłoby pozwolić, by lęk jednego

górnika zaraził ich wszystkich.

— Jesteśmy po prostu nieprzyzwyczajeni. Będziemy mieli kilka miesięcy, żeby oswoić się z wysokością. Zanim dotrzemy na szczyt wieży, będziemy żałowali, że nie jest wyższa.

— Nie — odparł Nanni. — Chyba nie będę chciał ciągnąć tego wyżej.

Roześmieli się.

Wieczorem zjedli kolację złożoną z jęczmienia, cebuli i soczewicy, po czym ułożyli się do snu w jednym z wąskich korytarzy, przecinających wewnątrz wieży. Kiedy górnicy obudzili się następnego ranka, ledwo mogli chodzić, tak bolały ich nogi. Ciągacze śmiejąc się, dali im masę do nacierania mięśni i przeładowali wózki, żeby zmniejszyć obciążenie górników.

Kiedy teraz Hillalum patrzył w dół, drżały mu kolana. Na tej wysokości wiał silny wiatr i górnik przewidywał, że w miarę wspinaczki będzie się wzmacniał. Ciekawiło go, czy ktoś został kiedyś zdmuchnięty z wieży w chwili nieuwagi. I ten upadek: człowiek miałby czas na odmówienie modlitwy, zanim uderzyłby w ziemię. Hillalum zadrżał na samą myśl.

Następny dzień różnił od poprzedniego tylko większy ból nóg górników. Teraz widzieli znacznie dalej i rozległość widoku oszałamiała: było widać pustynie, leżące za polami, a karawany wydawały się niewiele większe od szeregu owadów.

Już żaden inny górnik nie bał się wysokości tak bardzo, żeby nie mógł iść dalej, i przez cały dzień wspinali się coraz wyżej bez żadnych przeszkód.

Trzeciego dnia nogom górników nie poprawiło się i Hillalum czuł się jak stary kaleki człowiek. Dopiero czwartego dnia poczuli się lepiej i znów mogli ciągnąć poprzednie ładunki. Wspinaczka trwała aż do wieczora, kiedy spotkali drugą grupę ciągaczy, którzy szybko prowadzili puste wózki rampą wiodącą w dół. Obie rampy wiły się wokół siebie, nie stykając się, lecz łączyły je korytarze przecinające wieżę. Kiedy obie grupy zrównały się ze sobą, przeszły na sąsiednią rampę, by wymienić się wózkami.

Górnicy zostali przedstawieni ciągaczom drugiej grupy i wszyscy

tego wieczora rozmawiali i jedli razem. Następnego ranka pierwsza grupa przygotowała puste wózki do drogi powrotnej do Babilonu, a Ligatum pożegnał się z Hillalumem i Nannim.

Dbajcie o wasz wózek. Był na samym szczycie wieży więcej razy niż którykolwiek człowiek.

Czy temu wózkowi też zazdrościsz? — zapytał Nanni.

Nie, bo za każdym razem, kiedy dociera na szczyt, musi wracać na sam dół. Ja bym tego nie zniósł.

Kiedy druga grupa zatrzymała się pod koniec dnia, do Hillaluma i Nanniego podszedł ciągnący wózek jadącego za nimi. Miał na imię Kudda.

— Nigdy nie widzieliście zachodu słońca na tej wysokości. Chodźcie popatrzeć. — Ciągnący podszedł do krawędzi i usiadł, zwieszając nogi nad przepaścią. Zobaczył, że górnicy zawahali się. — Podejdźcie bliżej. Jak chcecie, to możecie położyć się i wyjrzeć za krawędź. — Hillalum nie chciał wydać się strachliwym dzieckiem, ale nie potrafił się zmusić do spuszczenia nóg nad przepaścią liczącą tysiące łokci. Położył się na brzuchu, przybliżając do krawędzi samą głowę. Nanni zrobił tak samo.

Kiedy słońce zacznie zachodzić, spójrzcie w dół na ścianę wieży. — Hillalum zerknął na dół, po czym szybko podniósł wzrok na horyzont.

Co jest innego w zachodzie słońca na wieży?

Zastanówcie się: kiedy słońce chowa się za szczyty gór na zachodzie, na równinie Szinar robi się ciemno. Tutaj jednak jesteśmy nad szczytami gór, więc nadal widzimy słońce. Żebyśmy zobaczyli noc, musi ono zejść niżej.

Hillalum zrozumiał i aż otworzył usta.

— Cienie gór oznaczają początek nocy. Noc zapada na ziemi wcześniej niż tu.

Kudda skinął głową.

— Widać, jak noc wznosi się w górę wieży z ziemi do nieba. Porusza się szybko, ale powinniście to zobaczyć.

Przez minutę patrzył na czerwoną kulę słońca, a potem spojrzął w dół i pokazał palcem.

— Już!

Hillalum i Nanni spojrzeli w dół. U podstawy potężnego słupa maleńki Babilon leżał w cieniu. Potem ciemność wspięła się na wieżę niczym rozwijająca się w górę materia. Poruszała się na tyle powoli, że Hillalum czuł, iż może policzyć mijające chwile, ale w miarę przybliżania się gwałtownie rosła, aż minęła ich szybciej niż mgnienie oka, a oni znaleźli się w mroku.

Hillalum przewrócił się na plecy i spojrział w górę. Zdążył zobaczyć, jak ciemność szybko ogarnęła resztę wieży. W miarę jak słońce opadało poza krawędź świata, niebo stopniowo ciemniało.

— Wspaniały widok, prawda?

Hillalum nie odpowiedział. Po raz pierwszy zobaczył, czym jest noc: cieniem samej ziemi, rzucanym na niebo.

Po następnych dwóch dniach wspinaczki bardziej przyzwyczył się do wysokości. Chociaż przebyli w linii prostej prawie staję, potrafił stanąć na krawędzi i spojrzeć w dół wieży. Przytrzymał się jednego ze znajdujących się tam słupów i ostrożnie wychylił, by spojrzeć w górę. Zauważył, że wieża nie wygląda już jak gładki słup. Zapytał Kudde:

— Wieża wydaje się rozszerzać u góry. Jak to możliwe?

Przyjrzyj się lepiej. Ze ścian wychodzą drewniane balkony. Są zrobione z drewna — cyprysowego i wiszą na lnianych linach.

Hillalum zmrużył oczy.

— Balkony? A po co?

— Rozłożono na nich ziemię, żeby ludzie mogli uprawiać warzywa. Na tej wysokości trudno o wodę, więc najczęściej hoduje się cebulę. Wyżej, gdzie jest więcej deszczu, zobaczysz fasolę.

Nanni zapytał:

— Jak to możliwe, żeby wyżej był deszcz, który nie spada tutaj?

Kudda zdziwił się.

— Spadając, wysycha w powietrzu. To oczywiste.

— Tak, oczywiste. — Nanni wzruszył ramionami.

Pod koniec następnego dnia doszli do poziomu balkonów. Były to płaskie platformy gęsto porośnięte cebulą, podtrzymywane grubymi linami przymocowanymi do ścian wieży tuż pod następną kondygnacją balkonów.

Na każdym poziomie we wnętrzu wieży znajdowało się kilka wąskich pomieszczeń, w których mieszkały rodziny ciągaczy. Widziało się kobiety siedzące na progach i szyjące tuniki lub wykopujące cebulę w ogrodach. Dzieci goniły się po rampach, bez strachu biegając między wózkami i wzdłuż krawędzi balkonów. Mieszkańcy wieży z łatwością odróżniali górników, uśmiechali się do nich i machali im rękami.

Kiedy nadszedł czas wieczornego posiłku, zatrzymano wszystkie wózki i zdjęto z nich żywność oraz inne towary przywiezione dla mieszkających tu ludzi. Ciągacze przywitali się z rodzinami i zaprosili górników na posiłek. Hillalum i Nanni zjedli z rodziną Kuddy wspaniałą kolację, na którą złożyły się suszone ryby, chleb, wino daktylowe i owoce.

Hillalum zauważył, że ta część wieży tworzy jakby małe miasteczko, ciągnące się pomiędzy dwiema ulicami — rampami prowadzącymi w górę i w dół. Znajdowała się tu również świątynia, w której odbywały się uroczystości; urzędowali sędziowie rozsądzający spory i funkcjonowały sklepy zaopatrywane przez karawanę. Oczywiście miasteczko pozostawało w ścisłym związku z karawaną: jedno nie mogło istnieć bez drugiego. A jednak każda karawana równała się podróży, zaczynającej się w jednym miejscu i kończącej w innym. To miasteczko nie było w zamierzeniu trwałe; stanowiło zaledwie część ciągnącej się całe stulecia podróży.

Po kolacji Hillalum zapytał Kudde i jego rodzinę:

Czy któreś z was było kiedykolwiek w Babilonie?

Odpowiedziała żona Kuddy, Alitum:

— Nie, po co? To daleka droga, a wszystko, czego nam trzeba, mamy tutaj.

— Nie chcecie pochodzić po ziemi? Kudda wzruszył ramionami.

— Mieszkamy na drodze do nieba; wszystko, co robimy, prowadzi do jej przedłużenia. Kiedy zechcemy opuścić wieżę, pójdziemy rampą prowadzącą w górę, nie w dół.

Górnicy wchodzili coraz wyżej. Nadszedł taki dzień, że czy patrzyło się w górę, czy w dół z krawędzi rampy, wieża wydawała się taka sama. Poniżej jej trzon kurczył się w nicość na długo przedtem, nim wydawało się, że dotarła do leżącej poniżej równiny. Podobnie górnicy

wciąż jeszcze nie mogli dostrzec szczytu. Widzieli jedynie ściany wieży. Patrzenie w górę lub w dół budziło przerażenie, bo nie było ciągłości; nie stanowili już części ziemi. Wieża mogłaby być nitką zawieszoną w powietrzu, nieprzymocowaną ani do ziemi, ani do nieba.

Podczas tej części wspinaczki nadchodziły chwile, kiedy Hillalum wpadał w rozpacz, czując się odcięty od świata; zupełnie jakby ziemia odrzuciła go za niewierność, a niebo nie raczyło go przyjąć. Pragnął, żeby Jahwe dał jakiś znak, że aprobuje działania ludzi; inaczej jak mogli zostać w miejscu, które dawało duchowi tak mało pociechy?

Mieszkańcy wysokich kondygnacji wieży nie odczuwali niepokoju związanego z ich położeniem; zawsze ciepło witali górników i życzyli im powodzenia przy pracy na szczycie. Mieszkali wśród wilgotnych chmur, widzieli burze od spodu i od góry, zbierali żniwo z powietrza i nigdy nie bali się, że to niewłaściwe miejsce dla ludzi. Nie mieli żadnych boskich zapewnień, ale nigdy nie zaznali chwili zwątpienia.

Wraz z upływem kolejnych tygodni słońce i księżyc zataczały coraz niższe łuki podczas swych codziennych podróży. Księżyc zalewał południową stronę wieży srebrzystym blaskiem, lśniąc niczym patrzące na nich oko Jahwe. W krótkim czasie znaleźli się dokładnie na tym samym poziomie co przepływający po niebie księżyc: dotarli na wysokość pierwszego z ciał niebieskich. Patrzyli zmrużonymi oczyma na jego dziobatą twarz i dziwili się majestatycznemu ruchowi, gardzącemu jakimikolwiek podporami.

A potem zbliżyli się do słońca. Latem słońce pojawia się pionowo nad Babilonem i na tej wysokości bardzo blisko mija wieżę. W tej części nie mieszkała żadna rodzina, nie było tu też żadnych balkonów, ponieważ gorąco wystarczało do uprażenia jęczmienia. Zaprawa między cegłami wieży nie była już ze słomy ziemnej, która zmiękłaby i rozpułnęła się, lecz z gliny dosłownie wypalanej przez upał. Dla ochrony przed dziennymi temperaturami słupy zostały poszerzone tak, że tworzyły niemal nieprzerwaną ścianę, zamykając rampę w tunelu z jedynie wąskimi szczelinami, przez które wpadał świszczący wiatr i strzały złocistego światła.

Aż do tego miejsca grupy ciągnący znajdowały się w takich samych odległościach od siebie, ale tu trzeba było dokonać modyfikacji.

Każdego ranka wyruszali coraz wcześniej, by zyskać więcej ciemności w czasie, gdy ciągnęli wózki. Kiedy znaleźli się na poziomie słońca, podróżowali wyłącznie nocą. W ciągu dnia próbowali spać, nadzy i spoceni w gorącym wietrze. Górnicy bali się, że jeśli uda im się zasnąć, to zanim się obudzą, zostaną żywcem upieczeni. Ciągacze odbyli jednak tę podróż wiele razy i nigdy nikogo nie stracili; w końcu dotarli ponad poziom słońca, gdzie było tak jak poniżej.

Teraz światło dnia padało w górę, co wydawało się w najwyższym stopniu nienaturalne. W balkonach usunięto niektóre deski, żeby mogło przez nie przeświecać światło, a na pozostałych zostawiono ziemię; rośliny wyrastały w bok i w dół, by pochwycić słoneczne promienie.

A potem przybliżyli się do gwiazd, małych ognistych kul rozciągających się na wszystkie strony. Hillalum spodziewał się, że będzie ich więcej, lecz nawet z maleńkimi gwiazdami niewidocznymi z ziemi wydawały się rozsiane bardzo rzadko. Nie wszystkie znajdowały się na tej samej wysokości, lecz zajmowały kilka staj w górę. Trudno było powiedzieć, jak są daleko; nie mieli żadnych wskazówek co do ich wielkości, lecz czasami któraś z nich zbliżała się do wieży, dając dowód swej zdumiewającej prędkości. Hillalum zdał sobie sprawę, że wszystkie ciała niebieskie pędzą z podobną szybkością, by móc w jeden dzień przemierzyć cały świat od krańca do krańca.

W dzień niebo było o wiele jaśniejsze, niż wydawało się z ziemi, co oznaczało, że zbliżają się do sklepienia. Przyglądając się niebu, Hillalum ze zdumieniem zobaczył gwiazdy. Z ziemi nie było ich widać poprzez blask słońca, ale na tej wysokości stały się zupełnie wyraźne.

Pewnego dnia przybiegł do niego Nanni i powiedział:

— Gwiazda uderzyła w wieżę!

— Co!?! — Hillalum rozejrzał się w panice, czując się, jakby otrzymał cios.

— Nie, nie teraz. Dawno temu, przed ponad stu laty. Jeden z mieszkańców wieży właśnie o tym opowiada; był przy tym jego dziad.

Weszli do korytarzy i zobaczyli kilku górników siedzących wokół pomarszczonego staruszka.

— ...wbiła się w cegły o jakieś pół staja nad nimi. Wciąż można zobaczyć bliznę, którą zostawiła; jest jak wielki ślad po ospie.

— A co się stało z gwiazdą?

— Płonęła, skwierczała i była zbyt jasna, by na nią patrzeć. Ludzie chcieli ją wydłubać, by wróciła na swój szlak, ale była zbyt gorąca, żeby blisko do niej podejść, a nie śmieli ugasić jej wodą. Po kilku tygodniach ostygła w pomarszczoną masę czarnego metalu tak dużą, że obejmował ją ramionami jeden człowiek.

— Taką dużą? — powiedział z nabożnym zdumieniem Nanni. Kiedy gwiazdy spadały na ziemię z własnej woli, znajdowano czasami małe kawałki metalu z nieba, twardszego niż najlepszy brąz. Metalu tego nie można było przetopić, więc po rozgrzaniu do czerwoności obrabiano go młotkami: robiono z niego amulety.

Zaiste, nikt nigdy nie słyszał o tak wielkiej masie znalezionej na ziemi. Możecie sobie wyobrazić, jakie narzędzia można by z niej zrobić?

— Chyba nie próbowaliście przerobić jej na narzędzia? — zapytał z przerażeniem Hillalum.

— O, nie. Ludzie bali się jej dotknąć. Wszyscy zeszli z wieży, czekając na odwet Jahwe za zakłócenie dzieła stworzenia. Czekali kilka miesięcy, ale nie pojawił się żaden znak. W końcu wrócili i wydłubali gwiazdę. Jest teraz w świątyni w mieście na dole.

Zapadła cisza. Przerwał ją jeden z górników:

— Opowieści o wieży nigdy o tym nie mówiły.

— To było wykroczenie, coś, o czym się nie wspomina. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, kolor nieba bladł, aż wreszcie pewnego ranka Hillalum obudził się, stanął na krawędzi rampy i krzyknął zdziwiony: to, co przedtem wydawało się bladym niebem, teraz sprawiało wrażenie białego sufitu rozciągającego się wysoko nad ich głowami. Znajdowali się na tyle wysoko, by dostrzec sklepienie niebios, by zobaczyć je jako mocny pancierz okrywający całe niebo. Wszyscy górnicy mówili ściszymi głosami, patrząc jak idioci w górę, a mieszkańcy wieży śmiali się z nich.

Kiedy znów ruszyli w górę, zdziwili się, jak blisko już są nieba. Gładź powierzchni sklepienia zwiódła ich, czyniąc je niewidzialnym, aż pojawiło się nagle jakby tuż nad głowami. Teraz zamiast wspinać się do nieba, wspinali się ku pozbawionej jakichkolwiek cech równinie, która rozciągała się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Jej widok zdezorientował wszystkie zmysły Hillaluma. Czasami, kiedy patrzył na sklepienie, miał wrażenie, jakby świat obrócił się do góry nogami i że gdyby stracił równowagę, spadłby w górę na sklepienie. Kiedy natomiast sklepienie wydawało się wznosić nad jego głową, wyczuwał jego potężną wagę. Było warstwą tak ciężką jak reszta świata, a jednak pozbawione jakiegokolwiek oparcia, i Hillalum po raz pierwszy w życiu bał się, że zawali się na niego sufit.

Były też chwile, kiedy wydawało się, że sklepienie jest wznoszącą się przed nim pionową ścianą urwiska o niewyobrażalnej wysokości, podobnie jak ledwie widoczna w dole ziemia, i że wieża to mocno naciągnięta lina między nimi. Albo, co było najgorsze ze wszystkiego, Hillalumowi przez chwilę wydawało się, że nie ma góry ani dołu, a jego ciało nie wie, w którą stronę jest przyciągane. Uczucie, jakby bał się wysokości, tylko o wiele gorsze. Często budził się zlany potem i z zaciśniętymi palcami, starając się chwycić ceglanego podłoża.

Nanni i wielu innych górników też miało przekrwione oczy, chociaż nikt nie mówił, co nie pozwala mu spać. Wchodzili wolniej zamiast szybciej, jak spodziewał się ich brygadzysta Beli; widok sklepienia wywoływał raczej niepokój niż entuzjazm. Ciągacze zaczęły się niecierpliwić. Hillalum zastanawiał się, jakich ludzi wykuwało życie w takich warunkach, czy udawało im się uciec szaleństwu?

Czy przyzwyczaili się do tego? Czy dzieci urodzone pod twardym niebem płakałyby, gdyby zobaczyły pod stopami ziemię?

Może ludzie nie mieli żyć w takim miejscu. Jeśli natura powstrzymywała ich przed zbytnim zbliżaniem się do nieba, to raczej powinni zostać na ziemi.

Kiedy dotarli do wierzchołka wieży, oszołomienie zniknęło, a może to oni stali się odporniejsi. Stojąc na kwadratowej platformie na szczycie, górnicy patrzyli na najbardziej przerażający widok, jaki kiedykolwiek mogły oglądać ludzkie oczy: daleko pod nimi leżał gobelin utkany z ziemi i morza, przysłonięty mgłą, rozciągający się we wszystkich kierunkach do granicy widoczności. Tuż nad nimi wisiał dach świata, ostateczna górna granica nieba, będąca gwarancją, że ich punkt widokowy jest najwyższy z możliwych. Tu można było się zetknąć z największą masą dzieła stworzenia.

Kapłani modlili się do Jahwe; złożyli dziękczynienie, że pozwolono im zobaczyć tak wiele, i prosili o wybaczenie pragnienia ujrzenia jeszcze więcej.

Na szczycie ułożono cegły. W powietrzu czuło się ostry łapach, unoszący się z podgrzewanych kotłów, w których topiły się kawałki smoły ziemnej. Była to najbardziej ziemska woń, jaką górnicy czuli od kilku miesięcy, i ich nozdrza chciwie wylapywały każdy jej powiew, zanim porwał go wiatr. Tu, na szczycie, gdzie ciecz, która niegdyś wypływała ze szczelin w ziemi, teraz twardniała, wiążąc cegły, ziemia wyciągała ku niebu palec.

Tu pracowali murarze, mężczyźni wysmarowani smolą, którzy mieszała zaprawę i zręcznie, z niedościgną precyzją, układali ciężkie cegły. Jak nikt inny, nie mogli sobie pozwolić na zawroty głowy, gdy patrzyli na sklepienie, ponieważ wieża nie mogła odbiec od pionu ani na palec. Wreszcie zbliżali się do końca swego dzieła, a po czterech miesiącach wspinaczki górnicy byli gotowi zacząć swoje.

Egipcjanie przybyli wkrótce potem. Mieli ciemną skórę, drobną budowę ciała i rzadkie brody. Ciągnęli wózki wyładowane młotkami z dolerytu, narzędziami z brązu i drewnianymi klinami. Ich brygadzysta nazywał się Senmut, rozmawiał z Belim, brygadzystą Elamitów, o tym, jak przebić sklepienie. Z przywiezionych ze sobą elementów Egipcjanie zbudowali kuźnie, podobnie jak zrobili to Elamici do przekuwania narzędzi z brązu, które stępią się podczas kopania.

Samo sklepienie pozostawało tuż poza zasięgiem wyciągniętych palców mężczyzny; kiedy się podskakiwało, by go dotknąć, wydawało się gładkie i chłodne. Było wykonane jakby z drobnoziarnistego białego granitu pozbawionego skaz i jakichkolwiek cech. I w tym tkwił problem. Dawno temu Jahwe spuścił Potop, uwalniając wody z dołu i z góry; wody otchłani wytrysnęły ze źródeł ziemi, a wody nieba przelały się przez upusty w sklepieniu. Teraz ludzie przyglądali mu się z bliska, lecz nie widzieli żadnych upustów. Rozglądali się we wszystkich kierunkach, mrużąc oczy, ale granitowej równiny nie przerywały żadne otwory, żadne spojenia.

Wyglądało na to, że wieża styka się ze sklepieniem w miejscu znajdującym się między zbiornikami, co okazało się bardzo szczęśliwym

trafem. Gdyby było widać jakiś upust, musieliby ryzykować rozbicie go i opróżnienie zbiornika. To oznaczałoby deszcz dla Szinar, deszcz nie w porę, bardziej rześisty od deszczów zimowych, i spowodowałoby powódzie wzdłuż całego Eufratu. Deszcze najprawdopodobniej skończyłyby się po opróżnieniu zbiornika, ale zawsze istniała możliwość, że Jahwe ukarze ich i przedłuży opady, aż zawali się wieża, a Babilon rozpuści się w błoto.

Mimo że nie było widać żadnych upustów, ryzyko wciąż istniało. Może upusty nie miały spoin widocznych dla oczu śmiertelnika, a zbiornik leżał wprost nad nimi. A może zbiorniki były olbrzymie, tak że nawet jeśli najbliższy upust znajdował się w odległości wielu staj, nad nimi wciąż leżał zbiornik. Długo dyskutowano nad dalszym postępowaniem.

Jahwe przecież nie zmyje wieży — twierdził Qurdusa, jeden z murarzy. — Gdyby wieża była bluźnierstwem, Jahwe zniszczyłby ją już wcześniej. Przez te wszystkie stulecia, kiedy ją wznosiliśmy, nie widzieliśmy najmniejszej oznaki niezadowolenia Jahwe. Zanim przebijemy się do jakiegoś zbiornika, Jahwe go opróżni.

Gdyby Jahwe patrzył na to przedsięwzięcie z taką aprobatą, to wewnątrz sklepienia już czekałyby na nas gotowe schody — sprzeciwił się Eluti, jeden z Elamitów. — Jahwe ani nam nie pomoże, ani nie będzie nas powstrzymywał; jeśli przebijemy zbiornik, spadną na nas jego wody.

Hillalum nie mógł w takiej chwili zatrzymywać swoich wątpliwości dla siebie.

— A jeśli wody są nieograniczone? Jahwe może nas nie ukarać, ale może pozwolić, żebyśmy sami na siebie sprowadzili wyrok.

— Elamito — odparł Qurdusa — mimo że przybyłeś na wieżę dopiero niedawno, powinieneś wiedzieć lepiej. Pracujemy z miłości do Jahwe, robimy to przez całe życie, podobnie jak nasi ojcowie w poprzednich pokoleniach. Ludzie tak sprawiedliwi jak my nie mogą być osądzeni pochopnie.

To prawda, że pracujemy w jak najczystszych zamiarach, ale to nie znaczy, że pracujemy mądrze. Czy ludzie rzeczywiście obrali właściwą ścieżkę, wybierając życie z dala od ziemi, z której powstali? Jahwe

nigdy nie powiedział, że ten wybór jest właściwy. Teraz jesteśmy gotowi rozbić niebo, mimo wiedzy, że nad nami znajduje się woda. Jeśli błądzimy, to jak możemy być pewni, że Jahwe uchroni nas przed naszymi własnymi pomyłkami?

— Hillalum doradza ostrożność i ja się z nim zgadzam — rzekł Beli. — Nie możemy sprowadzić na świat drugiego Potopu ani nawet niebezpiecznych deszczów na Szinar. Rozmawiałem z Egipcjaninem Senmutem, który pokazał mi projekty, na podstawie których zapieczętowywano grobowce tamtejszych królów. Wierzę, że kiedy zaczniemy kopać, ich metody zapewnią nam bezpieczeństwo.

Po uroczystości, podczas której kapłani złożyli ofiarę z wołu i kozy, wypowiedzieli wiele świętych słów i spalili mnóstwo kadzidła, górnicy przystąpili do pracy.

Jeszcze zanim dotarli do sklepienia, było oczywiste, że zwykle kopanie kilofami i młotami będzie niepraktyczne: nawet gdyby kopali poziomo, posuwaliby się przez granit nie więcej niż na szerokość dwóch palców dziennie, a kopanie w pionie byłoby o wiele wolniejsze. Posłużyli się więc ogniem.

Z przywiezionego drewna ułożyli ognisko pod wybranym punktem sklepienia i palili je przez cały dzień. Kamień pękał i kruszył się pod wpływem gorąca płomieni. Kiedy ogień wygasł, górnicy spryskali kamień wodą, żeby przyspieszyć pęknięcie. Wtedy mogli łupać go na duże kawałki, które spadały ciężko na wieżę. W ten sposób każdy dzień palenia ognia przynosił prawie łokieć wybranego materiału.

Tunel nie wznosił się w górę pionowo, lecz pod kątem, jaki zwykle przyjmuje się dla schodów, żeby można było zbudować rampę ze stopniami sięgającą do niego z wieży. Ogień wygładzał ściany i podłogę; górnicy przygotowali zabezpieczenie, żeby nie obsuwać się w dół. Ognisko rozpalane na końcu tunelu układali na platformie z wypalonych cegieł.

Kiedy tunel wznosił się już na dziesięć łokci w głąb sklepienia, górnicy przestali kopać w górę i rozszerzyli go do rozmiarów komory. Kiedy usunęli cały kamień osłabiony przez ogień, do pracy przystąpili Egipcjanie. Nie używali ognia. Zaczęli budować przesuwane drzwi z granitu, posługując się tylko dłutami i młotkami z dolerytu. Najpierw

obrobili kamień tak, by z jednej ściany wyciąć olbrzymi blok granitu. Hillalum i inni górnicy próbowali im pomagać, ale okazało się to trudne: kamienia nie obrabiało się przez kruszenie go, lecz odłupywanie kawałków. Trzeba było uderzać młotkiem z dokładnie określoną siłą — uderzenia słabsze lub mocniejsze na nic by się zdały.

Po kilku tygodniach blok był gotowy; wyższy od człowieka i szerszy niż wyższy. Aby odciąć go od podłogi, Egipcjanie wyłobili wokół podstawy kamienia szczeliny, w które wbili drewniane kliny. Następnie rozszczepili je i wbili w nie jeszcze cieńsze kliny, a potem włąli do szczelin wodę, żeby drewno napęczniało. Po kilku godzinach w kamieniu pojawiła się rysa i blok został uwolniony.

Pod przeciwną ścianą pomieszczenia z prawej strony górnicy wypalili wąski korytarz biegnący w górę, a w podłodze przed wejściem do komory wyłobili biegnący w dół rowek długi na łokieć. W ten sposób powstała gładka, nieprzerwana rampa przecinająca podłogę tuż przed wejściem i kończąca się z jego lewej strony.

Na tej rampie Egipcjanie umieścili granitowy blok. Ciągnąc i pchając, wprowadzili go do bocznego korytarza, do którego ledwo się zmieścił, i podparli stertą płaskich cegieł z błota, sięgających lewej ściany niczym słup leżący na rampie.

Mając ruchomy głaz, który zatrzyma wodę, górnicy mogli bezpiecznie drążyć tunel. Gdyby przebili zbiornik i wody niebios wylały się do tunelu, rozbiliby kolejno cegły i kamień ześliznąłby się do rowka w podłożu, całkowicie blokując wejście. Jeśli wody runęłyby z taką siłą, że porwałyby ze sobą ludzi, cegły z błota stopniowo by się rozpuściły i kamień też zsunąłby się na dół. Wody zostałyby zatrzymane, a górnicy mogliby rozpocząć kopanie nowego tunelu w innym kierunku, omijając zbiornik.

Górnicy znów rozpalili ogień, by dalej drążyć tunel, rozpoczynając go w ścianie pomieszczenia naprzeciwko wejścia. Aby wspomóc krążenie powietrza w sklepieniu, na wysokich drewnianych ramach rozpięto wołowe skóry i ustawiono je ukośnie po obu stronach wejścia do tunelu na szczycie wieży.

W ten sposób stały wiatr wiejący pod sklepieniem niebios był kierowany w górę do tunelu; podtrzymywał on ogień i oczyszczał

powietrze po wygaszeniu go, tak że górnicy mogli pracować, nie wdychając dymu.

Po ustawieniu ruchomego kamienia Egipcjanie nie przerwali pracy. Podczas gdy górnicy wymachiwali kilofami na końcu tunelu, oni wycinali w litej skale schody, mające zastąpić te z drewna. Robili to za pomocą drewnianych klinów, a kamienne bloki, które usuwali z pochyłej podłogi, zastępowały stopnie.

Górnicy pracowali, wciąż wydłużając tunel. Wznosił się on cały czas w górę, choć regularnie zmieniał kierunek niczym nitka w olbrzymim ściegu. Zbudowali następne komory z przesuwanymi drzwiami, tak że gdyby przebili zbiornik, zostałby zalany tylko najwyższy odcinek tunelu. Na powierzchni sklepienia wykuli kanaliki, z których zwiesili pomosty i platformy; zaczynając od tych platform, dość odległych od wieży, wydrążyli boczne tunele, które łączyły się z głównym tunelem głęboko w sklepieniu. Dzięki nim mieli wentylację, ponieważ kierowany do nich wiatr wyciągał dym z głębi tunelu.

Praca trwała całymi latami. Grupy ciągarzy nie wciągały już cegieł, lecz drewno i wodę do ognisk. W tunelach tuż pod powierzchnią sklepienia zamieszkali ludzie, a na wiszących platformach zaczęli uprawiać zwieszające się w dół warzywa. Górnicy mieszkali tam, na granicy nieba; niektórzy z nich ożenili się i mieli dzieci. Tylko nieliczni znów stanęli na ziemi.

Z twarzą owiniętą wilgotną szmatą, Hillalum zszedł z drewnianych stopni na kamień, i dołożył drewna do ogniska na końcu tunelu. Ogień będzie się palił przez wiele godzin, a on zaczeka w niższych tunelach, gdzie powietrze nie było gęste od dymu.

Na chwilę zmarł z przerażenia. Lodowato zimna woda uderzyła o jego nogi i przewróciła go. Wstał, starając się złapać oddech, napierając ciałem na pędzącą wodę, chwytając się stopni. Przebili zbiornik.

Musiał zejść poniżej najwyższych przesuwanych drzwi, zanim zablokują przejście. Jego nogi chciały przeskakiwać stopnie, ale Hillalum wiedział, że jeśli tak zrobi, to upadnie. A wtedy wściekły prąd na pewno roztrzaska go o skałę. Idąc tak szybko, jak tylko miał odwagę, schodził po jednym stopniu.

Kilka razy pośliznął się, za każdym razem zsuwając się o

kilkanaście stopni; plecami ocierał się o kamienne stopnie, ale nie czuł bólu. Przez cały czas był pewien, że tunel zawali się i go przygniecie albo że pęknie całe sklepienie, pod jego stopami otworzy się niebo, a on spadnie na ziemię wśród kropli niebieskiego deszczu. Nadeszła kara Jahwe, drugi Potop.

Jak daleko jeszcze do ruchomego kamienia? Tunel wydawał się ciągnąć bez końca, a wody pędziły coraz szybciej. Hillalum zbiegał po schodach.

Potknął się i upadł w płytką wodę. Skończyły się schody i znalazł się w komorze ruchomego kamienia. Woda sięgała mu powyżej kolan.

Wstał i zobaczył Damaiyę i Ahuniego, dwóch górników, którzy właśnie go zauważyli. Stali przed kamieniem, który już zablokował wejście.

Nie! — Zawołał Hillalum.

Zamknęli nas! — wrzasnął Damaiya. — Nie zaczekali!

Czy idą inni? — krzyknął Ahuni bez nadziei w głosie. — Może uda nam się poruszyć ten kamień.

Nie ma nikogo — odpowiedział Hillalum. — Czy mogą go pchnąć z drugiej strony?

Nie słyszą nas. — Ahuni uderzył w kamień młotkiem. Huk pędzącej wody zagłuszał wszystkie dźwięki.

Hillalum rozejrzał się po małej komorze, dopiero teraz zauważając któregoś z Egipcjan, unoszącego się na powierzchni wody twarzą w dół.

Spadł ze schodów i zabił się — krzyknął Damaiya.

Czy nic nie możemy zrobić?

Ahuni spojrział w górę.

— Oszczędź nas, Jahwe.

Cała trójka stała w podnoszącej się wodzie, rozpaczliwie się modląc, ale Hillalum wiedział, że na próżno: Jahwe nie prosił ludzi, by wznieśli wieżę lub przebili sklepienie; decyzja o tym należała wyłącznie do nich i ludzie poniosą śmierć w tym przedsięwzięciu, tak jak zdarzało się to na ziemi. Prawość nie ocali ich przed konsekwencjami ich czynów.

Woda dosięgła im piersi.

— Wejdzmy wyżej — krzyknął Hillalum.

Mozolnie ruszyli w górę tunelu przeciwko prądowi, a woda

wznosiła się za nimi. Nieliczne pochodnie oświetlające tunel zgasły, więc szli w ciemności, mamrocząc modlitwy, których nie słyszeli. Drewniane stopnie zamocowane u szczytu tunelu zostały zmyte i zaklinowały się poniżej. Przeszli po nich i dotarli do gładkiego kamiennego zbocza; tam czekali, aż woda poniesie ich wyżej.

Czekali w milczeniu, wyczerpawszy modlitwy. Hillalum wyobraził sobie, że stoi w czarnym przelyku Jahwe, a Przepotężny pije wodę niebios, gotów połknąć grzeszników.

Woda poniosła ich w górę, aż Hillalum mógł wyciągniętymi rękami dotknąć sufitu. Olbrzymia szczelina, z której tryskała woda, znajdowała się tuż obok. Pozostało już niewiele powietrza. Hillalum zawołał:

— Kiedy ta komora się napełni, możemy popłynąć w kierunku nieba.

Nie wiedział, czy go usłyszeli. Kiedy woda sięgnęła sufitu, po raz ostatni zaczerpnął powietrza i wpłynął do szczeliny. Umrze bliżej nieba niż ktokolwiek przed nim.

Szczelina ciągnęła się przez wiele łokci. Gdy tylko Hillalum ją przepłynął, kamienna warstwa umknęła mu spod pleców i jego machające kończyny niczego już nie dotykały. Przez chwilę czuł, jak niesie go prąd, ale po chwili nie był tego taki pewien. Otaczała go tylko ciemność i znów poczuł ten straszny zawrót głowy, którego doświadczył, kiedy po raz pierwszy zbliżył się do sklepienia. Nie mógł rozróżnić żadnego kierunku, nie wiedział nawet, gdzie jest góra ani dół. Wykonywał pływackie ruchy, ale nie wiedział, czy płynie.

Może unosił się bezradnie w spokojnej wodzie, a może porwał go wściekły prąd; czuł jedynie paraliżujące zimno. Nie widział żadnego światła. Czy w tym zbiorniku nie ma powierzchni, do której mógłby się wznieść?

Wtedy znów uderzył w kamień. Jego dłonie wyczuły szczelinę. Czy wrócił do miejsca, z którego wyruszył? Woda wpychała go do szczeliny, a on nie miał siły się opierać. Został wciągnięty do tunelu i obijał się o jego ściany. Był niewiarygodnie głęboki, jak najdłuższy kopalniany szyb. Hillalum czuł, że zaraz pękną mu płuca, ale tunel zdawał się nie mieć końca. W końcu górnik nie mógł już dłużej

wstrzymywać oddechu i wypuścić powietrze z ust. Tonął i otaczająca go ciemność zalała mu płuca.

Nagle ściany rozbiegły się. Hillaluma niósł pędzący strumień wody, poczuł powietrze nad jego powierzchnią! A potem nie czuł już nic.

Obudził się z twarzą przyciśniętą do wilgotnego kamienia. Nic nie widział, ale czuł przy dłoniach wodę. Przetoczył się na plecy i jęknął: bolały go ręce i nogi, był nagi, skórę miał poobcieraną do krwi i pomarszczoną od wody, ale oddychał.

Po pewnym czasie Hillalum w końcu wstał. Wokół jego kostek kłębiła się woda. Kiedy postąpił krok, zrobiła się gładsza. W przeciwnym kierunku był suchy kamień — dotyk podpowiadał, że to łupek.

Było zupełnie ciemno, jak w kopalni bez pochodni. Pokaleczonymi palcami macał przed sobą podłoże, które w końcu wzniosło się i zmieniło w ścianę. Pełzał tam i z powrotem powoli, niczym jakieś ślepe stworzenie. Znalazł źródło wody, duży otwór w podłożu. Przypomniawsobie! Został wyrzucony ze zbiornika w górę przez ten otwór. Pełzył przed siebie, jak mu się wydawało, całymi godzinami; jeśli to jaskinia, to była olbrzymia. Znalazł miejsce, w którym podłoże wznosiło się. Czy jest jakieś przejście prowadzące w górę? Może uda mu się trafić do nieba.

Czołgał się, nie mając pojęcia, ile minęło czasu, nie przejmując się, że nie będzie potrafił wrócić, ponieważ nie mógł wrócić tam, skąd przybył. Szedł korytarzami prowadzącymi w górę, ilekroć je znajdował, a prowadzącymi w dół, kiedy musiał. Chociaż połknął więcej wody, niż sądził, że to możliwe, zaczął odczuwać pragnienie i głód.

W końcu zobaczył światło i wybiegł na zewnątrz.

Światło było tak jasne, że Hillalum zamknął oczy i padł na kolana z zaciśniętymi pięściami uniesionymi na wysokość twarzy. Czy to blask Jahwe? Czy jego oczy zniosą ten widok? Po kilku minutach otworzył je i zobaczył pustynię. Zostawił za sobą jaskinię u podnóża jakichś gór. Po horyzont ciągnęły się skały i piasek.

Czy niebo jest jak ziemia? Czy Jahwe mieszka w takim miejscu? A może to tylko jeszcze jedno królestwo w dziele stworzenia Jahwe,

jeszcze jedna ziemia znajdująca się nad ziemią Hillaluma, a Jahwe mieszka wyżej?

Słońce znajdowało się przy szczytach gór za jego plecami. Wznosi się czy opada? Czy są tu dnie i noce?

Hillalum popatrzył na piaszczystą okolicę zmrużonymi oczyma. Wzdłuż horyzontu przesuwała się jakaś linia. Czy to karawana?

Pobiegł do niej, wołając z głębi wyschniętego gardła, aż zabrakło mu tchu. Zobaczyła go jakaś postać z końca karawany i zatrzymała ją.

Postać wydawała się człowiekiem, nie duchem, i była ubrana jak podróżujący po pustyni. Trzymała bukłak. Hillalum napił się, z trudem łapiąc oddech.

W końcu oddał mężczyźnie bukłak i wydyszał:

— Co to za miejsce?

— Zaatakowali cię bandyci? Zdążamy do Erech. Hillalum wytrzeszczył oczy.

Chcesz mnie oszukać — zawołał. Mężczyzna cofnął się i patrzył na Hillaluma, jakby ten oszalał od słońca. Górnik zobaczył zbliżającego się jeszcze jednego podróżnika. — Erech jest w Szinar!

Owszem. Nie podążałeś do Szinar? — Drugi mężczyzna trzymał laskę w pogotowiu.

Przybywam z... byłem w... — Hillalum zamilkł. — Znacie Babilon?

O, to jest zatem cel twojej podróży? Leży na północ od Erech. Droga między nimi jest łatwa.

Wieża... słyszeliście o niej?

Oczywiście, to słup wznoszący się do nieba. Podobno ludzie na szczycie drążą tunel przez sklepienie niebios.

Hillalum upadł na piasek.

— Źle się czujesz? — Dwaj poganiacze wielbłądów pomruczeli między sobą i odeszli, by naradzić się z pozostałymi. Hillalum nie patrzył na nich.

Jest w Szinar. Wrócił na ziemię. Wspiął się ponad niebieskie zbiorniki i wrócił na ziemię. Czy Jahwe sprowadził go do tego miejsca, by nie dotarł wyżej? A jednak Hillalum wciąż nie widział żadnych znaków, żadnej wskazówki, że Jahwe go zauważył. Nie spodziewał się

ze strony Jahwe żadnego cudu, w którego wyniku znalazłby się tutaj. O ile potrafi się zorientować, po prostu wypłynął ze sklepienia i znalazł się w leżącej poniżej jaskini.

Jakimś sposobem sklepienie niebios znajdowało się pod ziemią. Zupełnie jakby leżały obok siebie, chociaż dzieliło je wiele staj. Jak to możliwe? Jak takie odległe miejsca mogą się ze sobą stykać? Hillaluma rozboleła głowa od tych rozmyślań.

I wtedy zrozumiał: cylindryczna pieczęć. Potoczony po tabliczce miękkiej gliny rzeźbiony walec zostawił odcisk tworzący jakiś obraz. Dwie postacie mogły pojawić się na przeciwnych końcach tabliczki, choć na powierzchni walca znajdowały się obok siebie. Cały świat jest takim walcem. Ludzie wyobrażają sobie, że niebiosa i ziemia znajdują się po przeciwnych końcach tabliczki, a między nimi rozciąga się niebo i gwiazdy; a mimo to świat jest zawinięty w jakiś fantastyczny sposób, tak że niebiosa i ziemia stykają się ze sobą.

Teraz było jasne, dlaczego Jahwe nie zburzył wieży, nie ukarał ludzi za pragnienie dotarcia poza wyznaczone im granice — najdłuższa bowiem podróż zakończy się w miejscu, w którym się zaczęła. Całe wieki pracy nie ujawnią ludziom ani trochę więcej dzieła stworzenia, niż już je znają. Jednak dzięki swemu wysiłkowi, widząc, jak pomysłowo został skonstruowany świat, ludzie dostrzegą niewyobrażalny artyzm dzieła Jahwe. Dzięki tej konstrukcji dzieło Jahwe zostało ujawnione i ukryte zarazem.

W ten sposób ludzie będą znali swoje miejsce.

Hillalum stanął na nogach miękkich z nabożnego podziwu i odszukał przewodnika karawany. Wróci do Babilonu. Może znów zobaczy Lugatuma. Pośle wiadomość ludziom na wieży. Powie im o kształcie świata.

tłumaczyła Agnieszka Sylwanowicz

Zrozum

(Understand)

Warstwa lodu; czuję na twarzy, że jest chropowata, ale nie zimna. Nie mam się czego złapać; rękawice ślizgają się. Widzę w górze jakichś ludzi, biegają dookoła, ale nie są w stanie nic zrobić. Próbuję uderzać w lód pięściami, ale moje ręce poruszają się jak w zwolnionym tempie, a moje płuca chyba pękły; głowa też mi pęka, mam wrażenie, jakbym się rozpląwał...

Budzę się z krzykiem. Serce wali mi jak młotem. Jezu. Zsuwam koc i siadam na brzegu łóżka.

Przedtem tego nie pamiętałem. Przedtem był tylko upadek przez lód. Lekarz powiedział, że mój mózg musiał wyprzeć resztę wspomnień. Teraz sobie przypominałem i był to najgorszy koszmar senny, jaki miałem w życiu.

Zaciskam pięści na prześcieradle i czuję, jak dygoczę. Próbuję się uspokoić, oddychać powoli, ale nie mogę powstrzymać szlochu. To było tak realistyczne, że prawie to *czułem*; *czułem*, jak się umiera.

Byłem w tej wodzie przez blisko godzinę. Kiedy mnie wyciągnęli, byłem prawie jak warzywo. Czy jestem już zdrowy? Wtedy, w szpitalu, po raz pierwszy wypróbowali nowy lek na kimś, kogo mózg został uszkodzony w aż takim stopniu. Czy okazał się skuteczny?

Ten sam koszmar. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Po trzecim razie już wiem, że nie chcę znów zasypiać. Godziny, jakie pozostały do świtu, spędzam na martwieniu się. Czy to jest skutek? Czy zaczynam wariować?

Jutro mam cotygodniową wizytę u specjalisty w szpitalu. Może on będzie znał odpowiedź.

Jadę do centrum Bostonu i po półgodzinie przyjmuje mnie doktor Hooper. Siedzę na łóżku w pokoju do badań, za żółtą zasłonką. Na ścianie wisi płaski monitor. Obraz na nim można oglądać tylko pod pewnym kątem, więc z tej strony wygląda, jakby był ciemny. Lekarz stuka w klawiaturę, pewnie szukając mojej kartoteki, a potem zaczyna

mnie badać. Ogląda mi źrenice, świecąc latarką, a ja opowiadam mu o moich koszmarach.

— Zdarzało się panu coś takiego przed wypadkiem? Wyjmuje mały młoteczek i uderza w moje łokcie, kolana i kostki.

Nie, nigdy. Czy to jakiś skutek uboczny leku?

To nie jest skutek uboczny. Leczenie hormonem K spowodowało regenerację wielu uszkodzonych neuronów i to jest wielka zmiana, do której pana mózg musi się przyzwyczaić. Koszmary są prawdopodobnie oznaką tego, że się przystosowuje.

Czy to może się utrzymać?

To mało prawdopodobne — odpowiada. — Kiedy już pański mózg przyzwyczai się do tych śladów pamięciowych, wszystko będzie dobrze. A teraz proszę dotknąć palcem wskazującym końca nosa, a potem mojego palca, tutaj.

Robię, co mi każe. Później mówi, żebym szybko dotknął kciuka każdym z palców. Następnie mam przejść po namalowanej linii, jakby podczas testu trzeźwości. A potem robi coś, co zaczyna mnie zdumiewać.

Proszę wymienić części zwykłego buta.

— Podeszwa, obcas, sznurówki. Hm, sznurówki przewleka się przez oczka, jest też język, pod sznurówkami...

— Dobrze. Proszę powtórzyć tę liczbę: trzy dziewięć jeden siedem cztery...

— ...sześć dwa.

Doktor Hooper tego się nie spodziewał.

— Słucham?

— Trzy dziewięć jeden siedem cztery sześć dwa. Podał pan tę liczbę, kiedy badał mnie pan po raz pierwszy, jeszcze w szpitalu. Chyba często używa jej pan przy badaniu pacjentów.

— Nie miał jej pan zapamiętywać. To miał być test pamięci chwilowej.

— Nie zapamiętałem jej celowo. Po prostu tak się zdarzyło, że ją pamiętam.

— Czy pamięta pan liczbę, jakiej użyłem, kiedy badałem pana po raz drugi?

Zastanawiam się przez chwilę.

Cztery zero osiem jeden pięć dziewięć dwa.

Jest zaskoczony.

— Większość ludzi nie potrafi zapamiętać tylu cyfr, jeśli usłyszy je tylko raz. Korzysta pan z jakichś technik mnemotechnicznych?

Potrząsam głową.

— Nie. Zawsze muszę zapisywać numery w telefonie.

Siada przy terminalu i dotyka klawiatury numerycznej.

— A proszę spróbować z tą.

Odczytuje czternastocyfrową liczbę, a ja ją powtarzam.

— A potrafi pan wymienić je wspak?

Recytuję cyfry w odwrotnej kolejności. Marszczy brwi, po czym zaczyna coś pisać w mojej kartotece.

Siedzę przed terminalem w jednym z pokojów do badań na oddziale psychiatrycznym — to najbliżej położone miejsce, w którym doktor Hooper mógł znaleźć testy na inteligencję. W jedną ze ścian wbudowano małe lustro; pewnie jest za nim kamera. Na wypadek gdyby była włączona, uśmiecham się i macham w tym kierunku. Zawsze to robię do ukrytych kamer przy bankomatach.

Doktor Hooper wkracza z wydrukiem moich wyników.

— Cóż, panie Leonie... poradził pan sobie doskonale. W obu testach zmieścił się pan w dziewięćdziesiątym dziewiątym percentylu.

Szczęka mi opada.

— Żartuje pan.

Nie, nie żartuję — widać, że sam z trudem w to wierzy.

— Ta liczba nie wskazuje, na ile pytań odpowiedział pan poprawnie, to pański wynik w porównaniu z resztą populacji.

— Wiem, co to oznacza — odpowiadam z roztargnieniem.

— Podczas testów w liceum znalazłem się w siedemdziesiątym.

Dziewięćdziesiąty dziewiąty percentyl. Próbuję w duchu znaleźć jakieś oznaki tego stanu. Cóż takiego powinienem czuć?

Siedzi na stole i patrzy na wydruk.

Pan nie studiował, prawda?

Zwracam się znów do lekarza.

— Studiowałem, ale zrezygnowałem przed dyplomem. Moje

pomysły jakoś nie podchodziły profesorom.

— Rozumiem. — Pewnie sądzi, że mnie wylali. — Cóż, zrobił pan olbrzymie postępy. Część to pewnie naturalny efekt upływu lat, ale w większości jest to skutek działania hormonu K.

Niezły skutek uboczny.

— Cóż, ja bym się tym za bardzo nie przejmował. Wynik testu nie dostarcza żadnych informacji o tym, jak będzie pan sobie radził w codziennym życiu.

Kiedy nie patrzy, przewracam oczami. Oto dzieje się coś niezwykłego, a on potrafi tylko podsunąć mi taki truizm.

— Chciałbym jeszcze przeprowadzić parę innych testów. Może pan przyjść jutro?

Retuszuję właśnie hologram, kiedy dzwoni telefon. Miotam się między telefonem a klawiaturą, aż w końcu wybieram telefon. Zwykle korzystam z automatycznej sekretarki, która odbiera rozmowy, gdy pracuję, ale muszę poinformować ludzi, że wróciłem do pracy. Straciłem wielu klientów w czasie pobytu w szpitalu: cóż, ryzyko bycia wolnym strzelcem. Dotykam telefonu i mówię:

— Greco Holographics, przy telefonie Leon Greco.

— Cześć, Leon, tu Jerry.

— Cześć, Jerry. Co słyhać? — Nadal przyglądam się obrazowi na ekranie: koła zębate skośne. Wyświechtana metafora współpracy, ale tego właśnie zażyczył sobie klient do reklamy.

— Nie chcesz iść do kina? Ja, Sue i Tori chcemy obejrzeć „Metalowe oczy”.

— Dziś wieczorem? Och, nie mogę. Dziś ostatni raz grają monodram kobiecy w Hanning Playhouse.

Powierzchnie zębów kół są porysowane i wyglądają na pokryte smarem. Podświetlam każdą z nich, używając kursora, i wpisuję odpowiednie parametry, żeby je zmienić.

— Co to jest?

Nosi tytuł „Sympleks”. To monolog wierszem. — Teraz poprawiam światło, usuwam cienie w miejscach, gdzie koła się zazębiają. — Chcecie się wybrać?

— To jakiś Szekspirowski monolog?

Za dużo: przy takim oświeceniu zewnętrzne krawędzie byłyby za jasne. Podaję górną granicę jaskrawości odbitego światła.

— Nie, to taki utwór z gatunku strumienia świadomości, wykorzystuje cztery różne rodzaje metrum: jamb to tylko jedno z nich. Wszyscy krytycy twierdzą, że to arcydzieło.

— Nie wiedziałem, że jesteś takim wielbicielem poezji. Sprawdzam wszystkie liczby jeszcze raz i wydaję komputerowi polecenie przeliczenia wzorca interferencji.

— Nie jestem, ale to wydało mi się naprawdę ciekawe. To jak, jesteście zainteresowani?

Dzięki, ale chyba wolimy film.

— Świetnie, w takim razie bawcie się dobrze. Może w przyszłym tygodniu gdzieś się razem wybierzemy.

Żegnamy się, Jerry rozłącza się, a ja czekam, aż komputer skończy przeliczanie.

I nagle dociera do mnie, co się stało. Nigdy dotąd nie byłem w stanie edytować niczego ważnego, rozmawiając jednocześnie przez telefon. A teraz nie miałem żadnego problemu z robieniem dwóch rzeczy naraz.

Czy te niespodzianki nigdy się nie skończą? Koszmary przestały mnie nawiedzać i udało mi się trochę odprężyć; dostrzegłem wtedy, że szybciej czytam i lepiej rozumiem. Byłem w stanie przeczytać pewne książki, dotąd zalegające na półkach, a które zawsze chciałem przeczytać, tylko nigdy nie miałem czasu: nawet trudniejsze, specjalistyczne. Kiedyś, na studiach, pogodziłem się z tym, że nie jestem w stanie uczyć się wszystkiego, co mnie interesuje. To niesamowite, kiedy się odkrywa, że to jednak możliwe: promieniowałem radością, kiedy pewnego dnia kupiłem stos książek.

A teraz odkryłem, że potrafię się skupić na dwóch rzeczach naraz; nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego będzie możliwe. Stoję przy biurku i krzyczę z radości, jakby moja ulubiona drużyna bejsbolowa zdobyła potrójną liczbę punktów. To właśnie takie uczucie.

Główny specjalista neurolog, doktor Shea, przejął mój przypadek; pewnie chce sobie przypisać wszelkie zasługi. Prawie go nie znam, a on

tymczasem zachowuje się, jakbym był jego pacjentem od lat.

Zaprasza mnie na rozmowę do swojego gabinetu. Zapłata palce i opiera łokcie na biurku.

— Jak się pan czuje z tym przyrostem inteligencji? Co za niedorzeczne pytanie.

— To bardzo przyjemne.

— Świetnie — mówi doktor Shea. — Jak dotąd nie wykryliśmy żadnych ujemnych skutków ubocznych leczenia hormonem K. Leczenie powypadkowego urazu mózgu u pana już się zakończyło. — Potakuję głową. — Prowadzimy jeszcze badania, bo chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o wpływie hormonu na inteligencję. Gdyby pan chciał, moglibyśmy wstrzyknąć panu jeszcze kilka dawek i obserwować skutki.

Wreszcie udaje mu się przyciągnąć moją uwagę: to mnie zainteresowało.

— Tak, chętnie.

Rozumie pan, że zrobimy to wyłącznie dla celów badawczych, nie terapeutycznych. Może pan odnieść korzyści dzięki wzrostowi inteligencji, ale z medycznego punktu widzenia nie jest to niezbędne dla pańskiego zdrowia.

— Rozumiem. Pewnie mam podpisać jakiś formularz zgody?

— Tak. Zaproponujemy też panu wynagrodzenie za udział w badaniu. — Wymienia jakąś liczbę, ale nie zwracam na to uwagi.

— W porządku.

Zaczynam sobie wyobrażać, do czego to może doprowadzić, co to dla mnie znaczy, i czuję dreszcz.

— Chcielibyśmy także zawrzeć z panem umowę o zachowaniu poufności. Ten lek to wielka sensacja, ale nie chcemy niczego ogłaszać przedwcześnie.

— Oczywiście, panie doktorze. Czy ktoś już dostawał dodatkowe zastrzyki?

— Oczywiście, nie będzie pan pierwszym królikiem doświadczalnym. Mogę pana zapewnić, że nie było żadnych niepożądanych skutków ubocznych.

— A jakie uzyskano efekty?

— Wolałbym niczego panu nie sugerować. Może pan zacząć sobie

wyobrażać, że rzeczywiście doświadcza pan objawów, o których panu opowiem.

Shea czuje się jak ryba w wodzie z tymi standardowymi lekarskimi formułkami. Ja jednak naciskam.

— A może mi pan przynajmniej powiedzieć, czy ich inteligencja wzrosła?

— Każdy pacjent jest inny. Nie powinien pan opierać swoich oczekiwań na tym, co przydarzyło się innym.

Tłumię w sobie frustrację.

— Cóż, dobrze, panie doktorze.

Skoro Shea nie chce mi nic opowiedzieć o hormonie K, muszę poszukać sam. Z mojego terminala domowego loguję się do datanetu. Wchodzę do publicznej bazy danych FDA i zaczynam przeszukiwanie wniosków o zezwolenie na rozpoczęcie badań nowych leków. Muszą one zostać zaakceptowane, zanim rozpoczną się badania na ludziach.

Wniosek dotyczący hormonu K został złożony przez Sorensen Pharmaceutical, firmę zajmującą się badaniami nad hormonami syntetycznymi, które stymulują regenerację neuronów centralnego układu nerwowego. Przeglądałam wyniki badań na psach, których mózgi pozbawiono tlenu, a potem na pawianach. Wszystkie zwierzęta całkowicie odzyskały zdrowie. Toksyczność była niska, a długofalowe obserwacje nie ujawniły żadnych skutków ubocznych.

Wyniki badań próbek kory mózgowej są zastanawiające. U zwierząt z uszkodzeniami mózgu wykształciły się neurony zastępcze ze znacznie większą liczbą dendrytów, ale u zdrowych zwierząt, którym podawano lek, nic takiego nie nastąpiło. Konkluzja badaczy: hormon K powoduje wyłącznie zastąpienie uszkodzonych neuronów, a nie zdrowych. W przypadku zwierząt z uszkodzonymi mózgami nowe dendryty wyglądały na nieszkodliwe: pozytonowa tomografia emisyjna nie wykazała żadnych zmian w metabolizmie mózgu, a wyniki zwierząt w testach na inteligencję nie zmieniły się.

We wniosku o zgodę na rozpoczęcie prób klinicznych na ludziach badacze Sorensena przedstawili protokoły uwzględniające badanie leku najpierw na zdrowych ochotnikach, a potem na pacjentach z różnymi schorzeniami: ofiarach udarów, cierpiących na chorobę Alzheimera oraz

takich jak ja — osób w stanie głębokiej śpiączki. Nie udaje mi się dotrzeć do raportów postępów z tych badań: pacjenci byli anonimowi, tylko lekarzom wolno było uzyskać dostęp do tych zapisów.

Badania na zwierzętach nie wyjaśniły w żaden sposób wzrostu inteligencji u ludzi. Rozsądnie byłoby założyć, że wzrost inteligencji jest proporcjonalny do liczby neuronów zastąpionych pod wpływem hormonu, a to z kolei zależy od rozmiarów pierwotnych szkód. Oznacza to, że najlepsze efekty dałoby się zaobserwować u pacjentów w głębokiej śpiączce. Oczywiście, żeby potwierdzić tę teorię, musiałbym przyjrzeć się postępom innych pacjentów, a to będzie musiało poczekać.

Następne pytanie: czy nastąpił okres stabilizacji, czy też dodatkowe dawki hormonu spowodują dalszy wzrost? Odpowiedź na to pytanie będę znał szybciej niż lekarze.

Nie jestem ani trochę zdenerwowany; wręcz przeciwnie, jestem raczej rozluźniony. Leżę na brzuchu i oddycham spokojnie. Nie czuję pleców; podano mi znieczulenie miejscowe, a potem wstrzyknięto hormon K do rdzenia kręgowego. Zastrzyk dożylny nie zadziałałby, bo hormon nie przenika przez barierę mózg — krew. To pierwszy zastrzyk, który pamiętam, choć powiedziano mi, że już dwa dostałem: pierwszy jeszcze w śpiączce, drugi — po odzyskaniu przytomności, ale nie byłem w stanie niczego rozpoznać.

Znów koszmary. Nie są gwałtowne, ale to dziwaczne, najbardziej zdumiewające sny, jakie miałem w życiu; często nie ma w nich niczego, co byłbym w stanie rozpoznać. Nierzadko budzę się z krzykiem, rzucając się na łóżku. Ale tym razem wiem, że miną.

W szpitalu jest teraz kilku psychologów, którzy zajmują się badaniami nade mną. Ciekawe, jak mają zamiar zbadać moją inteligencję. Jeden z lekarzy bada moje umiejętności składowe, takie jak nabywanie, zapamiętywanie, realizacja i przekazywanie. Inny bada mnie pod kątem wnioskowania matematycznego i logicznego, komunikacji językowej i wizualizacji przestrzennej.

Kiedy patrzę na tych specjalistów, z których każdy ma swoją ulubioną teorię i próbuje naginać dowody, żeby do niej pasowały, przypominają mi się studia. Są dla mnie jeszcze mniej przekonujący niż wtedy; niczego nie mogliby mnie nauczyć. Żadna z ich kategoryzacji nie

jest skuteczna w analizowaniu moich wyników, gdyż — nie ma sensu udawać, że tak nie jest — jestem równie dobry we wszystkim.

Mógłbym zapisać się na kurs algebry, gramatyki języka obcego, zasad działania silnika — w każdym wypadku wszystko do siebie pasuje, wszystkie elementy pięknie ze sobą współpracują. W każdym razie nie muszę świadomie zapamiętywać zasad ani stosować ich mechanicznie. Po prostu postrzegam działanie systemu jako całości, jako jedności. Oczywiście, jestem świadom wszystkich szczegółów i poszczególnych etapów, ale one wymagają tak niewiele skupienia, że są prawie intuicyjne.

Penetrowanie systemów zabezpieczeń komputerowych jest dość nudne; rozumiem, że może być atrakcyjne dla tych, którzy nie mogą się oprzeć wyzwaniom stawianym swojemu sprytowi, ale nie jest ani trochę estetyczne intelektualnie. Nie różni się od szarpania drzwiami zamkniętego domu, aż znajdzie się źle zamontowany zamek. Przydatna czynność, ale niespecjalnie fascynująca.

Wdarcie się do prywatnej bazy FDA było łatwe. Zabawiałem się jednym ze szpitalnych terminali ściennych, na których pojawiają się informacje dla gości: mapy, książka telefoniczna pracowników. Wyszedłem z tego programu na poziom systemu i napisałem program — przynętę, który udawał ekran startowy służący do logowania. Potem po prostu zostawiłem terminal w spokoju; w końcu jedna z lekarek podeszła, by sprawdzić jakiś swój plik. Pułapka odrzuciła jej hasło, ale uruchomiła prawdziwy ekran startowy. Lekarka próbowała się zalogować jeszcze raz i tym razem jej się dało, ale moja pułapka przechwyciła jej hasło.

Korzystając z konta lekarki, mogłem przeglądać bazę danych pacjentów FDA. Podczas badań fazy pierwszej, na zdrowych ochotnikach, nie odnotowano żadnego działania hormonu. Badania kliniczne fazy drugiej to jednak co innego. Znalazłem cotygodniowe raporty dotyczące osiemdziesięciu dwóch pacjentów, każdego oznaczonego numerem, wszyscy leczeni hormonem K, przeważnie ofiary udaru albo Alzheimerera, kilka przypadków śpiączki. Najnowsze raporty potwierdziły moje przypuszczenia: osoby o najpoważniejszych uszkodzeniach mózgu wykazywały największy wzrost inteligencji.

Pozytonowa tomografia emisyjna wykazała zwiększony metabolizm mózgu.

Dlaczego badania nad zwierzętami nic takiego nie wykazały? Sądzę, że dobrą analogią będzie tu koncepcja masy krytycznej. Liczba synaps u zwierząt kształtuje się poniżej masy krytycznej; ich mózgi mają minimalne zdolności abstrakcyjnego myślenia i dodatkowe synapsy im nie dają. Ludzie przekroczyli masę krytyczną. Ich mózgi mają pełną samoświadomość i — jak wskazują wyniki badań — wykorzystują te nowe synapsy w największym możliwym stopniu.

Najbardziej fascynujące okazały się zapisy na temat nowo rozpoczętych badań naukowych, w których uczestniczyli pacjenci ochotnicy. Dodatkowe zastrzyki hormonu powodują dalszy wzrost inteligencji, ale to zależy z kolei od rozmiarów pierwotnego uszkodzenia. Pacjenci po niewielkich udarach nie osiągnęli poziomu geniuszu. Ci, u których uszkodzenia były większe, posunęli się znacznie dalej.

Spośród pacjentów, którzy przeżyli stan głębokiej śpiączki, jestem jak dotąd jedynym, który otrzymał trzeci zastrzyk. Wytworzyłem większą liczbę synaps niż ktokolwiek z dotąd badanych; nadal pozostaje kwestią otwartą, jaki poziom osiągnie moja inteligencja. Kiedy o tym myślę, czuję, jak mocno bije mi serce.

Mijają tygodnie, a zabawa z lekarzami staje się coraz bardziej uciążliwa. Traktują mnie, jakbym był oświeconym idiotą: pacjentem, który wykazuje oznaki wysokiej inteligencji, ale nadal pozostaje pacjentem. Dla neurologów jestem jedynie źródłem obrazów z tomografu komputerowego, a czasem fiołki z płynem mózgowo — rdzeniowym. Psychologowie mają sposobność, by zdobyć pewną wiedzę o moim sposobie myślenia dzięki rozmowom, ale nie mogą się wyzbyć uprzedzeń — uważają mnie za kogoś, kto nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazł, zwykłego człowieka, który otrzymał dar, jakiego nie umie docenić.

Jest dokładnie odwrotnie — to lekarze nie wiedzą, co się dzieje. Są pewni, że lek nie poprawi niczyjzego funkcjonowania w codziennym życiu, a mój talent uwidacznia się tylko dzięki dodatkowym

instrumentom, jakimi są testy na inteligencję, więc tracą na nie czas. Ale ten instrument pomiarowy jest nie tylko czymś sztucznym, jest także za krótki: moje nieustająco doskonałe wyniki nie dostarczają żadnych informacji, bo nie mają podstaw do porównań z czymś, co leży daleko poza krzywą dzwonową.

Rzecz jasna, wyniki testów to tylko cień rzeczywistych zmian, jakie mają miejsce. Gdyby tylko lekarze byli w stanie poczuć, co się dzieje w mojej głowie: o ile więcej rzeczy niż dawniej rozpoznaję, o ile więcej zastosowań dla informacji znajduję. Moja inteligencja nie jest tylko zjawiskiem laboratoryjnym, jest praktyczna i skuteczna. Mam prawie fotograficzną pamięć i talent do kojarzenia, potrafię ocenić sytuację błyskawicznie i podjąć działania najlepsze dla moich celów; nigdy nie mam problemu z podejmowaniem decyzji. Wyzwanie stanowią tylko problemy teoretyczne.

We wszystkim, czego się uczę, dostrzegam wzorce. Dostrzegam formę, melodię kryjącą się w nutach, we wszystkim: w matematyce i naukach przyrodniczych, w sztuce i muzyce, w psychologii i socjologii. Gdy czytam jakikolwiek tekst, myślę tylko o tym, jak autorzy z ociąganiem przechodzą od jednego punktu do drugiego, i łowią powiązania, których oni nie dostrzegli. Są jak tłum ludzi niezdolnych do czytania nut, gapiących się na zapis sonaty Bacha, próbujących wyjaśnić, jak przejść od jednej nuty do drugiej.

Te wzorce są wspaniałe i zaostrzają apetyty na kolejne. Na odkrycie czekają też inne wzorce, formy całkowicie innej skali. W ich przypadku sam jestem ślepy: wszystkie moje sonaty są w porównaniu jedynie izolowanymi punktami danych. Nie mam pomysłu, jak mogą się kształtować takie formy, ale to przyjdzie z czasem. Chcę je znaleźć i zrozumieć. Pragnę tego najbardziej na świecie.

Lekarz wizytujący nazywa się Clausen i zachowuje się inaczej niż inni lekarze. Patrząc na jego zachowanie, można by sądzić, że przywykł do noszenia maski obojętności przy pacjentach, ale dziś czuje się trochę nieswojo. Próbuje stworzyć przyjazną atmosferę, jest to znacznie mniej skuteczne niż zdawkowe uwagi wygłaszane przez innych lekarzy.

— Ten test działa tak: czyta pan opis jakiejś sytuacji, każdy z nich przedstawia pewien problem. Po każdym opisie mówi pan, jak by

rozwiązał ten problem.

Kiwam głową.

— Już robiłem takie testy.

— Doskonale.

Wstukuje jakieś polecenie i na ekranie przede mną pojawia się tekst. Czytam scenariusz: problem dotyczy planowania i określania priorytetów. Jest realistyczny, co jest niezwykle: przypisanie punktów do takiego testu jest dla większości badaczy zbyt arbitralne. Czekam chwilę z podaniem odpowiedzi, ale Clausen i tak jest zaskoczony moją szybkością.

— Bardzo dobrze. — Naciska jakiś klawisz. — A teraz ten. Pracujemy nad kolejnymi scenariuszami. Kiedy czytam czwarty, Clausen bardzo się pilnuje, żeby demonstrować wyłącznie swój profesjonalny obiektywizm. Moje rozwiązanie tego problemu szczególnie go interesuje, ale nie chce, żebym o tym wiedział. Scenariusz dotyczy polityki gabinetowej i żarliwej walki o awans.

Nagle pojmuję, kim jest Clausen: to psycholog pracujący dla rządu, może dla wojska, pewnie w ramach Biura Badawczo — Rozwojowego CIA. Celem tego testu jest określenie potencjalnych możliwości hormonu K przy produkcji strategów. Dlatego właśnie czuje się przy mnie nieswojo: przyzwyczał się do żołnierzy i pracowników organizacji rządowych, którzy nawykli do wykonywania rozkazów.

Prawdopodobnie CIA chce mnie poddać innym testom: może będą też badać innych pacjentów, w zależności od wyników. Potem wybiorą z szeregów jakichś ochotników, pozbawią ich mózgi tlenu i podadzą im hormon K. Nie chciałbym, oczywiście, stać się pracownikiem CIA, ale wykazałem wystarczające zdolności, żeby wzbudzić ich zainteresowanie. Teraz mogę tylko odpowiadać nieprawidłowo i udawać, że nie jestem aż tak dobry.

Podsuwam dość kiepskie rozwiązanie i Clausen jest rozczarowany. Kontynuujemy jednak test. Podanie odpowiedzi zajmuje mi więcej czasu i staram się, by były gorsze. Pomiedzy niewinne pytania wpleciono te krytyczne: o unikaniu wrogich przejęć firm, o mobilizowaniu ludzi do protestów przeciwko budowie elektrowni węglowych. Na każde z tych pytań udzielam błędnych odpowiedzi.

Clausen odprawia mnie, gdy test się kończy; już próbuje sformułować jakieś zalecenia. Gdybym pokazał moje prawdziwe możliwości, CIA natychmiast by mnie zrekrutowała. Moje nierówne wyniki ostudzą ich zapał, ale zdania nie zmieniają: potencjalne zyski są zbyt duże, żeby zignorowali hormon K.

Moja sytuacja znacząco się zmieniała; jeśli CIA chce mnie nadal badać, moja zgoda będzie czysto opcjonalna. Muszę coś zaplanować.

Minęły cztery dni. Doktor Shea jest zaskoczony.

— Chce pan wycofać się z badania?

— Tak, ze skutkiem natychmiastowym. Wracam do pracy.

— Jeśli chodzi o wynagrodzenie, to na pewno moglibyśmy...

— Nie, nie chodzi o pieniądze. Po prostu mam już dość tych testów.

— Wiem, że testy po jakimś czasie stają się męczące, ale wiele się nauczyliśmy i bardzo cenimy sobie pana udział. To nie jest jedynie...

— Wiem, że cenicie sobie te testy, ale to nie ma wpływu na moją decyzję. Nie chcę dalej brać w tym udziału.

Shea chce coś jeszcze powiedzieć, ale przerywam mu.

— Wiem, że nadal jestem związany umową o zachowaniu poufności. Jeśli chce pan, żebym podpisał jakieś potwierdzenie, proszę mi to przysłać. — Wstaję i ruszam do drzwi. — Do widzenia, doktorze.

Shea dzwoni po dwóch dniach.

— Musi pan przyjść na badanie. Właśnie dostałem informację, że u pacjentów leczonych hormonem K w innym szpitalu wystąpiły niepożądane objawy.

Kłamie, nigdy nie powiedziałby mi tego przez telefon.

— Jakie niepożądane objawy?

— Utrata wzroku. Przerost nerwu wzrokowego, a następnie pogorszenie jego stanu.

Na pewno CIA to wymyśliło, kiedy usłyszeli, że wycofałem się z badania. Kiedy wrócę do szpitala, Shea ogłosi, że jestem chory psychicznie i zamkną mnie w czterech ścianach. A potem przeniosą do jakiejś rządowej placówki badawczej.

Udaję przerażenie.

— Zaraz przyjadę.

— Doskonale. — Shea cieszy się, że jego przedstawienie okazało się przekonujące. — Zbadam pana, jak tylko pan przyjedzie.

Rozłączam się i włączam terminal, by sprawdzić najnowsze informacje w bazie danych FDA. Ani śladu informacji o niepożądanych objawach czy nerwie wzrokowym. Nie odrzucam możliwości zaistnienia takich skutków w przyszłości, ale odkryję je sam.

Trzeba ruszać do Bostonu. Zaczynam się pakować. Po drodze opróżnię konta. Sprzedaż sprzętu ze studia zapewniłaby dalszy strumień gotówki, ale większość elementów jest za duża, by je przewozić; zabiorę tylko najmniejsze. Po paru godzinach pracy telefon znów dzwoni; Shea zastanawia się, gdzie jestem. Tym razem odbiera automatyczna sekretarka.

— Panie Leonie, jest pan tam? Mówi doktor Shea. Czekamy na pana od jakiegoś czasu.

Spróbuję zadzwonić jeszcze raz, a potem wyśle sanitariuszy w białych fartuchach albo policję, żeby mnie zabrali.

O dziewiętnastej trzydzieści Shea jest nadal w szpitalu i czeka na wieści o mnie. Przekręcam kluczyk i wyjeżdżam z parkingu naprzeciwko szpitala. Za chwilę zauważy kopertę, którą wsunąłem pod drzwi jego gabinetu. Kiedy tylko ją otworzy, zobaczy, że to ode mnie.

Witam, doktorze!

Podobno mnie pan szuka.

Chwila zaskoczenia, ale zaledwie sekunda; bardzo szybko odzyska panowanie nad sobą i zawiadomi ochronę budynku, żeby zaczęła mnie szukać i zatrzymywała wszystkie wyjeżdżające samochody. A potem zacznie czytać dalej.

Może pan odwołać tych krzepkich sanitariuszy, którzy czekają pod moimi drzwiami; nie chcę tracić ich cennego czasu. Pewnie zwrócił się pan do policji o wystawienie listu gończego. Pozwoliłem więc sobie wprowadzić do bazy danych pojazdów wirusa, który podmieni odpowiednią informację za każdym razem, gdy zostanie zarejestrowany mój samochód. Oczywiście mógłby pan po prostu podać opis, ale nie wie pan, jak on wygląda, prawda?

Leon

Zadzwoni na policję i przekaże ich programistom, żeby zaczęli

szukać wirusa. Dojdzie do wniosku, że mam kompleks wyższości, sądząc z tonu tego listu i faktu, że podjąłem zbędne ryzyko związane z dostarczeniem listu do szpitala, oraz z ujawnienia faktu istnienia wirusa, który w przeciwnym razie pozostałby niezauważony.

Shea popełni jednak błąd. Wszystko zaplanowałem tak, żeby policja i CIA mnie nie doceniły, więc nie podejmą odpowiednich środków ostrożności. Po usunięciu mojego wirusa z bazy danych pojazdów policyjni programiści dojdą do wniosku, że moje umiejętności są przyzwoite, ale nie oszałamiające, i odtworzą system z kopii zapasowej, żeby przywrócić mój prawdziwy numer rejestracyjny. To aktywuje drugiego wirusa, tym razem o wiele bardziej wyrafinowanego. Zmodyfikuje on zarówno kopię zapasową, jak i aktualnie uruchomioną bazę danych. Policja będzie zadowolona, że mają właściwy numer rejestracyjny i zacznie podążać fałszywym tropem.

Moim następnym celem będzie zdobycie kolejnej ampułki hormonu K. Niestety, to przedsięwzięcie da CIA rzeczywisty obraz moich możliwości. Gdybym nie wysłał tego listu, policja odkryłaby mojego wirusa później, kiedy wiedzieliby już, że powinni zachować wszelkie możliwe środki ostrożności przy jego usuwaniu. W takim wypadku nie zdołałbym usunąć mojego numeru rejestracyjnego z ich bazy danych.

A tymczasem zameldowałem się w hotelu i pracuję na hotelowym terminalu datanetu.

Włamałem się do prywatnej bazy danych FDA. Znalazłem adresy pacjentów leczonych hormonem K i wewnętrzną korespondencję FDA. Wstrzymano badania klinicznie: nie wolno prowadzić żadnych badań, dopóki zakaz nie zostanie uchylony. CIA nalega na schwytanie mnie i ocenienie, jak bardzo jestem niebezpieczny, zanim FDA podejmie dalsze kroki.

FDA zwróciła się do wszystkich szpitali o odesłanie pozostałych ampulek przesyłką kurierską. Muszę zdobyć hormon, zanim to się stanie. Najbliższy pacjent jest w Pittsburgu; rezerwuję bilet na samolot odlatujący jutro wczesnym rankiem. Potem oglądam mapę Pittsburga i zamawiam kuriera z firmy Pennsylvania Courier do firmy inwestycyjnej w centrum. Wreszcie rezerwuję kilka godzin czasu pracy

superkomputera.

Zaparkowałem wynajęty samochód za rogiem drapacza chmur w Pittsburgu. W kieszeni marynarki mam małą płytkę drukowaną z klawiaturą. Rozglądam się po ulicy, zastanawiając się, z której strony nadjedzie kurier; polowa przechodniów ma na twarzy białe maski z filtrami, widoczność jest dobra.

Dostrzegam go dwie przecznice ode mnie: nowy model krajowej furgonetki, z napisem „Pennsylvania Courier” na burcie. To nie kurier z najwyższym poziomem zabezpieczeń; FDA aż tak się mną nie przejmuje. Wsiadam z samochodu i idę w stronę wieżowca. Furgonetka podjeżdża, parkuje, kierowca wysiada. Gdy tylko znika w środku, wchodzę do furgonetki.

Właśnie jechał ze szpitala. Kierowca jest w drodze na czterdzieste piętro, myśląc, że ma tam odebrać paczkę od firmy inwestycyjnej. Nie będzie go co najmniej cztery minuty.

Do podłogi furgonetki przyspawano dużą skrzynię, o ściankach i drzwiach z podwójnej stali; skrzynka otwiera się, gdy kierowca przyłoży dłoń do jej powierzchni. Płytką ma także z boku złącze, używane do jej programowania.

Poprzedniej nocy spenetrowałem roboczą bazę danych Lucas Security Systems, firmy, która sprzedaje Pennsylvania Courier zamki otwierane dotykiem dłoni. Tam znalazłem zaszyfrowany plik zawierający kody do awaryjnego otwierania ich zamków.

Muszę przyznać, że choć penetrowanie zabezpieczeń komputerowych zwykle nie jest zbyt estetyczne, niektóre aspekty, jakie się z tym łączą, są bezpośrednio powiązane z ciekawymi problemami matematycznymi. Na przykład złamanie powszechnie stosowanej metody szyfrowania wymaga paru lat pracy superkomputera. Jednak podczas jednej z moich wycieczek w świat teorii liczb znalazłem uroczą metodę rozkładania bardzo dużych liczb. Dzięki tej technice superkomputer mógł złamać zabezpieczenie w ciągu paru godzin.

Wyciągam płytkę z kieszeni i podłączam ją kablem do złącza. Wstukuję dwunastocyfrową liczbę i drzwi skrzynki stają przede mną otworem.

Kiedy wracam do Bostonu z ampułką, FDA zdołała już

zareagować na kradzież zgodnie z moimi oczekiwaniami: usunęli wszystkie pliki z komputera dostępnego za pośrednictwem datanetu.

Mając ampułkę, jadę do Nowego Jorku.

Dziwne, ale najszybszym sposobem zarabiania pieniędzy jest dla mnie hazard. Granie na wyścigach konnych jest proste. Nie zwracając na siebie uwagi, mogę wygrać umiarkowaną kwotę, a potem utrzymywać się z inwestycji na giełdzie.

Mieszkam w najtańszym apartamencie, jaki tylko byłem w stanie znaleźć w pobliżu Nowego Jorku, byle miał łącze datanetu. Stworzyłem kilka fałszywych tożsamości, pod którymi dokonuję inwestycji, i będę je regularnie zmieniał. Będę spędzał trochę czasu na Wall Street, żeby zidentyfikować okazje krótkoterminowych inwestycji o dużych zyskach, na podstawie języka ciała maklerów. Nie będę tam chodził częściej niż raz w tygodniu; jest tyle ważniejszych spraw, którymi muszę się zająć, form domagających się mojej uwagi.

W trakcie rozwoju mojego umysłu poprawia się także kontrola nad moim ciałem. Błędem byłoby przypuszczać, że lata ewolucji pozbawiły ludzkość umiejętności fizycznych, wymieniając je na inteligencję: posługiwanie się ciałem to czynność umysłowa. Moja siła nie zwiększyła się, ale koordynacja jest znacznie powyżej średniej; nawet stałem się oburęczny. Poza tym dzięki mojej niezwyklej koncentracji, techniki biologicznego sprzężenia zwrotnego stały się niezmiernie skuteczne. Po niewielkim treningu potrafię nawet spowalniać lub przyspieszać tętno i zwiększać lub zmniejszać ciśnienie krwi.

Napisałem program, który wyszukuje zdjęcia mojej twarzy i przypadki użycia mojego nazwiska; potem włączam go do wirusa, który ma przeszukiwać pliki dostępne publicznie w datanecie. CIA zamieści w krajowych serwisach moje zdjęcie, opisując mnie jako niebezpiecznego, zbiegłego pacjenta, może mordercę. Wirus zastąpi moje zdjęcie rozmazanym obrazem. Wprowadzę podobny wirus do sieci FDA i CIA; będzie wyszukiwał kopie moich zdjęć w materiałach przesyłanych miejscowej policji. Te wirusy będą odporne na wszystko, co tylko zdołają wymyślić ich programiści.

Shea i inni lekarze niewątpliwie konsultują się z psychologami CIA i próbują odgadnąć, dokąd też mogłem się udać. Moi rodzice nie żyją,

więc CIA interesuje się moimi przyjaciółmi, wypytyjąc, czy się z nimi kontaktowałem; będą ich śledzić na wypadek, gdybym to zrobił. Pozałowania godne naruszenie mojej prywatności, ale to nic istotnego.

Jest mało prawdopodobne, by CIA poddała swoich agentów terapii hormonem K, aby mnie znaleźć. Jestem doskonałym dowodem na to, że superinteligentną osobę zbyt trudno kontrolować. Będę jednak śledził losy innych pacjentów, w razie gdyby rząd zdecydował się ich zwerbować.

Wzorce współczynników, według których działa społeczeństwo, objawiają mi się bez żadnego wysiłku. Idę ulicą, obserwuję ludzi zajmujących się swoimi sprawami i choć nie pada ani jedno słowo, podtekst rzuca się w oczy. Przechodzi młoda para, a uwielbienie jednego z nich odbija się od tolerancji drugiego. Strach migocze i staje się spokojny, gdy biznesmen, obawiający się swojego szefa, zaczyna mieć wątpliwości co do podjętej dzień wcześniej decyzji. Kobieta ma na sobie płaszcz udawanego wyrafinowania, ale opada z niej, kiedy przechodzi koło prawdziwego towaru.

Jak zwykle, odgrywane przez ludzi role stają się rozpoznawalne dopiero przy większej dojrzałości. Na mnie ci ludzie robią wrażenie dzieci na placu zabaw: jestem rozbawiony ich szczerością, zażenowany, gdy sobie przypominam, że kiedyś robiłem to samo. Ich czynności są dla nich właściwe, ale nie mógłbym znieść wykonywania ich w tej chwili; teraz stałem się mężczyzną i porzuciłem dziecięce zabawki. Będę się stykał ze światem normalnych ludzi wyłącznie w stopniu, jaki jest mi niezbędny do przetrwania.

Z każdym tygodniem nabywam całe lata edukacji, tworząc jeszcze większe wzorce. Postrzegam gobelin ludzkiej wiedzy z perspektywy szerszej niż ktokolwiek dotąd; potrafię wypełniać luki w projektach, gdzie naukowcy nigdy dotąd nie dostrzegli braku, oraz wzbogacać teksturę w miejscach, które uważali za skończone.

Nauki przyrodnicze mają najczystsze wzorce. Fizyka przyznaje się do cudownej unifikacji, nie tylko na poziomie oddziaływań elementarnych, ale jeśli rozpatrzyć jej zakres i implikacje. Takie klasyfikacje takie, jak „optyka” albo „termodynamika”, to tylko kaftany bezpieczeństwa, które uniemożliwiają fizykom dostrzeganie

niezliczonych korelacji. Gdyby nawet zapomnieć o estetyce, zastosowania praktyczne, których nie dostrzeżono, są bardzo liczne; wiele lat temu inżynierowie generowali sztucznie sferycznie symetryczne pola grawitacyjne.

Kiedy to sobie uświadomiłem, doszedłem jednak do wniosku, że nie będę budował takiego urządzenia, ani żadnego innego. Wymagałoby ono wielu zbudowanych na zamówienie komponentów, co byłoby trudne i czasochłonne. Poza tym zbudowanie takiego urządzenia nie dałoby mi żadnej szczególnej satysfakcji, skoro i tak wiem, że będzie ono działać, i nie rzuciłoby żadnego nowego światła na moje formy.

Piszę fragment rozbudowanego poematu, w ramach eksperymentu; kiedy skończę jedną pieśń, będę mógł wybrać metodę integracji wzorców ze wszystkimi innymi rodzajami sztuki. Używam sześciu języków nowoczesnych i czterech starożytnych; obejmują większość znaczących poglądów na ludzką cywilizację. Każdy z nich zawiera różne odcienie znaczeniowe i środki poetyckie; niektóre zestawienia są cudowne. Każdy wiersz poematu zawiera neologizmy, stworzone przez doklejanie do słów końcówek deklinacyjnych z innego języka. Jeśli kiedyś ukończę ten utwór, będzie to „Przebudzenie Finnegana” pomnożone przez „Pieśni” Pounda.

CIA przeszkadza mi w pracy. Zastawiają na mnie pułapkę. Po dwóch miesiącach prób pogodzili się z tym, że nie zdołają mnie namierzyć konwencjonalnymi metodami, więc sięgnęli po bardziej drastyczne środki. W wiadomościach podano, że dziewczyna niepoczytalnego mordercy została oskarżona o pomaganie mu i ułatwianie ucieczki. Nazywa się Connie Perrit i spotykałem się z nią w zeszłym roku. Jeśli dojdzie do rozprawy, prawdopodobnie zostanie skazana na długoletnie więzienie; CIA ma nadzieję, że do tego nie dopuszczę. Spodziewają się, że wykonam jakiś manewr, który pozwoli im mnie ująć.

Jutro przesłuchanie wstępne Connie. Dopilnują, żeby zwolnili ją za kaucją, może będzie potrzebny poręczyciel, żebym tylko się z nią skontaktował. Wtedy wyślą całą armię tajnych agentów, którzy będą krążyć koło jej mieszkania i czekać na mnie.

Zaczynam edycję pierwszego obrazu na ekranie. Te cyfrowe

obrazy są strasznie ubogie w porównaniu z hologramami, ale spełnią swoje zadanie. Fotografie, zrobione wczoraj, pokazują z zewnątrz budynek, w którym mieszka Connie, fasadę od ulicy i pobliskie skrzyżowania. Przesuwam kursor po ekranie, rysując siatkę nitek w ściśle określonych miejscach obrazu. Okno, w którym jest ciemno, ale zasłony są odsłonięte, w budynku po drugiej stronie po przekątnej. Uliczny sprzedawca o dwie przecznice od tyłów budynku.

Zaznaczam w sumie sześć miejsc. Wskazują one, gdzie agenci CIA czekali zeszłej nocy, kiedy Connie wróciła do domu. Agentom pokazano taśmy nakręcone w szpitalu, więc wiedzą, że mają się rozglądać za mężczyznami lub dziwnie wyglądającymi ludźmi: pewnymi siebie, o równym kroku. Ich wiedza obróciła się przeciwko nim; wydłużam krok, kiwam głową, ograniczam ruchy ramion. To oraz nietypowe ubranie wystarczyły: zignorowali mnie, kiedy tamtędy przechodziłem.

Na dole zdjęcia wypisuję częstotliwość radiową, z której korzystają agenci, i równanie opisujące algorytm szyfrowania. Kończę i wysyłam obrazy dyrektorowi CIA. Implikacja jest prosta: mogę zabić jego tajnych agentów w każdej chwili, jeśli się nie wycofają.

Żeby wycofali oskarżenia wobec Connie i żeby zastosować jakieś bardziej skuteczne środki przeciwko ich podstępom, będę musiał się bardziej napracować.

Znów rozpoznawanie wzorca, ale tym razem jakaś prozaiczna odmiana. Tysiące stron raportów, notatek, korespondencji; każda jak kolorowa kropka na pointylistycznym obrazie. Cofam się krok od tej panoramy, szukam jakichś linii i brzegów, które wyłoniłyby się, tworząc wzór. Przeglądane przeze mnie megabajty to zaledwie ułamek pełnego archiwum badanego okresu, ale to chyba wystarczy.

To, co znalazłem, jest dość zwyczajne, o wiele prostsze niż fabuła powieści szpiegowskiej. Dyrektor CIA wiedział o grupie terrorystów, która chciała podłożyć bombę w waszyngtońskim metrze. Nie zapobiegł zamachom, żeby uzyskać zgodę Kongresu na użycie nadzwyczajnych środków przeciwko tej grupie. Pośród ofiar był syn kongresmana, więc dyrektor CIA otrzymał wolną rękę dla działań przeciwko terrorystom. Jego plany nie zostały ujęte w archiwum CIA, ale sugestie były dość wyraźne. Wzmianki we wspomnianych notatkach były nieco

zawołowane i tonęły w morzu niewinnych dokumentów; gdyby komisja dochodzeniowa czytała je wszystkie, zostałyby zagłuszone przez szum. Ale odpowiedni wyciąg z notatek na pewno przekonałby prasę.

Wysłałam notatki dyrektorowi CIA z listem: *Dajcie spokój mnie, to ja dam spokój wam*. Zrozumie, że nie ma wyboru.

Ten mały epizod utwierdził mnie w przekonaniu, jak działa ten świat: tajne spiski można wykryć wszędzie, jeśli tylko śledzi się bieżące wydarzenia, ale nikogo to nie obchodzi. Wracam do moich badań.

Zyskuję coraz większą kontrolę nad moim ciałem. Teraz mógłbym chodzić po rozżarzonych węglach albo wbijać sobie igły w ramię, gdybym tylko miał ochotę. Moje zainteresowanie wschodnią medytacją ogranicza się jednak do stosowania kontroli fizycznej; żaden trans medytacyjny nie jest ani trochę tak cudowny jak stan umysłu, w którym składam formy z danych podstawowych.

Projektuję nowy język. Dotarłem już do granic konwencjonalnych języków i są przeszkodą w moich postępach. Nie mają możliwości wyrażania koncepcji, jakie są mi potrzebne, a nawet w obrębie samych siebie są nieprecyzyjne i nieporęczne. Trudno z nich korzystać, mówiąc, a co dopiero myśląc.

Istniejąca teoria lingwistyczna jest bezużyteczna; dokonałem ponownej oceny logiki, aby określić odpowiednie komponenty podstawowe mojego języka. Ten język będzie zawierał dialekt umożliwiający wyrażenie całej matematyki, więc każde zapisane równanie będzie miało swój lingwistyczny odpowiednik. Matematyka będzie jednak stanowiła tylko drobną część tego języka, nie jego całość; w przeciwieństwie do Leibniza dostrzegam ograniczenia logiki symbolicznej. Inne dialekty, jakie zaplanowałem, będą mogły współwyrażać moje koncepcje estetyczne i poznawcze. To czasochłonne przedsięwzięcie, ale efekt końcowy będzie nieocenioną pomocą w objaśnieniu moich myśli. Kiedy już przetłumaczę na ten język wszystko, co wiem, poszukiwanie przeze mnie wzorce staną się oczywiste.

Przerывam pracę. Zanim stworzę notację dla estetyki, muszę stworzyć słownictwo dotyczące wszystkich emocji, jakie potrafię sobie wyobrazić.

Jestem świadom wielu emocji, które wykraczają poza ludzkie;

widzę, jak ograniczone jest ich pasmo afektywne. Nie twierdzę, że miłość i wściekłość, jakich kiedyś doświadczałem, są nieistotne, ale postrzegam je już inaczej niż dawniej: jak dziecięce smutki i fascynacje, które były zaledwie forpoczta tego, czego obecnie doświadczam. Moje pasje są teraz wielowymiarowe; wraz z rozwojem samoświadomości, złożoność moich emocji wzrosła wykładniczo. Muszę być w stanie je opisać w pełni, skoro w przyszłości mam podejmować zadania kompozytorskie.

Rzecz jasna, w tej chwili doświadczam o wiele mniej emocji, niż bym mógł; mój rozwój jest ograniczony inteligencją tych, którzy mnie otaczają, i niewielkimi z nimi interakcjami, na jakie sobie pozwalam. Przypominam sobie konfucjańską koncepcję *ren*: jej kiepskim przybliżeniem jest dobrotliwość, cecha, która jest zasadniczo ludzka, i którą można kultywować wyłącznie w kontaktach z innymi; osoba samotna nie może jej wykazać. To tylko jedna z wielu takich cech. I oto jestem, otoczony ludźmi, wszędzie ludzie, a zarazem nikogo, z kim można się kontaktować. Jestem jedynie ułamkiem tego, czym mógłby się stać spełniony osobnik o mojej inteligencji.

Nie pozwalam sobie na uzalanie się nad sobą czy zarozumiałość. Potrafię ocenić mój stan psychiczny z całkowitą obiektywnością i spójnością. Doskonale wiem, jakimi zasobami emocjonalnymi dysponuję, a jakich mi brak, i w jakim stopniu cenię każdy z nich. Nie żałuję niczego.

Mój nowy język przybiera kształt. Jest zorientowany na formę, oddaje ją doskonale; jest świetny do wyrażania myśli, ale całkowicie niepraktyczny, jeśli chodzi o pisanie czy mowę. Nie da się go zapisać w formie liniowo uszeregowanych słów, ale jest jak gigantyczny ideogram; musi zostać wchłonięty w całości. Ideogram taki mieści w sobie, w sposób bardziej celowy niż obraz, znaczenie, którego nie mogłoby opisać tysiąc słów. Zawilość każdego ideogramu rekompensowałaby ilość informacji, jaką zawiera; bawi mnie pomysł gigantycznego ideogramu, który opisywałby cały wszechświat.

Strona wydruku jest zbyt nieporadna i statyczna dla tego języka, jedynymi nośnikami, które mogłyby go obsłużyć, są hologram lub film, wyświetlające ewoluujące w czasie obrazy graficzne. Mówienie tym

językiem nie wchodzi w grę, przy ograniczonym paśmie ludzkich strun głosowych.

Mój umysł wrze od nieprzyzwoitych wyrazów ze starożytnych i nowoczesnych języków; szkalują mnie swoim prymitywizmem, przypominając mi, że mój idealny język będzie zawierał określenia wystarczająco jadowite, by wyrazić moją obecną frustrację.

Nie mogę skończyć mojego sztucznego języka; to zbyt duże przedsięwzięcie, jeśli wziąć pod uwagę narzędzia, jakimi dysponuję. Tygodnie wzmożonego wysiłku nie zaowocowały niczym użytecznym. Próbowałem w minimalnym stopniu korzystać z pomocy zewnętrznej i zastosowałem język szczątkowy, który już zdefiniowałem, do jego przepisania i skutecznego tworzenia pełniejszych wersji. Niestety, nowa wersja tylko podkreśla jego niedoskonałości, zmuszając mnie do rozbudowy mojego ostatecznego celu, skazując go na status świętego Graala u kresu rozbieżnego nieskończonego regresu. Nie różni się to wcale *inplus* od tworzenia go *ex nihilo*.

Co z moją czwartą ampułką? Nie mogę przestać o niej myśleć: każde niepowodzenie, jakiego doświadczam w moim obecnym stanie stabilizacji, przypomina mi o tym, że mógłbym wznieść się na wyżyny.

Oczywiście, ryzyko jest znaczne. Czwarty zastrzyk może okazać się tym, który spowoduje uszkodzenie mózgu lub szaleństwo. Diabelska pokusa, być może, ale i tak pokusa. Nie znajduję żadnego powodu, żeby się jej oprzeć.

Dysponowałbym pewnym marginesem bezpieczeństwa, gdybym zrobił ten zastrzyk w szpitalu albo gdyby ktoś w tym czasie był obecny w moim mieszkaniu. Sądzę jednak, że zastrzyk zakończy się albo pełnym powodzeniem, albo stratami, których nie da się naprawić, więc rezygnuję z tych środków ostrożności.

Zamawiam sprzęt z firmy dostarczającej wyposażenie medyczne i montuję aparat, za pomocą którego będę mógł zrobić sobie sam zastrzyk w kręgosłup. Może minąć wiele dni, zanim efekty staną się całkowicie widoczne, więc zamykam się w sypialni. Nie da się wykluczyć, że reakcja będzie gwałtowna. Usuwam z pokoju wszystkie delikatne przedmioty i mocuję do łóżka luźne pasy. Jeśli sąsiedzi coś usłyszą, zapewne zinterpretują to jako wycie narkomana.

Robię zastrzyk i czekam.

Mój mózg płonie, rdzeń kręgowy przepala mi plecy, czuję, jakbym był bliski apopleksji. Jestem ślepy, głuchy, pozbawiony czucia.

Doznaję halucynacji. Postrzegane z taką ponadnaturalną wyrazistością i kontrastem, że muszą być iluzją, niewypowiedziane koszmary tłoczą się wokół mnie, sceny związane nie z fizycznym gwałtem, ale psychicznym okaleczeniem.

Agonia mentalna i orgazm. Zgroza i histeryczny śmiech.

Postrzeganie wraca na krótką chwilę. Leżę na podłodze, z dłońmi we włosach, dookoła mnie powrywane kosmyki. Ubranie mam mokre od potu. Pogryzłem sobie język i boli mnie gardło. Zapewne od krzyku. Pewnie wiłem się w konwulsjach, bo jestem cały posiniaczony, mam też ranę z tyłu głowy, ale nie czuję bólu. Czy to trwa chwilę, czy wiele godzin?

Mgła zasłania mi oczy i powraca krzyk.

Masa krytyczna.

Objawienie.

Pojąłem mechanizm mojego własnego myślenia. Teraz dokładnie wiem, jak wiem, a mój proces zrozumienia jest rekursywny. Pojmuję nieskończony regres samowiedzy, nie podążając nieskończenie krok za krokiem, ale osiągając świadomość granicy. Natura rekursywnego poznania przestała być dla mnie tajemnicą. Nowe znaczenie określenia „samoświadomość”.

Fiat logos. Poznałem mój umysł za pomocą języka o wiele bardziej ekspresyjnego niż jakikolwiek język, jaki sobie uprzednio wyobrażałem. Jak Bóg tworzący porządek z chaosu jednym słowem, tak ja stwarzam siebie na nowo tym językiem. Jest metasamooopisowy i samoedytujący, może nie tylko opisywać myśli, ale także opisywać i modyfikować własne operacje, na wszystkich poziomach. Co oddałby Godel, żeby tylko móc zobaczyć ten język, w którym modyfikacja zdania powoduje dostosowanie całej gramatyki.

Dzięki temu językowi widzę, jak działa mój umysł. Nie udaję, że dostrzegam błyski między neuronami, pozostawiam takie stwierdzenia Johnowi Lilly'emu, który w latach 60. eksperymentował z LSD. Ale

mogę dostrzegać formy, widzę, jak struktury mentalne tworzą się, współdziałają ze sobą. Widzę, jak myślę, i widzę równania opisujące moje myślenie, i widzę siebie, rozumiejącego te równania, i widzę, jak równania opisują to, że są rozumiane.

Wiem, jak tworzę moje myśli.

Te myśli.

Na początku byłem oszołomiony efektem, sparaliżowany świadomością samego siebie. Minęły godziny, zanim opanowałem strumień samoopisujących informacji. Nie odfiltrowałem go jednak ani nie odsunąłem z pierwszego planu. Został zintegrowany z moimi procesami myślowymi i korzystam z niego podczas wykonywania codziennych czynności. Minie jeszcze nieco czasu, zanim będę w stanie w pełni go wykorzystać, bez wysiłku i skutecznie, jak tancerka korzysta ze swego zmysłu kinestetycznego.

Dostrzegam teraz wyraźnie wszystko, co kiedyś wiedziałem ó umyśle teoretycznie. Podteksty związane z seksem, agresją, instynktem samozachowawczym, przetłumaczone przez warunkowanie mojego dzieciństwa, ścierają się z racjonalnym myśleniem, a czasem podstępnie przybierają jego formę. Rozpoznaję przyczyny wszystkich moich nastrojów, motywów leżących u podstaw każdej mojej decyzji.

Co mogę zrobić z tą wiedzą? Większość tego, co jest konwencjonalnie określane mianem „osobowości”, zależy teraz ode mnie; definiują mnie wyższe poziomy mojej psyche. Mogę wywoływać w moim umyśle różnorodne stany mentalne lub emocjonalne, pozostając przy tym świadom tego stanu i mogąc powrócić do stanu pierwotnego. Skoro pojmuję mechanizmy, które działały, gdy zajmowałem się dwoma zadaniami naraz, mogę podzielić moją świadomość, równocześnie koncentrując się w pełni i stosując pełne rozpoznanie formy w przypadku dwóch osobnych problemów, metaświadom ich wszystkich. Czy jest coś, czego nie potrafię zrobić?

Poznałem moje ciało na nowo, jakby na kikucie amputowanej ręki wyrosła nagle dłoń zegarmistrza. Kontrolowanie moich mięśni podległych woli jest trywialne; moja koordynacja jest nieludzka. Umiejętności, których nabycie zwykle wymaga tysięcy powtórzeń, opanowuję, wykonując te czynności dwa albo trzy razy. Znalazłem film,

na którym można zobaczyć dłonie pianisty podczas koncertu, i zaraz potem potrafiłem odtworzyć ruchy jego palców, nie mając nawet przez sobą klawiatury. Wybiórcze kurczenie i rozkurczanie mięśni poprawia moją siłę i elastyczność. Czas reakcji mięśni wynosi trzydzieści pięć milisekund przy reakcjach świadomych bądź odruchowych. Uczenie się akrobacji lub sztuk walki nie wymagałoby poważnego treningu.

Mam somatyczną świadomość funkcjonowania moich nerek, wchłaniania składników pokarmowych, czynności wydzielniczych gruczołów. Jestem nawet świadom roli, jaką odgrywają w moich myślach neuroprzekaźniki. Ten stan świadomości wiąże się z aktywnością mentalną bardziej intensywną niż sytuacja stresowa z wyrzutem adrenaliny; część mego umysłu znajduje się w stanie, który zabiłby normalny umysł i ciało. Dostosowując programowanie mojego umysłu, doświadczam przyływów i odpływów wszystkich substancji, które wyzwalają moje reakcje emocjonalne, wyostają moją uwagę czy subtelnie kształtują moje opinie.

A potem rozglądam się.

Otacza mnie oślepiająca, radosna, przerażająca symetria. Wzorce są teraz tak bogate, że cały wszechświat jest bliski przekształcenia się w obraz. Zbliżam się do ostatecznej formy: takiej, w kontekście której cała wiedza pasuje do siebie i doznaje oświecenia; mandali, muzyki sfer, kosmosu.

Poszukuję oświecenia, nie duchowego, lecz racjonalnego. Muszę sięgnąć dalej, by do niego dotrzeć, ale tym razem cel nie będzie nieustannie wyślizgiwał mi się z rąk. Dzięki językowi mego umysłu dystans między mną a oświeceniem można dokładnie obliczyć. Dostrzegłem cel mojej podróży.

Teraz muszę zaplanować następne działania. Po pierwsze, muszę zacząć od prostych ulepszeń związanych z przetrwaniem, na przykład od treningu sztuk walki. Będę oglądał jakieś pojedynki, żeby analizować możliwe formy ataku, choć zamierzam podejmować jedynie działania obronne. Potrafię poruszać się tak szybko, że mogę uniknąć kontaktu nawet przy zastosowaniu najszybszych metod ataku. Dzięki temu będę mógł się bronić i rozbrajać ewentualnych bandytów ulicznych, gdybym został zaatakowany. A tymczasem muszę zacząć spożywać znaczne

ilości jedzenia, żeby zaspokoić potrzeby żywieniowe mojego mózgu przy zwiększonym metabolizmie. Muszę też ogolić głowę, żeby zapewnić lepsze chłodzenie, skoro krew w naczyniach krwionośnych mojej głowy krąży szybciej.

I jest jeszcze cel główny: rozszyfrowanie tych wzorców. Jediną możliwością dalszego usprawnienia mojego mózgu wydają się sztuczne ulepszenia. Potrzebne mi bezpośrednie łącze komputer — mózg, z możliwością skopiowania umysłu do komputera, ale muszę najpierw stworzyć technologię, która to umożliwi. Coś, co opiera się na obliczeniach cyfrowych, nie będzie odpowiednie; to, co chodzi mi po głowie, wymaga struktur w nanoskali, opartych na sieciach neuronowych.

Kiedy już mam określone podstawowe idee, uruchamiam mój mózg w trybie wielozadaniowym: jedna część mojego umysłu tworzy aparat matematyczny, który opisze zachowanie się sieci, druga pracuje nad procesem replikacji formowania się ścieżek neuronowych w skali molekularnej w samonaprawiającym się bioceramicznym medium, trzecia opracowuje taktykę skłonienia jakiejś prywatnej placówki naukowej — badawczej, by wyprodukowała to, co jest mi potrzebne. Nie mogę tracić czasu: przełom teoretyczny i technologiczny pojawią się jednocześnie, a moja nowa branża ruszy z kopyta.

Wyszedłem na zewnątrz, żeby dokonać ponownych obserwacji społeczeństwa. Emocjonalny język znaków, który kiedyś znałem, został zastąpiony macierzą powiązanych równań. Wokół tych ludzi, przedmiotów, instytucji i idei wiją się i rozciągają linie sił. Jednostki w tragicznym stopniu przypominają marionetki, poruszane niezależnie, ale spętane siecią, której nie dostrzegają; mogłyby stawić opór, gdyby chciały, ale tak niewiele z nich podejmuje taką decyzję.

Siedzę teraz w barze. Trzy stołki dalej siedzi mężczyzna, najwyraźniej czujący się w tym lokalu jak u siebie w domu, który rozgląda się dookoła i zauważa parę siedzącą w ciemnym kącie. Uśmiecha się, przywołuje gestem barmana, pochyla się i poufałym tonem mówi coś o tych ludziach. Nie muszę słuchać tego, co mówi.

Kłamie. Tak łatwo, łże jak z nut. To nałogowy kłamca, który kłamie nie dlatego, że pragnie bardziej ekscytującego życia, ale po to by

napawać się swoją umiejętnością oszukiwania innych. Wie, że barmanowi jest to obojętne, że ledwo wykazuje zainteresowanie — tak jest w istocie — ale wie również, że barman połknął haczyk — i to także jest prawda.

Moja wrażliwość na mowę ciała innych ludzi wzrosła do tego stopnia, że mogę dokonywać obserwacji, nie patrząc ani nie słuchając: wystarczy, że poczuję zapach feromonów wydzielanych przez skórę. W pewnym stopniu potrafię nawet wyczuwać jakieś napięcie, może to pole elektryczne. Te kanały nie przekazują precyzyjnych informacji, ale wrażenia, jakie odbieram, stanowią dość solidną podstawę do ekstrapolacji; nakładają teksturę na siatkę.

Zwykli ludzie mogą odbierać takie emanacje podświadomie. Będę pracował nad tym, żeby się do nich dostroić, wtedy może spróbuje świadomie kontrolować moje zachowanie.

Rozwinąłem umiejętności przypominające metody kontroli umysłu opisywane przez prasę brukową. Moja kontrola nad emanacjami somatycznymi pozwala mi teraz prowokować dokładnie przewidziane reakcje innych. Dzięki feromonom i napięciu mięśniowemu potrafię zmusić inną osobę, by zareagowała złością, strachem, współczuciem czy podnieceniem seksualnym. To na pewno wystarczy, żeby zyskać przyjaciół i wpływać na ludzi.

Potrafi nawet wywoływać u innych samopodtrzymującą reakcję. Kojarząc odpowiednią reakcję z uczuciem zadowolenia, potrafię stworzyć pozytywną pętlę wzmacniającą, jak w przypadku biologicznego sprzężenia zwrotnego, a ciało danej osoby samo wzmocni reakcję. Wykorzystam to w kontaktach z prezesami firm, które są mi potrzebne przy tworzeniu moich technologii.

Nie umiem już śnić w normalnym znaczeniu tego słowa. Nie występuje już u mnie nic, co dałoby się zaklasyfikować jako podświadome, i potrafię kontrolować wszystkie funkcje regeneracyjne mózgu, zatem normalne zadania wykonywane w fazie REM nie są mi już potrzebne. Są momenty, kiedy na sekundę tracę kontrolę nad umysłem, ale trudno to nazwać snem. Raczej metahalucynacją. Prawdziwa tortura. Bywają chwile, gdy czuję się, jakbym był odłączony: rozumiem, czemu mój umysł generuje dziwne wizje, ale jestem jak

sparaliżowany i niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Z trudem mogę zidentyfikować to, co widzę, obrazy dziwacznych pozaskończonych autoreferencji i modyfikacje, które nawet ja uznaję za nonsensowne.

Mój umysł oszacowuje zasoby mózgu. Struktura biologiczna o takich rozmiarach i złożoności z trudem może zawrzeć samoświadomą psychikę. Samoświadoma psychika jest wszakże w pewnym stopniu samoregulująca. Pozwalam mojemu umysłowi korzystać w pełni z tego, co jest dostępne, i powstrzymywać się od przekraczania tych granic. To jednak trudne. Jestem zwinięty w bambusowej klatce, w której nie mogę ani siedzieć, ani stać. Gdy próbuję się odprężyć albo wyciągnąć na całą długość, przychodzi potworny ból i szaleństwo.

Doznaję halucynacji. Postrzegam własny umysł, jak wyobraża sobie wszelkie możliwe konfiguracje, jakie może przyjąć, a następnie rozpada się. Jestem świadkiem moich własnych złudzeń, wizji, w których obserwuję kształty, jakie może przyjąć mój umysł, kiedy pojmę ostateczne formy.

Czy kiedyś osiągnę ostateczną samoświadomość? Czy odkryję komponenty, które składają się na moje własne formy mentalne? Czy uzyskam dostęp do pamięci rasy? Czy zdobędę wrodzoną wiedzę dotyczącą moralności? Mógłbym określić, czy umysł może spontanicznie powstać z materii, i zrozumieć, co łączy świadomość z resztą kosmosu. Mógłbym zrozumieć, jak połączyć podmiot i dopełnienie: doświadczenie zerowe.

Czy może odkryję, że formy umysłu nie da się wygenerować i niezbędny jest jakiś rodzaj interwencji? Może uda mi się dostrzec duszę, składnik świadomości, który wznosi się ponad fizyczność? Dowód na istnienie Boga? Poznałbym znaczenie, prawdziwą naturę istnienia.

Doznałbym oświecenia. To musi być radosne doświadczenie...

Mój umysł znów odzyskuje równowagę. Muszę lepiej panować nad sobą. Kiedy sprawuję kontrolę na poziomie metaprogramowania, mój umysł posiada doskonałe funkcje samonaprawcze. Potrafię odbudować siebie ze stanów przypominających chorobę psychiczną lub amnezję. Kiedy jednak oddalę się zanadto od poziomu metaprogramowania, mój umysł może stać się niestabilną strukturą, a wtedy pograżyłbym się w stanie wykraczającym poza zwykłe szaleństwo. Zaprogramuję mój

umysł tak, by nie mógł przemieszczać się poza własny zakres przeprogramowania.

Halucynacje umacniają moje postanowienie stworzenia sztucznego mózgu. Tylko taka struktura będzie w stanie rzeczywiście postrzegać te formy, a nie tylko o nich marzyć. Aby osiągnąć oświecenie, muszę przekroczyć jeszcze jedną masę krytyczną, wychodząc poza neuronowe analogi.

Otwieram oczy: minęły dwie godziny, dwadzieścia osiem minut i dziesięć sekund, odkąd zamknąłem oczy, by odpocząć, choć nie spałem. Wstaję z łóżka.

Wywołuję listę moich akcji na terminalu. Patrzę na ekran i zamieram.

Ekran krzyczy do mnie. Mówi mi, że gdzieś jest inna osoba o ulepszonym umyśle.

Pięć z moich inwestycji wykazało straty, niezbyt wysokie, ale na tyle znaczne, że powinienem był je wykryć, obserwując mowę ciała maklerów. Kiedy przeczytałem nazwy tych korporacji w kolejności alfabetycznej, dostrzegłem, że pierwsze litery to: C, E, G, O i R. Przetastawilem je i otrzymałem: GRECO.

Ktoś chce przesłać mi wiadomość.

Gdzieś tam jest ktoś taki jak ja. Prawdopodobnie był jeszcze jeden pacjent w śpiączce, który otrzymał trzecią dawkę hormonu K. Usunął swoją kartotekę z bazy danych FDA, zanim ja miałem do niej dostęp, i podłożył fałszywe dane dostępne dla kont lekarzy, więc niczego nie zauważyli. On też ukradł kolejną ampułkę hormonu K, czym przyczynił się do zamknięcia bazy danych przez FDA, i osiągnął mój poziom, nie zdradzając władzom swojego miejsca pobytu.

Pewnie rozpoznał mnie, obserwując wzorce inwestowania moich fałszywych tożsamości; musiał być nadkrytyczny, żeby mu się to udało. Jako ulepszona jednostka, mógł wprowadzić nagłe i gwałtowne zmiany, żeby spowodować spadki moich akcji i przyciągnąć moją uwagę.

Sprawdziłem notowania giełdowe w różnych serwisach informacyjnych; zapisy na mojej liście są poprawne, więc mój odpowiednik nie dokonał prostej edycji wartości na moim rachunku. Zmienił wzorce sprzedaży akcji pięciu niepowiązanych ze sobą

korporacji tylko po to, żeby przekazać mi wiadomość. Niezła demonstracja. To wcale nie było proste.

Niewykluczone, że jego leczenie zaczęło się wcześniej niż moje, co oznacza, że mnie wyprzedził, ale w jakim stopniu? Zaczynam ekstrapolować jego przypuszczalne postępy i uwzględnię wszelkie nowe informacje, jakie uda mi się zdobyć.

Podstawowe pytanie: czy to przyjaciel, czy wróg? Czy była to jedynie dobrotliwa demonstracja jego siły, czy też sugestia, że chce mnie doprowadzić do ruiny? Kwoty, jakie straciłem, nie były poważne: czy to oznacza troskę o mnie, czy też o korporację, których kursami akcji tak manipulował? Mając na uwadze wszelkie możliwe sposoby, jakimi mógł przyciągnąć moją uwagę, muszę założyć, że w pewnym stopniu jest mi nieprzychylny.

W takim przypadku jestem zagrożony, narażony na różne akcje, od kolejnego dowcipu do morderczego ataku. Zastosuję podstawowe środki ostrożności i bezzwłocznie wyjadę. To oczywiste, że gdyby naprawdę był moim wrogiem, już bym nie żył. Wysłał mi wiadomość, a to oznacza, że chce trochę ze mną pograć. Muszę wyrównać szanse: ukryć miejsce pobytu, ustalić jego tożsamość i podjąć próbę kontaktu.

Wybieram miasto na chybił trafił: Memphis. Wyłączam terminal, ubieram się, pakuję torbę podróżną i zabieram całą podręczną gotówkę, jaką mam w mieszkaniu.

W hotelu w Memphis zaczynam pracować na znajdującym się w apartamencie terminalu datanetu. Przede wszystkim ustawiam przekierowanie, by wszystko, co robię, przechodziło przez kilka fałszywych terminali; przy zwykłym przeszukiwaniu, do jakiego ma dostęp policja, wyglądałoby to na zapytania wysyłane z różnych terminali w stanie Utah. System wojskowy mógłby wysledzić terminal w Houston i dalej, aż do Memphis, trafiając do mnie. Ustawiam alarm na terminalu w Houston, który powiadomi mnie, jeśli ktoś wysledzi mnie aż tam.

Ile detali na temat swojej tożsamości ukrył mój bliźniak? Nie mając dostępu do archiwum FDA, zaczynam przeszukiwać dane firm kurierskich w różnych miastach, szukając przesylek z FDA do szpitali w okresie, gdy prowadzono badania nad hormonem K. Potem szukam w

szpitalnych archiwach przypadków uszkodzenia mózgu. To niezły punkt wyjścia.

Jeśli nawet coś z tych informacji zostało, nie mają wielkiej wartości. Najważniejsze będą zachowania inwestycyjne, to najlepszy sposób na wykrycie ulepszonego umysłu. Ale to wymaga czasu.

Nazywa się Reynolds. Pochodzi z Phoenix, a jego wczesne postępy były bardzo zbliżone do moich. Otrzymał trzecią dawkę sześć miesięcy i cztery dni temu, co daje mu przewagę piętnastu dni. Nie usunął żadnych podstawowych danych. Czeka, aż go znajdę. Podejrzewam, że jest w stanie nadkrytycznym od dwunastu dni, dwa razy dłużej niż ja.

Teraz dostrzegam jego rękę w zachowaniach inwestycyjnych, ale zadanie namierzenia go to praca dla Herkulesa. Badam rejestry wykorzystania w datanecie, by zidentyfikować konta, które spenetrował. Otwieram dwanaście linii na moim terminalu. Używam dwóch klawiatur dla osób jednoręcznych i laryngofonu, więc pracuję nad trzema zapytaniami równocześnie. Prawie całe moje ciało zostało unieruchomione, by zapobiegać zmęczeniu, zapewniam właściwe krążenie krwi, regularne skurcze i rozkurczę mięśni, usuwanie kwasu mlekowego. Podczas absorbowania danych patrzę, badając melodię kryjącą się za nutami, szukając epicentrum drżenia, które przebiegło przez sieć.

Mijają godziny. Obaj przeglądamy gigabajty danych, okrążając się nawzajem.

Jest w Filadelfii. Czeka na mojej przybycie.

Jadę schlapaną błotem taksówką do mieszkania Reynolds'a.

Oceniając na podstawie baz danych i agencji, w których Reynolds szperał w ciągu ostatnich kilku miesięcy, jego prywatne badania obejmują modyfikowane genetycznie mikroorganizmy do likwidacji toksycznych odpadów, bezwładnościowo utrzymywaną syntezę jądrową i podprogowe rozpowszechnianie informacji w społeczeństwach o różnych strukturach. On chce zbawić świat, ochronić go przed samym sobą. A zatem jego opinia na mój temat będzie niekorzystna.

Nie wykazywałem żadnego zainteresowania sprawami normalnego świata, nie prowadziłem żadnych badań, które miałyby pomóc normalnym. Żaden z nas nie będzie w stanie przekonać drugiego do

swoich racji. Postrzegam świat jako coś przypadkowego w stosunku do moich celów, a on nie może pozwolić, by ktoś obdarzony superinteligencją działał wyłącznie we własnym interesie. Moje plany stworzenia łączy umysł — komputer miałyby bardzo poważne konsekwencje dla świata, wywołując reakcje rządów lub społeczeństw, które mogłyby zaszkodzić jego planom. Ponieważ nie jestem częścią rozwiązania, stanowią część problemu.

Gdybyśmy byli członkami społeczeństwa ludzi o ulepszonych umysłach, natura międzyludzkich interakcji miałaby zupełnie inną formę. W tym społeczeństwie jednak musimy stać się siłami niszczącymi, w ocenie których działaniom normalnych brak konsekwencji. Gdybyśmy nawet byli dwanaście tysięcy mil od siebie, nie moglibyśmy się nawzajem ignorować. Koniecznie musimy coś postanowić.

Obaj zrezygnowaliśmy już z paru rund tej rozgrywki. Istnieją tysiące sposobów, na które mogliśmy próbować się pozabijać: od pomalowania klamki DMSO z neurotoksyną do zorganizowania błyskawicznego, precyzyjnego ataku z wykorzystaniem satelity wojskowego. Obaj moglibyśmy przeszukać teren fizyczny i datanet pod kątem miriad dostępnych możliwości i ustawić jeszcze więcej pułapek dla drugiego przeszukującego. Ale żaden z nas tego nie zrobił, żaden z nas nie odczuł potrzeby sprawdzania takich rzeczy. Prosta nieskończona regresja wielostopniowego zgadywania i podwójnego myślenia spowodowała, że odrzuciliśmy te pomysły. Decydujące znaczenie będą miały przygotowania, których nie byliśmy w stanie przewidzieć.

Taksówka zatrzymuje się. Płacę kierowcy i wchodzę do budynku. Elektryczny zamek w drzwiach brzęczy i drzwi stają otworem. Zdejmuję płaszcz i wspinam się po czterech zbiegach schodów.

Drzwi do mieszkania Reynoldsa są otwarte. Idę przez przedpokój do salonu, słyszę hiperprzyspieszoną polifoniczną muzykę, dobiega z cyfrowego syntezatora. To zdecydowanie jego własne dzieło, dźwięki są modulowane w sposób niewykrywalny dla zwykłego ucha, a nawet ja nie potrafię przypisać im żadnego wzorca. To jakiś eksperyment w dziedzinie muzyki o dużej gęstości informacji.

W pomieszczeniu stoi duży bujany fotel, odwrócony oparciem w

moją stronę. Reynoldsa nie widać; ogranicza swoje emanacje somatyczne do poziomu zbliżonego do śpiączki. Implikuję moją obecność i rozpoznanie jego tożsamości.

Reynolds.

Potwierdzenie. *Greco.*

Fotel obraca się, powoli, jednostajnie. Uśmiecha się i wyłącza stojący obok syntezator. *Zadowolenie. Miło pana poznać.*

Aby się porozumiewać, wymieniamy elementy języka somatycznego normalnych: stenograficzna wersja miejscowego dialektu. Każda fraza trwa dziesiątą część sekundy. Przekazuję sugestię żalu. *Co za wstyd, że musimy być wrogami.*

Przepełniona smutkiem zgoda, po czym przypuszczenie. *W istocie. Proszę sobie wyobrazić, jak moglibyśmy zmienić świat, działając wspólnie. Dwa ulepszone umysły, co za niepowtarzalna okazja.*

To prawda, działając wspólnie, moglibyśmy osiągnąć rzeczy znacznie przekraczające to, co możemy zdziałać osobno. Wszelkie interakcje były nieopisanie owocne: jakież to satysfakcjonujące, po prostu móc podyskutować z kimś, kto jest w stanie dotrzymać mi kroku, kto może podsunąć nowy pomysł, kto jest w stanie usłyszeć te same melodie co ja. On pragnie tego samego co ja. Myśl, że jeden z nas może nie wyjść z tego pokoju żywy, sprawia nam nieopisany ból.

Propozycja. *Chce pan się podzielić tym, co osiągnęliśmy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?*

Wie, jaka będzie odpowiedź.

Będziemy rozmawiali głośno, gdyż mowie ciała brak technicznego słownictwa. Reynolds wypowiada, szybko i cicho, pięć słów. Są bardziej brzemienne znaczeniem niż jakakolwiek strofa poezji: każde słowo to kolejny szczebel, na który mogę się wspiąć, ekstrahując wszystko, co zawierały poprzednie. Razem stanowią rewolucyjne podsumowanie socjologiczne; używając mowy ciała, sugeruje, że odkrycie to należało do pierwszych, jakich dokonał. Doszedłem do podobnych wniosków, ale inaczej je sformułowałem. Natychmiast odpowiadam siedmioma słowami, z których cztery podsumowują rozróżnienie między jego wglądem a moim, a trzy opisują nieoczywisty wynik jego rozróżnień. Odpowiada.

Kontynuujemy. Jesteśmy jak dwóch bardów, z których każdy podrzuca drugiemu kolejną zwrotkę, do której ten musi nawiązać, razem komponujących epicki poemat wiedzy. Po chwili przyspieszamy, przekrzykujemy się, ale nie gubimy żadnego niuansu, aż absorbujemy, wyciągamy wnioski, odpowiadamy, nieprzerwanie, równolegle, synergicznie.

Mija wiele minut. Uczę się od niego równie dużo co on ode mnie. Jakie to ożywcze, nagle pławić się w pomysłach, o których implikacjach będę rozmyślał jeszcze wiele dni. Zbieramy także informacje strategiczne. Wysnuwam wnioski o rozmiarach jego niewypowiedzianej wiedzy, porównuję ją z własną i symuluję odpowiednie wnioski. Cały czas mam świadomość, że to musi się kiedyś skończyć; formułowanie naszych zdobyczy wydobywa wyraźnie różnice ideologiczne.

Reynolds nie doświadczył takiego piękna, jakie było mi dane; pozostał nieświadom w obliczu pięknych wniosków, jakie były mi dane. Forma, która go zainspirowała, to ta sama, którą ja zignorowałem: forma planetarnego społeczeństwa, biosfery. Ja jestem wielbicielem piękna, on — ludzkości. Każdy z nas odnosi wrażenie, że ten drugi zignorował wspaniałe możliwości.

Ma plan, o którym nie wspomniał: stworzenia globalnej sieci wpływów, zapewnienia dobrobytu całemu światu. Aby tego dokonać, będzie musiał zatrudnić mnóstwo ludzi; niektórym będzie musiał zwiększyć inteligencję, niektórym zaoferować metasamoświadomość; część może stać się dla niego zagrożeniem. *Po co podejmować takie ryzyko dla dobra normalnych?*

Pańska obojętność wobec normalnych byłaby uzasadniona, gdyby był pan oświecony; wówczas pańska sfera nie przenikałaby się z ich sferą. Dopóki jednak pan i ja jesteśmy w stanie pojąć ich sprawy, nie możemy ich zignorować.

Potrafię dokładnie zmierzyć dystans między naszymi stanowiskami moralnymi; widzę naprężenia między ich niezgodnymi liniami promieniowania. To, co go motywuje, to nie tylko współczucie czy altruizm, ale coś, co obejmuje oba te pojęcia. Z drugiej strony, potrafię się skoncentrować wyłącznie na zrozumieniu rzeczy wzniosłych. *A piękno widzialne z oświecenia? Czy to pana nie pociąga?*

Wiem, jaka struktura byłaby niezbędna do przechowania oświeconej świadomości. Nie muszę czekać, aż powstaną odpowiednie technologie.

Uważa, że inteligencja jest środkiem, ja zaś postrzegam ją jako cel. Większa inteligencja nie byłaby dla niego przydatna. Na obecnym poziomie potrafi znaleźć najlepsze możliwe rozwiązanie każdego problemu w sferze ludzkiego doświadczenia i wielu problemów przekraczających je. Potrzebuje tylko wystarczającego czasu, by wprowadzić swoje rozwiązania.

Dalsza dyskusja nie ma sensu. Obaj wyrażamy zgodę i zaczynamy.

Mówienie o elemencie zaskoczenia przy stopniu planowania naszych ataków nie ma sensu; nasza świadomość nie mogłaby być bardziej wyostrzona od wyczekiwania. Kiedy obaj wyrażamy zgodę na stoczenie bitwy, nie jest to uprzejmość, ale urzeczywistnienie nieuniknionego.

W modelach, które skonstruowaliśmy na podstawie naszych wniosków, są luki, rozziwy: wewnętrzne osiągnięcia psychologiczne i odkrycia, jakich każdy z nas dokonał. Z tych przestrzeni nie dobiegło żadne echo, żadne pasma nie związały ich ze światową pajęczyną, aż do teraz.

Zaczynam.

Skupiam się na zainicjowaniu w nim dwóch pętli wzmacniających. Jedna jest bardzo prosta: gwałtownie i znacząco zwiększa ciśnienie krwi. Gdyby nie skontrolował przez jakąś sekundę, spowodowałaby wzrost ciśnienia krwi, jaki występuje przy udarze — może 400 na 300 — co rozerwałoby mu naczynia włoskowate w mózgu.

Reynolds wykrywa to natychmiast. Choć z naszej rozmowy jasno wynikało, że nigdy dotąd nie zajmował się wywoływaniem pętli biologicznego sprzężenia zwrotnego u innych, rozumie, co się dzieje. A gdy już zrozumiał, obniża tętno i rozszerza naczynia krwionośne w całym ciele.

Mój prawdziwy atak to jednak inna, subtelniejsza pętla wzmacniająca. To broń, którą tworzyłem od chwili, gdy rozpocząłem poszukiwanie Reynoldsa. Ta pętla powoduje, że neurony nagle podejmują nadprodukcję substancji będących antagonistami

neuroprzekazników, uniemożliwiając impulsom pokonywanie synaps, co spowoduje zanik aktywności mózgu. Tę pętlę aktywuję z o wiele większą intensywnością niż poprzednią.

Gdy Reynolds odparowuje pozorny atak, doświadcza lekkiego osłabienia koncentracji, zamaskowanego skutkami podwyższonego ciśnienia krwi. Sekundę później jego ciało rozpoczyna samo wzmacniać ten efekt. Reynolds przeżywa szok, widząc, że nie myśli już tak jasno. Poszukuje, jaki dokładnie mechanizm za to odpowiada: zaraz znajdzie, ale nie będzie w stanie długo go analizować.

Kiedy aktywność jego mózgu spadnie do poziomu normalnego człowieka, powinienem być w stanie łatwo manipulować jego umysłem. Techniki hipnotyczne sprawią, że wyrzuci większość informacji, które posiada jego ulepszony umysł.

Badam jego wrażenia somatyczne, wypatrując oznak malejącej inteligencji. Regresja jest wyraźna.

I nagle wszystko ustaje.

Reynolds znajduje się w stanie równowagi. Nie mogę wyjść ze zdziwienia. Był w stanie przerwać pętlę wzmacniającą. Powstrzymał najbardziej wyrafinowaną ofensywę, jaką zdołałem zaplanować.

Następnie usuwa szkody, które już powstały. Choć zaczyna to robić, mając obniżone zdolności, jest w stanie poprawić równowagę neuroprzekazników. W ciągu paru sekund Reynolds w pełni przywraca stan pierwotny.

Byłem dla niego zbyt przejrzysty. Podczas naszych rozmów wydedukował, że zajmowałem się problemem pętli wzmacniających, a kiedy rozmawialiśmy, poczynił kroki zaradcze, ja zaś tego nie wykryłem. Następnie obserwował specyficzne cechy mojego ataku, gdy wszystko się rozgrywało, i nauczył się, jak zniwelować jego skutki. Jestem zdumiony jego wnikliwością, szybkością i ostrożnością.

Docenia moje umiejętności. *Bardzo interesująca technika, bardzo odpowiednia, jeśli uwzględnić pańskie zamknięcie w sobie. Nie dostrzegłem żadnych oznak, gdy...* Nagle ukazuje zupełnie inną sygnaturę somatyczną, taką, którą rozpoznaję. Użył jej, gdy trzy dni temu szedł za mną w sklepie spożywczym. Nawa była zatłoczona, koło mnie stała starsza kobieta, charcząca pod swoim filtrem powietrza, i

chudy nastolatek na kwasie, w koszulce z ciekłego kryształu, na której wyświetlały się jakieś zmieniające się psychodeliczne wzory. Reynolds prześliznął się za mną, skupiony na stoisku z pornograficznymi czasopismami. Jego inwigilacja nie dostarczyła mu informacji o moich pętach wzmacniających, ale zapewniła mu bardziej szczegółowy obraz mojego umysłu.

Przewidziałem taką możliwość. Przekształcam moją psychikę, włączając losowo elementy nieprzewidywalności. Równania mojego umysłu teraz nie przypominają mojego normalnego stanu świadomości, stawiając pod znakiem zapytania wszystkie założenia, jakich mógł dokonać Reynolds, i czyniąc nieskutecznymi wszelkie specyficzne dla psychiki rodzaje broni, jakimi dysponuje.

Przesyłam mu odpowiednik uśmiechu.

Reynolds odwzajemnia go. *Czy kiedykolwiek rozważał pan...* Nagle przesyła mi tylko ciszę. Chce coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie przewidzieć, co. Po chwili mówi szeptem:

— ...polecenie samozniszczenia, panie Greco?

Gdy wypowiada te słowa, rozziew w mojej rekonstrukcji wypełnia się i przelewa, a implikacje nakładają się na wszystko, co o nim wiem. Ma na myśli Słowo: zdanie, które — wymówione — zniszczy umysł słuchacza. Reynolds twierdzi, że ten mit jest prawdą, że każdy umysł posiada taki wbudowany mechanizm samowyzwalający, że dla każdej osoby istnieje zdanie, które może obrócić ją w idiotę, wariata, katatonika. I on twierdzi, że zna takie zdanie dla mnie.

Natychmiast odcinam całość sensorycznych danych wejściowych, przekierowując je do izolowanego bufora krótkoterminowej pamięci. Następnie tworzę symulator własnej świadomości, który odbiera dane wejściowe i absorbuje je ze zmniejszoną prędkością. Jako metaprogramista, będę monitorował pośrednio równania symulacji. Będę naprawdę odbierał informacje sensoryczne dopiero wtedy, gdy się upewnię, że są bezpieczne. Jeśli symulator zostanie zniszczony, moja świadomość będzie odizolowana, a ja prześlę poszczególne kroki prowadzące do katastrofy i stworzę wytyczne dla przeprogramowania mojej psyche.

Zanim Reynolds skończy wypowiadać moje nazwisko, wszystko

jest gotowe; następnym zdaniem mogła być niszcząca komenda. Teraz odbieram sensoryczne dane wejściowe z opóźnieniem stu dwudziestu milisekund. Ponownie badam moją analizę ludzkiego umysłu, szukając dowodów pozwalających zweryfikować jego tezę.

Tymczasem odpowiadam lekkim, beztroskim tonem. *Czekam na pański najlepszy cios.*

Proszę się nie martwić, nie mam go na końcu języka.

Moje poszukiwania dają rezultat. Przeklinam samego siebie: istnieje bardzo subtelna tylna furтка do struktury psychicznej, a mnie zabrakło odpowiedniego nastawienia, żeby ją dostrzec. Moja broń zrodziła się z introspekcji, a jego broń mógł stworzyć jedynie manipulator.

Reynolds wie, że zbudowałem zapory; czy jego impuls został tak zaprojektowany, żeby je pokonać? Nadal badam charakter działań polecenia impulsu.

Na co pan czeka? Jest pewien, że czas, jaki zyskuję, nie pozwoli mi na zbudowanie umocnień.

Proszę zgadnąć. Jaki zadowolony z siebie. Czy on naprawdę może się tak łatwo mną bawić?

Docieram do teoretycznego opisu wpływu impulsu na normalnych. Pojedyncze polecenie może zredukować każdy podkrytyczny umysł do *tabula rasa*, ale w przypadku umysłów ulepszonych konieczny jest pewien, nieokreślony, stopień dostosowania. Usunięcie ma wyraźne objawy, przed którymi ostrzeże mnie mój symulator, ale to są objawy procesu, który mogę obliczyć. Polecenie niszczące jest z definicji specyficznym równaniem, którego nie potrafię sobie wyobrazić; czy mój metaprogramista rozpadnie się diagnozując stan symulatora?

Czy używał pan polecenia samozniszczenia na normalnych? Zaczynam obliczać, co jest potrzebne do wygenerowania dostosowanego polecenia samozniszczenia.

Tak, kiedyś przeprowadziłem taki eksperyment na dealerze narkotyków. A potem zniszczyłem dowody ciosem w czaszkę.

Staje się oczywiste, że wygenerowanie impulsu to gigantyczne zadanie. Taka czynność wymaga gruntownej znajomości mojego umysłu. Ekstrapoluję, czego mógł się o mnie dowiedzieć. Wygląda na to,

że jego wiedza jest niewystarczająca, gdyby uwzględnić moje przeprogramowanie, ale może dysponować nieznanymi mi technikami obserwacji. Jestem boleśnie świadom przewagi, jaką zdobył, badając świat zewnętrzny.

Będzie pan musiał zrobić to jeszcze wiele razy.

Jego żal jest widoczny. Jego planu nie można wcielić w życie bez uśmiercenia jeszcze wielu ludzi: normalnych ludzi, ze strategicznej konieczności, oraz ulepszonych asystentów, w przypadku których w paradę weszłaby pokusa wzniesienia się na wyżyny. Po użyciu polecenia Reynolds może ich — albo mnie — przeprogramować, czyniąc z nas sługi, o skoncentrowanych intencjach i ograniczonych możliwościach metaprogramistów. Takie śmierci to nieuniknione koszty jego planu.

Nie mam pretensji do bycia świętym.

Tylko zbawicielem.

Normalni mogą uważać go za tyrana, gdyż błędnie wezmą go za takiego, a nigdy nie ufają własnym osądom. Nie domyśla się, że Reynolds postępuje właściwie dla zadania. Jego ocena sytuacji jest optymalna w przypadku ich spraw, a takie kwestie, jak chciwość czy ambicja ulepszanego umysłu, nie dotyczą go.

Reynolds unosi rękę w teatralnym geście, z wyciągniętym palcem wskazującym, jakby chciał coś podkreślić. Nie mam wystarczających informacji, żeby wygenerować jego polecenie samozniszczenia, więc przez chwilę koncentruję się tylko na obronie. Jeśli zdołam przeżyć jego atak, może sam go zaatakuję.

Unosząc palec, mówi:

— Zrozum.

Na początku nie rozumiem. A potem, z przerażeniem — zaczynam rozumieć.

Nie zaprojektował polecenia tak, by trzeba było je wypowiedzieć; to wcale nie jest impuls sensoryczny. To impuls pamięciowy: polecenie składa się z ciągu wyobrażeń, z których każde z osobna jest nieszkodliwe; tkwią w moim mózgu jak bomby zegarowe. Struktury mentalne, które powstały wskutek tych wspomnień, teraz tworzą wzór, który określa mój rozpad. Przeczuwam samo Słowo.

Mój umysł natychmiast zaczyna pracować szybko jak nigdy dotąd.

Śmiertelne uświadomienie narzuca się memu umysłowi wbrew mojej woli. Próbuję powstrzymać te skojarzenia, ale wspomnień nie można stłumić. Proces zachodzi niepowstrzymanie, jako konsekwencja mojej świadomości, a ja muszę na to patrzeć, jak ktoś, kto spada z wysoka.

Mijają milisekundy. Własna śmierć staje mi przed oczami.

Obraz sklepu spożywczego z przechodzącym Reynoldsem. Psychodeliczna koszulka, którą miał na sobie chłopiec. Reynolds zaprogramował ją, żeby wyświetlała wzorce, które zaszczepią mi sugestię, przez co moja „losowo” przeprogramowana psychika pozostanie wrażliwa na bodźce. Już wtedy.

Nie mam czasu. Mogę tylko przeprogramować się losowo, z dużą prędkością. W akcie desperacji, być może okaleczając się.

Te dziwne modulowane dźwięki, które słyszałem, wchodząc do apartamentu Reynoldsa. Wchłonąłem śmiertelne wyobrażenia, zanim zbudowałem bariery ochronne.

Rozdzieram moją psychę na strzępy, ale konkluzja staje się coraz wyraźniejsza, a rozwiązanie bliższe.

Ja sam, konstruujący symulator. Zaprojektowanie tych wszystkich struktur obronnych dało mi perspektywę niezbędną do rozpoznania formy.

Uznaję, że jest większym geniuszem ode mnie. To dobrze wróży jego przedsięwzięciu. Pragmatyzm przyda się zbawicielowi w stopniu o wiele większym niż zmysł estetyczny.

Ciekawe, co zrobi, jak już zbawi świat.

Pojmuję Słowo, pojmuję, jak ono działa. I rozpadam się.

tłumaczył Dariusz Kopociński

Dzielenie przez zero

(Division by Zero)

1

Wynikiem dzielenia danej liczby przez zero nie jest liczba nieskończenie duża. Zgodnie z definicją, dzielenie to odwrotność mnożenia: dzieląc przez zero i następnie mnożąc przez zero, powinniśmy otrzymać liczbę wyjściową. Jednakże mnożąc nieskończoność przez zero, otrzymujemy wyłącznie zero, nie zaś jakąkolwiek liczbę. Nie można niczego pomnożyć przez zero, żeby otrzymać coś innego niż zero. Wobec tego wynik dzielenia przez zero jest dosłownie niedefiniowalny.

1a

Renee patrzyła przez okno, kiedy podeszła do niej pani Rivas.
— Wychodzisz po tygodniu? Toś sobie nie pomieszkała. Bóg mi świadkiem, że ja stąd szybko nie wyjdę.

Renee zmusiła się do miłego uśmiechu.

— Na pewno nie zabawisz tu długo.

Panią Rivas wszyscy na oddziale uważali za symulantkę. Wiedzieli, że jej wyskoki są zwyczajną zgrywą, lecz salowi chcąc nie chcąc mieli na nią oko, żeby przez przypadek nie zrobiła sobie krzywdy.

— Ha! Chcieliby się mnie pozbyć! Wiesz, jaka spadłaby na nich odpowiedzialność, gdybyś umarła ze statusem pacjenta?

— Wiem.

— Widać, że tylko o to im chodzi. Boją się odpowiedzialności...

Renee przestała zwracać uwagę na jej gadanie i zajęła się widokami za oknem. Patrzyła, jak na niebie tworzy się smuga kondensacyjna.

— Pani Norwood! — zawołała pielęgniarka. — Mąż czeka. Renee pożegnała się z panią Rivas kolejnym miłym uśmiechem i wyszła.

1b

Carl kolejny raz podpisał się imieniem i nazwiskiem, teraz jednak pielęgniarki zabrały formularz do rozpatrzenia.

Pamiętał, jak przyprowadził Renee na obserwację. Przypominały mu się wszystkie typowe pytania, na które musiał odpowiedzieć podczas pierwszej rozmowy. Odpowiedzi udzielał ze stoickim spokojem.

„Tak, jest profesorem matematyki. Można o niej przeczytać w *Who's who*”.

„Nie, ja się zajmuję biologią”.

Oraz:

„Zostawiłem pudełko przezroczy, których potrzebowałem”.

„Nie, nie mogła o tym wiedzieć”.

A także, czego należało się spodziewać:

„Owszem. To było mniej więcej dwadzieścia lat temu, zaraz po studiach”.

„Nie, próbowałem skoczyć”.

„Nie, nie znaleźmy się wtedy z Renee”.

I tak dalej, i dalej.

Carl przekonał ich, że jest pomocny i kompetentny, więc byli skłonni skierować Renee na leczenie ambulatoryjne.

Patrząc wstecz, Carl dziwił się samemu sobie. Podczas tej całej przeprawy tylko jeden jedyny raz miał wrażenie *deja vu*. Mimo ciągłego widoku szpitala, lekarzy i pielęgniarek towarzyszyło mu wyłącznie uczucie obojętności. Zwykłej, męczącej rutyny.

2

Istnieje pewien powszechnie znany „dowód” na to, że dwa równa się jeden. Jeśli wstępnie założymy, że $a=1$ i $b=1$, w efekcie otrzymamy równanie $a = 2a$, wobec czego $1 = 2$. Po drodze jednak wkrada się dzielenie przez zero, które nie tylko dyskwalifikuje sam dowód, ale też podważa i obala wszelkie inne reguły. Dopuszczając możliwość dzielenia przez zero, łatwo wykażemy, że dwa równa się jeden, mało

tego, że dowolne dwie liczby, rzeczywiste i urojone, wymierne i niewymierne, są sobie równe.

2a

Wróciwszy z Carlem do domu, Renee usiadła za biurkiem w swoim gabinecie. Zaczęła odwracać wszystkie kartki i machinalnie zgarniać je na stos. Krzywiła się, ilekroć w czasie tego przerzucania dostrzegła rąbek kartki odwróconej wierzchem do góry. Nawet się zastanawiała, czy nie zniszczyć papierów, lecz miałyby to wyłącznie symboliczne znaczenie. Równie dobrze mogła już nigdy do nich nie zaglądać.

Lekarze zapewne doszukaniliby się u niej obsesyjnych zachowań. Zmarszczyła czoło na wspomnienie poniżenia, jakie ją spotkało, kiedy została pacjentką tych półgłówków. Pamiętała, jak wsadzili ją do izolatki, żeby nie popełniła samobójstwa. Podobno pielęgniarze pilnowali jej dwadzieścia cztery godziny na dobę. I te rozmowy z lekarzami, którzy byli tacy protekcyjnalni i łatwi do rozgryzienia. Nie należała do symulantek jak pani Rivas, ale nie musiała się specjalnie wysilać. Wystarczyło powiedzieć: „Zdaję sobie sprawę, że nie wyzdrowiałam do końca, ale czuję się znacznie lepiej” — i już myśleli o wypisywaniu.

2b

Przez chwilę Carl przyglądał się Renee, stojąc w progu, potem odszedł korytarzem. Pamiętał tamten dzień — bite dwadzieścia lat temu — kiedy sam został wypuszczony. Zabrali go rodzice. W drodze powrotnej matka bez sensu palnęła, że wszyscy się za nim stęsknili, on tymczasem miał wielką ochotę strząsnąć z siebie jej rękę.

Zrobił dla Renee to, co jemu samemu przyniosłoby ulgę, kiedy przebywał pod obserwacją. Odwiedzał ją dzień w dzień, nawet jeśli początkowo nie chciała się z nim widywać; wolał być na miejscu, gdyby nagle zapragnęła spotkania. Czasem rozmawiali, czasem po prostu spacerowali po błoniach. Nie mógł sobie niczego zarzucić i wiedział, że

jest mu wdzięczna za jego poświęcenie.

A jednak mimo tych wszystkich wysiłków czuł, że spełnia tylko żmudny obowiązek.

3

W swoim dziele *Principia mathematica* Bertrand Russell i Alfred Whitehead podjęli się opisanie matematyki za pomocą reguł rygorystycznego wnioskowania. Wychodząc z obranego przez siebie układu aksjomatów, wyprowadzali coraz to bardziej złożone twierdzenia. Do strony 362 ustalili tyle, że mogli wreszcie napisać: $1 + 1 = 2$.

3a

Pewnego razu, gdy w wieku siedmiu lat myszkowała po domu kogoś z dalszej rodziny, zachwyciła się odkryciem idealnych kwadratów na gładkiej, marmurowej posadzce. Najpierw jeden, potem dwa rzędy po dwa, trzy po trzy, cztery po cztery. Płytki razem też tworzyły kwadrat. Oczywiście. Z którejkolwiek strony patrzeć, zawsze wyglądał tak samo. Co więcej: każdy kwadrat był większy od poprzedniego o nieparzystą liczbę płytek. Odczuła to jak objawienie. Prędko doszła do wniosku, że jest w tym układzie wewnętrzna harmonia. Chłód płytek i ich gładka powierzchnia zdawały się to potwierdzać. I jak równo do siebie przylegały, rozdzielone delikatnymi rysami w miejscu styku! Zadrzała, podziwiając precyzję ich wykonania.

Z czasem przyszły nowe olśnienia, nowe osiągnięcia. Imponująca praca doktorska w wieku dwudziestu trzech lat, szereg cenionych artykułów. Ludzie przyrównywali ją do von Neumanna, wdzięczyły się do niej uniwersytety. Ona jednak nie zwracała na to uwagi. Bardziej interesowało ją wrażenie harmonii obecnej w każdym poznany twierdzeniu, równie namacalnej jak powierzchnia płytek i równie eleganckiej jak ich wzajemne ułożenie.

3b

Carl podejrzewał, że jego dzisiejsza osobowość narodziła się po próbie samobójczej, kiedy poznał Laurę. Wypuszczony ze szpitala, odwracał się do wszystkich plecami, lecz miał kolegę, któremu udało się poznać go z Laurą. Początkowo nie dopuszczał jej do siebie, ale się nie zrażała. Kochała go, kiedy cierpiał, i odsuwała się, kiedy było mu źej. Ta znajomość nauczyła Carla empatii, a przez to odmieniło się jego życie.

Po obronie pracy magisterskiej Laura wyjechała, on zaś został na uniwersytecie, żeby zrobić doktorat z biologii. Od tamtej pory przeżył niejeden kryzys i miłosny zawód, lecz nigdy już nie zaznał rozpaczy.

Próbował sobie wyobrazić, jaką się stała osobą. Nie rozmawiali ze sobą od czasu studiów. Jak układało jej się w życiu? Kogo jeszcze pokochała? Dość wcześnie zorientował się, czym była ich miłość i czym nie była. Dlatego tak bardzo ją cenił.

4

W początkach XIX wieku matematycy zaczęli badać geometrie różniące się od geometrii euklidesowej. W efekcie stosowania alternatywnych geometrii otrzymywano wyniki, które wydawały się paradoksalne, mimo że nie prowadziły do wewnętrznych sprzeczności. Później wykazano, że nieeuklidesowe geometrie są logicznie niesprzeczne, jeżeli przyjąć, że logicznie niesprzeczna jest geometria euklidesowa.

Dowód na niesprzeczność geometrii euklidesowej wymykał się matematykom. Do końca XIX wieku udało im się tylko udowodnić, że geometria euklidesowa jest niesprzeczna przy założeniu, że niesprzeczna jest arytmetyka.

4a

Zanim koszmar Renee rozkręcił się na dobre, odczuwała pewne rozdrażnienie. Przeszła korytarzem do gabinetu Petera Fabrisiego i zapukała w otwarte drzwi.

— Masz chwilkę, Pete? Odepchnął się z fotelem od biurka.

— Jasne, Renee, co jest?

Już wchodząc, wiedziała, jaka będzie jego reakcja. Nie zdarzył się jeszcze taki problem, że musiałaby w instytucie pytać kogoś o radę. Zawsze było odwrotnie. Cóż, trudno.

— Wiesz co, nie wyświadczyłbyś mi przysługi? Ze dwa tygodnie temu, pamiętasz, dyskutowaliśmy o systemie formalnym, nad którym pracuję.

Pokiwał głową.

— Dzięki niemu przebudowujesz układy aksjomatów, tak?

— Właśnie. Bo widzisz, kilka dni temu zaczęłam dochodzić do absurdalnych wniosków i teraz mój system formalny zawiera wewnętrzne sprzeczności. Mógłbyś na to rzucić okiem?

Fabrisi, jak przewidziała, minę miał niewyraźną.

— Chcesz, żeby... Jasne, z przyjemnością.

— Super. Przykłady na pierwszych stronach ilustrują problem, reszta to właściwie adnotacje. — Wręczyła mu cienki plik kartek. — Pomyślałam sobie, że gdybyśmy o tym tylko rozmawiali, przejąłbyś mój punkt widzenia.

— Pewnie masz rację. — Fabrisi przejrzał pierwsze strony. — Nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

— Nie śpiesz się. Po prostu sprawdź w wolnej chwili, a jeśli któreś z moich założeń wydadzą ci się trochę niepewne, poszukaj nieścisłości. Sama też nad tym posiedzę, więc dam ci znać, jeśli coś mi wpadnie do głowy.

Uśmiechnął się.

— Na pewno wpadniesz po południu i powiesz, że wszystko się wyjaśniło.

— Wątpię. Do tego trzeba podejść ze świeżym spojrzeniem.

Rozłożył ręce.

— Dobra, wezmę się za to.

— Dzięki. — Nie łudziła się, że Fabrisi pojmie jej system formalny, lecz szukała kogoś, kto przyjrzy mu się choćby od strony technicznej.

4b

Carl poznał Renee na imprezie u kolegi. Urzekła go jej twarz, na pierwszy rzut oka nijaka, do tego często zasępiona. Jednak w czasie przyjęcia Renee ze dwa razy się uśmiechnęła, a raz zmarszczyła czoło. W tych chwilach całe oblicze promieniało wyrażanymi emocjami, jakby nie znało żadnego innego uczucia. Carl nie posiadał się ze zdziwienia; umiał rozpoznawać twarze regularnie roześmiane bądź regularnie stroskane, choćby nie pokrywały ich zmarszczki. Zastanawiał się, jak to się dzieje, że jej twarz, choć zazwyczaj bywała obojętna, wykazuje tak dogłębną znajomość tylu uczuć.

Długo to trwało, nim zrozumiał Renee i nauczył się czytać z jej twarzy. Nie był to oczywiście stracony czas.

Teraz Carl siedział w wygodnym fotelu u siebie w gabinecie, z najnowszym numerem „Marine Biology” na kolanach, słuchając, jak Renee rwie papier w swoim gabinecie. Pracowała przez cały wieczór — sądząc po odgłosach, coraz bardziej zdenerwowana. Choć ostatnio, kiedy do niej zajrzał, popatrzyła na niego z pokerową miną.

Odłożył czasopismo, wstał z fotela i podszedł do otwartych drzwi jej gabinetu. Akurat ślęczała nad opasłym tomiskiem; strony zapisane były, jak zwykle, kolumnami enigmatycznych równań, opatrzonych komentarzami w języku rosyjskim.

Przyjrzała się wywodom, oderwała od nich wzrok z ledwie dostrzegalnym wyrazem dezaprobaty i hałaśliwie zamknęła księgę.

— Bzdury — mruknęła i odstawiła książkę na swoje miejsce w biblioteczce.

— Zwolnij trochę, bo ciśnienie ci skoczy — zażartował Carl.

— Nie traktuj mnie jak głupka. Poczul się urażony.

— No coś ty.

Renee odwróciła się do niego z jadowitym wzrokiem.

— Chyba wiem lepiej, kiedy mój umysł efektywnie pracuje.

— W takim razie nie przeszkadzam — odparł, zniechęcony, i odszedł.

— Dziękuję. — Zajęła się szperaniem na regałach. Wracając do siebie, Carl zastanawiał się, co wyrażało jej spojrzenie.

5

Na II Światowym Kongresie Matematyków w 1900 roku David Hilbert sformułował dwadzieścia trzy jego zdaniem najważniejsze nierozwiązane zagadnienia ówczesnej matematyki. Na drugim miejscu postawił udowodnienie niesprzeczności arytmetyki. Komu udałoby się ta sztuka, ten automatycznie udowodniłby niesprzeczność wielu aksjomatów matematyki wyższej. Dzięki takiemu dowodowi nikt by już nie wykazywał, że $1 = 2$. Jednakże wśród matematyków mało kto dostrzegł rangę problemu.

5a

Nim Fabrisi otworzył usta, Renee wiedziała już, co usłyszy.

— To najpaskudniejsza rzecz, jaką widziałem. Znasz tę zabawkę dla małych dzieci, polegającą na tworzeniu układanki z klocków o różnym kształcie? Czytając twój system formalny, czułem się, jakby ktoś brał klocek, próbował go włożyć gdzie popadnie i zawsze mu się udawało.

— A więc nie znalazłeś błędów? Pokręcił głową.

— Jakoś nie. Zacząłem myśleć tym samym torem co ty, nic na to nie poradzę.

Renee wypadła już jednak z tego toru. Wypracowała zupełnie nowe podejście do sprawy, które okazało się potwierdzeniem pierwotnej sprzeczności.

— Dobra, dzięki za chęci.

— Dasz to jeszcze komuś do przejrzania?

— Tak, chyba wyślę to Callahanowi z Berkeley. Korespondujemy ze sobą od wiosennej konferencji.

Fabrisi pokiwał głową.

— Jego ostatni artykuł zrobił na mnie duże wrażenie. Daj znać, jeśli coś znajdzie. Jestem bardzo ciekawy.

Jeśli chodzi o siebie, to Renee użyłaby znacznie mocniejszego określenia niż „ciekawa”.

5b

Czy Renee zaczynała się martwić trudnościami w pracy? Carl znalazł jej zdanie: matematyka nie jest trudna, tylko wymaga intelektualnego wysiłku. Czyżby po raz pierwszy napotkała problem, którego nie potrafiła przezwyciężyć? A może matematyka tak właśnie wpływała na człowieka? Carl miał naturę eksperymentatora, więc nie wyobrażał sobie, w jaki sposób Renee chce tworzyć nową matematykę. Co prawda brzmiało to głupio, ale... może skończyły jej się pomysły?

Renee, dojrzała kobieta, nie mogła odczuwać stresów cudownego dziecka, które nagle wyrasta na przeciętnego człowieka. Z drugiej strony, wielu matematyków dokonało największych odkryć przed trzydziestką. A nuż Renee obawiała się, że też wliczy się w tę statystykę, choć z kilkuletnim opóźnieniem?

Jakoś trudno było w to wierzyć. Carl pokrótce rozważył inne możliwości. Czy denerwowała ją niemrawość środowiska akademickiego? Bała się, że zabrnije w ślepią uliczkę wąskiej specjalizacji? A może zwyczajnie się przepracowywała?

Carl nie sądził, by przyczyną zachowania Renee były tego rodzaju zmartwienia. Wyobrażał sobie, jakie w takim przypadku dawałaby mu sygnały — z pewnością niekorespondujące z tymi, jakie teraz od niej odbierał. Nie umiał rozgryźć tego, co gnębiło Renee, sam więc chodził przygnębiony.

6

W 1931 roku Kurt Gödel przedstawił dwa twierdzenia. W pierwszym wykazał, że teorie matematyczne zawierają zdania, których w ramach tychże teorii nie da się ani udowodnić, ani też obalić. Nawet tak prosty system formalny, jakim jest arytmetyka, dopuszcza zdania, które są precyzyjnie sformułowane, konkretne i wydają się absolutnie prawdziwe, a jednak żaden system dedukcyjny nie pozwala udowodnić ich prawdziwości.

W swoim drugim twierdzeniu wykazał, że takim właśnie zdaniem

jest założenie o niesprzeczności arytmetyki. Nie można udowodnić prawdziwości tego zdania na podstawie żadnego układu aksjomatów arytmetyki. Innymi słowy, arytmetyka jako system formalny nie wyklucza wyników typu $1 = 2$. Tego rodzaju sprzeczności mogą nigdy nie zaistnieć, lecz nie może być dowiedzione, że nie zaistnieją.

6a

Ponownie przyszedł do jej gabinetu. Gdy spojrzała na niego, wypalił rezolutnie:

— Renee, nie ulega wątpliwości, że...

— Chcesz wiedzieć, co mi dolega? — wpadła mu w słowo. — Dobrze, powiem ci. — Wyciągnęła czystą kartkę papieru i usiadła za biurkiem. — Poczekaj, zaraz skończę.

Otworzył usta, lecz uciszyła go machnięciem ręki. Odetchnęła głęboko i zabrała się do pisania. Pionową kreską podzieliła stronę na dwie równe części. W nagłówku pierwszej kolumny wpisała cyfrę „1”, w nagłówku drugiej — „2”. Pod spodem nabazgrała parę symboli matematycznych, a niżej, w paru linijkach, rozwinęła je w dłuższe rzędy symboli. Przez cały czas zaciskała zęby, jakby zapisanie każdego znaku wydawało jej się zgrzytaniem paznokciem po tablicy.

Mniej więcej na jednej trzeciej wysokości kolumny Renee zaczęła stopniowo skracać rzędy symboli. A teraz cios decydujący, pomyślała. Uświadomiła sobie, że z całej siły skrobie po kartce. Wysiłkiem woli odprężyła się i przestała napierać na ołówek. W następnym wierszu rzędy w dwóch kolumnach wyglądały identycznie. Na dole strony przecięła pionową kreską ekspresywnym znakiem równości.

Podawała kartkę Carlowi. Popatrzył na nią z miną wyrażającą niezrozumienie.

— Zobacz, co napisałam u góry. Zobaczył.

— A teraz zobacz, co mi wyszło na dole. Zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem.

— Odkryłam system formalny, który pozwala zrównać dowolną liczbę z inną dowolną liczbą. Udowodniłam ci właśnie, że $1 = 2$.

Wybierz sobie dwie liczby, jakie tylko chcesz. Udowodnię ci, że są sobie

równe.

— Carl nad czymś się usilnie zastanawiał.

— Chodzi o dzielenie przez zero, co?

— Coś ty. Nie znajdziesz tu niedozwolonych operacji, błędnych założeń, niewłaściwie przyjętych niezależnych aksjomatów, po prostu nic. W dowodzie nie skorzystałam z niczego, co jest zabronione.

Carl pokręcił głową.

— Zaraz, zaraz. Przecież jeden nie równa się dwa.

— Formalnie równa się. Dowód masz przed sobą. Wszystkie założenia, którymi się posłużyłam, są absolutnie niepodważalne.

— Ale doszłaś do sprzeczności.

— W tym rzecz. Arytmetyka jako system formalny jest wewnętrznym sprzeczna.

— Nie możesz znaleźć błędu, o to chodzi?

— Ty mnie wcale nie słuchasz. Myślisz, że denerwuję się z tak błażej przyczyny? W moim dowodzie nie ma błędów.

— A więc podważasz coś, co jest ogólnie przyjęte?

— Dokładnie.

— Jesteś...? — Za późno ugryzł się w język. Zmierzyła go surowym spojrzeniem. Zastanowił się nad tym, co sugerowała.

— Nie rozumiesz? — niecierpliwiła się Renee. — Obaliłam tu właśnie prawie całą matematykę. Przestała mieć sens!

Coraz bardziej się gorączkowała, wręcz popadała w rozpacz.

Carl wolał starannie dobierać słowa:

— Nie za mocno powiedziane? Matematyka ciągle robi swoje. Przez twoje odkrycie świat nauki się nie zawali, świat ekonomii też nie.

— Ponieważ matematyka, której ludzie używają, jest dobrą atrapą. Mnemotechniczną sztuczką, jak liczenie na knykcjach, żeby sprawdzić, czy miesiąc ma trzydzieści jeden dni.

— To nie to samo.

— Niby czemu? Okazuje się, że matematyka nie ma absolutnie nic wspólnego z rzeczywistością. I wcale mi nie chodzi o liczby urojone czy wartości nieskończenie małe. Teraz nawet dodawanie cholernych liczb całkowitych różni się od liczenia na palcach. Na palcach jeden dodać jeden zawsze równa się dwa, ale na papierze otrzymam miliony

wyników, tak samo poprawnych, a zatem tak samo niepoprawnych. Mogę zapisać najpiękniejsze twierdzenie, jakie tylko pamiętasz, i sprowadzić je do postaci absurdalnego równania. — Zaśmiała się z goryczą. — Pozytywiści mawiali, że matematyka jest tautologią. Mylili się: jest zaprzeczeniem samej siebie.

Carl postanowił spróbować z innej strony:

— Poczekaj. Przed chwilą wspomniałaś o liczbach urojonych. Czemu akurat one miałyby być uprzywilejowane? Kiedyś matematycy twierdzili, że są bezsensowne, dzisiaj mają fundamentalne znaczenie. Widocznie matematyka jest w tej samej sytuacji.

— Nie jest. W tamtym przypadku po prostu poszerzono kontekst, tutaj nie wchodzi to w grę. Liczby urojone wniosły coś nowego do matematyki, gdy tymczasem mój system formalny w całości ją kwestionuje.

— Ale gdybyś zmieniła kontekst, spojrziała z boku...Przewróciła oczami.

— Nie! To wynika z aksjomatów jak samo dodawanie. Uwierz mi na słowo, nie da się tego obejść.

7

W 1936 roku Gerhard Gentzen wyprowadził dowód na niesprzeczność aksjomatów arytmetyki, ale żeby to zrobić, posłużył się kontrowersyjną metodą, zwaną indukcją pozaskończoną. Nie należy ona do zwyczajowych metod dowodzenia, więc w istocie rzeczy nie może potwierdzić niesprzeczności arytmetyki. Gentzenowi udało się dowieść tego, co zdaje się oczywiste, zakładając, co zdaje się wątpliwe.

7a

Callahan zadzwonił do niej z Berkeley, ale nie miał specjalnie dobrych wiadomości. Obiecał raz jeszcze przeanalizować jej pracę, aczkolwiek odnosił wrażenie, że trafiła na coś niebywale ważnego i niepokojącego. Chciał wiedzieć, czy Renee planuje opublikować swój system formalny, bo jeśliby zawierał niedostrzegalny dla nich błąd, inni

naukowcy w środowisku matematycznym znaleźliby go z całą pewnością.

Renee, niezdolna skupić się na jego słowach, wymamrotała tylko, że oddzwoni. Ostatnio rozmowy z ludźmi, zwłaszcza po sprzeczce z Carlem, sprawiały jej kłopot. Stronili od niej pracownicy instytutu. Nie potrafiła skupić się na niczym, a zeszłej nocy przyśnił jej się koszmar: odkryła system formalny, pozwalający opisać dowolną koncepcję równaniem matematycznym, a później dowiodła, że życie i śmierć są sobie równe.

Tego najbardziej się obawiała: utraty zmysłów. Bezsprzecznie traciła trzeźwość myślenia, więc dzielił ją tylko krok od szaleństwa.

Nie bądź idiotką, rugała samą siebie. Czy Gödel popełnił samobójstwo po sformułowaniu twierdzenia o niezupełności? Notabene jednego z najpiękniejszych, najznamienitszych i najelegantszych twierdzeń, z jakimi się spotkała.

Jej własny dowód nabijał się z niej, szydził. Niczym łamigłówka w książeczce z rozrywkami umysłowymi wołał: Mam cię! Nie zauważyłaś błędu. Zobacz, w którym miejscu nawaliłaś. Ha, ha, mam cię znowu!

Wyobrażała sobie, że Callahan teraz główkuje, jakie konsekwencje będzie miało jej odkrycie dla matematyki. Tyle matematycznych reguł straciło praktyczne zastosowanie; istniały wyłącznie w postaci teoretycznych ciekawostek, badane dla swojej intelektualnej urody. Ale taka sytuacja nie utrzyma się długo. Wewnętrznie sprzeczna teoria była czymś tak zwariowanym, że większość matematyków odrzuci ją z obrzydzeniem.

Co naprawdę doprowadzało do furii Renee, to fakt, że intuicja spłatała jej figła. Podpowiadała, że to przekłete twierdzenie ma sens. Na swój własny, perfidny sposób wydawało się słuszne. Rozumiała je, wierzyła w nie, wiedziała, czemu jest prawdziwe.

Carl z uśmiechem wspominał jej urodziny.

— Nie wierzę własnym oczom! Skąd wiedziałeś? — Zbiegła po schodach ze swetrem w rękę.

Zeszłego lata byli razem w Szkocji na wakacjach. W sklepie w Edynburgu spodobał jej się pewien sweter, którego jednak nie kupiła. Carl zamówił go i schował w jej komodzie, żeby znalazła go rano.

— Tak łatwo cię przejrzeć — zażartował. Oboje wiedzieli, że to nieprawda, lecz lubił jej to mówić.

Tak było przed dwoma miesiącami. Zaledwie dwoma miesiącami.

Obecnie sytuacja wymagała radykalnych posunięć. Carl wszedł do gabinetu Renee i zastał ją w fotelu, tępo wpatrzoną w okno.

— Zgadnij, co mam dla nas. Spojrzała na niego. — Co?

— Rezerwację na weekend. Apartament w Biltmore. Odprężymy się, poleniuchujemy...

— Proszę cię, przestań — usadziła go. — Wiem, do czego zmierzasz. Chcesz, żebyśmy się trochę rozerwali, zrobili coś przyjemnego, bo dzięki temu mogłabym zapomnieć o moim twierdzeniu. Wszystko na nic. Nie masz pojęcia, jak to głęboko we mnie siedzi.

— Daj spokój. — Chwycił ją za ręce i spróbował dźwignąć z fotela, ale mu się wyrwała. Przez chwilę stał zakłopotany, aż nagle wbiła w niego wzrok.

— Wiesz, że miałam ochotę brać prochy? Trochę żałuję, że nie jestem idiotką, która nie myśli o skutkach.

Carl słuchał tego, wstrząśnięty. Niepewny reakcji, powiedział z wahaniem:

— Czemu przynajmniej nie spróbujesz oderwać się na chwilę od tego wszystkiego? To ci na pewno nie zaszkodzi, może nawet pozwoli zapomnieć o problemach.

— To nie jest problem, od którego można się uwolnić. Po prostu tego nie rozumiesz.

— No więc mi to wyjaśnij.

Odetchnęła i odwróciła się, żeby zebrać myśli.

— Mam wrażenie, że gdziekolwiek spojrzę, widzę mnóstwo sprzeczności. W kółko porównuję liczby.

Carl milczał. Aż raptem go olśniło:

— To jak klasyczna fizyka w konfrontacji z mechaniką kwantową. Okazuje się, że obowiązujące teorie należy zastąpić nowymi, które wydają się bezsensowne, choć wszelkie przesłanki za nimi przemawiają.

— Nie, to dwie różne rzeczy. — Odrzucała jego argumenty niemalże z pogardą. — Tu nie ma mowy o przesłankach, tu jest wszystko czarno na białym.

— Gdzie widzisz różnicę? Czy to nie jest przesłanka wynikająca z twojego rozumowania?

— Boże, ty chyba żartujesz. Tu chodzi o zbieżność między obliczeniem, że jeden równa się dwa, a moim intuicyjnym postrzeganiem tego. Nie potrafię już rozróżniać odmiennych wartości, wszystkie wydają mi się identyczne.

— Chyba nie mówisz poważnie. Takie myślenie byłoby wbrew ludzkiej naturze. To jakby uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy jeszcze przed śniadaniem.

— A skąd ty możesz wiedzieć, co ja odczuwam?

— Próbuję cię zrozumieć.

— Nie trudź się.

Carl stracił cierpliwość.

— Jak sobie chcesz. — Wyszedł z gabinetu i odwołał rezerwację.

Od tamtej pory rzadko się do siebie odzywali — jedynie wtedy, gdy to było konieczne. Aż trzy dni później, zapomniawszy pudełka z przezroczami, Carl wrócił do domu i znalazł na stole list.

W chwilach, które nastąpiły, uprzytomnił sobie dwie sprawy. Pierwszą, kiedy biegał po domu, zastanawiając się, czy na stoisku z chemią nie kupiła jakiegoś świństwa z cyjankiem. Zrozumiał wówczas, że ponieważ nie rozumie, co ją pchnęło do takiego czynu, nie umie jej współczuć.

Drugą rzecz uświadomił sobie, gdy wrzeszczał i walił pięściami w drzwi jej sypialni. Doświadczył uczucia *deja vu*. Dopiero w tym momencie sytuacja wydała mu się znajoma, mimo że groteskowo odwrócona. Kiedyś sam odgrodził się od świata zamkniętymi drzwiami i słuchał z dachu przyjaciela, który zaklinał go, żeby tego nie robił. Stojąc pod drzwiami sypialni, słyszał, jak Renee szlocha na podłodze, spalona ze wstydu, dokładnie jak on, kiedy był po drugiej stronie.

8

Hilbert powiedział: „Jeśli w matematycznym myśleniu jest ułomność, to gdzie mamy szukać rzeczy pewnych i prawdziwych?”.

8a

Renee zastanawiała się, czy próba samobójstwa naznaczy ją na całe życie. Wyrównywała rogi kartek w pliku na biurku. Czy od tej pory ludzie będą ją uważać, choćby i podświadomie, za osobę słabą i nie zrównoważoną? Nigdy nie pytała Carla, czy dawniej i jego nurtowały te same obawy — może dlatego, że nic nie tracił w jej oczach z powodu swej chwili słabości. Przydarzyło mu się to przed wielu laty, dziś natomiast każdy, kto go znał, mówił o nim jako o zdrowym, silnym człowieku.

Niestety, Renee nie mogła tak mówić o sobie. Zatraciła umiejętność konstruktywnego rozmawiania o matematyce i nie wiedziała, czy ją kiedykolwiek odzyska. Gdyby się teraz spotkała z kolegami, powiedzieliby: wszystko jej się miesza.

Zmęczona siedzeniem przy biurku, wyszła z gabinetu i udała się do salonu. Kiedy jej system formalny obiegnie środowisko akademickie, zdobędzie silniejsze oparcie w powszechnie przyjętych twierdzeniach matematycznych, lecz mało kto przejmie się nim w tym samym stopniu co ona. W większości — jak Fabrisi — matematycy machinalnie przejrzą dowód, dadzą się przekonać i tyle. Jego wagę dotkliwie odczuwają jedynie ci, którzy w pełni zdają sobie sprawę, czym jest wewnętrzna sprzeczność, którzy umieją się w nią wczuć. Do tych drugich zaliczał się Callahan. Zastanawiała się, jak on sobie z tym wszystkim radzi.

Nakreśliła zawiłą linię na przykurzonym blacie stolika. Dawniej próbowałyby ją pokrótce opisać parametrami, ustalić niektóre własności. Dziś nie widziała w tym żadnego sensu. Wszystkie obrazy w jej wyobraźni raptownie się rozmyły.

Dotąd dzieliła dość częste mniemanie, że matematyka nie wywodzi się z praw rządzących wszechświatem, ale raczej sama do tych

praw się dopisuje. Przedmioty rzeczywiste nie są od siebie większe lub mniejsze, podobne lub niepodobne. One po prostu są, istnieją. Matematyka jest od nich zupełnie niezależna, lecz nadaje im semantyczne znaczenie, nazywa kategorie i związki. Nie opisuje żadnej naturalnej cechy, jedynie podaje prawdopodobną interpretację.

I nic więcej. Wyrwana z fizycznego kontekstu, matematyka była wewnętrznie sprzeczna, a wewnętrznie sprzeczna teoria formalna nic nie znaczyła. Matematyka zachowała swój sens tylko w wymiarze empirycznym, więc przestała mieć dla Renee jakikolwiek urok.

Czym się będzie zajmować? Znała kogoś, kto zerwał ze środowiskiem akademickim, żeby sprzedawać ręcznie wykonane wyroby ze skóry. Potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie, odnaleźć się w nowej sytuacji. Właśnie do tego bezskutecznie próbował zachęcić ją Carl.

8b

Wśród znajomych Carla były dwie kobiety, serdeczne przyjaciółki, Marlene i Anne. Wiele lat temu, kiedy Marlene rozważała popełnienie samobójstwa, nie zwróciła się o pomoc do Anne. Zwróciła się do Carla. Kilkakrotnie we dwójkę przesiadywali noce, rozmawiali ze sobą lub po prostu milczeli. Carl wiedział, że Anne z odrobiną zawiści myśli o tym, co łączyło go z Marlene że zawsze się zastanawia, jakim jego przymiotom przypisać to, iż dotarł tak blisko Marlene. A odpowiedź była prosta. Chodziło o różnicę między empatią a współczuciem.

Carl wiele razy w życiu dodawał otuchy ludziom w podobnych sytuacjach. Oczywiście cieszył się, że może im pomóc, z drugiej strony jednak przyjemnie było przesiąść się na inne miejsce i odegrać inną rolę.

Miał wiele okazji, by utwierdzić się w przekonaniu, że nieodłączną częścią jego charakteru jest litość. Cenił w sobie tę wartość, czuł, że dzięki niej wiele może zdziałać. Dziś był w rozterce. Stanął twarzą w twarz z czymś, czego nigdy wcześniej nie napotkał i co osłabiło, wręcz zdusiło jego zwykłe instynkty.

Gdyby w dzień urodzin Renee ktoś mu powiedział, że tak właśnie będzie się czuł za dwa miesiące, w nos by mu się roześmiał. Mogłoby

dojść do tego co najwyżej po latach; wiedział, czym jest żąb czasu. Ale dwa miesiące?

Po sześciu latach małżeństwa nagle się odkochał. Już sama ta myśl go mierzila, lecz fakt faktem, Renee się zmieniła. Nie rozumiał jej i nie wiedział, jakim uczuciem ją obdarzyć. Bo u niej życie umysłowe nierozzerwalnie łączyło się z emocjonalnym, dlatego to drugie pozostawało poza jego zasięgiem.

W pierwszym odruchu szukał dla siebie wymówek. Wmawiał sobie, że nie można od nikogo wymagać, by udzielał komuś wsparcia w dosłownie każdej sytuacji kryzysowej. Jeśli żona zachoruje na chorobę psychiczną, to opuszczając ją, popełni grzech, owszem, ale grzech wybaczalny. Zostając, musiałby zaakceptować związek na nowych zasadach, czyli zrobić coś, do czego nie każdy został powołany. Carl nie piętnował ludzi za podobne przewinienia. Zawsze jednak stawiał sobie pytanie: Co ja bym zrobił? I zawsze sobie odpowiadał: Zostałbym. Hipokryta!

Najgorsze, że sam kiedyś był w jej położeniu. Tonął w otchłani cierpienia, wystawiał cierpliwość ludzi na ciężką próbę... i ktoś go wyciągnął z tego bagna. Pogodził się z myślą, że opuści Renee, ale zarazem miał świadomość, że będzie to grzech, którego sobie nie wybaczy.

9

Albert Einstein powiedział: „O ile twierdzenia matematyczne odnoszą się do rzeczywistości, o tyle nie są pewne. O ile są pewne, o tyle nie odnoszą się do rzeczywistości”.

9a = 9b

Carl w kuchni łuskał groszek na obiad, kiedy weszła Renee.

— Możemy chwilę pogadać?

— Jasne.

Usiedli przy stole. W skupieniu popatrzyła przez okno, jak zwykle zaczynać każdą ważną rozmowę. Nagle wystraszył się tego, co usłyszy.

O swoim odejściu planował powiadomić ją dopiero później, za parę miesięcy, kiedy już będzie całkowicie zdrowa. Na razie było na to za wcześnie.

— Cóż, między nami układało się różnie...

Nie, błagał ją w duchu, nic nie mów. Tylko nie to.

— ...ale jestem ci naprawdę wdzięczna, że mnie wspierasz — dokończyła.

Carl zamknął oczy, przerażony. Na szczęście Renee wciąż wpatrywała się w okno. Wiedział, że będzie mu ciężko, bardzo ciężko.

— W głowie mi się dziwnie porobiło... — Urwała. — Czegoś takiego nawet sobie nie wyobrażałam. Gdyby to była zwyczajna depresja, zrozumiałbyś mnie i na pewno byśmy sobie poradzili.

Carl pokiwał głową.

— W rzeczywistości czułam się jak teolog, który udowadnia, że Bóg nie istnieje. Który nie obawia się, że tak może być, ale jest o tym święcie przekonany. Czy to nie absurdalne?

— Nie.

— Trudno mi opisać, jak się czuję. Wierzyłam w coś głęboko, z całej duszy, i nagle się okazało, że to nieprawda. W dodatku sama to udowodniłam.

Otworzył usta, chcąc powiedzieć, że doskonale ją rozumie, że sam właśnie przez to przeszedł. Powstrzymał się jednak. Ta analogia bardziej ich dzieliła, niż łączyła, więc wolał nic nie mówić.

tłumaczył Dariusz Kopociński

Historia twojego życia

(Story of Your Life)

Twój ojciec ma zamiar zadać mi pytanie. To najważniejszy moment w życiu nas obojga i staram się zwracać uwagę na wszystko, by nie umknął mi żaden szczegół. Twój tata i ja wróciliśmy właśnie do domu. Byliśmy na kolacji i na przedstawieniu. Przed chwilą minęła północ. Wyszliśmy na patio, by popatrzeć na księżyc w pełni, a potem powiedziałam twojemu tacie, że mam ochotę potańczyć. Chciał mi sprawić przyjemność, tańczymy więc teraz powoli, para trzydziestoparolatków kołyszących się w blasku księżyca jak dzieciaki. W ogóle nie czuję nocnego chłodu. I wtedy twój tata pyta:

— Czy chcesz zrobić dziecko?

W owej chwili twój tata i ja jesteśmy małżeństwem już od prawie dwóch lat i mieszkamy na Ellis Avenue. Kiedy się przeprowadzimy, będziesz jeszcze za mała, żebyś mogła pamiętać ten dom, ale będziemy ci o nim opowiadać i pokażemy ci zdjęcia. Bardzo bym chciała opowiedzieć ci też o tej nocy, gdy zostałam poczęta, ale najlepszy moment byłby wtedy, gdy będziesz gotowa sama mieć dzieci, nie będę więc miała okazji.

Gdybym próbowała zrobić to wcześniej, nie przyniosłoby to rezultatu, gdyż przez większą część swego życia nie chciałam słuchać takich romantycznych — czy, jak mówiłaś, ckliwych — historii. Pamiętam przypuszczenia na temat twego początku, które będziesz snuła, mając dwanaście lat.

Urodziłaś mnie tylko po to, żeby mieć darmową sprzątaczkę — stwierdzisz z goryczą, wyciągając odkurzacz z szafki.

No jasne — odpowiem. — Przed trzynastu laty wiedziałam już, że trzeba będzie odkurzyć tu dywany, a urodzenie dziecka wydawało się najtańszym i najprostszym sposobem, by uporać się z tym zadaniem. Bierz się wreszcie do roboty.

Gdybyś nie była moją matką, to byłoby nielegalne — powiesz

rozwścieczona, rozwijając przewód i wtykając go do gniazdka.

To będzie w domu na Belmont Street. Dożyję chwili, gdy w obu naszych domach zamieszkają nieznajomi. W tym, w który byłaś poczęta, i w tym, w którym dorastałaś. Twój tata i ja sprzedamy ten pierwszy dwa lata po twoim przybyciu. Drugi podzieli jego los krótko po twoim odejściu. Nelson i ja przeniesiemy się wtedy do domu na wsi, a twój tata będzie mieszkał z tą, jak ją tam zwał.

Wiem, jak kończy się ta historia. Myślę o tym bardzo często, podobnie jak o tym, jak się zaczęła, przed kilku laty, gdy na orbitę weszły statki, a na łąkach pojawiły się artefakty. Rząd nie mówił na ich temat prawie nic, za to brukowce wszystko, co tylko ślina na język przyniesie.

Potem był telefon. Wezwano mnie na spotkanie.

Zauważyłam ich w korytarzu, pod moim gabinetem. Tworzyli dziwnie dobraną parę. Jeden z nich miał mundur, krótko ostrzyżone włosy i aluminiową teczkę. Sprawiał wrażenie, że cały czas przygląda się krytycznie otoczeniu. W drugim łatwo było rozpoznać uczonego. Miał brodę i wąsy, a ubrany był w sztruks. Przyglądał się nakładającym się na siebie kartkom przypiętym do tablicy ogłoszeń.

— Pułkownik Weber, jak sądzę? — Uścisnęłam dłoń żołnierza. — Louise Banks.

— Doktor Banks, dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać.

— Nie ma za co. Zrobiłabym wszystko, żeby się urwać z rady wydziału.

Pułkownik Weber wskazał na swego towarzysza.

— To jest doktor Gary Donnelly, fizyk, o którym wspominałam pani przez telefon.

— Mów mi Gary — rzucił, ściskając moją dłoń. — Bardzo bym chciał usłyszeć, co masz na ten temat do powiedzenia.

Poszliśmy do mojego gabinetu. Zdjęłam z drugiego krzesła przeznaczonego dla gości parę stert książek i wszyscy usiedliśmy wygodnie.

— Mówił pan, że chce, bym wysłuchała nagrania. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z obcymi?

— Mogę pani zaoferować jedynie nagranie — odparł pułkownik Weber.

— Dobra. Wysłuchajmy go.

Pułkownik Weber wyjął z teczki magnetofon i nacisnął start. Nagranie przypominało nieco odgłos wydawany przez otrzępującego się z wody mokrego psa.

— Co pani o tym sądzi? — zapytał pułkownik. Skojarzenie z mokrym psem zachowałam dla siebie.

— W jakim kontekście dokonano tego nagrania?

— Nie jestem upoważniony do odpowiedzi na to pytanie.

— To by mi pomogło w interpretacji tych dźwięków. Czy widział pan obcego, gdy to mówił? Czy robił coś w tym czasie?

— Nagranie to wszystko, co mogę pani zaoferować.

— Jeśli powie mi pan, że widział obcych, nie zdradzi pan żadnej tajemnicy. Wszyscy się tego domyślają.

Pułkownik Weber nie zamierzał ustąpić.

— Czy może pani nam coś powiedzieć o lingwistycznych właściwościach nagrania? — zapytał.

— No cóż, nie ulega wątpliwości, że ich narządy głosowe znacznie się różnią budową od ludzkich. Przypuszczam, że obcy nie przypominają wyglądem ludzi?

Pułkownik miał zamiar ponownie udzielić mi jakiejś wymijającej odpowiedzi, lecz nagle odezwał się Gary Donnelly.

— Czy możesz się czegoś domyślić na podstawie tego nagrania?

— Nie za bardzo. Nie wydaje się, by te dźwięki pochodziły z krtani, ale to mi nic nie mówi o wyglądzie obcych.

— Ale czy może nam pani w ogóle cokolwiek powiedzieć? — zapytał pułkownik Weber.

Widziałam, że nie jest przyzwyczajony do konsultacji z cywilami.

— Tylko tyle, że nawiązanie kontaktu będzie trudne z uwagi na różnice anatomiczne. Obcy niemal z pewnością używają dźwięków, których ludzki układ głosowy nie jest w stanie powtórzyć. Być może nie rozróżnia ich też ludzkie ucho.

— Chodzi ci o infra — i ultradźwięki? — zapytał Gary Donnelly.

— Niekoniecznie. Rzecz w tym, że ludzki układ słuchowy nie jest

absolutnym instrumentem akustycznym, lecz jest przystosowany do rozpoznawania dźwięków produkowanych przez ludzką krtani. Gdy w grę wchodzi obcy układ głosowy, trudno jest cokolwiek przewidzieć. — Wzruszyłam ramionami. — Może przy pewnej wprawie nauczymy się rozróżniać obce fonemy, niewykluczone jednak, że nasze uszy po prostu nie są w stanie wychwycić różnic, które oni uważają za istotne. W takim przypadku, by zrozumieć, co mówi obcy, będzie nam potrzebny spektrograf akustyczny.

— Przypuśćmy, że dałbym pani godzinne nagranie. Ile czasu potrzebowałaby pani, żeby określić, czy ten spektrograf akustyczny będzie potrzebny? — zapytał pułkownik Weber.

— Samo nagranie nie wystarczy, bez względu na to, ile czasu będę miała. Musiałabym porozmawiać z obcymi bezpośrednio.

Potrząsnął głową.

— To niemożliwe.

— To już oczywiście pańska decyzja — odparłam, starając się posuwać naprzód stopniowo. — Ale nieznanego języka można się nauczyć tylko przez kontakt z jego rodzimym użytkownikiem, to znaczy przez zadawanie pytań, nawiązanie rozmowy i tak dalej. Bez tego po prostu nie można się obejść. Jeśli chce pan poznać język obcych, to językoznawca nauczony pracy w terenie, czy to ja, czy ktoś inny, będzie musiał porozmawiać z jednym z nich. Same nagrania nie wystarczą.

Pułkownik Weber zmarszczył brwi.

— Sugeruje pani, że obcy nie byliby w stanie nauczyć się naszych języków z radia i telewizji?

— Raczej w to wątpię. Potrzebowaliby specjalnych materiałów szkoleniowych przeznaczonych dla obcych istot pragnących poznać ziemskie języki. Albo interakcji z człowiekiem. Gdyby dysponowali jedną z tych dwóch rzeczy, mogliby się nauczyć z telewizji bardzo wiele, ale w przeciwnym razie brakowałoby im punktu zaczepienia.

Pułkownika bardzo to zainteresowało. Najwyraźniej był zdania, że im mniej wiedzą obcy, tym lepiej. Gary Donnelly również wyczytał to z jego twarzy i zatoczył oczyma. Stłumiłam uśmiech.

— Czy gdyby poznawała pani nowy język, rozmawiając z jego rodzimymi użytkownikami, to mogłaby pani tego dokonać, nie ucząc ich

przy tym angielskiego? — zapytał pułkownik Weber.

— To zależy od tego, czy byliby skorzy do współpracy. Niemal z pewnością czegoś by się dowiedzieli, ale gdyby byli skłonni uczyć mnie swego języka, nie musiałyby to być dużo. Z drugiej strony, gdyby woleli sami opanować angielski, zamiast zapoznać nas ze swoim językiem, to znacznie skomplikowałyby nam zadanie.

Pułkownik skinął głową.

— Skontaktuję się jeszcze z panią w tej sprawie.

Telefon z prośbą o to spotkanie był zapewne drugim z najważniejszych w moim życiu. Najważniejszy będzie rzecz jasna ten z Górskiego Pogotowia Ratunkowego. W tym czasie twój tata i ja będziemy ze sobą rozmawiać najwyżej raz na rok. Kiedy jednak odbiorę ten telefon, natychmiast zadzwonię do niego.

Razem pojedziemy zidentyfikować zwłoki. Długa podróż przebiegnie bez słowa. Pamiętam kostnicę: płytki i nierdzewną stal, szum lodówek i woń środków odkażających. Sanitariusz uniesie prześcieradło, by odsłonić twoją twarz. Będzie wyglądała jakoś dziwnie, ale będę wiedziała, że to ty.

— Tak, to ona — powiem. — Moje dziecko. Będziesz miała dwadzieścia pięć lat.

Żandarm sprawdził moją odznakę, zapisał coś w notatniku i otworzył bramę. Wjechałam terenowym pickupem na obszar obozu, małej wioski złożonej z namiotów rozbitych przez wojsko na wypalonym słońcem pastwisku. Pośrodku stała jedna z maszyn obcych, które przewano „zwierciadełkami”.

Zgodnie z tym, czego dowiedziałam się na odprawach, w których uczestniczyłam, w samych Stanach Zjednoczonych było ich dziewięć, a na całym świecie sto dwanaście. Zwierciadełka działały jak dwukierunkowe komunikatory. Zapewne umożliwiały łączność z przebywającymi na orbicie statkami. Nikt nie wiedział, dlaczego obcy nie chcą rozmawiać z nami osobiście. Może bali się wszy. Do każdego zwierciadełka przydzielono ekipę uczonych, w skład której wchodził fizyk i językoznawca. W tym przypadku byłam to ja i Gary Donnelly.

Gary czekał na mnie na parkingu. Przedostaliśmy się przez koliste labirynt betonowych barykad i wreszcie dotarliśmy do wielkiego

namiotu, w którym kryło się samo zwierciadełko. Przed namiotem stał wózek wyładowany sprzętem pożyczonym z naszego laboratorium fonologicznego. Wysłałam ten ładunek przodem, żeby wojsko miało czas poddać wszystko inspekcji.

W sąsiedztwie namiotu stały też trzy ustawione na trójnogach kamery, które zaglądały do środka przez okna w tkaninie. Wszystkiemu, co robiliśmy z Garym, miało się przyglądać mnóstwo ludzi, w tym również wywiad wojskowy. Na dodatek kazano nam codziennie pisać raporty. Ja w swoim miałam zamieszczać ocenę tego, jak dobrze moim zdaniem obcy opanowali angielski.

Gary uniósł połę namiotu i gestem zaprosił mnie do środka.

— Wejdz — zawołał tonem naganiacza wabiącego publiczność do cyrku — i ujrzyj stworzenia, jakich nigdy nie widziano na zielonej Bożej Ziemi.

— I to za jedne dziesięć centów — wyszeptałam, wchodząc do namiotu. Wyłączone zwierciadełko przypominało półokrągłe lustro wysokości ponad dziesięciu stóp i średnicy dwudziestu. Przed nim na brązowej trawie namalowano białym sprayem łuk oznaczający obszar aktywacji. W tej chwili znajdowały się na nim tylko stół, dwa składane krzesła i listwa zasilająca połączona przewodem ze znajdującą się na zewnątrz prądnicą. Brzęczenie światełek, zawieszonych na stojących pod ścianami namiotu tyczkach, mieszało się z bzyczeniem wywabionych z ukrycia przez parny upał much.

Popatrzyliśmy na siebie z Garym, po czym zaczęliśmy pchać wózek ze sprzętem w stronę stołu. Gdy przekroczyliśmy namalowaną linię, zwierciadełko zrobiło się nagle przezroczyste, jakby za barwionym szkłem ktoś zapalał powoli światło. Iluzja głębi robiła niesamowite wrażenie. Wydawało mi się, że mogłabym wejść do środka. Całkowicie rozświetlone zwierciadełko przypominało dioramę naturalnej wielkości, przedstawiającą półokrągły pokój. Znajdowało się w nim kilka dużych przedmiotów, które mogły być meblami, obcych jednak nie było. W łukowatej tylnej ścianie umieszczono drzwi.

Zaczęliśmy włączać wszystko do kontaktu: mikrofon, spektrograf akustyczny, przenośny komputer i głośnik. Przy pracy często spoglądaliśmy w zwierciadełko, czekając na przybycie obcych. Mimo to,

gdy jeden z nich wszedł do pokoju, podskoczyłam w górę z wrażenia.

Wyglądał jak beczka podtrzymywana w połowie wysokości przez siedem kończyn. Miał symetrię promienistą i każdy z owych członków mógł pełnić funkcję ręki albo nogi. Osobnik, którego miałam przed sobą, kroczył na czterech nogach, a trzy niesąsiadujące ze sobą ramiona zwinął u boków. Gary nazywał obcych „siedmionogami”.

Choć widziałam ich już wcześniej na wideo, i tak gapiłam się na niego jak głupia. Kończyny nie miały widocznych stawów. Anatomowie domyślali się, że każda z nich ma własny kręgosłup. Bez względu na ich wewnętrzną budowę, wszystkie poruszały się niepokojąco płynnie. „Tułów” obcego unosił się na falujących kończynach gładko niczym poduszkowiec.

Szczytowy punkt ciała otaczało siedem pozbawionych powiek oczu. Siedmionóg cofnął się do drzwi, przez które wszedł, wydał z siebie krótkie parsknięcie i wrócił na środek pokoju w towarzystwie drugiego obcego, ani razu się nie odwracając. Było to dziwne, lecz logiczne. Jeśli miało się oczy ze wszystkich stron, każdy kierunek mógł być „przodem”.

Gary obserwował moją reakcję.

Gotowa? — zapytał. Zaczerpnęłam głęboko tchu.

Chyba tak.

Nieraz już pracowałam w terenie, w dżungli amazońskiej, zawsze jednak była to procedura dwujęzyczna. Albo moi informatorzy znali trochę portugalskiego, albo miejscowi misjonarze zapoznali mnie już z grubsza z ich językiem. Po raz pierwszy w życiu miałam przystąpić do całkowicie jednojęzycznej procedury badawczej. W teorii wyglądało to prosto.

Podeszłam do zwierciadelka. Znajdujący się po drugiej stronie siedmionóg uczynił to samo. Obraz wyglądał tak realistycznie, że po skórze przebiegły mi ciarki. Widziałam teksturę jego szarej skóry, przypominającą układający się w spirale i pętle sztruks. Zwierciadelko nie przekazywało zapachu, co z jakiegoś powodu czyniło sytuację jeszcze bardziej niezwykłą.

— Człowiek — powiedziałam powoli, wskazując na siebie. Potem wyciągnęłam palec w stronę Gary’ego. — Człowiek. Następnie wskazałam po kolei na oba siedmionogi. — A wy?

Nie zareagowały. Spróbowałam po raz drugi, a potem trzeci.

Jeden z siedmionogów wskazał na siebie jedną kończyną, ściskając razem cztery końcowe palce. Miałam szczęście. W niektórych kulturach wskazywało się podbródkiem. Gdyby istota nie użyła kończyny, nie wiedziałabym, na jaki gest zwracać uwagę. Usłyszałam krótki, turkoczący odgłos i zobaczyłam, że ukryty wśród zmarszczek otwór na szczycie ciała obcego zawibrował przez chwilę. To była mowa. Potem siedmionóg wskazał na swego towarzysza i zafurkotał po raz drugi.

Podeszłam do komputera. Na jego ekranie pojawiły się dwa praktycznie identyczne zapisy spektrografu, odpowiadające furkoczącym dźwiękom. Zazaczyłam próbkę, by ją odegrać. Wskazałam na siebie i powiedziałam: — Człowiek — a następnie powtórzyłam do samo z Garym. Potem wskazałam na siedmionoga i odtworzyłam furkot.

Obcy zafurkotał znowu. Druga połowa zapisu wyglądała na powtórzenie; jeśli nazwać ją [furkot1], obcy powiedział: [furkot2furkot1].

Wskazałam na coś, co mogło być siedmionogowym krzesłem.
— Co to jest?

Obcy zawahał się przez chwilę, po czym wskazał na „krzesło” i powiedział coś jeszcze. Spektrogram wyglądał inaczej niż w przypadku poprzednich dźwięków: [furkot3]. Tak jak poprzednio, wskazałam na „krzesło” i odtworzyłam [furkot3].

Siedmionog mi odpowiedział. Według spektrografu było to [furkot3furkot2]. Optymistyczna interpretacja: obcy potwierdzał trafność moich domysłów, co znaczyłoby, że ludzie i siedmionogi podobnie wyobrażają sobie dialog. Pesymistyczna interpretacja: dręczył go uporczywy kaszel.

Zazaczyłam wybrane fragmenty zapisu i przypisałam im hipotetyczne znaczenia: „siedmionóg” dla [furkot1], „tak” dla [furkot2] i „krzesło” dla [furkot3]. Potem umieściłam na górze nagłówki: „Język: siedmionogowy A”.

Gary przyglądał się moim poczynaniom.

— Co znaczy „A”? — zapytał.

— Ma odróżniać ten język od innych, jakimi mogą się posługiwać siedmionogi — wyjaśniłam. Skinął głową.

— A teraz spróbujmy czegoś dla śmiechu. Wskazałam po kolei na

obu obcych, próbując wydać z siebie dźwięk [furkotl], „siedmionóg”. Po długiej przerwie pierwszy z przybyszów coś powiedział, a drugi dodał coś innego. Spektrogramy nie przypominały niczego, co mówili wcześniej. Nie miałam pojęcia, czy rozmawiają ze sobą, czy też zwracają się do mnie, nie mieli bowiem twarzy, którą mogliby odwrócić. Raz jeszcze spróbowałam wymówić [furkotl], lecz obcy nie zareagowali.

— Nic z tego — poskarżyłam się.

Jestem pod wrażeniem, że w ogóle potrafisz wydawać takie dźwięki — odezwał się Gary.

Szkoda, że nie słyszałeś, jak naśladuję łośia. Zlatują się do mnie jak szalone.

Próbowałam jeszcze kilka razy, lecz żaden z siedmionogów nie odpowiedział mi niczym, co mogłabym rozpoznać. Dopiero gdy odtworzyłam nagranie ich głosu, otrzymałam potwierdzenie. Istota wydała z siebie [furkot2], „tak”.

— A więc jesteśmy skazani na nagrania? — zapytał Gary. Skinęłam głową.

— Przynajmniej na razie. — I co teraz?

— Teraz musimy się upewnić, czy przypadkiem nie mówią: „ale sprytne stworzonka” albo „popatrz, co oni wyprawiają”. Potem sprawdzimy, czy potrafimy zidentyfikować te słowa, gdy wypowiada je drugi siedmionóg. — Wskazałam na krzesło. — Usiądź sobie wygodnie. To trochę potrwa.

W1770 roku statek kapitana Cooka, *Endeavour*, osiadł na mieliźnie u brzegów Queensland. Marynarze zajęli się naprawami, a sam Cook zorganizował grupę zwiadowczą i spotkał się z tubylcami. Jeden z jego ludzi wskazał na noszące młode w torbach zwierzęta, które skakały nieopodal, i zapytał tubylca, jak się nazywają. Ten odpowiedział: „kangura”. Od tej pory Cook i jego marynarze tak właśnie nazywali owe stworzenia. Dopiero znacznie później dowiedzieli się, że słowo to znaczy: „co mówisz?”.

Rokrocznie opowiadam tę anegdotę studentom pierwszego roku. Niemal na pewno nie jest prawdziwa, i potem im to wyjaśniam, to jednak klasyczny przykład. Rzecz jasna, przez całą resztę mojej kariery studenci tak naprawdę będą chcieli usłyszeć anegdoty o siedmionogach i

po to właśnie tak wielu z nich będzie się zapisywało na moje kursy. Dlatego będę im pokazywała stare nagrania rozmów, które prowadziłam przez zwierciadełko, a także sesji, które odbyli inni językoznawcy. Te nagrania są pouczające i okażą się użyteczne, jeśli obcy jeszcze nas kiedyś odwiedzą, ale nie mogą być źródłem zbyt wielu dobrych anegdot.

Moimi ulubionymi anegdotami o nauce języka są te, które mówią o dzieciach. Pamiętam pewne popołudnie, gdy będziesz miała pięć lat. Właśnie wrócisz z przedszkola i będziesz kolorowała obrazki, podczas gdy ja zajmę się sprawdzaniem prac.

— Mamo — odezwiesz się, udając obojętność, tak jak robisz to zawsze, gdy czegoś ode mnie chcesz. — Czy mogę cię o coś prosić?

— Oczywiście, kochanie? Słucham.

— Czy mogę, hm, nieść złotą rybkę? Podnoszę wzrok znad pracy.

— Nie rozumiem.

— W szkole Sharon powiedziała, że niosła złotą rybkę.

— Naprawdę? A czy wyjaśniła ci, co to znaczy?

— No bo jej starsza siostra wychodziła za męża i Sharon powiedziała, że tylko jedna osoba może, hm, nieść złotą rybkę i to była właśnie ona.

— Aha, rozumiem. Chodzi ci o to, że Sharon niosła welon.

— Ehe. Czy ja też mogę nieść welona?

Weszliśmy z Garym do wzniesionego z prefabrykatów budynku, w którym znajdowało się centrum operacyjne. Wyglądało to tak, jakby przygotowywano tam inwazję albo może ewakuację: ostrzyżeni na jeża żołnierze pochylali się nad wielką mapą okolicy albo siedzieli przy masywnym elektronicznym sprzęcie ze słuchawkami na uszach. Zaprowadzono nas do gabinetu pułkownika Webera, pokoiku na zapleczu, który wyposażono w klimatyzację, dzięki czemu panował w nim przyjemny chłód.

Zapoznałam pułkownika z wynikami pierwszego dnia swej pracy.

— Nie osiągnęła pani zbyt wiele — stwierdził.

— Wiem już, co trzeba zrobić, by posuwać się szybciej — odpowiedziałam. — Ale musi pan wyrazić zgodę na użycie większej ilości sprzętu.

— Czego konkretnie pani potrzebuje?

— Kamery cyfrowej i wielkiego monitora. — Pokazałam mu rysunek układu, który sobie wyobraziłam. — Chcę poprowadzić procedurę nauki przy użyciu pisma. Będę wyświetlała słowa na ekranie, a kamera zarejestruje to, co napiszą siedmionogi. Mam nadzieję, że odpowiedzą mi w analogiczny sposób.

Weber popatrzył z niedowierzaniem na rysunek.

— A co to nam da?

— Dotąd postępowałam z nimi tak jak z użytkownikami języka pozbawionego postaci pisemnej. Potem jednak przyszło mi do głowy, że siedmionogi z pewnością znają pismo.

— I co z tego?

— Jeśli mają jakiś mechaniczny sposób zapisywania wyrazów, ich pismo powinno zawsze mieć taką samą postać. Grafemy będą łatwiejsze do zidentyfikowania od fonemów. To tak, jak rozróżniać litery drukowanego zdania, zamiast starać się usłyszeć głoski.

— Rozumiem, w czym rzecz — przyznał. — A w jaki sposób chce im pani odpowiadać? Pokazywać im słowa, które napiszą?

— Zasadniczo tak. A jeśli robią odstęp między wyrazami, zapisane zdania będą znacznie łatwiejsze do zrozumienia od tego, co możemy wysłuchać z nagrań.

Odchylił się do tyłu na krześle.

— Wie pani, że wolelibyśmy, żeby dowiedzieli się jak najmniej o możliwościach naszej techniki.

— Rozumiem to, ale i tak korzystamy już z pośrednictwa maszyn. Jestem przekonana, że jeśli uda się nam skłonić obcych do pisemnej komunikacji, postępy okażą się znacznie szybsze niż osiągnane za pomocą spektrografów.

Pułkownik spojrzał na Gary'ego.

— A co pan o tym sądzi?

— Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Zastanawiam się tylko, czy siedmionogi nie będą miały trudności z odczytaniem naszych monitorów. Ich zwierciadełka są oparte na zupełnie innej technologii niż stosowane przez nas ekrany. Jeśli się nie mylimy, siedmionogi nie używają pikseli i linii wybierania ani nie odświeżają nieustannie obrazu.

— Sądzi pan, że linie wybierania w naszych monitorach mogą

uniemożliwić obcym odczytanie obrazu?

— To niewykluczone — odparł Gary. — Będziemy musieli to sprawdzić.

Weber zaczął się zastanawiać nad tą kwestią. Dla mnie nie był to żaden problem, ale on stanął przed trudnym dylematem. Był jednak żołnierzem i szybko podjął decyzję.

— Zgoda. Powiedźcie sierżantowi, żeby na jutro sprowadził wam wszystko, czego potrzebujecie.

Pamiętam pewien letni dzień, gdy będziesz miała szesnaście lat. Tym razem to ja się umówię i będę czekała na jego przybycie. Rzecz jasna, ty też będziesz siedziała w domu, ciekawa, jak on wygląda. Będzie z tobą koleżanka, rozchichotana alondynka o nieprawdopodobnym imieniu Roxie.

— Może cię najść ochota, by wygłaszać komentarze na jego temat — powiem, przeglądając się w lustrze w korytarzu. — Lepiej zaczekaj z tym, aż wyjdzie.

— Nie martw się, mamó — uspokoisz mnie. — Zrobimy to tak, że niczego się nie domyśli. Roxie, zapytasz mnie, jaka w nocy będzie pogoda. Wtedy ci powiem, co myślę o nowym chłopaku mamy.

— Jasne — zgodzi się Roxie.

— Nie ma mowy — zaprotestuję.

— Spoko, mamó. Niczego się nie domyśli. Zawsze tak robimy.

— Bardzo mnie to cieszy.

Po chwili przyjedzie po mnie Nelson. Przedstawię was sobie i zatrzymamy się na chwilę na werandzie, żeby pogadać. Nelson jest na szorstki sposób przystojny, co wyraźnie wzbudzi twoją aprobatę. Gdy już będziemy chcieli iść, Roxie zapyta cię od niechcienia:

— Jak myślisz, jaka będzie dziś w nocy pogoda?

— Chyba będzie bardzo gorąco — odpowiesz. Roxie skinie głową na znak potwierdzenia.

Naprawdę? — zdziwi się Nelson. — Zapowiadali, że będzie raczej chłodno.

— Mam w takich sprawach szósty zmysł — oznajmisz mu. Twoja twarz niczego nie zdradzi. — Coś mi się zdaje, że szykuje się piekielny upał. Całe szczęście, że odpowiednio się ubrałaś, mamó.

Przeszyję cię wściekłym spojrzeniem i powiem „dobranoc”.

— Chyba coś mi umknęło, prawda? — zapyta mnie Nelson, gdy będziemy szli w stronę jego samochodu.

— To nasz prywatny żart — mruknę pod nosem. — Nie proś mnie, żebym ci go wytłumaczyła.

Podczas następnej sesji przed zwierciadełkiem powtórzyliśmy poprzednią procedurę, lecz mówiąc „człowiek”, wyświetlaliśmy na monitorze słowo CZŁOWIEK i tak dalej. Po pewnym czasie siedmionogi zrozumiały, o co nam chodzi, i ustawiły na niskim postumencie płaski, okrągły ekran. Jeden z nich wypowiadał dany wyraz, a potem wsuwał kończynę w wielkie gniazdko umieszczone na postumencie i na ekranie pojawiały się przypominające nieco ręczne pismo gryzmoły.

Wkrótce wpadliśmy w rutynę i kompilowałam dwa równoległe słowniki: jeden zawierający wypowiadane wyrazy, a drugi — próbki pisma. Sądząc po pierwszym wrażeniu, ich pismo wyglądało na logograficzne. Rozczarowało mnie to. Liczyłam na alfabet, który pomoże nam nauczyć się mowy siedmionogów. Ich logogramy mogły zawierać jakąś fonetyczną informację, ale odczytanie jej będzie znacznie trudniejsze niż w przypadku alfabetycznego pisma.

Zbliżywszy się do zwierciadełka, mogłam wskazywać różne części ciał siedmionogów, takie jak kończyny, palce czy oczy, i dopytywać się o ich nazwy. Okazało się, że obcy mają pod spodem otoczony wyposażonymi w stawy kostnymi wyrostkami otwór, który prawdopodobnie służył im do jedzenia, podczas gdy ten na szczycie wykorzystywali do oddychania i mowy. Nie dostrzegliśmy żadnych innych otworów. Być może ich usta były jednocześnie odbytem. Takie pytania będą musiały poczekać.

Próbowałam też dowiedzieć się od naszych informatorów tego, jak zwracać się do każdego z nich z osobna. Jak mają na imię, jeśli w ogóle używali czegoś takiego. Ich odpowiedzi oczywiście nie potrafiliśmy wymówić, nazwaliśmy ich więc z Garym Klaskacz i Prychacz. Miałam nadzieję, że potrafię ich od siebie odróżnić.

Następnego dnia przed wejściem do namiotu naradziłam się z Garym.

— Dzisiaj będziesz musiał mi pomóc — powiedziałam mu.

— Dobra. A co mam robić?

— Musimy poznać trochę czasowników, a najłatwiejsze do przedstawienia są formy trzeciej osoby. Zgodzisz się odegrać kilka czasowników, podczas gdy ja będę przekazywała ich pisaną postać? Jeśli nam się poszczęści, siedmionogi zorientują się, o co nam chodzi, i odpowiedzą tym samym. Przyniosłam rekwizyty dla ciebie.

— Nie ma sprawy — stwierdził Gary, strzelając palcami. — Możemy startować.

Zaczęliśmy od prostych czasowników nieprzechodnich: chodzić, skakać, mówić, pisać. Gary demonstrował każdy z nich z czarującym brakiem zażenowania. Obecność kamer w ogóle go nie krępowała. Po każdej z odegranych przez niego scenek pytałam siedmionogi: „jak to nazywacie?”. Po chwili pojęły, o co nam chodzi, i Prychacz zaczął naśladować Gary’ego albo przynajmniej wykonywać analogiczne siedmionogowe działania. Klaskacz pracował przy ich komputerze, wypisując nazwę każdej czynności i wypowiadając ją głośno.

W spektrogramach jego wypowiedzi rozpoznawałam słowo, które przedtem zidentyfikowałam jako „siedmionóg”. Resztę zapewne stanowił czasownik. Na szczęście wyglądało na to, że w ich języku występują odpowiedniki rzeczowników i czasowników.

Z pismem sprawy były jednak bardziej skomplikowane. Każdej czynności odpowiadał jeden logogram, a nie dwa oddzielne. Początkowo sądziłam, że piszą coś takiego jak „idzie” z podmiotem domyślnym. Dlaczego jednak Klaskacz miałby mówić „siedmionóg idzie”, a pisać tylko „idzie”, zamiast postępować w obu przypadkach analogicznie? Potem zauważyłam, że niektóre z logogramów przypominają ten, który znać „siedmionóg”, z kilkoma dodatkowymi kreskami po jednej albo drugiej stronie. Być może ich czasowniki można było zapisywać jako przedrostki do rzeczownika. Ale w takim razie dlaczego Klaskacz w jednych przypadkach zapisywał rzeczownik, a w innych nie?

Postanowiłam przejść na czasowniki przechodnie. Wprowadzenie słów oznaczających przedmiot czynności mogło wyjaśnić sprawę. Wśród przyniesionych przeze mnie rekwizytów znajdowało się jabłko i kromka chleba.

— No dobra — powiedziała Gary’emu. — Pokaż im to, a potem zjedz kawałek. Najpierw jabłko, a po nim chleb.

Gary wskazał na Golden Delicious, a potem odgryzł kęs, podczas gdy ja wyświetliłam zapytanie: „jak to nazywacie?”. Potem powtórzyliśmy to samo z kromką pszennego chleba.

Prychacz wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z jakimś olbrzymim orzechem albo tykwą oraz galaretowatą elipsoidą. Potem wskazał na tykwę, a Klaskacz wypowiedział jakieś słowo i wyświetlił logogram. Następnie Prychacz wsadził sobie tykwę między nogi, rozległ się chrzęst i tykwa wynurzyła się na zewnątrz nadgryziona. Pod skorupą kryły się ziarna przypominające kukurydzę. Klaskacz coś powiedział i wyświetlił na ekranie wielki logogram. Spektrogram akustyczny o znaczeniu „tykwa” przybrał w zdaniu nieco inną postać. Być może był to wyznacznik przypadku. Logogram wyglądał dziwnie. Po dłuższej analizie udało mi się zidentyfikować symbole o znaczeniu „siedmionóg” i „tykwa”. Wyglądały na połączone w całość z dodatkiem kilku kresek, które zapewne znaczyły „jeść”. Czyżby była to wielosłowna ligatura?

Potem poznaliśmy mówioną i pisaną nazwę żelatynowego jaja oraz opis czynności spożywania go. Akustyczny spektrogram zdania „siedmionóg je żelatynowe jajo” dawało się zanalizować. Zgodnie z oczekiwaniami „żelatynowe jajo” miało wyznacznik przypadku, choć szyk wyrazów w zdaniu był inny niż poprzednim razem. Forma pisana, kolejny wielki logogram, nastrożyła jednak poważnych trudności. Tym razem potrzebowałam znacznie więcej czasu, by cokolwiek w niej rozpoznać. Nie tylko poszczególne logogramy znowu były ze sobą stopione, lecz wyglądało na to, że ten, który znaczy „siedmionóg”, leży na plecach, a na jego szczycie postawiono na głowie logogram oznaczający „żelatynowe jajo”.

— O, kurczę. — Przyjrzałam się uważniej symbolom oznaczającym proste przykłady połączeń rzeczownika z czasownikiem, które przedtem wydawały mi się niespójne. Teraz do mnie dotarło, że wszystkie zawierają logogram znaczący „siedmionóg”, lecz w niektórych przypadkach obrócony wokół osi i zniekształcony przez połączenie z różnymi czasownikami, co początkowo nie pozwoliło mi go rozpoznać. — Nie róbcie mnie w balona — wymamrotałam.

— Co się stało? — zapytał Gary.

— Ich pismo nie dzieli się na słowa. Zdanie tworzy się przez połączenie logogramów oznaczających składowe wyrazy. Robią to przez rotację i zmianę kształtu. Zobacz sam.

Pokazałam mu obrócone wokół osi logogramy.

— To znaczy, że mogą przeczytać dane słowo równie łatwo bez względu na jego pozycję — zastanawiał się Gary. Spojrzał z uznaniem na siedmionogi. — Ciekawe, czy to konsekwencja symetrii promienistej. Ich ciała nie mają „przodu”, to może ich pismo również go nie ma. Wysoce sprytne.

Nie potrafiłam uwierzyć, że współpracuję z kimś, kto łączy przymiotnik „sprytne” z przysłówkiem „wysoce”.

— To z pewnością interesujące — zgodziłam się. — Ale wynika z tego, że trudno nam będzie zapisać nasze zdania w ich języku. Nie możemy po prostu pociąć ich zdań na pojedyncze słowa i połączyć w nową całość. Nim zdołamy napisać coś sensownego, będziemy musieli nauczyć się zasad. Stoi przed nami ten sam problem z ciągłością, na który natknęliśmy się przy próbie łączenia fragmentów mowy, tyle że tym razem dotyczy pisma.

Popatrzyłam na Klaskacza i Prychacza, którzy czekali po drugiej stronie zwierciadełka, aż zaczniemy znowu.

— Nie macie zamiaru ułatwiać nam zadania, co? — zapytałam z westchnieniem.

Trzeba przyznać, że siedmionogi współpracowały z nami bardzo chętnie. W następnych dniach bez oporów uczyły nas swego języka, nie domagając się, byśmy w zamian zapoznali je z angielskim. Pułkownik Weber i jego banda gryźli się implikacjami tego faktu, ja natomiast uczestniczyłam w telekonferencjach z językoznawcami pracującymi przy innych zwierciadełkach. Dzieliliśmy się ze sobą tym, czego się dowiedzieliśmy o języku siedmionogów. Telekonferencje robiły dziwaczne wrażenie. W porównaniu ze zwierciadełkami siedmionogów nasze ekrany były prymitywne i moi koledzy wydawali mi się bardziej odlegli od obcych. To, co znane, było daleko, a to, co niezwykle, tuż pod ręką.

Brakowało nam jeszcze wiele do tego, byśmy potrafili zapytać

siedmionogi, dlaczego nas odwiedziły, albo rozmawiać z nimi o fizyce na tyle płynnie, by móc zadawać pytania dotyczące ich techniki. Na razie pracowaliśmy nad podstawami: jnemiką i grafemiką, słownictwem, składnią. Siedmionogi *we* wszystkich zwierciadełkach używały tego samego języka, mogliśmy więc wymieniać się danymi i koordynować nasze wysiłki.

Najbardziej zbijało nas z tropu „pismo” obcych. W ogóle nie przypominało zapisanych słów, lecz raczej skomplikowane graficzne wzory. Logogramy nie były ustawione w rzędy, spirale ani w jakikolwiek inny liniowy sposób. Klaskacz i Prychacz zapisywali zdanie, łącząc wszystkie potrzebne logogramy w jeden wielki konglomerat.

Ta postać pisma przypominała prymitywny język znaków, w którym czytający musiał znać kontekst tekstu, aby go zrozumieć. Uważano, że podobny system ma zbyt ograniczone możliwości, by mógł służyć do systematycznego gromadzenia informacji. Było jednak mało prawdopodobne, że siedmionogi osiągnęły wysoki poziom techniki, posiłkując się jedynie tradycją ustną. Sugerowało to trzy następujące możliwości: po pierwsze, obcy mieli prawdziwe pismo, ale nie chcieli używać go w naszej obecności. Pułkownik Weber potrafiłby się zidentyfikować z taką myślą. Po drugie, możliwe, że nie stworzyli techniki, której używali, i są analfabetami korzystającymi z maszyn skonstruowanych przez kogoś innego. Trzecia, najbardziej dla mnie interesująca możliwość wyglądała tak, że siedmionogi używają nieliniowego systemu ortografii, który można było uznać za prawdziwe pismo.

Pamiętam rozmowę, którą odbędziemy, gdy będziesz w pierwszej klasie szkoły średniej. Będzie niedziela rano i będę smażyła jajecznicę, a ty nakryjesz stół do drugiego śniadania. Ze śmiechem opowiesz mi o imprezie, na której byłaś poprzedniego dnia.

— O, kurde — powiesz. — Mają rację, kiedy mówią, że waga dużo znaczy. Nie wypiliśmy więcej niż chłopaki, ale byłam znacznie bardziej pijana.

Będę się starała przybrać neutralny, miły wyraz twarzy. Naprawdę będę się starała.

— Daj spokój, mamó — powiesz wtedy.

— Słucham?

— Przecież wiesz, że w moim wieku robiłaś to samo.

— Nie robiłam nic w tym rodzaju, będę jednak wiedziała, że gdybym się do tego przyznała, całkowicie straciłabyś do mnie szacunek.

— Pamiętasz, żeby nie prowadzić ani nie wsiadać do samochodu, jeśli...

— Boże, pewnie, że pamiętam. Masz mnie za idiotkę?

— Oczywiście, że nie.

Pomyśle wtedy z irytacją, że z całą pewnością jesteś inna ode mnie. To po raz kolejny uzmysłowi mi, że nie będziesz moim klonem. Będziesz cudowna i zachwycająca, ale nie będziesz kimś, kogo mogłabym stworzyć sama.

Wojsko ustawiło w pobliżu zwierciadełka przyczepę, w której znajdowały się nasze gabinety. Zobaczyłam, że Gary idzie w jej stronę i podbiegłam do niego.

— To jest semazjograficzny system pisma — powiedziałam mu.

— Słucham?

— Chodź, pokażę ci. — Zaprowadziłam Gary'ego do swego gabinetu. Kiedy znaleźliśmy się w środku, podeszłam do tablicy i narysowałam na niej okrąg przecięty skośną linią. — Co to znaczy?

— Zabrania się?

— Tak jest. — Potem napisałam na tablicy słowa ZABRANIA SIĘ. — I to też. Ale tylko jeden z tych zapisów reprezentuje mowę.

Gary skinął głową.

— Zgadza się.

— Językoznawcy nazywają to — wskazałam na drukowane słowa — pismem glotograficznym, ponieważ jest ono reprezentacją mowy. Do tej kategorii należą wszystkie ludzkie systemy pisma. Natomiast ten symbol — wskazałam na przekreślony okrąg — jest przykładem pisma semazjograficznego. To znaczy, że wyraża znaczenie bez odniesienia do mowy. Żaden z jego składników nie odpowiada konkretnym dźwiękom.

— Sądzisz, że takie właśnie jest pismo siedmionogów?

— Wnioskując z tego, co widziałam do tej pory, to tak. To nie jest pismo obrazkowe. Ich system jest znacznie bardziej skomplikowany. Ma własne zasady budowania zdań, wzrokową składnię, której nic nie łączy

ze składnią ich mówionego języka.

— Wzrokową składnię? Mogłabyś pokazać mi jakiś przykład?

— Już się robi. — Usiadłam za biurkiem i wyświetliłam obraz z wczorajszej sesji z Prychaczem. Obróciłam monitor, by Gary widział ekran. — W ich mówionym języku rzeczownik ma wyznacznik przypadku, określający, czy mamy do czynienia z mianownikiem, czy z biernikiem. Natomiast w pisanim języku rzeczownik identyfikuje się jako podmiot lub przedmiot zależnie od położenia logogramu w stosunku do czasownika. Zobacz sam. — Wskazałam na jeden ze znaków. — Na przykład, kiedy słowo „siedmionóg” łączy się ze słowem „słysz” w ten sposób i te kreski są równoległe, znaczy to, że siedmionóg słysz. — Pokazałam mu inny symbol. — A kiedy znaki są połączone w ten sposób i kreski są prostopadłe do siebie, znaczy to, że siedmionóg jest słyszany. Podobna morfologia występuje w przypadku kilku innych czasowników. Kolejny przykład to system fleksyjny. — Wyświetliłam na ekranie następny obraz. — W ich pisanim języku ten logogram znaczy w przybliżeniu „słysz bez trudu” albo „słysz wyraźnie”. Widzisz elementy wspólne z logogramem znaczącym „słysz”? Nadal można go połączyć z logogramem „siedmionóg”, by napisać, że siedmionóg słysz coś wyraźnie albo siedmionóg jest wyraźnie słyszany. Najciekawsze jest jednak to, że modulacja „słysz” w „słysz wyraźnie” nie jest szczególnym przypadkiem. Widzisz, jakiego przekształcenia używają? Gary skinął głową, wskazując palcem.

— Wydaje się, że oddają pojęcie „wyraźnie”, zmieniając krzywiznę tych kresek.

— Zgadza się. Ta sama modulacja ma zastosowanie do bardzo wielu czasowników. W ten sam sposób logogram „widzi” można przekształcić w „widzi wyraźnie”. To samo dotyczy logogramu „czyta” i wielu innych. Zmiana krzywizny tych kresek nie ma żadnego odpowiednika w ich mowie. W mówionym języku, by wyrazić, że coś się robi wyraźnie, dodają do czasownika przedrostek, a czasowniki „widzieć” i „słyszeć” wymagają różnych przedrostków. Jest też wiele innych przykładów, ale rozumiesz już, o co mi chodzi. Krótko mówiąc, to jest dwuwymiarowa gramatyka.

Zaczął spacerować po gabinecie, pogrążony w myślach.

— Czy w ludzkich systemach pisma spotyka się coś w tym rodzaju?

— Równania matematyczne, notacja muzyczna i taneczna. Wszystko to jednak są bardzo wyspecjalizowane systemy. Nie moglibyśmy przy ich użyciu zapisać tej rozmowy. Z drugiej strony, podejrzewam, że gdybyśmy dobrze poznali pismo siedmionogów, potrafilibyśmy oddać w nim naszą konwersację. Jestem przekonana, że to pełnowartościowy, uniwersalny język graficzny.

Gary zmarszczył brwi.

— To znaczy, że ich pismo i ich mowa to dwa zupełnie odrębne języki. Zgadza się?

— Zgadza. Właściwie dla precyzji powinniśmy nazywać ich pismo „siedmionogowym B” i używać nazwy „siedmionogowy A” tylko na określenie języka mówionego.

— Zaczekaj chwilkę. Po co im dwa języki, skoro wystarczyłby jeden? To niepotrzebnie utrudnia naukę.

— Jak angielska ortografia? — zapytałam. — Łatwość nauki nie jest podstawowym czynnikiem ewolucji języka. Niewykluczone, że w społeczeństwie siedmionogów pismo i mowa pełnią tak różne funkcje kulturowe bądź poznawcze, że więcej sensu ma dla nich używanie dwóch odrębnych języków niż różnych form tego samego.

Zastanowił się nad tym.

— Rozumiem, o co ci chodzi. Mogą uważać, że nasza postać pisma jest nadmiarowa, zupełnie jakbyśmy marnowali drugi kanał informacyjny.

— To całkiem możliwe. Kiedy dowiemy się, dlaczego używają w piśmie innego języka, to powie nam to o nich bardzo wiele.

— To znaczy, że ich pismo nie pomoże nam w nauce języka mówionego.

— Tak, to narzucająca się implikacja — przyznałam z westchnieniem. — Sądzę jednak, że nie możemy zignorować ani siedmionogowego A, ani siedmionogowego B. Konieczne jest podejście dwutorowe. — Wskazałam na ekran. — Założę się, że znajomość ich dwuwymiarowej gramatyki pomoże ci później w opanowaniu ich notacji matematycznej.

— Masz trochę racji. To znaczy, że jesteśmy już gotowi pytać ich o matematykę?

— Jeszcze nie. Nim przejdziemy do innych spraw, najpierw musimy lepiej opanować ich pismo — odparłam. Uśmiechnęłam się na widok jego sfrustrowanej miny. — Cierpliwości, mój panie. Cierpliwość jest cnotą.

Gdy będziesz miała sześć lat, twojego ojca zaproszą na konferencję na Hawajach i polecimy tam razem z nim. Będziesz tak podekscytowana, że zaczniesz się przygotowywać na całe tygodnie przedtem. Zasypiesz mnie pytaniami o kokosy, wulkany i surfing. Będziesz ćwiczyła przed lustrem taniec hula. Wypełnisz walizkę ubraniami i zabawkami, które będziesz chciała zabrać, a potem będziesz ją taszczyła po mieszkaniu, by się przekonać, jak długo możesz ją nieść. Zapytasz mnie, czy mogłabym włożyć twój blok rysunkowy do swojej torby, bo w twoim bagażu już się nie zmieści, a nie możesz się nigdzie bez niego ruszyć.

— Nic z tego ci się nie przyda — powiem. — Będziesz tam miała tak wiele zajęć, że zabraknie ci czasu na zabawki.

Zastanowisz się nad moimi słowami. Kiedy będziesz intensywnie myślała, nad twoimi brwiami zawsze będą się pojawiały kreseczki. W końcu zgodzisz się zapakować mniej zabawek, ale twoje oczekiwania jeszcze wzrosną.

— Chcę już być na Hawajach — będziesz zawodziła.

— Czasem lepiej jest poczekać — odpowiem. — Oczekiwanie zwiększa późniejszą przyjemność.

Wydmiesz tylko usta.

W następnym napisanym przeze mnie raporcie zasugerowałam, że termin „logogram” jest błędny, gdyż sugeruje, że każdy symbol reprezentuje słowo, podczas gdy w rzeczywistości pisanych symboli nic nie łączy z naszym pojęciem mówionych wyrazów. Nie chciałam też używać nazwy „ideogram” jako obciążonej skojarzeniami z przeszłości. Dlatego zasugerowałam termin „semagram”.

Wyglądało na to, że semagramy w przybliżeniu odpowiadają pisany wyrazom ludzkich języków: posiadają niezależne znaczenie i w połączeniu z innymi semagramami mogą tworzyć wypowiedzi dowolnej długości. Nie potrafiliśmy stworzyć precyzyjnej definicji semagramu, ale

też nikt do tej pory nie zdefiniował wyczerpująco „wyrazu” ludzkich języków. Jeśli jednak chodzi o zdania siedmionogowego B, sprawy były bardziej skomplikowane. Język ten nie miał żadnej interpunkcji. Składnię determinował sposób, w jaki łączono ze sobą semagramy, a wyznaczanie rytmu mowy nie było konieczne. Nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób podzielić pary przedmiot — przydawka, by stworzyć zdania. „Zdaniem” była dowolna liczba semagramów, które siedmionóg postanowił połączyć w całość. Jediną różnicą między zdaniem a akapitem czy stroną był rozmiar.

Gdy zdanie siedmionogowego B przybierało większe rozmiary, jego widok robił spore wrażenie. Kiedy nie próbowałam go odczytać, kojarzyło mi się z wyszukany obrazem narysowanych pochyłą kreską modliszek, które czepiały się siebie, tworząc kratownicę w stylu Eschera, a każda z nich różniła się nieco postawą od pozostałych. Największe zdania działały na mnie zupełnie jak psychodeliczne plakaty. Czasem wywoływały łyzy, a czasem hipnotyzowały.

Pamiętam twoje zdjęcie z uroczystości ukończenia college’u. Stoisz na nim upozowana przed aparatem, bilet masz lekko przekrzywiony, jedną ręką dotykasz ciemnych okularów, a drugą wspierasz na biodrze. Rozchylasz togę, by pokazać koszulkę treningową i szorty, które masz pod spodem.

Pamiętam tę uroczystość. Trochę zatruje mi życie fakt, że Nelson, twój ojciec i ta jak ją tam zwał będą obecni, ale to będzie drobiazg. Przez cały weekend będziesz mnie przedstawiała swoim kolegom z klasy i ciągle będziesz kogoś ścisłała. Zaniemówię ze zdumienia. Nie będę mogła uwierzyć, że ta dorosła kobieta, wyższa ode mnie i tak piękna, że serce mnie boli, gdy na nią patrzę, będzie tą samą dziewczynką, którą brałam na ręce, by mogła dosięgnąć fontanny wody pitnej, tą samą, która wypadła kiedyś z mojej sypialni ubrana w suknię, kapelusz i cztery chusty z mojej szafki.

Po ukończeniu college’u podejmiesz pracę jako analityk finansowy. Nie będę rozumiała tego, co robisz, ani nawet twojej fascynacji pieniędzmi, tego, że szukając pracy, będziesz się kierowała przede wszystkim wysokością pensji. Wolałabym, żebyś zajęła się czymś, nie myśląc o zarobkach, nie będę się jednak mogła skarżyć. Moja

matka nigdy nie potrafiła pojąć, dlaczego nie mogę po prostu uczyć angielskiego w szkole średniej. Będziesz robiła to, co cię uszczęśliwi. Nie proszę o nic więcej.

Z biegiem czasu ekipy pracujące przy poszczególnych zwierciadełkach na poważnie zajęły się nauką podstaw siedmionogowej terminologii matematycznej i fizycznej. Podczas prezentacji współpracowaliśmy ze sobą. Językoznawcy skupiali się na procedurze, a fizycy na poruszanych kwestiach. Ci ostatni zapoznali nas też ze stworzonymi przedtem, opartymi na matematyce systemami porozumiewania się z obcymi. Opracowano je jednak z myślą o rozmowie przez radioteleskop, musieliśmy je więc przerobić, by nadawały się do bezpośredniej komunikacji.

Nasze ekipy odniosły pewne sukcesy z podstawową arytmetyką; gdy jednak doszły do geometrii i algebry, natrafiły na blok. Próbowaliśmy używać sferycznych współrzędnych zamiast prostokątnych, w nadziei, że ten system wyda się siedmionogom bardziej naturalny z uwagi na ich anatomię, nic to jednak nie dało. Obcy w ogóle nie rozumieli, o co nam chodzi.

Rozmowy o fizyce również szły kiepsko. Odnieśliśmy sukces tylko w przypadku najbardziej konkretnych terminów, takich jak nazwy pierwiastków. Gdy kilkakrotnie pokazaliśmy im układ okresowy, w końcu zrozumieli, w czym rzecz. Jeśli jednak chodzi o sprawy choć w najmniejszym stopniu abstrakcyjne, równie dobrze moglibyśmy wydawać z siebie kompletny bełkot. Próbowaliśmy przedstawić im podstawowe fizyczne pojęcia, takie jak masa i przyśpieszenie, by poznać określające je terminy, lecz siedmionogi po prostu domagały się uściślenia. Chcąc uniknąć problemów z postrzeganiem, jakie mógł powodować dany środek przekazu, uciekliśmy się do czynnych demonstracji, a także rysunków kreskowych, fotografii i animacji. Nic z tego nie okazało się skuteczne. Dni bezowocnej pracy przeradzały się w tygodnie, a fizycy stopniowo tracili złudzenia.

W przeciwieństwie do nich, językoznawcy odnosili coraz to nowe sukcesy. Uczyniliśmy znaczne postępy w odkodowaniu gramatyki mówionego języka, siedmionogowego A. Zgodnie z przewidywaniami, nie zachowywał on norm wspólnych dla wszystkich ziemskich języków,

lecz jak dotąd można go było zrozumieć. Szyk wyrazów był swobodny, i to do tego stopnia, że wbrew zasadom ludzkiego języka „uniwersalnego” nie było preferowanego szyku zdań składowych w zdaniu warunkowym. Wyglądało też na to, że siedmionogi nie mają nic przeciwko centralnemu zanurzeniu zdań składowych, co szybko zmusiło ludzi do kapitulacji. Język był osobliwy, ale dawało się go rozgryźć.

Znacznie bardziej frapujące były nowo odkryte morfologiczne i gramatyczne procesy siedmionogowego B. Miały one niepowtarzalny, dwuwymiarowy charakter. Zależnie od deklinacji semagramu, jego formy mogła wskazywać zmiana krzywizny pewnej kreski, jej grubości albo postaci falowania bądź też zmiana względnych rozmiarów dwóch symboli, ich odległość od trzeciego, orientacja czy wiele innych operacji. Były to niesegmentowe grafemy. Nie można ich było oddzielać od reszty semagramu. Ponadto wbrew temu, jak podobne cechy zachowywały się w ludzkim piśmie, nie miały one nic wspólnego z kaligraficznym stylem. Ich znaczenie określała spójna i jednoznaczna gramatyka.

Często pytaliśmy siedmionogi, dlaczego do nas przyleciały. Za każdym razem odpowiadały nam „żeby obejrzeć” albo „żeby obserwować”. Rzeczywiście często wołały przyglądać się nam bezgłośnie, zamiast odpowiadać na nasze pytania. Może były uczonymi, a może turystami. Departament Stanu polecił nam mówić im jak najmniej o ludzkości, licząc na to, że owe informacje będzie można oferować na wymianę podczas późniejszych negocjacji. Wykonaliśmy ten rozkaz, aczkolwiek nie wymagało to wiele wysiłku. Siedmionogi nigdy nas o nic nie pytały. Jak na uczonych albo turystów, okazywały niewiarygodnie mało ciekawości.

Pamiętam pewien dzień, gdy pojedziemy do supermarketu kupić ci nowe ubranie. Będziesz miała trzynaście lat. W jednej chwili będziesz siedziała rozwalona na siedzeniu, niczym dziecko kompletnie nie przejmując się wywieranym wrażeniem, a w następnej odgarniesz włosy wprawnym, niedbałym ruchem, jak praktykująca modelka.

Gdy będę parkowała, wydasz mi całą serię instrukcji.

— No dobra, mam, daj mi jedną kartę kredytową i spotkamy się przy wyjściu za dwie godziny.

Roześmieję się.

— Nie ma mowy. Karty kredytowe zostaną przy mnie.

— Chyba żartujesz.

Staniesz się żywym wcieleniem irytacji. Wyjdziemy z samochodu i ruszę w stronę wejścia. Przekonawszy się, że w tej sprawie nie ustąpię, szybko zmienisz plany.

— Już dobrze, mamó. Możesz iść ze mną, tylko trzymaj się trochę z tyłu, żeby nie wyglądało na to, że jesteśmy razem. Jeśli zobaczę jakichś kolegów, zatrzymam się, żeby z nimi pogadać, a ty idź przed siebie, dobra? Znajdę cię potem.

Stanę jak wryta.

— Słucham? Nie jestem wynajętą pomocą ani jakąś krewną mutantką, której musisz się wstydzić.

— Ale, mamó, nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie z tobą zobaczył.

— Co ty pleciesz? Znam twoich kolegów. Wszyscy byli u nas w domu.

— To co innego — odpowiesz, nie dowierzając, że musisz mi to tłumaczyć. — To są zakupy.

— Masz pecha.

I wtedy nastąpi wybuch:

— Nigdy nie robisz nic, żeby mnie uszczęśliwić! Wcale ci na mnie nie zależy.

Jeszcze niedługo przedtem będziesz lubiła chodzić ze mną na zakupy. Nigdy nie przestanę mnie zdumiewać, jak szybko wychodzisz z jednej fazy i wkraczasz w następną. Życie z tobą będzie przypominało strzelanie do ruchomego celu. Zawsze będziesz dalej, niż mi się zdawało.

Spojrzałam na zdanie w siedmionogowym B, które przed chwilą napisałam zwykłym piórem na papierze. Jak wszystkie stworzone przeze mnie zdania, wyglądało pokraccie, zupełnie jakby napisane przez siedmionoga zdanie ktoś rozbił młotkiem, a potem skleił niewprawnie w całość. Na moim biurku wałało się mnóstwo kartek z takimi nieeleganckimi semagramami. Od czasu do czasu unosił je podmuch wentylatora.

Czułam się dziwnie, ucząc się języka, który nie miał postaci

mówionej. Zamiast ćwiczyć wymowę, zaciskałam oczy i próbowałam malować semagramy na wewnętrznej stronie powiek.

Usłyszałam pukanie do drzwi i, nim zdążyłam odpowiedzieć, do środka wpadł uradowany Gary.

— Illinois uzyskało powtórzenie w fizyce.

— Naprawdę? To świetnie. Kiedy to się stało?

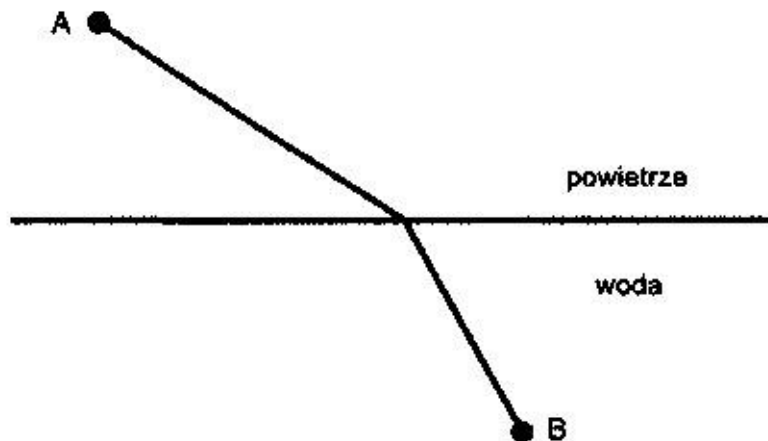
— Przed kilkoma godzinami. Właśnie skończyliśmy telekonferencję. Pokażę ci, o co chodzi.

Zaczął wycierać tablicę.

— Nie przejmuj się, to nie jest mi potrzebne.

— Świetnie.

Wziął w rękę kawałek kredy i narysował diagram:



— No dobra, to jest trasa, którą pokonuje promień światła, gdy przechodzi z powietrza do wody. Światło wędruje po prostej, dopóki nie trafi na granice wody. Woda ma inny współczynnik załamania i dlatego światło zmienia kierunek. Słyszałaś o tym, prawda?

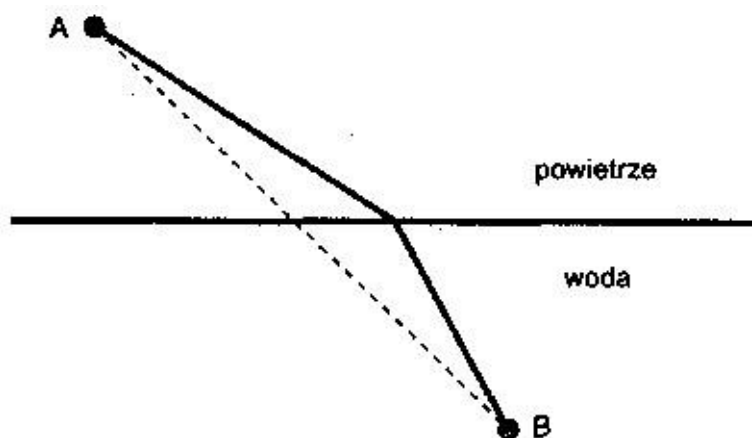
— Skinęłam głową.

— Jasne.

— Trasa, po której biegnie światło, ma pewną interesującą właściwość. To droga pokonywana w najkrótszym czasie.

Słucham?

— Wyobraź sobie dla żartu, że światło wędruje tą trasą. Dodał do diagramu kropkowaną linię:

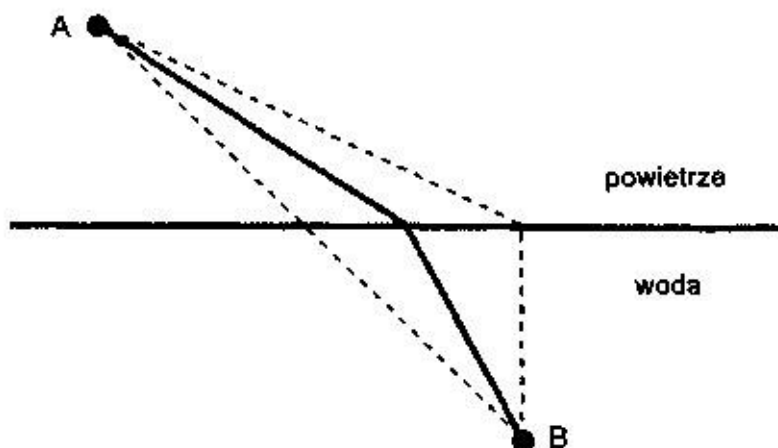


— Ta hipotetyczna ścieżka jest krótsza od trasy, którą naprawdę zmierza światło, ale w wodzie porusza się ono wolniej niż w powietrzu, a w tym przypadku dłuższy odcinek przebiega pod wodą. Dlatego światło potrzebowałoby na pokonanie tej drogi więcej czasu niż w przypadku tej, którą zmierza naprawdę.

— Aha. Rozumiem.

— A teraz wyobraź sobie, co by się stało, gdyby światło zmierzało taką trasą.

Narysował drugą kropkowaną linię:



— Ta trasa skraca odcinek pokonywany pod wodą, ale całkowita długość jest większa. W tym przypadku światło również wędrowałoby dłużej.

Gary odłożył kredę i wskazał na diagram pobielonymi palcami.

— Każda hipotetyczna trasa wymagałaby więcej czasu niż ta, którą światło zmierza rzeczywiście. Innymi słowy, światło zawsze podąża

drogą pokonywaną w najkrótszym możliwym czasie. To jest zasada najkrótszego czasu Fermata.

— Hmm, to ciekawe. I na to właśnie zareagowały siedmionogi?

— Zgadza się. Moorehead zademonstrował przed zwierciadełkiem z Illinois animowaną ilustrację zasady najkrótszego czasu Fermata i siedmionogi ją powtórzyły. Teraz próbuje uzyskać od nich symboliczny opis. — Gary wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Czy to nie jest wysoce sprytne?

— Faktycznie jest sprytne, ale jak to się stało, że nigdy w życiu nie słyszałam o zasadzie Fermata? — Złapałam skoroszyt i wskazałam nim na Gary'ego. Był to zestaw tematów z zakresu fizyki, które radzono nam poruszać w rozmowach z siedmionogami. — Piszą tu mnóstwo o masach Plancka i o zmianie orientacji spinu wodoru atomowego, ale o załamaniu światła nie ma ani słowa.

— Błędnie odgadliśmy, jakie wiadomości będą dla ciebie najbardziej użyteczne — wyjaśnił Gary bez cienia wstydu. — W gruncie rzeczy to dziwne, że przełomem okazała się właśnie zasada Fermata. Choć łatwo jest ją wytłumaczyć, do jej matematycznego opisu potrzebny jest rachunek wariacyjny. Spodziewaliśmy się, że przełomem okaże się jakieś proste twierdzenie geometryczne albo algebraiczne.

— To rzeczywiście dziwne. Myślisz, że dla siedmionogów proste jest co innego niż dla nas?

— Dokładnie. Dlatego tak bardzo chciałbym zobaczyć ich matematyczny opis zasady Fermata. — Mówiąc, spacerował po gabinecie. — Jeśli ich wersja rachunku wariacyjnego jest dla nich prostsza niż ich odpowiednik algebry, to mogłoby to tłumaczyć, dlaczego tak trudno było nam rozmawiać z nimi o fizyce. Cały ich system matematyczny może być postawiony na głowie w stosunku do naszego. — Wskazał na skoroszyt. — Możesz być pewna, że to zmienimy.

— Żeby móc przejść od zasady Fermata do innych działów fizyki?

— Zapewne. Istnieje mnóstwo zasad przypominających zasadę Fermata.

— Na przykład zasada najmniejszej przestrzeni szufladowej Louise? Odkąd to fizycy zostali takimi minimalistami?

— Właściwie to słowo „najkrótszy” wprowadza w błąd. Rozumiesz, zasada najkrótszego czasu Fermata jest niekompletna. W pewnych sytuacjach światło podąża trasą, która wymaga więcej czasu niż wszelkie inne możliwości. Lepiej byłoby powiedzieć, że światło zawsze wybiera ekstremalną trasę, taką, która wymaga albo najmniej, albo najwięcej czasu. Minimum i maksimum mają pewne wspólne własności matematyczne, więc obie te sytuacje można opisać jednym równaniem. Ściśle mówiąc, zasada Fermata nie jest zasadą minimalną, lecz czymś, co nazywa się „zasadą wariacyjną”.

— I takich zasad wariacyjnych jest więcej? Skinął głową.

— Występują we wszystkich gałęziach fizyki. Niemal każde prawo fizyki można sformułować jako zasadę wariacyjną.

— Jedyna różnica między nimi polega na tym, która wartość jest minimalizowana albo maksymalizowana. — Wskazał na stół, jakby ułożono na nim różne działy fizyki. — W optyce, której dotyczy zasada Fermata, tą ekstremalną wartością jest czas. W mechanice jest to co innego, a w elektromagnetyzmie coś jeszcze innego, ale wszystkie te zasady są matematycznie do siebie podobne.

— To znaczy, że gdy dostaniecie od nich matematyczny opis zasady Fermata, powinno wam się udać rozgryźć całą resztę.

— Boże, chciałbym, żeby tak było. Sądzę, że to jest klucz, którego szukaliśmy. Ten, który otworzy nam drogę do ich fizyki. Trzeba to uczcić. — Zatrzymał się i zwrócił w moją stronę. — Hej, Louise, a może byśmy wybrali się na kolację? Ja stawiam.

— Jasne — odparłam z niejakim zaskoczeniem.

Kiedy nauczysz się chodzić, zaczniesz mi nieustannie demonstrować asymetrię łączącego nas związku. Ciągłe będziesz biegała jak szalona i za każdym razem, gdy wpadniesz na drzwi albo rozbijesz sobie kolano, sama będę czuła twój ból. To będzie tak, jakby wyrosła mi zbuntowana kończyzna, przedłużenie mnie, którego nerwy czuciowe znakomicie przewodzą ból, lecz nerwy ruchowe w ogóle nie potrafią przekazywać moich rozkazów. To strasznie niesprawiedliwe. Urodzę ożywioną laleczkę voodoo wyobrażającą mnie samą. Tego nie było w kontrakcie, gdy go podpisywałam. Czy na pewno tak się umawialiśmy?

Będą też jednak chwile, gdy będziesz się śmiała. Tak jak wtedy,

kiedy będziesz się bawiła ze szczeniakiem sąsiadów, wsuwając dłonie w dziury w drucianej siatce dzielącej nasze podwórka. Zaniesiesz się śmiechem tak głośnym, że aż złapie cię czkawka. Szczeniak ucieknie do domu sąsiadów, a ty powoli się uspokoisz i wreszcie złapiesz oddech. Potem piesek wróci i ponownie zacznie cię lizać po palcach, a ty zakrzykniesz głośno i znowu będziesz się śmiała. To będzie najcudowniejszy dźwięk, jaki potrafię sobie wyobrazić. Będę się od niego czuła jak krynica radości.

Gdybym tylko mogła go sobie przypomnieć wtedy, gdy beztroskim lekceważeniem własnego bezpieczeństwa będziesz mnie przyprawiała o atak serca.

Po przełomie, jakim okazała się zasada Fermata, dyskusje na tematy naukowe stały się bardziej owocne. Nie można powiedzieć, byśmy od razu zrozumieli całą fizykę siedmionogów, czyniliśmy jednak stałe postępy. Według Gary'ego, ich fizyka faktycznie była postawiona na głowie w stosunku do naszej. Fizyczne pojęcia, które ludzie definiowali przy użyciu rachunku całkowego, siedmionogi uważały za podstawowe. Jako przykład Gary podał mi pojęcie, które w żargonie fizyków nosiło zwodniczo prostą nazwę „działania”. Reprezentowało on „całkę różnicy energii kinetycznej i potencjalnej podzieloną przez czas”, cokolwiek mogło to znaczyć. Dla nas był to rachunek całkowity, dla nich coś elementarnego.

I na odwrót, by opisać kategorie uważane przez ludzi za podstawowe, na przykład prędkość, siedmionogi korzystały z matematyki, która była, jak ujął to Gary, „bardzo dziwaczna”. Fizykom udało się w końcu dowieść, że siedmionogowa i ludzka matematyka są równoważne. Choć ich podejście było niemal całkowicie odwrotne, obie były systemami opisującymi ten sam fizyczny wszechświat.

Próbowałam zrozumieć niektóre z układanych przez fizyków równań, lecz moje wysiłki spełzły na niczym. Nie byłam w stanie zrozumieć znaczenia takich fizycznych pojęć jak „działanie” i w związku z tym nie mogłam snuć rozważań o tym, co to właściwie znaczy, jeśli uważa się ową cechę za podstawową. Szukałam jednak odpowiedzi na pytania sformułowane w bardziej dla mnie zrozumiałym

sposób: jak wygląda światopogląd siedmionogów, jeśli uważają zasadę Fermata za najprostsze wytłumaczenie załamania światła? Jaki rodzaj postrzegania sprawia, że minimum albo maksimum jest dla nich czymś najważniejszym?

Będziesz miała niebieskie oczy, tak jak twój tata, nie brudnobrązowe, jak ja. Chłopaki będą się w nie wpatrywać tak samo jak ja w oczy twojego taty, zdumieni i oczarowani, tak samo jak ja, ich połączeniem z czarnymi włosami. Nie zabraknie ci wielbicieli.

Pamiętam dzień, kiedy będziesz miała piętnaście lat i wrócisz do domu po weekendzie spędzonym z tatą, nie mogąc pogodzić się z myślą, że poddał cię szczegółowemu przesłuchaniu, chcąc się jak najwięcej dowiedzieć o chłopaku, z którym aktualnie chodzisz. Uwalisz się na kanapie, opowiadając o tym najnowszym pogwałceniu zdrowego rozsądku, jakiego dopuścił się twój tata.

— Wiesz, co powiedział? Powiedział: „Wiesz, jacy są nastoletni chłopcy?”. — Zatoczysz oczyma. — Że niby ja nie wiem?

— Nie miej mu tego za złe — odpowiem. — Jest twoim ojcem i nie może nic na to poradzić.

— Widziałam, jak sobie radzisz ze swymi kolegami, i nie boję się zbytnio o to, że jakiś chłopak cię wykorzysta. Już prędzej na odwrót. Ta druga myśl będzie mnie niepokoiła.

— Chciałby, żebym wciąż była dzieckiem. Odkąd urosły mi piersi, nie wie, jak mnie traktować.

— No cóż, to był dla niego szok. Daj mu trochę czasu.

— Minęły już lata, mamó. Jak długo może to trwać?

— Kiedy twój ojciec się z tym pogodzi, natychmiast ci o tym powiem.

Podczas jednej z telekonferencji językoznawców Cisneros, który pracował przy zwierciadełku w Massachusetts, zadał interesujące pytanie: czy kolejność pisania semagramów w zdaniu siedmionogowego B jest ustalona? Nie ulegało wątpliwości, że w siedmionogowym A szyk wyrazów nie ma właściwie znaczenia. Gdy domagaliśmy się, by powtórzyły to, co przed chwilą powiedziały, siedmionogi często używały

innego szyku, chyba żebyśmy specjalnie poprosili je o to, by tego nie robiły. Czy w siedmionogowym B szyk wyrazów był równie mało istotny?

Do tej pory koncentrowaliśmy uwagę na tym, jak wygląda zdanie siedmionogowego B, gdy jest już ukończone. O ile się nie myliliśmy, nie istniała preferowana kolejność czytania składających się na zdanie semagramów. Można było zacząć w dowolnym miejscu i podążać za gałęziami poszczególnych zdań składowych, aż wreszcie odczytało się całość. To jednak było czytanie, a co z pisaniem?

Podczas ostatniej sesji z Klaskaczem i Prychaczem zapytałam ich, czy zamiast pokazywać nam gotowe semagramy, mogliby zademonstrować, jak je piszą. Zgodzili się. Włożyłam taśmę z nagraniem sesji do odtwarzacza, a na monitorze wyświetliłam sporządzony w jej trakcie transkrypt.

Wybrałam jedno z najdłuższych zdań w rozmowie. Klaskacz powiedział w nim, że planeta siedmionogów ma dwa księżyce, jeden znacząco większy od drugiego, że trzema podstawowymi składnikami atmosfery są azot, argon i tlen i że piętnaście dwudziestych ósmych powierzchni planety pokrywa woda. Dosłowne tłumaczenie pierwszych słów mówionego zdania brzmiało: „nierówność — rozmiarów skalny — orbiter skalne — orbiterzy główny — w — stosunku — do — podrzędnych”.

Potem przewinęłam taśmę do miejsca, w którym czas zgadzał się z czasem w transkrypcie. Włączyłam odtwarzacz i przyglądałam się, jak z atramentowej nici powstaje pajęczyna semagramów. Odtwarzałam ten moment kilka razy. Potem zatrzymałam wideo dokładnie w chwili ukończenia pierwszej kreski i przed zaczęciem drugiej. Na ekranie widać było tylko jedną, krętą linię.

Porównując ją z ukończonym zdaniem, zdałam sobie sprawę, że wchodzi ona w skład kilku różnych zdań składowych. Zaczynała się w semagramie znaczącym „tlen” jako determinanta odróżniająca go od niektórych innych pierwiastków, potem przechodziła w morfem porównawczy w opisie wielkości obu księżyców, a na koniec rozszerzała się, tworząc łukowaty kręgosłup semagramu znaczącego „ocean”. Była jednak jedną ciągłą linią, i to ją napisał Klaskacz jako pierwszą.

Znaczyło to, że siedmionóg musi wiedzieć, jak będzie wyglądało całe zdanie, nim postawi jego pierwszą kreskę.

Inne kreski również przechodziły przez kilka zdań składowych, tworząc ściśle ze sobą powiązaną płataninę, z której nic nie można było usunąć, nie przebudowując całego zdania. Siedmionogi nie pisały zdania semagram za semagramem, lecz tworzyły je z pojedynczych kresek, nie zważając na semagramy. Widziałam już podobnie wysoki stopień integracji w kaligrafii, zwłaszcza w alfabecie arabskim, tamte wzory musiały być jednak starannie zaplanowane przez biegłych kaligrafów. Nikt nie potrafiłby stworzyć tak skomplikowanego rysunku w tempie potrzebnym do prowadzenia rozmowy. Przynajmniej nie potrafiłby tego żaden człowiek.

Jest taki dowcip, który słyszałam z ust pewnej komiczki.

— Nie jestem przekonana, czy czuję się na siłach mieć dzieci. Raz zapytałam moją przyjaciółkę, która je ma: „Przypuśćmy, że urodzę dzieci. Co będzie, jeśli, gdy dorosną, obciążą mnie winą za wszystko, co poszło źle w ich życiu?”. Roześmiała się i odpowiedziała: „Jak to, jeśli?”.

To mój ulubiony dowcip.

Poszliśmy z Garym do małej chińskiej restauracji, jednego z okolicznych lokali, które odwiedzaliśmy, żeby wyrwać się z obozu. Siedzieliśmy przy przekąskach: pachnących wieprzowiną i olejem sezamowym mopsikach maczanych w sosie. To był mój ulubiony rodzaj.

Zanurzyłam jeden w sosie sojowym i occie.

— Jak ci idzie nauka siedmionogowego B? — zapytałam.

Gary zerknął z ukosa na sufit. Próbowałam spojrzeć mu w oczy, lecz ciągle odwracał wzrok.

— Dałeś za wygraną, prawda? — zapytałam. — Już nawet nie próbujesz.

Zrobił wspaniałą zawstydzoną minę.

— Po prostu nie mam talentu do języków — wyznał. — Zdawało mi się, że nauka siedmionogowego B będzie bardziej przypominała naukę matematyki niż próby mówienia w obcym języku, ale nic z tego. Jest dla mnie po prostu zbyt obcy.

— Byłoby ci łatwiej mówić z nimi o fizyce.

— Pewnie to prawda, ale dokonaliśmy już przełomu, więc wystarczy mi kilka zdań.

— To pewnie się wyrównuje — stwierdziłam z westchnieniem. — Muszę przyznać, że dałam już sobie spokój z nauką matematyki.

— A więc jesteśmy kwita?

— Jesteśmy kwita. — Pociągnęłam łyk herbaty. — Chociaż chciałam ci zadać jedno pytanie o zasadę Fermata. Coś w niej wydaje mi się dziwne, ale nie potrafię wskazać tego palcem. Ona po prostu nie brzmi jak prawo fizyki.

W oczach Gary'ego pojawił się błysk.

— Założę się, że wiem, o czym mówisz. — Ujął klopsik w pałeczki. — Jesteś przyzwyczajona myśleć o załamaniu światła w kategoriach przyczyny i skutku. Dotarcie do powierzchni wody to przyczyna, a zmiana kierunku to skutek. Zasada Fermata brzmi dziwnie, ponieważ opisuje zachowanie światła w kategoriach celu, jakby była wydanym mu przykazaniem: „Będziesz minimalizowało albo maksymalizowało czas potrzebny, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia”.

Zastanowiłam się nad jego słowami. — Mów dalej.

— To bardzo stary problem w filozofii fizyki. Dyskutuje się o nim już od początku siedemnastego wieku, kiedy to Fermat sformułował swą zasadę. Planck napisał na ten temat całe tomy. Rzecz w tym, że gdy zwykłe prawa fizyki są przyczynowo — skutkowe, zasady wariacyjne, takie jak zasada Fermata, są celowe, prawie teleologiczne.

— Hmm, ciekawie to ująłeś. Daj mi się chwilę zastanowić. — Wyjęłam mazak i nakreśliłam na serwetce kopię diagramu narysowanego przez Gary'ego na tablicy. — No dobra — powiedziałam, myśląc na głos — powiedzmy, że celem promienia światła jest zmierzanie trasą wymagającą najkrótszego czasu. Jak światło to robi?

— No cóż, jeśli mogę to ująć antropomorficznie, promień światła bada wszystkie możliwe drogi i oblicza czas potrzebny do ich pokonania.

Porwał z półmiska ostatni klopsik.

— Ale żeby to zrobić — dodałam — musi wiedzieć, dokąd zmierza. Gdyby udawał się gdzie indziej, droga pokonywana w najkrótszym czasie wyglądałaby odmiennie.

Gary ponownie skinął głową.

— Zgadza się. Pojęcie „drogi pokonywanej w najkrótszym czasie” nie ma sensu, jeśli nie określi się miejsca przeznaczenia. A żeby obliczyć, ile czasu będzie potrzebowało, światło musi też wiedzieć, co leży po drodze. Na przykład gdzie znajduje się powierzchnia wody.

Wciąż gapiłam się na diagram na serwetce.

— I promień światła musi wiedzieć to wszystko z góry, zanim wyruszy w drogę. Mam rację?

— Można by to tak ująć — zgodził się Gary. — Światło nie może po prostu ruszyć sobie w dowolnym kierunku i dokonywać korekt kursu po drodze, bo trasa, która by w ten sposób powstała, nie byłaby trasą pokonywaną w najkrótszym możliwym czasie. Musi dokonać tych wszystkich obliczeń na samym początku.

— Promień światła musi wiedzieć, gdzie dotrze, nim wybierze kierunek, w którym ruszy — pomyślałam. Wiedziałam, co mi to przypomina. Spojrzałam na Gary’ego.

— To właśnie cały czas mnie gryzło.

Pamiętam pewien dzień, gdy będziesz miała czternaście lat. Wypadniesz z sypialni, trzymając w dłoni pokryty graffiti notebook, na którym będziesz pisała pracę domową.

— Mamo, jak to się nazywa, kiedy obie strony mogą wygrać?

— Podniosę wzrok znad komputera, na którym będę pracowała.

— Obustronne zwycięstwo?

— Jest na to jakieś fachowe określenie. Takie matematyczne.

Pamiętasz, kiedy był u nas tata i mówił o giełdzie? Tak właśnie wtedy powiedział.

— Hmm, coś mi się kojarzy, ale nie pamiętam, jak to nazwał.

— Muszę to wiedzieć. Chcę użyć tego sformułowania w mojej pracy o naukach społecznych. Nie mogę nawet poszukać informacji na ten temat, jeśli nie znam nazwy.

— Przykro mi. Ja też jej nie znam. Czemu nie zadzwonisz do taty?

Sądząc z twojej miny, zażądałam od ciebie stanowczo zbyt wiele.

W tej chwili nie będzie się wam z tatą układało.

— A czy ty nie mogłabyś tego zrobić? Tylko nie mów mu, że to

dla mnie.

— Potrafisz zadzwonić sama.

Wpadniesz w złość.

— Jezu, mamó, odkąd rozwiodłaś się z tatą, nigdy nie pomagasz mi w lekcjach.

To zdumiewające, w jak różnych sytuacjach będziesz umiała wspomnieć o rozwodzie.

— Nieraz ci pomagałam.

— Chyba milion lat temu, mamó. Zignoruję tę uwagę.

— Pomogłabym ci, gdybym umiała. Nie pamiętam, jak to się nazywa.

Wrócisz oburzona do sypialni.

Przy każdej sposobności wprawiałam się w siedmionogowym B, sama i z innymi językoznawcami. Nowe wrażenia, jakich dostarczało czytanie semazjograficznego języka, czyniły go atrakcyjniejszym od siedmionogowego A. Ekscytowały mnie postępy, które czyniłam. Pisane przeze mnie zdania z czasem stawały się coraz bardziej kształtne i spójne. Dotarłam już do punktu, w którym lepiej mi szło, gdy nie myślałam zbyt wiele o tym, co robię. Zamiast starannie planować zdanie przed jego napisaniem, mogłam natychmiast przystąpić do stawiania kresek i niemal zawsze okazywało się, że moje pierwsze pociągnięcia są zgodne z eleganckim przedstawieniem tego, co chciałam wyrazić. Rozwijała się we mnie umiejętność podobna do opanowanej przez siedmionogi.

Ciekawszy był fakt, że siedmionogowy B zmieniał mój sposób myślenia. W moim przypadku myślenie z reguły oznacza mówienie wewnętrznym głosem. Jak brzmi fachowe określenie, moje myśli są kodowane fonologicznie. Mój wewnętrzny głos na ogół przemawia po angielsku, nie jest to jednak konieczne. Latem po skończeniu szkoły średniej brałam udział w kursie rosyjskiego przewidującym całkowite zanurzenie. Pod jego koniec myślałam, a nawet śniłam po rosyjsku. Zawsze jednak był to mówiony rosyjski. Inny język, ale ta sama metoda: przemawiający po cichu głos.

Od niepamiętnych czasów intrygowała mnie możliwość myślenia

w niefonologicznym języku. Pewien mój znajomy miał głuchoniemych rodziców i wychował się na Amerykańskim Języku Znaków.

Dowiedziałam się od niego, że często myśli w tym języku. Nieraz zastanawiałam się, jak to właściwie wygląda. Jego myśli były kodowane manualnie, a zamiast wewnętrznego głosu miał parę wewnętrznych rąk.

Siedmionogowy B dostarczył mi równie egzotycznych wrażeń. Moje myśli zaczęły być kodowane graficznie. Za dnia zdarzały mi się przypominające trans chwile, gdy moich myśli nie wyrażał wewnętrzny głos, lecz oglądane okiem umysłu semagramy, rozrastające się niczym pokrywający szybę szron.

Gdy opanowałam ten język bieglej, semagramy pojawiały się już gotowe. Mogły w jednej chwili wyrazić nawet skomplikowane myśli. Nie przyśpieszyło to jednak moich procesów myślowych. Zamiast gnać naprzód jak opętany, mój umysł balansował na symetrii semagramów. Odnosiłam wrażenie, że są one czymś więcej niż język. Przypominały niemal mandale. Pograżałam się w medytacji, kontemplując wzajemną wymienną przesłanek i wniosków. Nie było określonego kierunku, w którym poszczególne zdania łączyły się ze sobą, „toku myśli” zmierzających wytyczoną trasą. Wszystkie elementy aktu rozumowania były równie potężne i jednakowo ważne.

Zadanie zapoznania amerykańskich uczonych z naszą polityką w stosunku do siedmionogów przypadło przedstawicielowi Departamentu Stanu nazwiskiem Hossner. Siedzieliśmy w sali telekonferencyjnej, słuchając jego wykładu. Nasz mikrofon był wyłączony, mogliśmy więc rozmawiać z Garym, nie przerywając Hossnerowi. Gary wywraçał oczyma tak często, że bałam się o jego wzrok.

— Musieli mieć jakiś powód, by pokonać tak długą drogę — dobiegał z głośników blaszany dźwięk słów dyplomaty. — Dzięki Bogu, nie wygląda na to, by ich motywem był podbój. Co jednak nim jest? Czy są poszukiwaczami złóż? Antropologami? Misjonarzami? Bez względu na ich motywy, musi istnieć coś, co moglibyśmy im zaoferować. Mogą to być prawa do eksploatacji bogactw Układu Słonecznego. Albo informacje o nas samych. Albo prawo wygłaszania kazań do mieszkańców Ziemi. Nie ulega wątpliwości, że coś takiego istnieje. Zmierzam do tego, że choć ich motywem nie musiał być handel, nie

znaczy to, że nie możemy dokonać z nimi wymiany. Musimy jedynie dowiedzieć się, po co tu przybyli i czego od nas chcą. Gdy tylko uzyskamy tę informację, będziemy mogli rozpocząć negocjacje handlowe. Podkreślam też, że nasze stosunki z siedmionogami nie muszą być oparte na konkurencji. To nie jest sytuacja, w której ich zysk zawsze oznacza naszą stratę i na odwrót. Jeśli dobrze to rozegramy, korzyści mogą odnieść obie strony.

— Gra o sumie niezerowej? — zapytał Gary, symulując niedowierzenie. — Nie gadaj.

— Gra o sumie niezerowej. — Co?

Zawrócisz nagle, wychodząc z sypialni.

— Kiedy obie strony mogą wygrać. To się nazywa gra o sumie niezerowej.

— Tak jest! — zawołała, zapisując to w notebooku. — Dziękuję, mamo!

— Chyba jednak to wiedziałam — powiem. — Spędziłam z twoim ojcem tyle lat i coś mi po tym zostało.

— Byłam pewna, że to wiesz — odpowiesz. Uściskasz mnie spontanicznie. Twoje włosy będą pachniały jabłkami. — Jesteś najlepsza.

— Louise?

— Hmm? Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłeś?

— Pytałem cię, co myślisz o tym całym panu Hossnerze.

— Wolę o nim nie myśleć.

— Też tego próbowałem. Ignorować rząd w nadziei, że zniknie. Nie zniknął.

Hossner nie przestawał ględzić, jakby chciał potwierdzić prawdziwość słów Gary'ego.

— Waszym pierwszym zadaniem będzie dokonanie przeglądu wszystkiego, czego się dowiedzieliście, w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby nam pomóc. Z pewnością znajdziecie jakieś wskazówki, które wyjaśnią nam, czego chcą siedmionogi. Co cenią.

— Kurcze, nigdy by nam to nie przyszło do głowy — mruknięłam pod nosem. — Natychmiast zabieramy się do roboty, sir.

— Najsmutniejsze jest to, że rzeczywiście będziemy musieli to zrobić — wtrącił Gary.

— Są jakieś pytania? — zapytał Hossner.

— Mówiliśmy o tym z siedmionogami już wiele razy — odezwał się Burghart, językoznawca ze zwierciadełka w Fort Worth. — Utrzymują, że przybyły tu po to, by obserwować, a informacji nie da się wymieniać.

— Chcą nas o tym przekonać — odparł Hossner. — Ale niech się pan zastanowi. Jak to może być prawdą? Wiem, że siedmionogi niekiedy przestawały na jakiś czas z nami rozmawiać. To może być z ich strony manewr taktyczny. Gdybyśmy jutro my zaprzestali rozmów...

— Obudź mnie, kiedy powie coś ciekawego — powiedział Gary.

— Właśnie miałam zamiar prosić cię o to samo.

W dniu, gdy Gary po raz pierwszy mówił mi o zasadzie Fermata, wspomniał, że prawie wszystkie prawa fizyki można sformułować jako zasady wariacyjne. Mimo to gdy ludzie opracowywali te prawa, woleli sformułowania przyczynowo — skutkowe. Potrafię to zrozumieć. Fizyczne pojęcia, które dla ludzi są intuicyjne, jak energia kinetyczna i przyspieszenie, są właściwościami przedmiotu w danym momencie czasu. To skłaniało do chronologicznej, przyczynowej interpretacji wydarzeń: jedno wynika z drugiego, tworząc łańcuchową reakcję przyczyn i skutków, biegnącą z przeszłości do przyszłości.

W przeciwieństwie do tego, fizyczne pojęcia, które wydają się intuicyjne siedmionogom, takie jak „działanie” i inne kategorie definiowane przez rachunek całkowity, mają znaczenie tylko wtedy, gdy rozpatrywać je w dłuższym czasie. To skłaniało do teleologicznej interpretacji wydarzeń: rozpatrując dłuższe przedziały czasowe, można zauważyć, że wydarzenia muszą spełniać cel minimalizacji bądź maksymalizacji, a by tego dokonać, potrzebna jest wiedza o stanie początkowym i końcowym. Trzeba znać skutki, nim można spowodować przyczyny. To również zaczynałam rozumieć.

— Dlaczego? — zapytasz po raz kolejny. Będziesz miała trzy lata.

— Dlatego, że pora już spać — odpowiem ponownie. Będziesz już wykąpana i przebrana w piżamę, ale nie będziesz chciała posunąć się

dalej.

— Ale nie chce mi się spać — poskarżysz się. Staniesz przy regale i ściągniesz z niego kasetę wideo. Oglądanie filmów będzie twoją nową taktyką, mającą opóźnić położenie się do łóżka.

— Nic nie szkodzi. I tak musisz się już kłaść.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że mama ci tak mówi.

Czy naprawdę to powiem? Boże, niech ktoś mnie zastrzeli.

Podźwignę cię i zaniosę pod pachą do łóżka. Cały czas będziesz rozpaczliwie zawodziła, ale ja będę myślała tylko o własnym strapieniu. Szlag trafił wszystkie składane w dzieciństwie przysięgi, że gdy sama będę miała dziecko, zawsze będę mu udzielała rozsądnych odpowiedzi i traktowała je jak inteligentną, myślącą osobę. Zamieniam się we własną matkę. Mogę z tym walczyć do upadłego, ale nie zdołam powstrzymać zjazdu z tej długiej, okropnej równi pochyłej.

Czy to znaczyło, że można naprawdę znać przyszłość? Nie tylko domyślać się jej, lecz wiedzieć z absolutną pewnością i we wszystkich szczegółach, co się wydarzy? Gary powiedział mi kiedyś, że fundamentalne prawa fizyki zachowują symetrię czasową, że dla tej nauki nie ma różnicy między przeszłością a przyszłością. Niektórzy mogliby na to rzec: „teoretycznie tak”, lecz gdyby przejść do konkretów, odpowiedzieliby „nie” ze względu na wolną wolę.

Lubię przedstawiać sobie to zastrzeżenie jako borgesowską fabulację. Wyobraźcie sobie kogoś, kto stoi nad *Księgą wieków*, kroniką, która opisuje wszystkie wydarzenia, minione i przyszłe. Mimo że to wydanie w zmniejszonej formie, tom jest gigantyczny. Czytelnik przerzuca z lupą w rękę cieniutkie kartki, aż wreszcie odnajduje historię swego życia. Wyszukuje fragment, w którym jest opisane, jak przerzuca *Księgę wieków* i przechodzi do następnej kolumny, zawierającej opis tego, co robi później tego samego dnia. Kierując się wyczytanymi w księdze informacjami, postawi sto dolarów na konia o imieniu Ryzykant i wygra dwadzieścia razy więcej.

Przed chwilą przyszło mu do głowy, by tak postąpić, lecz jest z natury przekorny i postanawia, że w ogóle nie będzie grał na wyścigach.

Na tym polega hak. *Księga wieków* nie może się mylić. Cały scenariusz opiera się na założeniu, że czytelnik pozna prawdziwą przyszłość, a nie jeden z jej możliwych wariantów. Gdyby był to grecki mit, kolejne zbiegi okoliczności zmusiłyby czytelnika, by mimo wszelkich wysiłków uczynił to, co mu nakazuje los, ale przepowiednie w mitach są straszliwie niejasne, a *Księga wieków* zawiera dokładne informacje. Nic nie może zmusić czytelnika do postawienia na wskazanego konia. Dochodzi do sprzeczności: *Księga wieków* z definicji musi mieć rację, lecz bez względu na to, jak będzie brzmiała jej przepowiednia, czytelnik może postanowić, że postąpi inaczej. Jak można ze sobą pogodzić te dwa fakty?

Najpospolitsza odpowiedź brzmi tak, że nie można. *Księga wieków* jest logiczną niemożliwością dokładnie z tego powodu, że jej istnienie doprowadziłoby do powyższej sprzeczności. Niektórzy byliby skłonni wspaniałomyślnie przyznać, że mogłaby ona istnieć pod warunkiem, że nikt nie będzie w stanie do niej zajrzeć. Ten tom jest przechowywany w specjalnym, niedostępnym dla nikogo księgozbiorze.

Istnienie wolnej woli oznacza, że nie możemy znać przyszłości. A wiemy, że wolna wola istnieje, gdyż sami doświadczamy jej działania. Jest ona nieodłączną częścią świadomości.

Czy jednak na pewno? Co, jeśli znajomość przyszłości zmienia tego, kto ją zna? Zobowiązuje go do tego, by postępował dokładnie tak, jak wie, że postąpi?

Przed wyjściem z pracy zajrzałam do gabinetu Gary'ego.

— Mam dość na dzisiaj. Pójdiesz coś zjeść?

— Jasne. Zaczekaj sekundkę — odpowiedział. Wyłączył komputer i zgarnął z biurka trochę papierów. Potem spojrzał na mnie. — Hej, a może przysłabyś do mnie? Będę gotował.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

— A umiesz?

— Tylko jedno danie — przyznał. — Ale dobre.

— Świetnie — rzuciłam. — Zgoda.

— Znakomicie. Będziemy musieli kupić składniki.

— Nie rób sobie kłopotu...

— Sklep jest po drodze. To potrwa tylko moment.

Pojechaliśmy dwoma samochodami, ja za nim. Mało brakowało, żebym go zgubiła, kiedy nagle skręcił na parking. To był specjalistyczny sklep, nieduży, ale pełen bajerów: wysokie, szklane słoje pełne importowanych produktów sąsiadowały z wyspecjalizowanymi sztucami wystawionymi na półkach z artykułami gospodarstwa domowego.

Towarzyszyłam Gary'emu, gdy wybierał świeżą bazylię, pomidory, czosnek i linguine.

— Tuż obok są ryby — powiedział. — Kupimy tam świeże małże.
— To brzmi nieźle.

Gdy mijaliśmy stoisko z przyborami kuchennymi, omiotłam spojrzeniem półki — młynki do pieprzu, praski do czosnku, szczypce do sałaty — i zatrzymałam się na drewnianej salaterce.

Kiedy będziesz miała trzy lata, ściągniesz ze stołu w kuchni serwetę i zwalisz sobie na głowę tę salaterkę. Spróbuję ją złapać, ale będzie już za późno. Skaleczysz się brzegiem naczynia w czoło i trzeba będzie założyć jeden szew. Będziemy z twoim ojcem godzinami czekać w izbie przyjęć, tuląc do siebie zapłakane dziecko, całe w sałatce Cezara.

Wyciągnęłam rękę i zdjęłam salaterkę z półki. Nie miałam wrażenia, by coś mnie do tego zmusiło. To był odruch, jakbym złapała naczynie, które spadało mi na głowę, instykt, którego głosu usłuchałam z zadowoleniem.

— Przydałaby mi się taka salaterka.

Gary spojrział na nią i skinął głową z aprobatą.

— Sama zobacz, czy to nie dobrze, że tu zajrzeliśmy?

— Dobrze.

Ustawiliśmy się w kolejce do kasy.

Rozważmy zdanie „Królik jest gotowy do jedzenia”. Jeśli zinterpretować słowo „królik” jako przedmiot zdania, będzie ono znaczyło, że niedługo kolacja. Jeśli natomiast zinterpretować je jako podmiot, to zdanie będzie czymś, co mogłaby powiedzieć mała dziewczynka mamie, by ją skłonić do otworzenia torby z karmą dla królików. To dwa bardzo różne sensy, które zapewne nie mogą ze sobą

współistnieć w tym samym domu. Mimo to obie interpretacje są prawidłowe i o znaczeniu zdania może rozstrzygnąć jedynie kontekst.

A teraz rozważmy zjawisko polegające na tym, że światło dociera do wody pod jednym kątem, a wędruje przez nią pod innym. Jeśli wytłumaczyć je w ten sposób, że inny współczynnik załamania powoduje zmianę kierunku światła, otrzymuje się ludzki pogląd na świat. Jeśli natomiast powie się, że światło minimalizuje czas potrzebny, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia, patrzy się na świat tak jak siedmionogi. To dwie bardzo różne interpretacje.

Fizyczny wszechświat jest językiem o w pełni dwuznacznej gramatyce. Każde fizyczne zjawisko jest zdaniem, które można zanalizować na dwa całkowicie odmienne sposoby, przyczynowy i teleologiczny. Obydwa są słuszne i żadnego z nich nie można obalić, bez względu na wielość zgromadzonych dowodów.

Gdy u przodków ludzi i siedmionogów po raz pierwszy zapłonęła iskierka świadomości, oba gatunki postrzegały ten sam fizyczny świat, lecz interpretowały swe spostrzeżenia na różne sposoby. Światopoglądy, które w efekcie powstały, są ostatecznym rezultatem tej rozbieżności. U ludzi rozwinęła się świadomość sekwencyjna, natomiast u siedmionogów jednoczesna. My doświadczyliśmy wydarzeń po kolei i postrzegaliśmy związki między nimi w kategoriach przyczyny i skutku, one zaś doświadczały wszystkich wydarzeń jednocześnie i dostrzegały kryjący się za nimi cel. Cel minimalizacji bądź maksymalizacji.

Ciągle śni mi się twoja śmierć. W tym śnie to ja wspinam się na górę — wyobrażasz to sobie? — a ty nadal masz trzy lata i niosę cię w plecaku. Jesteśmy tylko kilka stóp poniżej półki, na której będziemy mogły odpocząć, ale ty nie chcesz czekać, aż tam wejdziesz. Zaczynasz wyłazić z plecaka. Każę ci przestać, ale ty oczywiście mnie nie słuchasz. Gdy wychodzisz na zewnątrz, czuję jak twój ciężar przesuwa się z jednej strony plecaka na drugą. Potem stawiasz na moim barku lewą nogę, a po niej prawą. Krzyczę na ciebie, ale nie mam wolnej ręki i nie mogę cię złapać. Kiedy się wspinasz, widzę falisty wzór na podeszwach twoich tenisówek. Potem pod jedną z nich załamuje się kamienny płatek. Przelatujesz tuż obok mnie, a ja nie mogę ruszyć żadnym mięśniem.

Spoglądałam w dół i widzę, jak nikniesz w oddali.

I potem, nagle, jestem w kostnicy. Sanitariusz unosi prześcieradło z twojej twarzy i widzę, że masz dwadzieścia pięć lat.

— Nic ci nie jest? Siadam w łóżku. Obudziłam Gary’ego swoimi ruchami.

Nic. To tylko zaskoczenie. Z początku nie wiedziałam, gdzie jestem.

Następnym razem możemy spać u ciebie — rzekł sennym głosem. Pocałowałam go.

— Nie przejmuj się. U ciebie jest w porządku. Przytulił się pierśią do moich pleców i zasnęliśmy znowu.

Kiedy będziesz miała trzy lata i będziemy się wspinały po stromych spiralnych schodach, będę cię trzymała za rączkę wyjątkowo mocno. Wyrwiesz mi się.

Umiem wejść sama — oznajmisz i oddalisz się ode mnie, by tego dowieść. Wtedy przypomnę sobie ten sen. Przez całe dzieciństwo będziemy powtarzały tę scenę niezliczoną ilość razy. Biorąc pod uwagę twą przekorną naturę, jestem niemal skłonna uwierzyć, że to moje próby chronienia ciebie obudzą w tobie miłość do wspinaczki, najpierw w małym gaju na podwórku, potem na drzewa w otaczającym naszą okolicę pasie zieleni, na skalne ściany w klubie wspinaczy i wreszcie na urwiska w parkach narodowych.

Postawiłam ostatni znak, odłożyłam kredę i usiadłam za biurkiem. Odchyliłam się do tyłu na krześle, by obejrzeć olbrzymie zdanie siedmionogowego B, które napisałam. Zajmowało całą tablicę w moim gabinecie. W jego skład wchodziło całkiem sporo bogatych w treści zdań składowych i udało mi się bardzo zgrabnie zintegrować je wszystkie.

Gdy patrzyłam na tego typu zdania, łatwo mi było zrozumieć, dlaczego siedmionogi stworzyły semazjograficzny system pisma. Był on bardziej odpowiedni dla gatunku o jednoczesnym typie świadomości. Mowa stanowiła dla nich wąskie gardło, jako że wymagała, by jedno słowo podążało za drugim. Za to w przypadku pisma wszystkie znaki na

stronie były widoczne jednocześnie. Po co ograniczać pismo glotograficznym pancierzem, domagając się, by miało charakter sekwencyjny, tak samo jak mowa? Siedmionogom nigdy by coś takiego nie przyszło do głowy. Semazjograficzne pismo w naturalny sposób wykorzystywało fakt, że powierzchnia strony ma dwa wymiary. Zamiast cedzić morfemy jeden po drugim, pozwalało za jednym zamachem pokryć nimi całą kartę.

Ponieważ siedmionogowy B zaznajomił mnie z jednoczesnym typem świadomości, pojęłam mechanizm ukryty za gramatyką siedmionogowego A. W tym, co mój sekwencyjny umysł uważał za zbyteczne komplikacje, dostrzegłam teraz próbę zapewnienia giętkości w ramach sekwencyjnej mowy. W rezultacie łatwiej mi było posługiwać się siedmionogowym A, choć nadal był on tylko marną namiastką siedmionogowego B.

Usłyszałam pukanie do drzwi i Gary wetknął głowę do środka.

— Zaraz będzie tu pułkownik Weber. Skrzywiłam się.

— Dobra.

Weber chciał wziąć udział w sesji z Klaskaczem i Prychaczem. Ja miałam być tłumaczką. Nie uczyłam się tej pracy i szczerze jej nie znosiłam.

Gary wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Potem pomógł mi wstać z krzesła i pocałował mnie.

Podziękowałam mu uśmiechem.

— Chcesz mi poprawić humor przed spotkaniem z pułkownikiem Weberem?

— Nie. To sobie chcę poprawić humor.

— Wcale cię nie interesują rozmowy z siedmionogami, prawda? Zgodziłeś się wziąć udział w tym projekcie tylko po to, żeby zaciągnąć mnie do łóżka.

— Ach, przejrzałaś mnie na wylot.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

— Lepiej w to uwierz — powiedziałam.

Pamiętam, jak będziesz miała miesiąc i zwlokę się z łóżka o drugiej na nocne karmienie. W twoim pokoiku będzie panował

charakterystyczny „niemowlęcy zapach” kremu na wysypkę i talku, połączony ze słabą wonią amoniaku, dolatującą ze stojącego w kącie wiadra na pieluchy. Nachylę się nad kołyską, wyciągnę z niej rozwrzeszczane niemowlę i usiądę w bujanym fotelu, by cię nakarmić.

Słowo „niemowlę” pochodzi od „nie mówić”, ty jednak będziesz świetnie umiała powiedzieć jedno słowo: „cierpię”. Będziesz je powtarzała niestrudzenie i bez wahania. Będę zmuszona podziwiać twe pełne oddanie temu słowu. Kiedy będziesz krzyczała, staniesz się żywym wcieleniem oburzenia. Będziesz wyrażała to uczucie każdą cząsteczką swego ciała. To śmieszne. Kiedy będziesz spokojna, będzie się wydawało, że promieniejesz. Gdyby ktoś miał namalować twój portret w takich chwilach, domagałabym się, żeby uwzględnił aureolę. Za to kiedy będziesz nieszczęśliwa, będziesz się zamieniała w klakson zaprojektowany z myślą o produkowaniu hałasu. Portret przedstawiający ciebie w takiej chwili mógłby służyć jako alarm przeciwpożarowy.

W tym stadium twojego życia nie będzie dla ciebie istniała przeszłość ani przyszłość. Dopóki nie podam ci piersi, nie będziesz pamiętała o przeszłym zadowoleniu ani oczekiwała przyszłej ulgi. Kiedy zaczniesz ssać, wszystko nagle się zmieni i świat znowu będzie dobry. Będziesz postrzegała jedynie TERAZ. Żyła w czasie terażniejszym. Pod wieloma względami będzie ci czego zazdrościć.

Siedmionogi nie są ani wolne, ani zniewolone w naszym rozumieniu tych słów. Nie działają w zgodzie ze swą wolą ani nie są bezwonnymi automatami. Charakterystyczne dla ich rodzaju świadomości jest nie tylko to, że ich uczynki współgrają w wydarzeniach historycznymi, lecz również fakt, że ich motywy są zgodne z celami historii. Działają po to, by stworzyć przyszłość, nadać moc chronologii.

Wolność nie jest złudzeniem. W kontekście świadomości sekwencyjnej jest w pełni rzeczywista. W kontekście świadomości jednoczesnej to pojęcie nie ma znaczenia, lecz przymus nie ma go również. To po prostu inny kontekst, nie bardziej i nie mniej uprawniony niż ten pierwszy. To tak jak z tym sławnym złudzeniem optycznym, rysunkiem, który może przedstawiać elegancką, młodą kobietę

odwróconą twarzą od patrzącego albo staruchę z brodawkami na nosie i brodą przyciśniętą do piersi. Nie istnieje „poprawna” interpretacja tego rysunku. Obie są równie dobre. Ale nie można zobaczyć jednocześnie obu tych obrazów.

Podobnie znajomość przyszłości nie da się pogodzić z wolną wolą. To, co pozwalało mi na swobodny wybór, jednocześnie uniemożliwiało poznanie przyszłości. I na odwrót, teraz, kiedy już znam przyszłość, nigdy nie uczynię niczego, co byłoby z nią sprzeczne, a również nie zdradzę nikomu tego, co wiem. Ci, którzy znają przyszłość, nigdy o niej nie mówią. Ci, którzy czytali *Księgę wieków*, nikomu się do tego nie przyznają.

Włączyłam magnetowid i włożyłam do niego kasetę z nagraniem sesji ze zwierciadełką w Fort Worth. Wyznaczony do negocjacji dyplomata dyskutował z siedmionogami, a za tłumacza służył im Burghart.

Negocjator opisywał obcym ludzkie poglądy na moralność, starając się jakoś przybliżyć im pojęcie altruizmu. Wiedziałam, że siedmionogi znają zakończenie rozmowy, lecz mimo to uczestniczyły w niej z entuzjazmem.

Gdybym opisała to komuś niewtajemniczonymu, mógłby mnie zapytać, po co siedmionogi w ogóle używają języka, jeśli z góry wiedzą, co powiedzą albo usłyszą? To rozsądne pytanie. Język nie służy jednak tylko do porozumiewania się z innymi. Jest również formą działania. Zgodnie z teorią aktów językowych, takie zdania, jak „Jest pan aresztowany”, „Nadaję temu statkowi imię...” albo „Obiecuję”, mają charakter performatywny. Mówiący mógł dokonać danej czynności, tylko wypowiadając te słowa. W takich przypadkach fakt, że słuchacze z góry wiedzą, co będzie powiedziane, niczego nie zmienia. Każdy, kto jest obecny na ślubie, spodziewa się usłyszeć słowa „Ogłaszam was mężem i żoną”, lecz dopóki duchowny ich nie wypowie, ceremonia jest nieważna. W performatywnym języku słowa równają się czynom.

Dla siedmionogów wszystko, co mówią, ma charakter performatywny. Język nie służy im do przekazywania informacji, lecz do urzeczywistniania. Faktycznie wiedziały, co będzie powiedziane w każdej rozmowie, którą kiedykolwiek przeprowadzą, lecz by ich wiedza

okazała się prawdziwa, rozmowa musi się odbyć.

— Najpierw Złotowłoska spróbowała owsianki z talerza taty niedźwiedzia, ale pełno w niej było brukselki, której nie znosiła.

Wybuchniesz śmiechem.

— Nie, tonie tak!

Będziemy siedziały obok siebie na kanapie, a na naszych kolanach będzie spoczywała cienka, stanowczo zbyt droga książeczka w twardej oprawie.

Będę czytała dalej.

— Potem Złotowłoska spróbowała owsianki z talerza mamy niedźwiedzicy, ale pełno w niej było szpinaku, którego też nie znosiła.

Położysz dłoń na stronie książki, żeby mnie powstrzymać.

— Musisz to czytać tak, jak trzeba!

— Czytam to, co jest tu napisane — zapewnię z niewinną miną.

— Nieprawda. W bajce jest inaczej.

— Jeśli znasz już tę bajkę, to po co prosisz mnie, żebym ci ją przeczytała?

— Bo chcę ją usłyszeć!

Klimatyzacja działająca w gabinecie Webera niemal wynagradzała mi fakt, że musiałam z nim rozmawiać.

— Są skłonne zgodzić się na swego rodzaju wymianę — oznajmiłam mu — ale to nie jest handel. Po prostu coś im damy, a one w zamian dadzą nam coś innego. Żadna ze stron nie zdradzi z góry, co zamierza ofiarować drugiej.

Pułkownik Weber zmarszczył leciutko czoło.

— Chce pani powiedzieć, że pragną wymienić dary? Wiedziałam, co muszę odpowiedzieć.

— Nie powinniśmy nazywać tego „darami”. Nie wiemy, czy dla siedmionogów ta transakcja ma takie samo znaczenie jak dla nas.

— A czy możemy... — przerwał na chwilę, szukając odpowiedniego sformułowania — ... dać im do zrozumienia, jakiego rodzaju dar chcielibyśmy otrzymać?

— One tego nie robią w tego typu transakcjach. Pytałam je, czy

możemy o coś prosić, i odpowiedziały, że możemy, ale i tak nie powiedzą, co mają zamiar nam dać.

Uzmysłowiłam sobie nagle, że przymiotnik „performatywny” wiąże się etymologicznie ze słowem opisującym występującego na scenie aktora.

— Ale czy to zwiększyłoby szanse, że dostaniemy to, o co prosimy? — zapytał pułkownik Weber. Choć nie zdawał sobie sprawy z istnienia scenariusza, jego słowa całkowicie zgadzały się z przydzielonym mu tekstem.

— Nie wiadomo — odpowiedziałam. — Wątpię w to jednak, biorąc pod uwagę fakt, że nie leży to w ich zwyczaju.

— A gdybyśmy my obdarowali ich pierwsi, to czy wartość naszego daru wpłynęłaby na wartość tego, co zamierzają nam dać?

— On improwizował, podczas gdy ja starannie się przygotowałam do tego jedyne, niepowtarzalnego występu.

— Nie — wyjaśniłam. — O ile dobrze to rozumiemy, wartość podarunków nie ma znaczenia.

— Gdyby tylko moja rodzina była tego samego zdania — wyszeptał z ironią w głosie Gary.

Pułkownik Weber zwrócił się w jego stronę.

— Czy podczas dyskusji o fizyce dowiedział się pan czegoś nowego?

— Jeśli ma pan na myśli informacje dotąd nieznanne ludzkości, to nie — odparł Gary. — Siedmionogi cały czas trzymają się tej samej rutyny. Jeśli coś im demonstrujemy, pokazują nam, jak to nazywają, ale nic nie zdradzają z własnej woli i nie odpowiadają na pytania dotyczące ich wiedzy.

Wypowiedź, która z ludzkiego punktu widzenia była spontaniczna i służyła komunikacji, w kontekście siedmionogowego B stawała się rytualną recytacją.

Weber skrzywił się.

— No dobra. Zobaczmy, co o tej sprawie sądzi Departament Stanu. Może uda się nam zorganizować jakąś ceremonię wymiany darów.

Podobnie jak wydarzenia fizyczne, które miały interpretację

przyczynową i teleologiczną, każde wydarzenie językowe można było interpretować jako przekaz informacji albo jako realizację planu.

— Myślę, że to dobry pomysł, pułkowniku.

Był to dwuznacznik niezrozumiały dla większości. Mój prywatny żart. Nie proście mnie, bym go wam wytłumaczyła.

Mimo że biegle władam siedmionogowym B, wiem, że nie postrzegam rzeczywistości tak jak siedmionóg. Mój umysł ukształtowały ludzkie, sekwencyjne języki i nawet najgłębsze zanurzenie w obcym języku nie może zmienić go całkowicie. Mój pogląd na świat stanowi ludzko-siedmionogowy amalgamat.

Nim nauczyłam się myśleć w siedmionogowym B, moje wspomnienia narastały jak popiół z papierosa, podążający za nieskończenie cienką linią spalania, którą była moja świadomość, wyznaczająca sekwencyjną teraźniejszość. Kiedy nauczyłam się tego języka, nowe wspomnienia spadły na miejsce niczym gigantyczne bloki, z których każdy zajmował wiele lat. Mimo że nie zjawiały się w porządku zgodnym z upływem czasu ani nie lądowały obok siebie, wkrótce zajęły pięćdziesiąt lat — okres, gdy będę znała siedmionogowy B wystarczająco dobrze, żeby w nim myśleć, poczynając od rozmów z Klaskaczem i Prychaczem, a kończąc na mojej śmierci.

Na ogół siedmionogowy B wpływa tylko na moją pamięć. Moja świadomość nadal pełźnie naprzód, tak samo jak przedtem. Płonąca kreseczka wciąż posuwa się ku przyszłości, a jedyna różnica polega na tym, że popiół wspomnień ciągnie się teraz nie tylko z tyłu, lecz również z przodu. Nic się nie spala. Zdarzają mi się jednak chwile, gdy siedmionogowy B włada niepodzielnie. Doświadczam wtedy przeszłości i przyszłości jednocześnie. Moja świadomość staje się długim na pół stulecia węgielkiem płonącym poza czasem. W owych rzadkich momentach postrzegam jednocześnie cały ten okres, obejmujący resztę mojego życia i całe twoje.

Napisałam semagramy symbolizujące „proces stworzyć — punkt — zakończenia inkluzywne — my”, co znaczyło „zaczynamy”. Prychacz udzielił potwierdzającej odpowiedzi i zaczął się pokazywać. Na drugim przyniesionym przez siedmionogi ekranie pojawiła się seria złożonych z semagramów i równań obrazów. Jeden z naszych ekranów

również się włączył.

To była już druga „wymiana darów”, przy której byłam obecna, a ósma w ogóle. Wiedziałam też, że będzie ostatnia.

W namiocie zwierciadełka było pełno ludzi. Zjawił się Burghart z Fort Worth, a także Gary, jakiś fizyk jądrowy oraz biolodzy, antropolodzy, wysocy rangą wojskowi i dyplomaci. Całe szczęście, że włączyli klimatyzację, żeby trochę zmniejszyć temperaturę. Później mieliśmy obejrzeć nagrania, by się przekonać, co było „darem” siedmionogów. Naszym „darem” była prezentacja malarstwa jaskiniowego z Lascaux.

Wszyscy tłoczyliśmy się wokół drugiego ekranu siedmionogów, starając się zorientować, co nam pokazują.

— Wstępna ocena? — zapytał pułkownik Weber.

— To nie jest powtórzenie — odparł Burghart. Podczas poprzedniej wymiany siedmionogi odegrały nam informacje na temat ludzkości, które dopiero co im przekazaliśmy. Ludzie z Departamentu Stanu byli wściekli, nie mieliśmy jednak powodu sądzić, by miała to być zniewaga. Zapewne miało to wskazywać, że wartość handlowa nie ma w takich wymianach żadnego znaczenia. Nie wykluczało to możliwości, że następnym razem siedmionogi ofiarują nam napęd kosmiczny, zimną fuzję albo jakiś inny wymarzony przez nas cud.

— To wygląda na chemię nieorganiczną — zauważył fizyk jądrowy, wskazując na jedno z równań, nim zniknęło z ekranu.

Gary skinął głową.

— To mogłaby być inżynieria materiałowa — stwierdził.

— Może wreszcie coś osiągnęliśmy — odezwał się pułkownik Weber.

— Chcę zobaczyć zwierzęta — wyszeptałam tak cicho, że usłyszał mnie jedynie Gary. Wydęłam usta jak dziecko. Uśmiechnął się i dał mi kuksańca. Rzeczywiście chciałam, by obcy udzielili nam kolejnego wykładu z ksenobiologii, jak to zrobili już podczas dwóch sesji. Sądząc po tym, co nam pokazali, ludzie byli bardziej podobni do siedmionogów niż jakikolwiek inny napotkany przez nie gatunek. Chętnie też usłyszałabym następny wykład o siedmionogowej historii. Choć pełno w nich było wniosków, które nie wynikały z przesłanek, wydały mi się

bardzo interesujące. Nie chciałam, by siedmionogi podarowały nam jakąś nową technologię, ponieważ bałam się tego, co mogą z nią uczynić nasze rządy.

Podczas wymiany informacji przyglądałam się Prychaczowi w poszukiwaniu jakichś przejawów niezwykłego zachowania. Obcy jak zwykle stał niemal bez ruchu i nic nie zapowiadało tego, co miało się za chwilę wydarzyć.

Po jakiejś minucie ekran siedmionogów zgasł, a po następnej to samo stało się z naszym. Gary i większość pozostałych uczonych tłoczyli się wokół małego ekraniku, na którym odtwarzano przekaz obcych. Słyszałam, jak mówią, że trzeba wezwać specjalistę od fizyki ciała stałego.

Pułkownik Weber odwrócił się naszą stroną.

— Wyznaczcie czas i miejsce następnego spotkania — rozkazał mi i Burghartowi, po czym podszedł do ekranu razem z pozostałymi.

— Już się robi — odparłam. — Czy ten zaszczyt ma przypaść panu, czy mnie? — zapytałam Burgharta. Wiedziałam, że władza siedmionogowym B równie biegle jak ja.

— To pani zwierciadełko — odparł. — Pani prowadzi. Znowu usiadłam za komputerem transmisyjnym.

— Założę się, że na studiach nie spodziewał się pan, że przyjdzie panu pracować jako tłumacz dla wojska.

— Ma pani cholerną rację — przyznał. — Nawet w tej chwili trudno mi w to uwierzyć.

Wszystko, co do siebie mówiliśmy, przypominało starannie wyprane ze znaczeń rozmowy szpiegów, którzy spotykają się w miejscu publicznym, ani na chwilę nie wypadając ze swej roli.

Napisałam semagramy oznaczające „umiejscowienie wymiana — transakcja inkluzywna — my” z projektywną modulacją aspektu.

Prychacz napisał odpowiedź. To było dla mnie sygnałem, by zmarszczyć brwi, a dla Burgharta, żeby zapytać:

— Co on mówi?

Jego aktorstwo było bez zarzutu.

Napisałam prośbę o wyjaśnienie. Odpowiedź Prychacza wyglądała tak samo jak poprzednio. Potem siedmionóg wyszedł z pomieszczenia.

Zbliżał się koniec aktu. Pora opuścić kurtynę.

Pułkownik Weber podszedł bliżej.

— Co się stało? Dokąd poszedł?

— Powiedział, że siedmionogi odlatują — wyjaśniłam. — Nie tylko on, ale wszystkie.

— Niech go pani zawoła i zapyta, o co chodzi.

— Hm, nie sądzę, by Prychacz nosił pager — odpowiedziałam.

Obraz w zwierciadelku zniknął tak nagle, że minęła chwila, nim moje oczy zarejestrowały to, co widziałam w nim teraz: drugą stronę namiotu. Zwierciadelko stało się zupełnie przezroczyste. Rozmowy wokół ekranu umilkły.

— Co tu się dzieje, do diabła? — zapytał pułkownik Weber.

Gary podszedł do zwierciadelka, a potem spojrzał na nie od tyłu. Dotknął dłonią tylnej powierzchni. Tam, gdzie zetknęły się z nią opuszki jego palców, zobaczyłam blade owale.

— Chyba właśnie zobaczyliśmy demonstrację transmutacji na odległość — mruknął.

Usłyszałam odgłos ciężkich kroków, zbliżających się do nas po suchej trawie. Do namiotu wpadł zdyszany od biegu żołnierz, trzymający w rękach przesadnie wielką radiostację. — Panie pułkowniku, wiadomość z...

Weber wyrwał mu radiostację z dłoni.

Pamiętam, jak będę się czuła, patrząc na ciebie, gdy będziesz miała tylko dzień. Twój ojciec wyjdzie na chwilę do szpitalnego bufetu, ty będziesz leżała w swojej kołysce, a ja pochylę się nad tobą. Tak krótko po porodzie nadal będę się czuła jak wyżęty ręcznik. Wydasz mi się nieprawdopodobnie maleńka. Podczas ciąży będę odnosiła wrażenie, że jestem ogromna i z pewnością powinien się we mnie zmieścić ktoś większy i bardziej krzepki od ciebie. Rączki i nóżki będziesz miała chudziutkie, wolne jeszcze od niemowlęcego tłuszczu, buzię czerwoną i pomarszczoną, a powieki zaciśnięte. To będzie faza gnoma, poprzedzająca fazę cherubinka.

Przebiegnę palcem po twoim brzuszku, zdumiewając się niesamowitą miękkością skóry i zastanawiając się, czy jedwab wywoła

na niej otarcia, jak tkanina workowa. Potem zaczniesz się wić, wyginać ciało i prostować nóżki. Poznam ten gest, który czułam tak wiele razy, gdy byłaś w środku. A więc tak to wygląda.

Niepowtarzalna więź matki z dzieckiem, pewność, że to właśnie ciebie nosiłam, wprawi mnie w uniesienie. Nawet gdybym nigdy przedtem nie widziała cię na oczy, poznałabym cię w całym morzu noworodków. Nie ten. Nie, ten też nie. Chwileczkę, tamten.

Tak, to ona. Moje dziecko.

Po tej ostatniej „wymianie darów” nie ujrzeliśmy już więcej siedmionogów. Wszystkie ich zwierciadełka, na całym świecie, w jednej chwili stały się przezroczyste, a ich statki opuściły orbitę. Analiza chemiczna zwierciadełek wykazała, że są one tylko płytami stopionej, całkowicie obojętnej krzemionki. Informacja, którą otrzymaliśmy podczas ostatniej sesji, opisywała nową klasę nadprzewodników, później jednak okazało się, że to tylko powtórzenie wyników badań, które niedawno ukończono w Japonii. Nie uzyskaliśmy nic, czego ludzkość już by nie wiedziała.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego siedmionogi odleciały, tak samo jak nie wiemy, co je tu sprowadziło ani dlaczego zachowywały się w taki właśnie sposób. Moja nowa świadomość nie mogła mi dać tego typu wiedzy. Zachowanie siedmionogów zapewne można było wytłumaczyć z sekwencyjnego punktu widzenia, my jednak nie znaleźliśmy tego wyjaśnienia.

Z chęcią zapoznałabym się bliżej z siedmionogowym poglądem na świat, by móc czuć to samo co one. Wtedy może zdołałabym się całkowicie zanurzyć w konieczności wydarzeń, jak z pewnością czynią one, zamiast tylko brodzić w niej przez resztę życia. Tak się jednak nie stanie. Nadal będę się wprawiała w siedmionogowych językach, tak samo jak inni językoznawcy, którzy pracowali przy zwierciadełkach, lecz nikt z nas nie posunie się dalej niż wtedy, gdy obcy byli z nami.

Praca z nimi zmieniła moje życie. Poznałam twojego ojca i nauczyłam się siedmionogowego B, a dzięki obu tym faktom mogę znać cię teraz, na skąpanym w blasku księżycy patio. Po wielu latach utracę i twojego ojca, i ciebie. Z tej chwili zostanie mi tylko język

siedmionogów. Dlatego zwracam baczną uwagę na wszystkie szczegóły.

Już od początku znałam punkt swego przeznaczenia i wybrałam wiodącą do niego trasę. Czy jednak jest to trasa największej radości, czy największego bólu? Minimum czy maksimum?

O tym właśnie myślę, gdy twój ojciec mnie pyta: „Czy chcesz zrobić dziecko?”. Uśmiecham się i odpowiadam: „Tak”. Wypuszcza mnie z objęć i trzymając się za ręce, wchodzimy do środka, żeby się kochać i spłodzić siebie.

tłumaczył Michał Jakuszczyński

Siedemdziesiąt dwie litery

(Seventy-Two Letters)

Robert w dzieciństwie miał prymitywną zabawkę: glinianą lalkę, która potrafiła tylko dreptać przed siebie. Kiedy rodzice, zabawiając gości w ogrodzie, dyskutowali o wstąpieniu na tron Wiktorii lub reformach czartystów, on włączył się za lalką po korytarzach rodzinnego domu, aby przestawiać ją na zakrętach lub obracać i posyłać w powrotną drogę. Małeńka gliniana lalka nie słuchała poleceń, zresztą nie miała ani krzty inteligencji. Po zderzeniu się ze ścianą nadal próbowała maszerować, mimo że rozpaćkane, zdeformowane ręce i nogi zaczynały przypominać rybie płetwy. Czasami Robert dopuszczał do tego z czystej przyjemności, lecz zwykle na widok zmaltretowanych kończyn podnosił zabawkę i zabierał imię, co paraliżowało jej ruchy. Potem ugniatał ją jak ciasto, rozpląszczał na desce i wycinał nową figurkę, przykładowo stworzą z wykoślawionymi lub nierównymi nogami. Gdy dawał mu imię, ten natychmiast się wywracał lub niezgrabnie człapał w kółko.

Samo lepienie nie sprawiało Robertowi aż tak wielkiej uciechy, za to uwielbiał badać, ile można wydusić z danego imienia. Sprawdzał, w którym momencie imię przestanie napędzać zdefasonowaną lalkę. Aby proces lepienia ograniczyć do minimum, rzadko zaprzętał sobie głowę zbędnymi detalami. Ciało miały tylko z grubsza nakreślone kształty, na ile tego wymagało testowane imię.

Inna lalka łąziła na czterech nogach. Porcelanowy konik pysznił się zgrabną budową, nie zbywało mu na szczegółach, lecz i tym razem Robert rzucił się w wir eksperymentowania. Imię reagowało na polecenia „idź” i „stój”, a także pozwalało omijać przeszkody. Robert próbował przenosić je na stworzenia własnej roboty, ono jednak stawiało przed ciałem wysokie wymagania, a jemu ani razu nie udało się ulepić z gliny istoty, którą mogłoby animować. Osobno tworzył nogi i potem łączył je z korpusem, lecz nie potrafił skutecznie usunąć szwów na łączeniach. Dlatego imię nie traktowało figurki jako jednolity organizm.

Z tego powodu wnikliwie badał imiona, doszukując się elementów właściwych dla istot dwunożnych bądź czworonożnych, lub też umożliwiających wykonywanie określonych ruchów. Tymczasem one wciąż go zaskakiwały. Na każdej pergaminowej karteczce — siedemdziesiąt dwie hebrajskie literki, ułożone w dwunastu kolumnach po sześć znaków. Na pierwszy rzut oka ich uporządkowaniem rządził przypadek.

Robert Stratton, tak jak reszta dzieciaków z czwartej klasy, siedział cicho, kiedy pan Trevelyan przechadzał się między ławkami.

— Langdale, co mówi nam doktryna liter?

— Każda rzecz jest obrazem Boga, no i... ee... każda...

— Siadaj i nie bełkocz! Thorburn, może ty nam powiesz, czym jest doktryna liter?

— Jak każda rzecz jest obrazem Boga, tak każde imię jest obrazem boskiego imienia.

— A prawdziwe imię przedmiotu?

— Obrazuje boskie imię w ten sam sposób, w jaki sam przedmiot jest obrazem Boga.

— A czym się charakteryzuje prawdziwe imię?

— Obdarza przedmiot częścią Bożej mocy.

— Bardzo dobrze. Halliwell, co nam mówi doktryna podpisu?

Lekcja filozofii naturalnej skończyła się w południe, ale ponieważ była sobota i uczniowie nie mieli już żadnych zajęć, pan Trevelyan puścił ich do domu. Chłopcy ze szkoły w Cheltenham szybko się rozproszyli.

Robert na chwilę wstąpił do dormitorium, a potem, opuszczając teren szkoły, spotkał swojego kumpla Lionela.

— To jak, doczekam się wreszcie? — spytał. — Dzisiaj będzie ten wielki dzień?

— Przecież słyszałeś, co mówiłem.

— Dobra, chodźmy. — Ruszyli w stronę oddalonego o półtorej mili domu Lionela.

W ciągu swojego pierwszego roku w Cheltenham Robert znał tylko z widzenia Lionela — jednego z chłopaków, którzy nocowali w domu, a

z takimi ci z internatu raczej nie trzymali. Aż pewnego razu na wakacjach wpadli na siebie, zupełnie przez przypadek, w British Museum. Robertowi muzeum strasznie się spodobało: kruche mumie, masywne sarkofagi, wypchany dziobak i syrenka w słoju, ściana najeżona kłami słoni, porożami łosi i rogami jednorożców. Tamtego pamiętnego dnia zwiedzał wystawę poświęconą duchom żywiołów i akurat czytał tabliczkę z wyjaśnieniem zniknięcia salamandry, gdy nagle obok siebie dostrzegł Lionela, który podpatrywał undynę w słoiku. W rozmowie okazało się, że obu fascynuje nauka. Prędko zostali serdecznymi przyjaciółmi.

Idąc drogą, kopali na zmianę duży kamyk. Lionel kopnął go tak udanie, że smyknął Robertowi między nogami. Buchnął śmiechem.

— Nie mogłem się doczekać, kiedy to się skończy — powiedział.
— Myślałem, że jeszcze jedna doktryna i zwariuję.

— Z jakiej paki nazywają to filozofią naturalną? Przyznaliby się, że to jeszcze jedna lekcja teologii i byłoby po krzyku.

Niedawno kupili na spółkę *Dziecięcy przewodnik po nomenklaturze*, skąd dowiedzieli się, że dzisiejsi nomenklatorzy nie posługują się terminami „Bóg” i „boskie imię”. Według najnowszych opracowań, obok fizycznego wszechświata istniał równoległy, leksykalny, a połączenie przedmiotu z odpowiednim imieniem budziło w jednym i drugim uśpiony potencjał. Jednocześnie żaden przedmiot nie posiadał tak zwanego prawdziwego imienia; w zależności od kształtu ciało mogło reagować podobnie na kilka imion (zwanym eunimami) i na odwrót, jedno imię mogło tolerować pewne odchyły kształtu ciała, o czym w dzieciństwie przekonała Roberta chodząca lalka.

W domu Lionela obiecali kucharce, że zaraz wrócą na obiad, po czym wyszli do ogrodu. Lionel zaadaptował szopę z narzędziami na laboratorium i przeprowadzał tam swoje eksperymenty. Robert zwykł odwiedzać go regularnie, lecz ostatnio Lionel pracował w tajemnicy. Dziś przyszła pora na rezultaty. Kazał Robertowi poczekać w ogrodzie, a sam wszedł do środka, by po krótkiej chwili przywołać kolegę.

Na każdej ścianie wisiała długa półka, zastawiona bateriami flakoników i zakorkowanych buteleczek z zielonego szkła tudzież przeróżnymi kamieniami i minerałami. W ciasnym pomieszczeniu

dominował zaplamiony i osmolony stół, na którym teraz stał aparat potrzebny do wykonania najnowszego eksperymentu Lionela. Szklana kolba była osadzona na stojaku w ten sposób, że jej dolna część zanurzała się w miednicy z wodą. Miednica z kolei stała na trójnogu nad lampą naftową. Wystawał z niej termometr rtęciowy.

— Popatrz sobie — powiedział Lionel.

Robert pochylił się nad kolbą, aby sprawdzić jej zawartość. Z początku widział jak gdyby mydliny albo kożuch piany strząśnięty z kufła piwa. Gdy się jednak przyjrzał, uświadomił sobie, że bąbelki w istocie rzeczy są szczelinami połyskliwej siateczki, wypakowanej gromadą homunkulusów, mikroskopijnych zarodków. Każde ciało z osobna było przezroczyste, lecz baniaste główki i nitkowate kończyny, ściśnięte w grupie, tworzyły gęstą, mętną pianę.

— Spuściłeś się do słoja i podgrzewałeś spermę? — zażartował Robert, za co dostał kuksańca. Roześmiał się i uniósł ręce w geście pojednania. — Nie, no, rewelacja, mówię poważnie. Jak to zrobiłeś?

— Kwestia równowagi — odparł Lionel, udobruchany. — Musisz utrzymywać właściwą temperaturę, to jasne, ale trzeba też odpowiednio podawać składniki odżywcze. Dasz za mało żarcia, będą głodne. Przesadzisz, rozzuchwałą się i zaczną walczyć ze sobą.

— Teraz to już kitujesz...

— Coś ty, nie cyganię. Sam sprawdź, jeśli nie wierzysz. One się grzmocą i potem rodzi się monstrum. Wystarczy, że ranny zarodek dotrze do komórki jajowej, a urodzi się kaleka.

— Myślałem, że dzieje się tak, jeśli kobieta w ciąży mocno się czegoś przestraszy. — Robert dostrzegł niepozorne przepychanki między zarodkami i zrozumiał, że powolne kołysanie się piany wynika właśnie z tych ruchów.

— Owszem, w niektórych przypadkach, gdy rodzi się dzieciak cały owłosiony lub w plamach. Ale dzieci bez rąk i nóg, ze zdeformowanym ciałem, to są właśnie łobuzy, które były się, kiedy były spermą. Dlatego nie wolno przesadzać z karmą, tym bardziej że są tu uwięzione. Mogłyby powariować. Szybko by się pozabijały.

— Jak długo mogą rosnać?

— Te już chyba nie za długo. Trudno je utrzymać przy życiu, jeśli

nie dochodzą do komórki jajowej. Czytałem o takim jednym, które urosło we Francji do rozmiarów pięści, a mieli tam najlepszy sprzęt. Chciałem się tylko przekonać, czy mogę coś wyhodować.

Robert gapił się na pianę, przypominając sobie doktrynę preformacji, którą walczyli na lekcjach pana Trevelyana. Wszystkie istoty żywe zostały stworzone jednocześnie przed wieloma wiekami, a co się dzisiaj rodziło, było tylko powiększonym potomstwem tego, co do tej pory nie ukazywało się ludzkim oczom. Chociaż homunkulusy wydawały się nowo powołane do życia, liczyły sobie niezliczone tysiące lat. Od zarania ludzkości chowały się w ciele przodków, pokolenie za pokoleniem, czekając na swoją kolej, żeby się urodzić.

Prawdę mówiąc, nie tylko one czekały. On sam musiał zrobić to samo, zanim się urodził. Gdyby jego ojciec przeprowadzał ten eksperyment, to maleństwa, którym się teraz przyglądał, byłyby jego nienarodzonymi braćmi i siostrami. Wiedział, że do czasu wnikięcia do komórki jajowej są pozbawione świadomości, ale zastanawiał się, o czym by myślały, gdyby było inaczej. Wyobraził sobie doznania swego ciała: kości i narządy miękkie i szkliste jak galareta, wciśnięte w ciała miriadów identycznych pobratymców. Jak by to było? Zerkać spod przezroczystych powiek i uświadomić sobie, że góra w oddali jest *de facto* człowiekiem... I rozpoznać w nim brata... A gdyby wiedział, że jeśli dotrze do komórki jajowej, będzie miał szansę dorównać potęgą i wielkością owemu kolosowi? Nie dziwota, że ze sobą walczyły.

Upłynęło trochę czasu. Robert Stratton studiował nomenklaturę w Kolegium Trójcy Świętej uniwersytetu w Cambridge. Zgłębiał teksty kabalistyczne, spisane przed wiekami, kiedy nomenklatorów zwano jeszcze *ba'alei szem*, a automaty golemami — teksty będące fundamentem nauki o imionach: *Sefer jecira*, *Sodej razaja* Eleazara z Wormacji, *Hajjei ha — Olam ha Ba* Abrahama Abulafii. Czytał również traktaty alchemiczne, które umieszczały techniki alfabetycznych manipulacji w szerszym filozoficzno — matematycznym kontekście: *Ars magne* Raimundusa Lullusa, *De Occulta Philosophia* Corneliusa Agrippy, *Monas Hieroglyphica* Johna Dee.

Dowiedział się, że każde imię jest kombinacją kilku epitetów, z

których każdy odnosi się do konkretnej zdolności lub właściwości. Epitety są generowane w procesie kompilacji wszystkich wyrazów opisujących wybraną cechę, źródłowych i pokrewnych, istniejących we wszystkich językach żywych i martwych. Poprzez selektywne podmienianie i przestawianie liter można wyodrębnić ze słów ich prawdziwą esencję, czyli poszukiwany epitet. Pewne okoliczności uzasadniały użycie epitetów w charakterze materiału odniesienia, co w efekcie dawało epitety definiujące właściwości nieopisane w żadnym języku. Metoda opierała się w równej mierze na intuicji, co na utartych procedurach. Kto chciał optymalnie układać litery, musiał mieć do tego wrodzone zdolności.

Poznawał nowoczesne techniki słowotwórczej syntezy i rozkładu. Ta pierwsza określała sposoby zespalania grupy trafnych i sugestywnych epitetów, aby powstał pozornie przypadkowy ciąg liter tworzących imię. Rozkład był dekompozycją imienia na elementarne epitety. Nie każdą syntezę dało się analogicznie odwrócić: czasem imię rozkładało się do postaci zbioru epitetów innych niż te, które posłużyły do jego budowy, co miało swoje dobre strony. Pewne imiona nie podlegały jednak rozkładowi, toteż nomenklatorzy, aby przeniknąć ich tajemnice, pilnie pracowali nad nowymi technikami.

W samej nomenklaturze dokonywała się ostatnio swoista rewolucja. Imiona zawsze dzielono na dwie kategorie: jedne ożywiały materię, drugie służyły jako talizmany. Talizman zdrowia chronił przed chorobą i skaleczeniami, inny mógł zabezpieczyć dom przed pożarem lub statek przed zatonięciem. Wszelako od niedawna granica między obiema kategoriami imion wolno się zacierała, co dawało obiecujące rezultaty.

Termodynamika, nowa prężna nauka, badająca zjawiska związane z zamianą pracy w ciepło i na odwrót, pozwoliła ustalić, w jaki sposób automaty pobierają energię do działania przez absorpcję ciepła z otoczenia. Korzystając z pełniejszego zrozumienia istoty ciepła, pewien *namenmeister* w Berlinie stworzył nową rodzinę talizmanów, które sprawiają, że odlane ciało pobiera ciepło w jednym miejscu i wyzwala je w drugim. Zamrażanie za pomocą tego rodzaju talizmanów było prostsze i skuteczniejsze niż to oparte na parowaniu lotnych cieczy, a zatem

cieszyło się ogromną popularnością na rynku. Talizmany ponadto przyspieszyły rozwój automatów: w Edynburgu nomenklator badający metody ochrony przedmiotów przed zgubieniem opatentował automat gospodarczy, umiejący odnosić przedmioty na właściwe miejsce.

Po ukończeniu studiów Stratton zamieszkał na stałe w Londynie, gdzie znalazł pracę na stanowisku nomenklatora w Coade Manufactory, u czołowego angielskiego producenta automatów.

Kiedy Stratton wchodził do fabryki, jego najnowszy automat z gipsu modelarskiego szedł za nim w odległości kilku kroków. Fabryka była olbrzymim ceglany gmazyskiem z przeszklonym dachem. Połowę powierzchni przeznaczono pod odlewnię metalu, połowę pod produkcję wyrobów z tworzyw ceramicznych. Na obu oddziałach kręte korytarze łączyły poszczególne hale, w których odbywały się kolejne etapy przetwarzania surowca w gotowe automaty.

Stratton ze swoim sztucznym kompanem wszedł na oddział tworzyw ceramicznych. Minęli rząd niskich kadzi, służących do mieszania gliny. Zawierały różne rodzaje gliny — począwszy od pospolitej czerwonej, a skończywszy na szlachetnym, białym kaolinie — przypominały zaś ogromne kubki z gorącą czekoladą lub gęstą śmietaną; jedynie ostry chemiczny zapach rozwiewał iluzję. Mieszadła do gliny połączone były za pośrednictwem przekładni z wałem napędowym, który biegł przez całą długość hali tuż poniżej dachowych świetlików. Pod ścianą stał automat silnikowy: żeliwny olbrzym, który niestrudzenie kręcił korbą. Przechodząc koło niego, Stratton odczuł niewielki spadek temperatury, jako że silnik pobierał ciepło z otoczenia.

W sąsiedniej hali znajdowały się formy odlewnicze. Pod ścianami układano kredowobiałe skorupy o kształtach rozmaitych automatów, a na środku, pojedynczo lub dwójkami, ubrani w fartuchy czeladnicy pracowali przy kokonach, w których leżały się automaty.

Stojący najbliżej rzeźbiarz składał właśnie formę człapaka, szerokogłowego czworonoga przeznaczonego do pracy w kopalni, a ściślej do ciągnięcia wózków z urobkiem.

Młodzieniec skierował wzrok na niego.

— Pan kogoś szuka? — zapytał.

— Umówiłem się tu z panem Willoughbym.

— Przepraszam, nie wiedziałem. Na pewno zaraz tu przyjdzie.

Czeladnik wrócił do swego zajęcia.

Harold Willoughby był mistrzem rzeźbiarskim pierwszego stopnia. Stratton chciał się z nim skonsultować w sprawie projektowania formy wielokrotnego użytku dla swego automatu. Aby skrócić sobie czas oczekiwania, przechadzał się wolno między formami. Jego automat stał nieruchomo, czekając na polecenie.

Willoughby wszedł na halę z odlewni, cały rumiany od buchającego tam żaru.

— Przepraszam za spóźnienie, panie Stratton — powiedział. — Od kilku tygodni pracujemy nad szczególnie dużą figurą ze spiżu i właśnie dziś ją odlewamy. W takiej chwili nie chciałbym zostawiać chłopaków samym sobie.

— Doskonale rozumiem.

Aby nie marnować czasu, Willoughby podszedł do nowego automatu.

— To nad tym kazał pan męczyć się Moore'owi przez tyle miesięcy?

Moore był czeladnikiem, który pomagał Strattonowi przy jego projekcie.

Stratton pokiwał głową.

— Chłopak naprawdę się stara.

Stosownie do wskazówek, Moore ulepił niezliczoną liczbę ciał, różnorodnych wariacji na jeden podstawowy temat. Kładł na szkielet glinę modelarską, a później tworzył gipsowe odlewy, na których Stratton testował imiona.

Willoughby z uwagą przyglądał się ciału.

— Ładne wykończenie. Porządna robota... ale zaraz, zaraz, co my tutaj mamy? — Wskazał na dłonie automatu, które w odróżnieniu od tradycyjnych zakończeń w kształcie wioseł lub jednopalczastych żłobionych rękawic miały oprócz kciuków po cztery osobne, mocno wyodrębnione palce. — Pan mi chyba nie powie, że one są w pełni sprawne?

— Są, jak najbardziej. Willoughby nie dowierzał.

— Niech pan zademonstruje.

— Zegnij palce! — zwrócił się Stratton do automatu, który zaraz wyciągnął przed siebie ręce, zgiął i wyprostował po kolei każdą parę palców, a na koniec opuścił ramiona wzdłuż ciała.

— W takim razie gratuluję, panie Stratton — rzekł rzeźbiarz. Kucnął, aby z bliska przyrzeć się palcom automatu. — Muszą się zginać we wszystkich stawach, żeby imię działało?

— To prawda. Jest pan w stanie wykonać pod taki kształt formę dzieloną?

Willoughby cmoknął kilka razy.

— Cóż, trzeba pokombinować. Kto wie, czy każdy odlew nie będzie wymagał formy przejściowej. W przypadku ceramiki nawet forma dzielona nie uchroni nas od wysokich kosztów.

— Myślę, że koszty się zwrócą. To może mały pokaz, jeśli pan pozwoli. — Stratton odwrócił się do automatu. — Odlej korpus. Użyj tamtej formy.

Automat podreptał pod ścianę i podniósł wskazane elementy formy, wykorzystywanej do tworzenia małych porcelanowych posłańców. Kilku czeladników przerwało pracę i śledziło poczynania automatu, który przeniósł formę na warsztat. Tam połączył elementy i związał je mocno szpagatem. Rzeźbiarze nie posiadali się ze zdziwienia na widok ruchliwych palców automatu, dla którego przełożenie sznurka przez pętelkę i zadzierzgnięcie węzła nie stanowiło problemu. Automat postawił złożoną formę w wyprostowanej pozycji i ruszył po dzban z angobą.

— Wystarczy — powiedział Willoughby.

Automat przerwał pracę, wrócił na poprzednie miejsce i znieruchomiał.

— Pan go sam szkolił? — zapytał Willoughby po obejrzeniu formy.

— Owszem. Mam nadzieję, że Moore nauczy go odlewać metal.

— Zna pan imiona, które można przyuczyć do innych czynności?

— Na razie nie. Aczkolwiek wszystko wskazuje na to, że istnieje cała grupa podobnych imion, po jednym na każde zajęcie wymagające zdolności manualnych.

— Co pan powie... — Willoughby zauważył bezczynność czeladników i natychmiast ich zrugął: — A wam już się nudzi? Jak chcecie, zaraz wam znajdę robotę! — Kiedy czeladnicy rzucili się do pracy, zwrócił się do Strattona: — Przejdźmy do gabinetu, o tym trzeba jeszcze porozmawiać.

— Proszę bardzo. — Stratton polecił automatowi iść z tyłu, a sam udał się z rzeźbiarzem do budynku na skraju kompleksu połączonych zabudowań, które wchodziły w skład Coade Manufactory. Najpierw weszli do pracowni Strattona, usytuowanej obok jego gabinetu. Tam zwrócił się do swego towarzysza: — Czy panu coś się nie podoba w moim automacie?

Willoughby spojrział na dwie gliniane dłonie, leżące na warsztacie. Na ścianie za stołem wisiały przypięte szpilkami szkice rąk w różnych ułożeniach.

— Jestem pełen uznania dla pańskiej symulacji ludzkiej dłoni. Zafrapowało mnie jednak to, że automat już na samym wstępie nauczył się rzeźbić.

— Niepotrzebnie pan się martwi, że próbuję zastąpić rzeźbiarzy. Moim zadaniem jest coś zupełnie innego.

— No to kamień z serca. Ale w takim razie dlaczego pan wybrał rzeźbienie?

— To pierwszy krok, lecz na mojej drodze jeszcze wiele zakrętów. Ostatecznie chciałbym uruchomić produkcję tanich automatycznych silników, takich na kieszeń przeciętnej rodziny.

Willoughby nie krył zdziwienia.

— Niechże mi pan z łaski swojej powie, na co rodzinie silnik?

— A chociażby do napędzania krosien. — I cóż pan dalej robi?

— Widział pan dzieci zatrudnione w zakładzie włókienniczym?

Żyły tam z siebie wypruwają. Duszą się bawełnianym puchem i są tak chorowite, że mało które dożywają wieku dojrzałego. Mamy tańsze tkaniny za cenę zdrowia robotników. Tkaczom powodziło się lepiej, kiedy byli chałupnikami.

— Ale to właśnie maszyny tkackie oduczyły tkaczy chałupnictwa. Pan chciałby odwrócić ten proces?

Stratton na ten temat jeszcze z nikim nie rozmawiał, więc teraz tym

gorliwiej wyjaśniał:

— Cena automatycznych silników zawsze była wysoka, zatem mamy zakłady, w których ogromne goliaty opalane węglem napędzają dziesiątki krosien. Jednakże mój automat mógłby odlewać silniki za darmo. Jeżeli rodzinę tkacza stać będzie na zakup małego automatycznego silnika, zdatnego do napędzania kilku maszyn, to on zacznie wyrabiać tkaniny u siebie w domu, jak to się dawniej odbywało. Ludzie zarabialiby godziwie, nienarażeni na podłe warunki w zakładzie.

— Zapomina pan o kosztach samego krosna — rzekł spokojnie Willoughby, jakby naciągał go na zwierzenia. — Napędzane krosna są o wiele droższe od tych starych, ręcznych.

— Moje automaty pomagałyby w produkcji żeliwnych części, co pozwoliłoby obniżyć cenę zarówno krosien, jak i innych urządzeń. Wiem, że nie jest to panaceum na wszelkie bolączki, ale wiem z całą pewnością, że dla zwykłego rzemieślnika niedrogie silniki są nadzieją na lepsze życie.

— Reformatorskie zamysły chwala się panu, nie przeczę, są jednak prostsze sposoby na wspomniane przez pana społeczne dolegliwości: zmniejszenie liczby godzin pracy, poprawa warunków pracy. Nie musi pan wywracać do góry nogami całego systemu produkcji.

— Nie wywracam do góry nogami, ale przywracam do dawnego stanu.

Willoughby zaczął się wreszcie denerwować.

— To całe ożywanie rodzinnych interesów niechby sobie i było, ale co będzie z rzeźbiarzami? Niezależnie od intencji, pańskie automaty pozbawią ich pracy. To ludzie, którzy przez lata szkolili się i dochodzili do wprawy. Czym wykarmią rodziny?

Stratton nie spodziewał się pytań zadawanych tonem tak opryskliwym.

— Nie jestem znowu wszechmocnym nomenklatorem.

Silił się na spokój, gdy rzeźbiarz miał wciąż kwaśną minę.

— Automaty mają niezwykle ograniczone zdolności uczenia się — ciągnął. — Mogą manipulować formami, ale nie mogą ich projektować. Prawdziwą sztukę rzeźbiarską będą znać tylko rzeźbiarze. Zanim się spotkaliśmy, kończył pan instruować czeladników pracujących nad

dużym spiszowym odlewem. Automaty nie mogą ze sobą współpracować. Wykonują jedynie wyuczone czynności.

— A jakichże się dochowamy rzeźbiarzy, jeśli zamiast harować u nauczyciela, będą patrzeć na pracę automatów? Nie zgodzę się, żeby w tak szacownym zawodzie wybijały się na czoło bezmózgie marionetki.

— Wszak do tego nie dojdzie! — Stratton też się już zdenerwował. — Ale proszę się zastanowić nad tym, co sam pan mówi. Pragnie pan w swoim zawodzie zachować to, z czym tkaczom kazano się pożegnać. Uważam, że automaty przywrócą godność rzemieślnikom bez wielkiego uszczerbku dla pana.

Willoughby jakby go nie słuchał.

— Kto to słyszał, żeby automaty robiły automaty! Jest to pomysł nie tylko obraźliwy, ale mogący mieć katastrofalne następstwa! Zna pan balladę, w której miotły noszą wodę w wiadrach i chcą zatopić zamek?

— Ma pan na myśli „Der Zauberlehrling”? Ależ to absurdalne porównanie! Tym automatom tak wiele brakuje do tego, żeby się mogły rozmnażać bez pomocy człowieka, że aż trudno wymieniwać ich wszystkie niedostatki. Prędzej tańczący niedźwiedź odegra rolę baleriny na londyńskiej scenie.

— Jeśli uda się panu stworzyć automat zdatny do tańca, sam chętnie zostanę jego menadżerem. W zasadzie jednak nie powinien pan wymyślać tak zręcznych automatów.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie muszę się kierować pańskim zdaniem.

— Trudno będzie panu pracować bez pomocy rzeźbiarzy, odwołam Moore’a, a pozostałym czeladnikom zabronię asystować panu w doświadczeniach.

Stratton na moment został zbity z tropu.

— Pańska reakcja jest... nieuzasadniona...

— W moim przekonaniu, jak najbardziej konieczna.

— W takim razie nawiążę współpracę z rzeźbiarzami w innej fabryce.

Willoughby zmarszczył czoło.

— Porozmawiam z przewodniczącym związku rzeźbiarzy. Spróbuję go nakłonić, żeby zakazał związkowcom pomagania panu w

odlewie automatów.

Stratton czuł, jak krew się w nim gotuje.

— Nie dam się zastraszyć — zapowiedział. — Niech pan robi, co chce, ja swoje dzieło dokończę!

— Myślę, że z tej rozmowy nic już nie wyniknie. — Willoughby dziarsko podszedł do drzwi. — Miłego dnia panu życzę.

— Miłego dnia! — odpowiedział Stratton, zdenerwowany.

Nazajutrz koło południa Stratton, jak to miał w zwyczaju, spacerował ulicami dzielnicy Lambeth, na której terenie mieściło się Coade Manufactory. Po przejściu kilku skrzyżowań zatrzymał się na miejscowym bazarze. Wśród koszów z wijącymi się węgorzami i tanich zegarków na kocach wypatrzył automatyczne lalki. Wciąż żywił zamiłowanie wyniesione z dzieciństwa, toteż z ciekawością patrzył na najnowsze modele. Tego dnia zobaczył nieznaną mu parę bokserów, pomalowanych na kolory dzikusa i eksploratora. Przyglądając im się z bliska, słyszał, jak handlarze eliksirami zabiegają o uwagę zakatarzonego przechodnia.

— Widzę, że pański amulet zdrowia nie za dobrze już działa — odezwał się mężczyzna, u którego na stole leżały kwadratowe blaszki. — Ulecą pana uzdrowicielskie moce magnetyzmu, skupione w polaryzujących tabliczkach doktora Sedgewicka!

— Bzdura! — wtrąciła starsza kobieta. — Panu potrzebny jest wyciąg z mandragory, środek pewny i sprawdzony! — Podsunęła mu buteleczkę z bezbarwnym płynem. — Mój pies jeszcze ani razu się nie przeziębził, odkąd mu to podaję. Tym wszystko można uleczyć!

Nie widząc innych ciekawych lalek, Stratton opuścił targowisko i kontynuował przechadzkę z głową zaprzątniętą wczorajszymi słowami Willoughby'ego. Bez wsparcia ze strony związku rzeźbiarzy musiał myśleć o zatrudnieniu niezależnych rzemieślników. Dotąd jeszcze nie pracował z takimi typami, postanowił więc nie działać pochopnie. Teoretycznie, odlewane przez nich ciała korzystały wyłącznie z imion będących własnością publiczną, jednakże w praktyce niektórzy pod płaszczykiem legalnych zleceń wykonywali odlewy naruszające prawa patentowe. Gdyby wdał się w układy z takimi szubrawcami, mógłby

sobie na zawsze zszargać reputację.

— Pan Stratton?

Uniósł wzrok. Przed nim stał niski, szczupły mężczyzna w prostym ubraniu.

— Owszem, proszę pana. My się znamy?

— Nie. Nazywam się Davies, pracuję dla lorda Fieldhursta. — Wręczył Strattonowi wizytówkę z herbem Fieldhurstów.

Edward Maitland, trzeci earl Fieldhurst tudzież ceniony zoolog i znawca anatomii porównawczej, był prezesem Towarzystwa Królewskiego. Stratton słuchał jego przemówień podczas spotkań Towarzystwa, lecz nigdy nie zostali sobie przedstawieni.

— Czym mogę służyć?

— Lord Fieldhurst pragnie z panem porozmawiać w możliwie najbliższym terminie. W sprawie pańskich ostatnich dokonań.

Rodziło się pytanie, skąd earl o nich wiedział.

— Dlaczego nie przyszedł pan zwyczajnie do biura?

— W tej materii lord Fieldhurst wolałby zachować dyskrecję. — Stratton uniósł brwi, lecz Davies nie wgłębiał się w szczegóły. — Ma pan czas dziś wieczorem?

Zaproszenie było dość niezwykle, ale też przynosiło zaszczyt.

— Naturalnie. Proszę przekazać lordowi Fieldhurstowi, że zgadzam się z przyjemnością.

— O ósmej przed pańskim domem zjawi się kareta. — Davies dotknął kapelusza i odszedł.

O ustalonej godzinie podjechał powozem. Był to luksusowy pojazd; wewnątrz cieszył oczy lakierowany mahoń, polerowany mosiądz i wyszczotkowany aksamit. Ciągnik także nie należał do tanich: odlany z brązu rumak nie wymagał woźnicy, gdy udawał się w znajome miejsca.

W czasie jazdy Davies umiejętnie wymigiwał się od wyjaśnień. Z pewnością nie był zwykłym służącym ani nawet sekretarzem, lecz jaką dokładnie funkcję pełnił, tego Stratton nie wiedział. Powóz wywiózł ich poza Londyn i niebawem dotarli do Darrington Hall, jednej z rezydencji rodu Fieldhurstów.

Davies przeprowadził gościa przez foyer i zaprosił go do elegancko urządzonego gabinetu. Zamknął za nim drzwi, ale sam nie wszedł.

Przy biurku siedział mężczyzna z wydatnym torsem, ubrany w jedwabny garnitur i fular. Na szerokie, pomarszczone policzki nachodziły siwe, krzaczaste bokobrody. Stratton od razu go poznał.

— To zaszczyt spotkać się z panem, lordzie Fieldhurst.

— Miło mi pana poznać, panie Stratton. Dokonał pan niezwykłych rzeczy.

— Dziękuję, ale to za dużo powiedziane. Nie sądziłem, że o mojej pracy już głośno.

— Staram się nadażać za nowinkami. Proszę mi powiedzieć, skąd ta chęć, by unowocześniać automaty?

Stratton opowiedział o swoich planach dotyczących produkcji ogólnie dostępnych silników.

Fieldhurst słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu wtrącając rzeczowe uwagi.

— Przyświeca panu szczytny cel — przyznał, kiwając głową z aprobatą. — Cieszy mnie to, że urzeczywistnia pan tak wzniosłe ideały, albowiem chciałbym panu zaproponować udział w kierowanym przeze mnie przedsięwzięciu.

— Byłbym szczęśliwy, mogąc panu pomóc.

— Dziękuję. — Earl patrzył na niego z powagą. — To sprawa niezwyklej wagi. Zanim wyrażę się jaśniej, muszę dostać obietnicę, że wszystko, co panu wyjawię, będzie pan trzymał w najgłębszej tajemnicy.

Stratton przewiercał go wzrokiem.

— Klnę się na honor dżentelmena, że czegokolwiek się dowiem, zachowam to dla siebie.

— Dziękuję, panie Stratton. Proszę tędy.

Fieldhurst otworzył drzwi w ścianie gabinetu i przeszli przez krótki korytarz. Dotarli do laboratorium, gdzie na długim, pieczołowicie wysprzątanym stole znajdowały się stanowiska pracy; na każdym stał mikroskop z łączoną przegubowo mosiężną ramką zaciskową, wyposażoną w trzy prostopadłe względem siebie, karbowane gałki do precyzyjnej regulacji. Na najdalszym stanowisku starszy jegomość badał coś pod mikroskopem. Kiedy weszli, podniósł wzrok.

— Panie Stratton, zna pan zapewne pana Ashbourne'a.

Z zaskoczenia aż mowę mu odebrało. Nicholas Ashbourne był jego

wykładowcą w Kolegium Trójcy Świętej, lecz przed laty porzucił profesję, żeby się zająć, jak podówczas mówiono, badaniami dość osobliwej natury. We wspomnieniach Strattona napisał się jako nauczyciel obdarzony nietuzinkową charyzmą. Wiek wydłużył mu oblicze, przez co wyniosłe czoło zdawało się jeszcze wynioślejsze, lecz oczy nadal żywo błyszczały. Podchodząc, wspierał się na rzeźbionej lasce z kości słoniowej.

— Stratton, miło pana znowu spotkać.

— Też się cieszę. Zaiste, nie spodziewałem się tu pana zobaczyć.

— Będzie to wieczór niespodzianek, młodzieńcze. Przygotuj się.

— Odwrócił się do Fieldhursta. — Zechce pan zacząć?

Ruszyli na drugi koniec laboratorium, gdzie Fieldhurst otworzył kolejne drzwi. Zeszli po schodach na dół.

— Tylko parę osób jest wtajemniczonych w tę sprawę, kolegów z Towarzystwa Królewskiego lub członków parlamentu. Pięć lat temu skontaktowały się ze mną bez rozgłosu władze paryskiej Akademii Nauk. Proszono o pomoc angielskich naukowców celem potwierdzenia wyników pewnych doświadczeń.

— Naprawdę?

— Wyobrażam sobie, jak długo się wahali. Wszelako doszli do przekonania, że sprawa wymaga wzniesienia się ponad narodowe interesy. Po zapoznaniu się z sytuacją wyraziłem zgodę.

W trójkę weszli do piwnicy. Blask zamontowanych na ścianach kinkietów gazowych ukazywał całe przestronne wnętrze, w którym rzędy kamiennych słupów wspierały krzyżowe sklepienia. Stały tu rząd za rzędem solidne, drewniane stoły, na których poustawiano kadzie wielkości średniej balii. Cynkowe kadzie miały z każdej strony okienko, przez które widać było zawartość: przejrzystą ciecz o lekko żółtawym zabarwieniu.

Stratton zajrzał do najbliższej kadzi. Pośrodku dało się zauważyć pewne zniekształcenie, jakby płyn częściowo zamienił się w galaretę. Niepodobna było odróżnić zgęstniałej masy wśród chybotliwych cieni, padających na dno zbiornika, toteż zbliżył się do okienka z drugiej strony i nisko się pochylił, aby przyjrzeć się zjawisku w świetle lampy gazowej. Dopiero wtedy koagulat przeistoczył się w upiorną postać

człowieka zwiniętego w pozycji embrionalnej.

— Niewiarygodne — wyszeptał Stratton.

— Megapłod, tak to nazywamy — wyjaśnił Fieldhurst.

— Wyrósł z plemnika? To musiało trwać kilkadziesiąt lat.

— Otóż nie, co dziwniejsze. Parę lat temu dwóch paryskich przyrodników, Dubuisson i Gille, opracowało metodę pobudzania płodu nasiennego do hipertroficznego rozwoju. Intensywne podawanie składników odżywczych zmusza płód do osiągnięcia tej wielkości w ciągu dwóch tygodni.

Ruszając głową w przód i tył, Stratton dostrzegał drobne różnice w grze światła i cieni, dające wyobrażenie o umiejscowieniu narządów wewnętrznych megapłodu.

— Czy to stworzenie... jest żywe?

— Owszem, lecz pozbawione świadomości jak plemnik. Żadna sztuczna metoda nie zastąpi naturalnej ciąży. W komórce jajowej znajduje się pryncypium życia, które zmusza zarodek do dojrzewania, natomiast wpływ matki przeistacza go w myślącą osobę. Dzięki nam jedynie urasta do większych rozmiarów. — Fieldhurst wskazał kadełko. — Pod wpływem matki płód uzyskuje też charakterystyczne cechy fizyczne. Nasze megapłody nie różnią się od siebie niczym szczególnym prócz płci. Każdy męski osobnik ma wygląd identyczny jak ten tutaj, podobnie jak osobniki żeńskie są do siebie podobne. Żadna metoda badawcza nie pozwoli odróżnić ich w obrębie jednej płci, choćby ojcowie byli krańcowo odmienni. Jedynie prowadzenie starannych notatek umożliwi identyfikację poszczególnych megapłodów.

Stratton się wyprostował.

— Jaki jest zatem cel eksperymentu, jeśli nie stworzenie sztucznego łona?

— Badanie ciągłości gatunkowej. — Uprzytomniwszy sobie, że Stratton nie jest zoologiem, earl pośpieszył z wyjaśnieniem: — Gdyby szlifierze soczewek byli w stanie zbudować mikroskop dający nieograniczone powiększenie, biologowie mogliby badać przyszłe pokolenia, zagnieżdżone w plemnikach osobnika dowolnego gatunku, i przekonać się, czy ich wygląd pozostanie niezmienny, czy też zachodzące zmiany przyczynią się do powstania nowego gatunku. W

tym drugim przypadku mogliby również ustalić, czy zmiany nastąpią nagle, czy stopniowo. Niestety, aberracja chromatyczna wyznacza górną granicę powiększenia przyrządów optycznych. Panowie Dubuisson i Gille wpadli na pomysł sztucznego zwiększenia rozmiarów samych płodów. Kiedy taki dostatecznie urośnie, można z niego pobrać plemnik i tą samą metodą powiększyć płód przedstawiciela następnego pokolenia. — Fieldhurst podszedł do sąsiedniego stołu i wskazał na zbiornik. — Powtarzanie całej procedury pozwala zbadać nienarodzone pokolenia dowolnego gatunku.

Stratton rozejrzał się po piwnicy. Rzędy kadzi nabrały nowego znaczenia.

— A więc zmniejszyli odstęp czasowy pomiędzy kolejnymi „narodzinami”, żeby zawczasu poznać naszą genealogiczną przyszłość?

— Otóż to!

— Co za tupet! I do jakich wniosków doszli?

— Przebadali wiele gatunków zwierząt, lecz nie zaobserwowali zmiany kształtów. Dopiero prace nad płodami nasiennymi człowieka przyniosły zaskakujący rezultat. Już w piątym pokoleniu męskie płody nie posiadały plemników, a żeńskie komórek jajowych. Linia gatunku zakończyła się na pokoleniu niezdolnym do rozrodu.

— Myślę, że to nie powinno aż tak bardzo dziwić. — Stratton zerknął na stwora w galarecie. — Z każdym powieleniem ulega rozwodnieniu pewna esencjonalna treść organizmu. Rzecz jasna, w końcu osłabiony potomek nie będzie już mógł się rozmnażać.

— Dubuisson i Gille na początku też przyjęli takie założenie — zgodził się Fieldhurst. — Próbowali więc udoskonalić technikę. Nie zdołali jednak odnaleźć różnic między następującymi po sobie megapłodami pod względem rozmiarów i witalności. Nie zaobserwowali też stopniowego spadku liczby komórek jajowych i plemników. Przedostatnie pokolenie było nie mniej płodne niż pierwsze. Utrata płodności odbyła się gwałtownie. Uczeni zauważyli jeszcze jeden zastanawiający fakt. Plemniki miały przed sobą do czterech pokoleń, owszem, lecz zróżnicowanie nie występowało w obrębie jednej gałęzi. Zbadano próbki wzięte od ojca i syna. Plemniki ojca miały przed sobą zawsze o jedno pokolenie więcej. A jeśli dobrze zrozumiałem, niektórzy

dawcy byli już w sędziwym wieku. Wprawdzie ich próbki zawierały małą liczbę plemników, te jednak niezmiennie miały przed sobą jedno pokolenie więcej niż plemniki synów w kwiecie wieku. Potencjał nasienia nie wykazywał powiązania ze zdrowiem czy wigorem dawcy. Wszelako był powiązany z potencjałem pokolenia, do którego dawca należał. — Fieldhurst przerwał i wbił w Strattona ponure spojrzenie. — Na tym etapie Akademia Nauk skontaktowała się ze mną, bo chciałyby wiedzieć, jakie byłyby wyniki analogicznych badań Towarzystwa Królewskiego. Potwierdziliśmy je, wykorzystując próbki wzięte od osobników należących do tak odmiennych grup, jak Lapończycy i Hotentoci. Zgadza się w kwestii implikacji wpływających z tego odkrycia. Gatunek ludzki został zaprojektowany na ściśle określoną liczbę pokoleń. W ciągu pięciu pokoleń pojawi się ostatnie.

Stratton odwrócił się do Ashbourne'a, jakby spodziewał się po nim przyznania do wielkiego matactwa, jednakże leciwy nomenklator zachował niewzruszoną powagę. Stratton spojrzał więc raz jeszcze na megapłod i z nachmurzonym czołem rozważał w duchu nowiny.

— Jeśli wasz tok rozumowania jest słuszny, to inne gatunki muszą podlegać podobnym ograniczeniom. Ale z tego, co mi wiadomo, nie stwierdzono w przyrodzie nagłego, samoistnego wymierania gatunków.

Fieldhurst pokiwał głową.

— To prawda, lecz szczątki kopalne pozwalają przypuszczać, że gatunki nie ulegają przeobrażeniom w ciągu długiego czasu i nagle zostają zastąpione nowymi formami. Katastrofiści obarczają odpowiedzialnością za zagładę gatunków wielkie kataklizmy.

Zważywszy na to, co już wiemy na temat preformacji, wydaje się prawdopodobne, że wymieranie następuje wtedy, gdy gatunek osiąga kres swego istnienia. Mamy do czynienia nie ze śmiercią tragiczną, że się tak wyrażę, ale naturalną. — Wskazał drzwi, którymi tu weszli. — Wrócimy na górę?

Idąc z tyłu, Stratton zapytał:

— A co z początkami gatunków? Jeśli nie oddzielają się od tych już istniejących, to czy powstają samorzutnie?

— Tego jeszcze nie ustalono. Teoretycznie tylko najprostsze zwierzęta rodzą się w drodze samoródtwa, glisty i inne obleńce

zazwyczaj pod wpływem ciepła. Zdarzenia przytaczane przez katastrofistów: potopy, wybuchy wulkanów, upadki komet uwalniają wielkie energie, które mogą mieć tak duży wpływ na materię, że samorodnie powstają całe zespoły organizmów, wywodzące się od kilku przodków. Jeśli tak, kataklizmy nie są odpowiedzialne za masowe wymarcia zwierząt; mało tego, przyczyniają się do powstania nowych gatunków.

W laboratorium obaj starsi mężczyźni usiedli na krzesłach. Stratton ciągle stał, zaabsorbowany własnymi przemyśleniami.

— Jeżeli jakiś gatunek fauny zaistniał za sprawą tego samego kataklizmu co ludzkość, to i on powinien być bliski wyginięcia. Odkryto chociaż jeden organizm, który zbliża się do ostatniego pokolenia?

Fieldhurst pokręcił głową.

— Na razie nie. Podejrzewamy, że daty wyginięcia poszczególnych gatunków uwarunkowane są w każdym przypadku biologiczną strukturą organizmu. Zakładamy, że ludzie mają najbardziej złożony organizm, zatem w plemniku można zapisać mniej pokoleń.

— Podążając tym tropem — rzekł Stratton — można powiedzieć, że właśnie ze względu na tę złożoność ludzkiego organizmu nie nadaje się on do metody sztucznie przyspieszonego wzrostu. Może odkryliśmy ograniczenia samej metody, a nie gatunku?

— Trafna uwaga, panie Stratton. Kontynuujemy eksperymenty ze zwierzętami bliżej spokrewnionymi z ludźmi, takimi jak szympany i orangutany. Ostateczne rozwiązanie tego dylematu może potrwać lata, ale jeśli nasze założenia są słuszne, nie wolno nam czekać biernie na odpowiedź.

— Pięć pokoleń to przeszło sto lat... — Stratton urwał, zażenowany tym, że przeoczył rzecz oczywistą: nie wszyscy zostają rodzicami w tym samym wieku.

Fieldhurst czytał z jego twarzy.

— Rozumie pan, dlaczego nie wszystkie próbki nasieniodawców będących rówieśnikami dają tę samą liczbę pokoleń? Niektóre linie genealogiczne zbliżają się do kresu prędej, niektóre wolniej. Jeżeli w danej linii wszyscy ojcowie płodzą dzieci w późnym wieku, to pięć pokoleń rozciąga się na ponad dwieście lat. Aczkolwiek pewne linie

zdążyły już wygasnąć.

Stratton wyobrażał sobie konsekwencje.

— Wraz z upływem czasu ludzie będą coraz wyraźniej dostrzegali problem utraty płodności. Zanim dojdzie do naturalnego końca, wybuchnie panika.

— Właśnie. Zamieszki wyniszczą nasz gatunek równie skutecznie jak granica pokoleniowa. Dlatego tak ważny jest czas.

— Jakie pan widzi wyjście z sytuacji?

— Tutaj już zdam się na dr. Ashbourne'a. On to panu lepiej wyjaśni.

Ashbourne wstał i odruchowo przybrał pozę wykładowcy.

— Przypomina pan sobie, czemu zarzucono próby wykonania automatu z drewna?

Pytanie zbiło z tropu Strattona.

— Wierzono, że naturalne słoje drewna staną w opozycji do narzuconych im siłą kształtów. Obecnie podejmowane są próby tworzenia form z gumy, dotychczas nieudane.

— Istotnie. Ale gdyby naturalna struktura drewna była jedyną przeszkodą, to czy za pomocą imienia nie dałoby się animować zwierzęcego trupa? Kształt ciała przecież byłby idealny.

— Makabryczny pomysł. Nie mam zielonego pojęcia, jak kończyłyby się takie eksperymenty. Czy w ogóle były przeprowadzane?

— Prawdę mówiąc, tak. Choć też z mizernym skutkiem. A więc okazało się, że dwie krańcowo odrębne ścieżki badawcze prowadzą donikąd. Czy to oznacza, że nie da się animować imieniem materii organicznej? By znaleźć odpowiedź na to pytanie, opuściłem uczelnię.

— I do czego pan doszedł?

Ashbourne machnął ręką i zignorował pytanie.

— Na początku porozmawiajmy o termodynamice. Z pewnością jest pan na bieżąco z ostatnimi odkryciami i wie, że rozproszenie ciepła odzwierciedla spadek uporządkowania na poziomie termicznym. I na odwrót: kiedy automat zbiera ciepło z otoczenia, aby wykonać pracę, uporządkowanie wzrasta. Co potwierdza moją dawną hipotezę, że porządek leksykalny przekłada się na porządek termodynamiczny. Leksykalny porządek amuletu utwierdza porządek ciała, a więc chroni

przed uszkodzeniami. Leksykalny porządek animującego imienia utwierdza porządek formy i daje automatowi siłę napędową. Nasuwa się drugie pytanie: jak zwiększenie uporządkowania wpłynęłoby na materię organiczną? Ponieważ imiona nie animują martwej tkanki, materia organiczna nie reaguje na wpływy termiczne. Ale może dałoby się nią sterować z innego poziomu? Wyobraźmy sobie wołu, którego rozgotowano do postaci gęstej zupy. Zupa zawiera ten sam materiał co wół, lecz w którym przypadku mamy większy stopień uporządkowania?

W przypadku wołu, oczywiście — odparł Stratton, zdumiony.

— No właśnie. Każdy organizm z racji swojej budowy anatomicznej reprezentuje pewien stopień uporządkowania. Im bardziej złożona budowa, tym wyższy stopień uporządkowania. Zgodnie z moją hipotezą, zwiększenie uporządkowania materii organicznej będzie się objawiać rozbudowaniem struktury. Jednak większość żywych stworzeń osiągnęła już doskonałość formy. Pytam więc, co żyje, ale nie ma formy? — Leciwy nomenklator nie czekał na odpowiedź. — Niezapłodniona komórka jajowa! Ona zawiera pryncypium życia, które animuje istotę i pobudzają do wzrostu, ale sama w sobie formy nie ma. W zwykłych warunkach komórka jajowa przyjmuje formę płodu zamkniętego we wnętrzu plemnika, który ją zapłodnił. Następny krok wydaje się oczywisty. — Ashbourne zamilkł i wlepił w Strattona pytające spojrzenie. A ponieważ ten się pogubił, ciągnął z rozczarowaniem: — Następny krok to laboratoryjnie wywołać wzrost zarodka z komórki jajowej poprzez zastosowanie imienia.

— Ale jeśli komórka jajowa nie została zapłodniona — zaoponował Stratton — nie istnieje żadna struktura zdolna do wzrostu.

— Dokładnie.

— Sugeruje pan, że z jednorodnego ośrodka wyodrębni się złożona struktura? To niemożliwe.

— Tak czy owak, od wielu już lat szukam potwierdzenia mojej hipotezy. Na początku eksperymentowałem z daniem imienia niezapłodnionym jajeczkom żaby.

— Jak pan przytwierdzał imię do żabiego jajeczka?

— Zamiast przytwierdzać imię, odciskam je wykonaną na zamówienie igłą. — Ashbourne otworzył szafeczkę, stojącą na stole

między dwoma mikroskopami. Wewnątrz znajdowała się drewniana kasetka z ułożonymi w parach małymi przyrządami. Każdy z nich miał na zakończeniu długą, szklaną igłę. Niektóre były grube jak szydła, a niektóre cienkie jak igły do zastrzyków podskórnych. Wyciągnął jedną z większych i wręczył ją Strattonowi. Szklana igła nie była przezroczysta, miała coś na kształt plamistego rdzenia. — Na pozór to zwykłe narzędzie medyczne — wyjaśnił Ashbourne — lecz w rzeczywistości nośnik imienia. Pełni tę samą funkcję co zwykły świstek pergaminu. Niestety, ten sposób wymaga znacznie większego wysiłku niż zwykłe mazanie piórem po pergaminie. W celu zrobienia takiej igły należy odpowiednio rozmieścić włókienka czarnego szkła w wiązce włókienek przezroczystych, tak aby imię było czytelne, gdy patrzy się od tyłu. Następnie włókienka są stapiane w grubą szklaną nić, a tę z kolei mocno się rozciąga. Wprawny szklarz potrafi zachować każdy szczegół imienia bez względu na długość rozciągniętej nici. Ostatecznie powstaje igła zawierająca imię w swym przekroju poprzecznym.

— Jak wygenerował pan potrzebne imię?

— Przyjdzie czas, żeby o tym dłużej porozmawiać. Na potrzeby naszej rozmowy wystarczy powiedzieć, że zastosowałem epitet płciowy. Jest panu znany?

— Znam go. — Był to jeden z paru dymorficznych epitetów, mających wariant męski i żeński.

— Rzecz jasna, potrzebowałem dwóch wersji imienia, aby zapoczątkować rozwój samców i samic. — Wskazał na narzędzia w kasetce, nie bez przyczyny ułożone w parach.

Stratton zauważył, że igłę unieruchamiało się w mosiężnej ramce, tak by końcówka wisiała nad samym szkiełkiem mikroskopu. Karbowane gałki prawdopodobnie służyły przybliżaniu igły do komórki jajowej.

Oddał przyrząd.

— A więc nie przytwierdza się imienia, tylko je odciska? Czy to znaczy, że wystarczy dotknąć igłą jajeczka żaby? Usunięcie imienia nie przerywa jego oddziaływania?

— Nie. Imię inicjuje nieodwracalny proces w jajeczku. Dłuższe wystawienie go na wpływ imienia niczego nie zmienia.

— I z jajeczka wykluła się kijanka?

— Początkowo nie miałem szczęścia do imion. Na powierzchni jajeczka tworzyły się jedynie symetryczne bruzdki. Później, stosując inne epitety, skłaniałem jajeczko do przybierania nowych form. Niektóre ładząco przypominały zarodek żaby. Wreszcie trafiłem na imię, które nie tylko zmuszało jajeczko do przybrania kształtu kijanki, ale również do dojrzewania i rozmnażania się. Wyhodowana w ten sposób kijanka wyrosła na żabę nieróżniącą się niczym od pozostałych osobników swego gatunku:

— Znalazł pan eunim dla gatunku żab — rzekł Stratton. Ashbourne uśmiechnął się.

— Ponieważ w tym sposobie rozmnażania nie dochodzi do kopulacji, nazwałem go partenogenezą.

Stratton przeniósł wzrok na Fieldhursta.

— Teraz rozumiem, co pan wymyślił. Logicznym rozwinięciem tych badań jest poszukiwanie eunimu dla gatunku ludzkiego. Dąży pan do tego, żeby ludzkość przetrwała dzięki nomenklaturze.

— Pana niepokoi taka perspektywa — zauważył Fieldhurst.

— Wcale się temu nie dziwię. Na początku także ja i dr Ashbourne mieliśmy mieszane uczucia, jak każdy zresztą, kto się nad tym zastanawiał. Myśl o ludziach poczętych w laboratorium nikogo nie napawa entuzjazmem. Ale czy ma pan coś do wyboru?

Stratton milczał, więc Fieldhurst kontynuował: — Wszyscy, którzy śledzą prace doktorów Ashbourne'a, Dubuissona i Gille'a, mówią jednym głosem: nie ma innego wyjścia.

Stratton, jak przystało na naukowca, starał się zachować trzeźwe spojrzenie na sprawę.

— A jak w praktyce wyobraża pan sobie stosowanie imienia? — zapytał.

Odpowiedział Ashbourne:

— Jeżeli mąż nie będzie mógł zapłodnić żony, skorzystają z pomocy lekarskiej. Lekarz pobierze płyny menstruacyjne kobiety, wydzieli komórkę jajową, wycisnie na niej imię i wprowadzi ją z powrotem do łona.

— Urodzone w ten sposób dziecko nie miałoby biologicznego ojca.

— Owszem, ale w tej sytuacji biologiczny wkład męczyzny ma zerowe znaczenie. Matka będzie uważać męża za ojca dziecka, więc dzięki wyobraźni przekaże płodowi pewne cechy wyglądu i charakteru męża. Tu nic się nie zmieni. I chyba nie muszę zaznaczać, że imię nie będzie odciskane na prośbę niezamężnych niewiast.

— Jest pan pewien, że dzieci będą się rodzić w pełni ukształtowane? — spytał Stratton. — Niewątpliwie domyśla się pan, co mam na myśli?

Wszyscy doskonale wiedzieli, jak strasznym fiaskiem zakończyły się w zeszłym stuleciu próby stworzenia doskonalszych dzieci poprzez mesmerystyczne praktyki na ciężarnych kobietach.

Ashbourne pokiwał głową.

— Na szczęście komórka jajowa ma bardzo konkretne wymagania. Każdemu żywemu organizmowi przypisany jest skromny zestaw eunimów. Jeżeli leksykalny porządek odciskanego imienia nie pokrywa się w stu procentach z anatomicznym porządkiem danego gatunku, to zarodek nie będzie się rozwijał. Co nie zwalnia matki z obowiązku powstrzymywania się od wybuchów gniewu w czasie ciąży. Odcisnięcie imienia nie chroni przed skutkami matczynej nieostrożności. Tak czy inaczej, specyficzne właściwości komórki jajowej dają nam pewność, że pobudzony do życia zarodek będzie prawidłowo zbudowany... z pewnym małym, łatwym do przewidzenia wyjątkiem.

Stratton zaniepokoił się.

— Jakim wyjątkiem?

— Nie domyśla się pan? Jedyna ułomność żab stworzonych metodą odciskania imienia objawiała się u samców. Były bezpłodne, ponieważ ich plemniki nie miały w sobie preformowanych płodów. Z drugiej strony, samice zachowały zdolność do rozrodu; jajeczka można było zapładniać w sposób tradycyjny lub przez odcisnięcie imienia.

Stratton odetchnął z ulgą.

— A więc męski wariant imienia nie jest dopracowany. Prawdopodobnie między wariantem męskim a żeńskim występują większe różnice niż tylko wynikające z epitetu płciowego.

— Pod warunkiem, że wariant męski faktycznie jest niedoskonały — rzekł Ashbourne. — Lecz ja się z tym nie zgadzam. Proszę pomyśleć:

plodny samiec i płodna samica wyglądają na swoich odpowiedników, ale radykalnie się różnią pod względem stopnia złożoności. Samica z dojrzałymi komórkami jajowymi pozostaje jednorodnym organizmem, gdy tymczasem samiec ze zdolnymi do życia plemnikami składa się niejako z wielu organizmów: ojca i jego potencjalnych potomków. Jeśli to uwzględnić, oba warianty imienia są dobrze dobrane, ponieważ każde tworzy nowy organizm. Tyle, że jedynie w przypadku samicy jednorodny organizm zachowuje zdolność do rozrodu.

— Rozumiem pana. — Stratton zdawał sobie sprawę, że będzie musiał długo się oswajać z możliwościami nomenklatury na polu materii organicznej. — Stworzył pan eunimy dla innych gatunków zwierząt?

— Ponad dwadzieścia. Różnych typów. Prace postępują dość szybko. Od niedawna zajmujemy się imieniem dla człowieka, o wiele trudniejszym niż wszystkie poprzednie imiona.

— Ilu nomenklatorów zaangażowało się w projekt?

— Garstka — odpowiedział Fieldhurst. — Zaprosiliśmy do współpracy paru członków Towarzystwa Królewskiego, a pod egidą Akademii Nauk działają czołowi francuscy *designateurs*. Pan wybaczy, ale w tej chwili nie będę zdradzał nazwisk. Proszę mi jednak wierzyć, że dołączyli do nas najznamienitsi angielscy nomenklatorzy.

— Przepraszam, że zapytam, ale czemu zwracacie się do mnie? Nie należę do znakomitości w tej dziedzinie.

— Aczkolwiek nie zrobił pan jeszcze oszałamiającej kariery — powiedział Ashbourne — to jednak opracowana przez pana grupa imion jest czymś wyjątkowym. Automaty zawsze posiadały ściśle określoną formę i funkcję, czym przypominały zwierzęta: jedne świetnie się wspinały, drugie ryły tunele, ale żadne nie miały obu tych zdolności. Tymczasem pańskie potrafią operować ludzkimi dłońmi, tymi nadzwyczaj uniwersalnymi narzędziami, które jako jedyne służyć mogą do obsługi klucza nastawnego i gry na fortepianie. Zręczność dłoni jest odbiciem geniuszu umysłu, a te właśnie cechy musimy brać pod uwagę, żeby znaleźć imię.

— Dyskretnie śledzimy prace nomenklatorów, którzy poszukują imion odpowiedzialnych za wybitne zdolności manualne — rzekł Fieldhurst. — Kiedy doszły nas słuchy o pańskich dokonaniach,

postanowiliśmy natychmiast się z panem skontaktować.

— Szczerze mówiąc — podjął Ashbourne — interesujemy się pańskimi imionami z tego samego powodu, dla którego boją się ich rzeźbiarze. Bo one skuteczniej niż którekolwiek wcześniejsze nadają automatom ludzki charakter. Wobec tego pytamy: dołączy pan do nas?

Stratton pogrążył się w zadumie. Przypuszczalnie stał przed najszczytniejszym wyzwaniem, jakie może sobie wyobrazić nomenklator. W normalnych okolicznościach bez zastanowienia skorzystałby z okazji. Ale żeby z czystym sumieniem wyrazić zgodę na udział w przedsięwzięciu, chciał rozstrzygnąć jeszcze jedną kwestię.

— Czuję się zaszczycony tym zaproszeniem, ale co z moją pracą nad usprawnieniem automatów? Nadal wierzę, że niedrogie silniki mogłyby ulżyć klasie robotniczej.

— To cel wart pochwały i nie należałbym na zakończenie badań — stwierdził Fieldhurst. — Co więcej, zależałoby nam, żeby w pierwszej kolejności udoskonalili pan epitety opisujące zręczność. Wszelako pańskie dążenie do reformy społecznej okaże się daremne, jeżeli nie zapewnimy przetrwania gatunkowi ludzkiemu.

— Oczywiście, lecz nie chciałbym zaprzepaścić szansy, jaką dają imiona zwiększające możliwości automatów. Druga taka okazja, żeby przywrócić godność pracy zwyczajnym robotnikom, może się już nie zdarzyć. Jak tu cieszyć się ze zwycięstwa, skoro przedłużenie życia ma oznaczać zmarnowanie takiej sposobności?

— Mądra uwaga — przyznał earl. — Mam dla pana propozycję. Ażebym ułatwić panu zadanie, Towarzystwo Królewskie wesprze pańskie badania nad zdolnościami automatów. Zapewnimy panu inwestorów i wszelkie niezbędne środki. Mam nadzieję, że mądrze podzieli pan swój czas między dwa projekty. Oczywiście, badania z dziedziny biologicznej nomenklatury zachowa pan w ścisłej tajemnicy. Czy to pana satysfakcjonuje?

— Tak. A więc dobrze, panowie. Zgadza się. Uścisnęli sobie dłonie.

Upłynęło kilka tygodni, odkąd Stratton po raz ostatni rozmawiał z Willoughbym, nie licząc chłodnych pozdrowień, kiedy się mijali.

Szczerze powiedziawszy, niewiele miał do czynienia ze związkowymi rzeźbiarzami, zajęty u siebie w gabinecie literowymi kombinacjami i doborem epitetów określających zręczność.

Wszedł do fabryki od frontu przez galerię, gdzie klienci zwykle przeglądali katalog. Dziś wniesiono tu gromadę automatów gospodarczych, modele służące do sprzątania mieszkań. Stratton dostrzegł kierownika działu sprzedaży, który sprawdzał, czy są prawidłowo oznakowane.

— Dzień dobry, Pierce. Co one wszystkie tu robią?

— Wyszło ulepszone imię dla „Regenta” — odpowiedział kierownik. — Każdy chce mieć najnowszy egzemplarz.

— Czeka cię pracowite popołudnie. — Klucze do odmykania wpustów na imiona leżały zamknięte w sejfie, który musiało równocześnie otwierać dwóch brygadzystów. Ci zaś udostępniali sejf tylko na krótki czas w ciągu popołudnia.

— Powiniennem zdążyć.

— To byłoby straszne, gdybyś musiał odmówić wydania automatu uroczej pokojówce.

Kierownik działu sprzedaży uśmiechnął się.

— Pan się dziwi?

— Ależ skąd. — Stratton zachichotał. Odwrócił się w stronę biur za galerią, gdy raptem stanął przed nim Willoughby.

— Może powinien pan wyważyć drzwi sejfu — zadrwił rzeźbiarz — aby pokojówki nie musiały się niecierpliwic? Tak bardzo chce pan wszystko zreformować...

— Dzień dobry, panie Willoughby — przywitał się chłodno Stratton. Chciał przejść, lecz mężczyzna zastąpił mu drogę.

— Zostałem powiadomiony, że Coade wpuszcza na teren zakładu niezrzeszonych rzeźbiarzy, aby panu pomagali.

— Owszem, lecz zapewniam pana, że asystować mi będą najbardziej szanowani fachowcy.

— Jakby tacy byli — prychnął Willoughby. — Powinien pan wiedzieć, że próbuję skłonić związek zawodowy do strajku ostrzegawczego w fabryce.

— Żartuje pan. — Kilkadziesiąt lat minęło od ostatniego strajku

rzeźbiarzy, który zresztą zakończył się krwawymi zamieszkami.

— Nie żartuję. Gdyby mój wniosek poddano pod głosowanie, na pewno zostałyby przyjęte. Rzeźbiarze, z którymi rozmawiałem na temat pańskich badań, podzielają moje obawy. Jednakże przywódcy związku są przeciwni głosowaniu.

— A więc nie zgadzają się z pańskim zdaniem? Willoughby zmarszczył czoło.

— Zdaje się, że w pana sprawie interweniowało Towarzystwo Królewskie. Wymogło na związku chwilową zwłokę. Znalazł pan sobie wpływowych mocodawców, panie Stratton.

— Towarzystwo Królewskie docenia wartość moich badań — odparł Stratton z zakłopotaniem.

— Może i tak, ale niech pan nie myśli, że to koniec.

— Pańska wrogość, proszę mi wierzyć, naprawdę jest bezpodstawna — nie poddawał się Stratton. — Kiedy przekona się pan, jakim dobrodziejstwem dla rzeźbiarzy są nowe automaty, przestanie pan się martwić o przyszłość.

Willoughby zmierzył go nienawistnym spojrzeniem i odszedł.

Przy najbliższym spotkaniu z lordem Fieldhurstem Stratton zapytał go o działania Towarzystwa Królewskiego. Znajdowali się w gabinecie earla, który właśnie nalewał sobie whisky.

— A tak, tak... — powiedział. — Związek rzeźbiarzy jako całość to wpływowe gremium, lecz składa się z jednostek, które łatwiej ulegają perswazji.

— Cóż to za perswazja?

— Towarzystwo wie, że niektórzy przywódcy związku zawodowego rzeźbiarzy uczestniczyli w niewyjaśnionym do końca procederze przemytu imion na Kontynent. Aby uniknąć skandalu, zgodzili się odłożyć decyzję o strajku, dopóki nie zademonstruje im pan nowego systemu produkcji.

— Jestem wdzięczny za wstawiennictwo, lordzie Fieldhurst — rzekł Stratton, zdziwiony. — Nie miałem pojęcia, muszę przyznać, że Towarzystwo Królewskie ucieka się do takich środków.

— Oczywiście, tego rodzaju tematów nie wypada poruszać na ogólnych posiedzeniach. — Lord Fieldhurst uśmiechnął się

protekcjonalnie. — Propagowanie nauki czasem napotyka przeszkody, panie Stratton, co zmusza Towarzystwo do nieoficjalnych działań.

— Zaczynam to doceniać.

— To samo dotyczy związku rzeźbiarzy. Chociaż formalnie nie ogłaszają strajku, mogą zastosować liśnią taktykę, na przykład kolportować anonimowe paszkwile, żeby zdyskredytować pańskie automaty w opinii publicznej. — Napił się whisky. — Hm... Może powinienem kazać komuś patrzeć na ręce panu Willoughby'emu...

Stratton otrzymał pokój w zachodnim skrzydle Darrington Hall, podobnie zresztą jak pozostali nomenklatorzy, pracujący pod okiem lorda Fieldhursta. Rzeczywiście, byli to sami uznani naukowcy, między innymi Holcombe, Milburn i Parker. Stratton czuł się wyróżniony, mogąc z nimi pracować, aczkolwiek wnosił niewielki wkład w badania, jako że ciągle jeszcze uczył się od Ashbourne'a zawłości biologicznej nomenklatury.

W przypadku materii organicznej imiona korzystały z wielu epitetów, zwykle dobieranych z myślą o automatach, lecz Ashbourne rozwinął zupełnie nową technikę słowotwórczej syntezy i rozkładu, która pozwalała na zastosowanie wielu nowatorskich metod permutacyjnych. Stratton miał wrażenie, że cofnął się do czasów studiów i raz jeszcze uczy się nomenklatury. Zrozumiał wreszcie, czemu wspomniana technika umożliwia sprawne wyszukiwanie imion: korzystając z podobieństw opisanych w układzie systematycznym Linneusza, można było szybko przeskakiwać z gatunku na gatunek.

Stratton także dowiedział się czegoś więcej o epitecie płciowym, tradycyjnie stosowanym do przypisywania automatom cech męskich bądź żeńskich. Znał tylko jeden taki epitet, więc z zaskoczeniem stwierdził, że to najprostszy przedstawiciel bardzo licznej grupy. Nomenklaturalne koła naukowe po macoszemu traktowały ten temat, choć żaden inny epitet nie był tak gruntownie badany. Powiadano nawet, że użyto go już w czasach biblijnych, kiedy bracia Józefa Egipskiego powołali do istnienia golemicę, z którą mogli współżyć bez łamania zakazu obcowania z kobietą. W ciągu stuleci potajemnie pracowano nad kolejnymi zastosowaniami epitetu, szczególnie w Konstantynopolu,

dzięki czemu obecnie w wybranych londyńskich burdelach oferowano towarzystwo automatycznych kurtyzan. Rzeźbione ze steatytu i polerowane na wysoki połysk, podgrzane do temperatury krwi i spryskane pachnidłami, automaty ceniły się tak wysoko, że droższe już były tylko usługi inkubów i sukubów.

Właśnie z tak plugawej gleby wyrastały ich badania. Imiona animujące kurtyzany zawierały w sobie potężne epitety, określające ludzką seksualność w męskim i żeńskim wydaniu. Po odrzuceniu pierwiastka cielesności nomenklatorzy wyodrębnili epitety opisujące właściwą rodzajowi ludzkiemu męskość i kobiecość, o wiele bardziej zaawansowane niż te, których używano do tworzenia zwierząt. Stanowiły materiał wyjściowy dla wielu poszukiwanych imion.

Z czasem Stratton przyswoił sobie wiedzę wystarczającą do partycypowania w testach potencjalnych imion człowieka. Współpracował z pozostałymi naukowcami, którzy podzielili między siebie ogromne drzewo leksykalnych możliwości: wyszukiwali gałęzie warte zbadania, wycinali niedające owoców i pielęgnowali te, z którymi wiązali nadzieje.

Nomenklatorzy płacili kobietom — przeważnie młodym, zdrowym pokojówkom — za płyny menstruacyjne, źródło komórek jajowych, które następnie obdarzali testowanymi imionami i oglądali pod mikroskopem, szukając form przypominających ludzkie płody. Stratton pytał, czy możliwe jest pozyskiwanie komórek jajowych z żeńskich megapłodów, na co Ashbourne przypomniał, że przydatne są tylko komórki jajowe pobrane od żywej kobiety. Fundamentalne prawo biologii: samica daje z siebie pryncypium życia, które zapoczątkowuje rozwój zarodka, natomiast samiec przekazuje podstawową formę. Z racji tego podziału żadna płeć nie jest przystosowana do samodzielnego rozrodu.

Rzecz jasna, odkrycie Ashbourne'a podważyło to prawo. Samiec jest zbędny, skoro zarodkowi można nadać formę sposobem leksykalnym. Wystarczy opracować imię generujące płód ludzki, a kobiety będą zdolne do prokreacji bez udziału samca. Stratton podejrzewał, że ucieszą się z tego odkrycia te o odmiernej orientacji seksualnej, które wolą partnerów własnej płci niż płci przeciwnej. Jeśli

miałyby dostęp do imienia, mogłyby stworzyć odrębną społeczność i rozmnażać się metodą partenogenezy. Czy taka społeczność kwitłaby, opierając się na niewyczerpanych pokładach kobiecej wrażliwości, czy też ległaby w gruzach pod ciężarem niezwalczanej dewiacji? Trudno powiedzieć.

Zanim Stratton dołączył do zespołu, naukowcy opracowali imiona nadające komórkom jajowym z grubsza homunkulame kształty. Stosując metody Dubuissona i Gille'a, powiększali uzyskane formy do rozmiarów umożliwiających dokładne oględziny. Twory przypominały bardziej automaty niż ludzi; zrośnięte palce przypominały pióra wioseł. Dodając swoje epitety opisujące zręczność, Stratton zdołał rozdzielić palce i ogólnie poprawić kształt ciała.

Ashbourne wciąż powtarzał, że liczy się oryginalne podejście do zagadnienia.

— Rozważmy zdolności automatów od strony termodynamicznej — powiedział w czasie jednej z licznych dyskusji.

— Silniki górnicze kopią rudę, silniki żniwiarskie koszą pszenicę, silniki drwalskie ścinają drzewa. A jednak o żadnej z tych czynności, choćby nie wiem jak pożytecznej, nie można powiedzieć, że tworzy porządek. Mimo że imiona budują porządek na poziomie termicznym poprzez przemianę ciepła w ruch, prawie zawsze rezultatem w wymiarze widzialnym jest większy nieporządek.

— Ciekawy punkt widzenia — rzekł Stratton w zamyśleniu.

— To ukazuje w nowym świetle wiele nieprzewyżczonych ułomności automatów. Nie potrafią, dajmy na to, równo układać skrzyń ani sortować pokruszonej rudy pod względem jakości. Pan sądzi, że odkryte dotąd klasy przemysłowych imion mają niską sprawność w rozumieniu termodynamiki?

— Właśnie! — Ashbourne okazywał entuzjazm nauczyciela, który ma przed sobą niebywale uzdolnionego ucznia. — Teraz dochodzimy do zalet pańskich imion opisujących zręczność. Ponieważ one, skłaniając automaty do wykonywania złożonych czynności, nie tylko tworzą porządek na poziomie termicznym, ale też wykorzystują go do tworzenia porządku w wymiarze widzialnym.

— Dostrzegam podobieństwa do prac Milburna. — To właśnie ów

naukowiec stworzył automaty gospodarcze, potrafiące odnosić przedmioty na właściwe miejsce. — On też się zajmuje tworzeniem porządku w wymiarze widzialnym.

— Istotnie, a to podobieństwo prowadzi z kolei do pewnej hipotezy. — Pochylił się do przodu. — Przypuśćmy, że uda się wydzielić epitet wspólny dla imion opracowanych przez pana i Milburna, epitet wyrażający powstanie porządku na dwóch poziomach. Przypuśćmy też, że znajdziemy eunim dla gatunku ludzkiego i włączymy w niego ten epitet. Jak pan sądzi, co powstanie po odcisnięciu imienia? Jeśli powie pan, że bliźniaki, to każę panu puknąć się w czoło.

Stratton roześmiał się.

— Myślę, że jednak coś zrozumiałem z wykładu. Sugeruje pan, że jeśli, epitet jest w stanie wzbudzić porządek w materii nieorganicznej na dwóch poziomach termodynamicznych, to może stworzyć dwa pokolenia w materii organicznej. Dzięki takiemu imieniu otrzymalibyśmy samca, którego plemniki zawierają preformowane płody. Samiec byłby płodny, choć jego ewentualni synowie już nie.

Instruktor radośnie zaklaskał.

— Zgadza się! Porządek rodzi porządek! Ciekawa koncepcja, nie uważa pan? Liczba interwencji lekarskich, potrzebnych do zachowania rasy ludzkiej, zmniejszyłaby się o połowę!

— A gdyby tak za jednym zamachem powołać do życia więcej niż dwa pokolenia płodów? I jakie umiejętności posiadałby automat, jeśli w jego imieniu mieścił się taki epitet?

— Termodynamika jako nauka musi się rozwinąć, żeby odpowiedzieć na te pytania. Co byłoby niezbędne do uzyskania jeszcze wyższego poziomu uporządkowania materii nieorganicznej? Może wspólna praca automatów? Na razie nie wiemy, ale czas przyniesie odpowiedź.

Stratton dał wyraz swoim przemyśleniom, które od kilku dni nie dawały mu spokoju:

— Doktorze Ashbourne, kiedy zapoznawano mnie z pracami zespołu, lord Fieldhurst wysnuł przypuszczenie, jakoby nowym gatunkom mogły sprzyjać kataklizmy. Czy więc dałoby się stworzyć zupełnie nowy gatunek dzięki nomenklaturze?

— Oho, wkraczamy teraz na grunt teologii. Nowy gatunek wymaga protoplasty posiadającego w swoich narządach płciowych olbrzymią ilość potomstwa. Taka forma charakteryzowałaby się najwyższym stopniem uporządkowania, jaki można sobie wyobrazić. Czy czysto fizyczny proces wywoła tego rodzaju uporządkowanie? Dotąd żaden naturalista nie opracował teoretycznych mechanizmów rządzących takim procesem. Z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że proces leksykalny może stworzyć porządek, wobec czego wykreowanie całkowicie nowego gatunku wymagałoby imienia o niepojętej mocy. Kto chciałby się posługiwać nomenklaturą z tak mistrzowską wprawą, chyba musiałby posiadać zdolności samego Boga. Może właśnie od tego należałoby wyjść. Nie wykluczam, że na to pytanie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi, co jednak nie powinno mieć wpływu na nasze bieżące dociekania. Niezależnie od tego, czy za powstanie naszego gatunku odpowiedzialne jest imię, jestem przekonany, że dzięki imieniu nasz gatunek przetrwa.

— Zgadzam się — rzekł Stratton i po chwili dodał: — Muszę przyznać, że w pracy koncentruję się przede wszystkim na syntezie i rozkładzie, a to przesłania mi widok na wielkie cele naszego przedsięwzięcia. Świadomość tego, co osiągniemy w razie powodzenia, wywołuje dreszcze.

— Nie mogę się już doczekać — odparł Ashbourne.

Stratton siedział za swoim biurkiem w fabryce i ze ściągniętymi brwiami czytał paszkwil, który wręczono mu na ulicy. Litery nieudolnie wydrukowanego tekstu były niewyraźne.

Czy ludzie będą rządzić imionami, czy imiona ludźmi? Od dawna kapitałiści gromadzą imiona w swoich skarbcach, chronią je patentami i trzymają pod kluczem, w zamknięciu. Samym posiadaniem LITER pomnażają swoje fortuny, podczas gdy Szary Człowiek ciężko haruje na każdego szylinga. Przetrzebią ALFABET, aż wydobędą z niego ostatniego pensa, a potem rzucą nam ochłapy. Jak długo jeszcze będziemy im na to pozwalać?

Stratton przebiegł oczami paszkwil, lecz nie znalazł nic nowego. Choć czytał je od dwóch miesięcy, za każdym razem napotykał ten sam

anarchistyczny bełkot. Na razie nie sprawdzało się przypuszczenie lorda Fieldhursta, że rzeźbiarze tym sposobem skompromitują prace Strattona. Publiczna prezentacja jego zręcznych automatów miała się odbyć już w przyszłym tygodniu, a Willoughby jeszcze nie skorzystał z okazji, żeby zbuntować przeciwko niemu opinię publiczną. W tej sytuacji zastanawiał się, czy samemu nie rozprowadzać ulotek w celu uzyskania poparcia społecznego. Wyjaśniłby swój plan obdarzenia ludzi korzyściami z posiadania automatów najnowszej generacji oraz ścisłego kontrolowania patentów na imiona, to znaczy udzielania licencji wyłącznie tym fabrykantom, którzy mają na uwadze dobro robotnika. Miałby nawet swoje hasło. Może... „Automat gwarantem twojej niezależności”?

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Stratton wyrzucił ulotkę do kosza na śmieci.

— Proszę.

Do środka wszedł skromnie ubrany mężczyzna z długą brodą.

— Pan Stratton? — zapytał. — Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Benjamin Roth, jestem kabalistą.

Stratton nie wiedział, co powiedzieć. Mistycy zwykle krzywym okiem patrzyli na nowoczesne, naukowe podejście do nomenklatury, będące ich zdaniem profanacją świętych rytuałów. Nie spodziewał się, że jeden z nich odwiedzi go w fabryce.

— Miło mi pana poznać. Czym mogę służyć?

— Słyszałem, że osiąga pan znaczące postępy w technice słowotwórczego rozkładu.

— Cóż, dziękuję. Nie sądziłem, że zainteresuje się tym ktoś taki jak pan.

Roth uśmiechnął się sztucznie.

— Nie interesują mnie żadne praktyczne zastosowania. Celem kabalistów jest poznanie Boga, do czego prowadzi zgłębianie Jego sztuki stwórczej. Medytujemy nad różnymi imionami, aby wprowadzić świadomość w stan ekstazy. Im silniejsze imię, tym bliżsi jesteśmy boskiego absolutu.

— Rozumiem. — Stratton zastanawiał się, jak zareagowałby kabalista na wieść o próbach stworzenia człowieka przez nomenklatorów. — Proszę mówić dalej.

— Pańskie epitety pozwalają golemowi wyrzeźbić drugiego na swoje podobieństwo, a więc się rozmnażać. Imię umożliwiające stworzenie istoty, która z kolei może stworzyć następną, zaprowadziłoby nas bliżej Boga niż jakiegokolwiek inne do tej pory.

— Obawiam się, że nie zrozumiał pan istoty moich prac, aczkolwiek nie pan jeden tkwi w błędnym mniemaniu. Jeśli automat umie formować odlewy, nie oznacza to wcale, że jest w stanie się rozmnażać. Musiałby posiadać wiele innych umiejętności.

Kabalista pokiwał głową.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Sam w trakcie swoich studiów wynalazłem epitet opisujący kilka potrzebnych umiejętności.

Stratton pochylił się z nieskrywaną ciekawością. Po odlaniu ciała następnym krokiem byłoby animowanie go imieniem.

— Pański epitet daje automatowi umiejętność pisania? — Wprawdzie jego własne automaty potrafiły utrzymać w garści ołówki, lecz napisanie najprostszej litery przekraczało ich możliwości. — Jak to jest, że pańskie automaty są na tyle zręczne, że mogą pisać, a nie radzą sobie z odlewami?

Roth skromnie pokręcił głową.

— Mój epitet nie daje umiejętności pisania ani ogólnej zręczności. Pozwala golemowi wypisać imię, które go ożywia.

— Ach tak, rozumiem. — Zatem nie otwierał drogi do nabycia nowej grupy umiejętności, tylko wyrabiał jedną przeciętną zdolność. Stratton próbował sobie wyobrazić słowne łamańce, jakie musiałby wyprawiać, żeby automat mógł instynktownie zapisać zadany ciąg liter. — Zaciekawiał mnie pan, ale sądzę, że z tego odkrycia nie będzie wielkiego pożytku.

Roth wysilił się na uśmiech. Stratton domyślił się, że popełnił gafę, choć kabalista starał się trzymać fason.

— Zależy od punktu widzenia — odrzekł. — My patrzymy na to z innej perspektywy. W naszym odczuciu wartość tego epitetu, podobnie jak innych, nie bierze się z możliwości dawanych golemowi, ale z ekstatycznych stanów, których dzięki niemu doznamy.

Ależ oczywiście, oczywiście. I dlatego właśnie interesujecie się moimi epitetami?

— Tak. Mam nadzieję, że zechce pan je wyjawić. Stratton nigdy nie słyszał o kabalistach występujących z podobnymi prośbami, a i Roth z pewnością nie cieszył się, że jest tym pierwszym. Po chwili namysłu zapytał:

— Czy kabalista musi osiągnąć odpowiednio wysoki stopień wtajemniczenia, żeby medytować nad najpotężniejszymi epitetami?

— Naturalnie.

— A więc dostęp do imion jest ograniczony?

— Ach, nie, proszę mi wybaczyć, źle pana zrozumiałem. Imię może wprowadzić w stan ekstazy tylko tego człowieka, który opanował niezbędne techniki medytacyjne; to właśnie one są pilnie strzeżone. Bez odpowiedniego treningu każda próba posłużenia się taką techniką prowadzi do obłądzenia. Same imiona, choćby najpotężniejsze, nie mają żadnej wartości dla osoby niewtajemniczonej. Można z ich pomocą ożywić gliniany posąg, ale nic więcej.

— Nic więcej... — powtórzył Stratton, uświadamiając sobie ogrom rozbieżności w ich spojrzeniu na sprawę. — W takim razie przepraszam, ale nie mogę panu pozwolić na posługiwanie się moimi imionami.

Roth pokiwał głową z ponurą miną, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Oczekuje pan honorarium, prawda?

Teraz z kolei Stratton musiał udać, że nie zauważył gafy swego rozmówcy.

— Nie zabiegam o pieniądze, jednak wiązę pewne nadzieje ze zręcznymi automatami, dlatego objąłem imiona ochroną patentową. Nie mogę ich beztrudnie rozdawać i tym samym narażać na fiasko swoich planów. — Co prawda wyjawiał je nomenklatorom pracującym w zespole lorda Fieldhursta, lecz byli to dżentelmeni zobowiązani pod przysięgą do tajemnicy zawodowej. Mistykom za bardzo nie ufał.

— Zapewniam, że nie wykorzystamy pańskich imion do niczego prócz poszukiwania dróg do ekstazy.

— Proszę mnie zrozumieć, wierzę w pańską szczerą, lecz to za duże ryzyko. Jedyne, co w tej sytuacji mogę zrobić, to przypomnieć panu, że ochrona patentowa prędzej czy później wygasa. Kiedy tak się

stanie, będzie pan mógł korzystać z imion w dowolny sposób.

— Ale to potrwa lata!

— Musi pan wziąć pod uwagę, że należy respektować interesy innych.

— Względy materialne stają w poprzek duchowemu przebudzeniu, widać to jak na dłoni. Mogłem się tego spodziewać, mój błąd.

— To niesprawiedliwe postawienie sprawy — zaprotestował Stratton.

— Niesprawiedliwe? — Znać było, że Roth z trudem powstrzymuje się od wybuchu. — Wy, nomenklatorzy, zawłaszczacie sobie techniki przeznaczone do oddawania czci Bogu, by za ich pomocą dodać sobie splendoru. Cały ten wasz przemysł hańbi techniki *jecira*. Nie ma pan prawa rozstrzygać o tym, co niesprawiedliwe.

— Ależ proszę...

— Dziękuję za rozmowę. — Po tych słowach Roth wyszedł. Stratton westchnął.

Patrząc przez okular mikroskopu, Stratton obracał śrubę nastawczą, aż igła nacisnęła osłonę komórki jajowej. Nastąpił raptowny skurcz, jakby cofnęła się noga dotkniętego mięczaka. Sfera przekształciła się w maleńki płód. Stratton oddalił igłę od szkiełka, uwolnił ją z ramki zaciskowej i zamocował następną. Potem zamknął szkiełko w ciepłym wnętrzu inkubatora, a pod mikroskopem umieścił nowe szkiełko z nietkniętą ludzką komórką jajową. Ponownie nachylił się nad przyrządem, żeby odcisnąć imię.

Niedawno nomenklatorzy opracowali imię zdolne wytworzyć formę nie do odróżnienia od ludzkiego płodu. Takie zarodki jednak nie dojrzewały: nie ruszały się i nie reagowały na bodźce. Wyrokowano, że imię niedokładnie opisuje нефизyczne cechy istoty ludzkiej. Z tej przyczyny zespół naukowców pracowicie zgłębiał atrybuty człowieczej natury, aby wyodrębnić zestaw epitetów zarazem ekspresywnych, świadczących o tych cechach, i na tyle związanych, aby dało je się wraz z fizycznymi epitetami zintegrować w jedno 72 — literowe imię.

Stratton przeniósł ostatnie szkiełko do inkubatora i sporządził stosowne notatki w dzienniku. Na razie nie miał więcej igieł z imionami,

a dopiero następnego dnia mógł zbadać, czy nowe płody będą dojrzewać. Resztę dnia postanowił spędzić na górze, w salonie.

Wchodząc do komnaty obitej orzechową boazerią, zastał w niej Fieldhursta i Ashbourne'a, którzy siedzieli w skórzanych fotelach, ćmili cygara i raczyli się brandy.

— A, Stratton — odezwał się Ashbourne. — Proszę z nami usiąść.

— Taki miałem zamiar. — Stratton podszedł do barku. Nalał sobie brandy z kryształowej karafki i usiadł.

— Prosto z laboratorium? — zapytał Fieldhurst. Potwierdził kiwnięciem głowy.

— Parę minut temu odcisnąłem najnowsze imiona. Odnoszę wrażenie, że moje ostatnie permutacje są krokiem we właściwym kierunku.

— Podzielamy pański optymizm. Rozmawiałem właśnie z dr. Ashbourne'em o tym, jak bardzo poprawiła się forma zarodka, odkąd zabraliśmy się do pracy. Wygląda na to, że dysponujemy już eunimami w przedostatniej fazie budowy. — Fieldhurst wydmuchał dym i oparł głowę na zagłówek fotela. — Jeszcze całe to nieszczęście obróci się na naszą korzyść.

— Korzyść? Jak to?

— Kiedy zaczniemy kontrolować przyrost urodzeń, nie dopuścimy, żeby w biednych rodzinach było tyle dzieci, jak to się dziś obserwuje.

Stratton słuchał tego ze zdziwieniem, lecz nie ujawniał swoich uczuć.

— O tym nie pomyślałem — rzekł oględnie. Także Ashbourne wydawał się zaskoczony:

— Nie wiedziałem, że ma pan takie plany.

— Wołałem przedwcześnie o tym nie wspominać — powiedział Fieldhurst. — Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, jak to mówią.

— No tak.

— Domyślcie się, panowie, jakie mogą z tego płynąć dobrodziejstwa? Orzekając odgórnie, komu wolno urodzić dziecko, a komu nie, rząd będzie dbał o czystość klasową narodu.

— Coś zagraża naszej czystości klasowej? — spytał Stratton.

— Nie wiem, czy pan zauważył, ale ludzi z niższych klas

przybywa szybciej aniżeli szlachciców i arystokratów. Jakkolwiek motłoch też ma swoje zalety, brakuje mu ogłady i inteligencji.

Przedstawiciele umysłowego ubóstwa płodzą sobie podobnych: kobieta wychowana w opłakanych warunkach siłą rzeczy porodzi dziecko z taką samą przyszłością. W konsekwencji niepoahamowanego przyrostu niższych klas naród zatonąłby w powodzi nieokrzesanych matołów.

— Zatem odciskanie imienia będzie niedostępne w biednych rodzinach?

— Nie w pełnym zakresie i z pewnością nie od razu. Z chwilą wyjścia na jaw prawdy o malejącej liczbie urodzin dojdzie do rozruchów, jeśli nie dopuścimy biedoty do zabiegów lekarskich. Zresztą, gmin odgrywa ważną rolę w społeczeństwie, byle się zanadto nie rozplenił. Przypuszczam, że program selekcji wprowadzimy dopiero po latach, kiedy ludzie przywykną do płodzenia potomstwa metodą odciskanego imienia. Od tego momentu, może w połączeniu z powszechnym spisem ludności, ustalimy maksymalną liczbę dzieci dla określonej pary. Rząd będzie regulował przyrost i skład populacji.

— Czy godzi się w ten sposób używać imienia? — zapytał Ashbourne. — Naszym celem było przetrwanie gatunku, a nie wprowadzenie polityki dyskryminacji.

— Ależ ja prezentuję czysto naukowe podejście do rzeczy. Obowiązkiem naukowca jest troska o ocalenie ludzkości, owszem, lecz także o jej żywotność, słabnącą bez narzucenia równowagi wewnętrznej. Nie mieszajmy do tego polityki. Gdyby sytuacja uległa odwróceniu i wystąpił niedobór siły roboczej, należałoby wprowadzić przeciwne środki zaradcze.

— Zastanawiam się — rzekł z wahaniem Stratton — czy poprawa życia biednych mogłaby sprawić, że w przyszłości wychowywaliby mądrzejsze dzieci.

— Myśli pan o zmianach, jakie zajdą po upowszechnieniu się pańskich tanich silników, nieprawdaż? — zapytał z uśmiechem Fieldhurst, a kiedy Stratton kiwnął głową, kontynuował: — Pańskie reformy mogą iść w parze z moimi. Ograniczenie liczebności niższych warstw społeczeństwa powinno ułatwić im przejście na wyższy standard życia. Proszę jednak nie sądzić, że zwyczajna poprawa warunków

ekonomicznych zmieni mentalność biedoty.

— Czemuż by nie?

— Zapomina pan o samozachowawczym charakterze kultury.

Przekonaliśmy się, że wszystkie megapłody są identyczne, lecz nikt nie zaprzeczy, że między narodami istnieją różnice zarówno pod względem wyglądu, jak i temperamentu. Może to wynikać jedynie z wpływu matki, ponieważ w łonie ucieleśnia się jej najbliższe środowisko społeczne. Przykładowo kobieta, która mieszkała wśród Prusów, rodzi dziecko o typowo pruskich cechach osobowości; dzięki temu odrębny charakter tej ludności zachował się mimo upływu wieków i wielu zawirowań historii. Chyba nie trzeba specjalnie przekonywać, że ten sam schemat pasuje do biedaków.

— Jako zoolog, w tych sprawach jest pan dla nas autorytetem — rzekł Ashboume, uciszając Strattona ostrzegawczym spojrzeniem. — Zdajemy się na pana zdanie.

Przez pozostałą część wieczoru rozmowa obracała się wokół innych tematów. Stratton starał się nie okazywać dyskomfortu, udawał pogodę ducha. Aż wreszcie, kiedy Fieldhurst udał się na spoczynek, Stratton i Ashboume zeszli do laboratorium, żeby się naradzić.

— Cóż to za człowiek? Komu my pomagamy! ? — wykrzyknął Stratton, ledwie drzwi się za nim zamknęły. — Chciałby hodować ludzi jak żywy inwentarz?

— Może wcale nie powinniśmy się dziwić? — powiedział Ashboume z westchnieniem. Usiadł na jednym z taboretów. — Nasz zespół pracuje nad wykorzystaniem na ludziach techniki pierwotnie zarezerwowanej dla zwierząt. Ale nie za cenę wolności osobistej! Nie chcę w tym uczestniczyć!

— Proszę nie działać pochopnie. Zważywszy na charakter pańskich badań, rezygnując ze współpracy z zespołem, narazi pan gatunek ludzki na dodatkowe niebezpieczeństwa. Nadto jeżeli zespół osiągnie cel bez pańskiego udziału, lord Fieldhurst i tak przeforsuje swój program.

Niewątpliwie Ashbourne miał rację. Stratton próbował odzyskać równowagę ducha. Po chwili odpowiedział:

— Wobec tego jak powinniśmy postąpić? Zna pan kogoś, z kim moglibyśmy się skontaktować? Może niektórzy parlamentarzyści

sprzeciwiliby się zamysłom lorda Fieldhursta?

— Podejrzewam, że szlachta i arystokracja w większości poparłaby jego postulaty. — Ashbourne wsparł czoło na palcach. W rysach jego twarzy uwidoczniła się starość. — Mogłem to przewidzieć. Popełniłem błąd, bo uważałem ludzkość za jeden gatunek. Widząc, jak Anglia i Francja wspólnymi siłami dążą do celu, zapomniałem, że na świecie istnieją właśnie nie tylko między narodami.

— A gdyby tak cichaczem przekazać imiona klasom robotniczym? Robotnicy mogliby potajemnie wykonywać własne igły i odciskać imiona.

— Owszem, ale zabieg tak delikatnej natury wymaga warunków laboratoryjnych. Wątpię, by działania przeprowadzane z konieczności na dużą skalę nie zainteresowały rządu, a później nie zostały przezeń zmonopolizowane.

— Więc nie ma wyjścia?

Na długą chwilę zapadło milczenie. Zastanawiali się w duchu.

W końcu odezwał się Ashbourne:

— Pamięta pan dyskusję na temat imienia, które powodowałoby powstanie dwóch pokoleń płodów?

— Oczywiście.

— Załóżmy, że opracujemy takie imię, lecz nie wyjawimy tej jego właściwości lordowi Fieldhurstowi...

— Chytry pomysł — ożywił się Stratton. — Dzieci narodzone dzięki temu imieniu byłyby płodne, więc mogłyby się rozmnażać bez pozwolenia rządu.

Ashbourne pokiwał głową.

— Do czasu wejścia w życie programu kontroli urodzeń można by takie imię szeroko rozpowszechnić.

— Ale co z następnym pokoleniem? Wróci bezpłodność, a rodziny robotnicze znów będą zmuszone zabiegać o pozwolenie na posiadanie potomstwa.

— Istotnie — przyznał Ashbourne. — Odniesiemy tylko pozorne zwycięstwo. Może jedynym skutecznym rozwiązaniem byłby liberalny parlament, ale nie mam pojęcia, jak taki powołać.

Stratton znowu rozmyślał o swoich tanich silnikach. Jeśli poprawi

się sytuacja klasy robotniczej, na co liczył, arystokracja przekona się, że z ubóstwa można się podźwignąć. Ale nawet w przypadku całej serii pomyślnych zdarzeń zmiana zapatrywań członków parlamentu potrwa lata.

— A jeśli w czasie pierwszego odciśnięcia uda się zapoczątkować wiele pokoleń? — zapytał. — Im dłuższy czas płodności, tym większa szansa, że zostaną wprowadzone bardziej liberalne programy społeczne.

— Pan buja w obłokach — odparł Ashbourne. — Zapoczątkowanie wielu pokoleń wymagałoby nader żmudnych badań. Prędzej wyrosną mi skrzydła i nauczę się latać. Samo stworzenie dwóch pokoleń może okazać się niewykonalne.

Obradowali tak do późna w nocy. Gdyby chcieli ukrywać prawdziwe własności imion prezentowanych lordowi Fieldhurstowi, musieliby fałszować długie, gruntowne notatki z przebiegu badań. Jeśliby nawet nie ciążyła na nich konieczność zachowania tajemnicy, musieliby stanąć do nierównego wyścigu — opracowywać nad wyraz skomplikowane imię, gdy tymczasem pozostali nomenklatorzy poszukiwali relatywnie prostego eunimu. Ażeby choć trochę zwiększyć swoje szanse, Ashbourne i Stratton byliby zmuszeni przeciągnąć kogoś na swoją stronę. Całkiem prawdopodobne, że z czyjąś pomocą udałoby się nieco spowolnić badania pozostałych naukowców.

— Jak pan sądzi, kto w zespole podziela nasze poglądy? — zapytał Ashbourne.

— Mam wrażenie, że Milburn. Jeśli chodzi o resztę, to nie mam pojęcia.

— Niech pan nie ryzykuje. Zabiegając o poparcie naukowców, musimy zachować najdalej idącą ostrożność, większą nawet od tej, z jaką lord Fieldhurst budował zespół.

— Zaiste — zgodził się Stratton i pokręcił głową z niedowierzaniem. — Wewnątrz tajnej organizacji zagnieżdża się druga tajna organizacja. Że też nie można tak łatwo produkować płodów.

Następnego dnia o zmierzchu Stratton przechadzał się po moście Westminsterkim, patrząc na ostatnich straganiarzy, którzy pchali wózki z owocami. Właśnie zjadł kolację w ulubionym klubie i wracał do Coade

Manufactory. Po wczorajszym wieczorze w Darrington Hall miał rozstrojone nerwy, więc wrócił dzisiaj wcześniej do Londynu; wolał ograniczyć kontakty z lordem Fieldhurstem, dopóty jego twarz odzwierciedlała wrzące w nim uczucia.

Myślami wracał do rozmowy z Ashbourne'em, podczas której narodził się pomysł zsyntezowania imienia pozwalającego tworzyć porządek na dwóch poziomach jednocześnie. Swego czasu próbował znaleźć stosowne epitety, ale były to bezowocne, dość powierzchowne starania, cel nie wymagał bowiem aż tak wybitnych osiągnięć. Warunki powodzenia zostały jednak przewartościowane. Dwa pokolenia — teraz było to niezbędne minimum. A każde następne — rzecz niesłychanej wagi.

Znów rozmyślał nad termodynamicznymi skutkami dających zręczność imion. Porządek na poziomie termicznym animował automat, umożliwiając mu stworzenie porządku w wymiarze widzialnym. Porządek rodzi porządek. Ashbourne sugerował, że wyższy stopień uporządkowania mógłby się urzeczywistnić, gdyby automaty w sposób zorganizowany współpracowały z sobą nawzajem. Czy to w ogóle możliwe? Sprawna praca w grupie pociągała za sobą konieczność komunikowania się, lecz automaty z natury rzeczy były nieme. A jeżeliby inaczej pobudzić je do wspólnego działania?

Zanim się spostrzegł, już stał przed zakładem. Zapadł mrok, lecz drogę do gabinetu znał na pamięć. Otworzył drzwi frontowe, przeszedł przez galerię i minął pomieszczenia biurowe. Na korytarzu prowadzącym do gabinetów nomenklatorów dostrzegł światło, które sączyło się przez mleczną szybę w drzwiach. Chyba nie zapomniał zgasić gazowej lampy? Otworzył drzwi i wzdrygnął się ze zgrozy.

Przy biurku twarzą do ziemi leżał człowiek z rękami skrępowanymi na plecach. Stratton podszedł doń szybko, aby zbadać sprawę. Benjamin Roth, kabalista, już nie żył. Najwyraźniej połamano mu niektóre palce. Zanim umarł, był torturowany.

Stratton powstał, blady i roztrzęsiony. W gabinecie panował nieopisany bałagan. Z półek powyrzucano książki, które walały się teraz na dębowej podłodze. Z biurka też wszystko zmieciono. Obok na stosie leżały opróżnione szufladki z mosiężnymi uchwytami. Do otwartych

drzwi pracowni prowadził ślad rozrzuconych papierów. Stratton, oszołomiony, poszedł sprawdzić, co tam się wydarzyło.

Jego zręczny automat został zniszczony. Dolna połowa leżała na podłodze, reszta rozsypała się w postaci drobnych i grubszych gipsowych szczątków. Gliniane modele dłoni zostały zgniecione na stole, szkice wzorów — pozdzierane ze ścian. Kadzie do mieszania gipsu były pełne zabranych z gabinetu papierów. Stratton przyjrzał im się i zauważył, że polano je naftą.

Wtem usłyszał hałas i błyskawicznie się odwrócił. Drzwi do gabinetu zamknęły się i odsłoniły barczystego mężczyznę. Chowal się pod ścianą, odkąd zjawił się Stratton.

— Dobrze, że pan przyszedł. — Przeszywał ofiarę drapieżnym wzrokiem płatnego mordercy.

Stratton wyskoczył z pracowni tylnymi drzwiami i pognął korytarzem. Słyszał, jak morderca rusza za nim w pogoń.

Uciekał przez pracownię mrocznego budynku, pełne żelaznych sztab, koksu, tygli i form odlewniczych, oświetlone mdłym blaskiem księżyca, który wpadał przez dachowe świetliki. Znajdował się na oddziale metaloplastycznym. Kiedy w następnym pomieszczeniu przystanął dla złapania tchu, usłyszał przeraźliwie głośne echo swoich kroków. Postanowił się gdzieś przyczaić, zamiast biec na oślep. Odległy tupot jego prześladowcy też ucichł; zapewne i on wolał się skradać.

Stratton rozglądał się za dogodną kryjówką. Wokół siebie zobaczył żeliwne automaty w ostatniej fazie produkcji. Znajdował się w wykańczalni, gdzie odzynano niechciane pozostałości po odlewie i grawerowano powierzchnię. Trudno tu było się schować i miał już przejść dalej, gdy nagle zauważył coś, co wyglądało jak pęk karabinów na nogach. Patrząc uważniej, rozpoznał silnik wojskowy.

Tego typu automaty produkowano na zamówienie ministerstwa wojny: lawety z osobną lufą armatnią i szybkostrzelne wielolufowe karabiny Gatlinga, jak ten tutaj, które same kręciły korbą. Cwane bestie, na Krymie okazały się niezastąpione. Wynalazca otrzymał tytuł para. Stratton nie znał imion do ożywiania broni (objętych tajemnicą wojskową), lecz automatem był tylko korpus, na którym zamontowano lufy, nie zaś mechanizm zamka. Gdyby udało mu się obrócić korpus w

odpowiednim kierunku, mógłby strzelać ręcznie.

Zganił się w duchu za głupotę. Skąd miał wziąć amunicję? Przekradł się do sąsiedniego pomieszczenia.

W pakowalni pełno było sosnowych skrzyń i wiechci słomy. Kuląc się między skrzyniami, ruszył pod przeciwległą ścianę. Za oknem dojrzał skrawek dziedzińca, gdzie gotowe automaty układano na wozach. Tędy nie mógł się wydostać: bramę dziedzińca na noc zamykano na klucz. A więc pozostała mu tylko jedna droga ratunku, frontowymi drzwiami, lecz wracając, musiałby nadzieć się na mordercę. Powinien przejść na oddział ceramiczny i wyjść tamtą stroną zakładu.

W pakowalni rozległy się kroki. Stratton kucnął za sznurem skrzyń i w odległości kilku kroków zauważył boczne wyjście. Po kryjomu otworzył drzwi i minąwszy próg, zamknął je za sobą. Czy bandzior coś słyszał? Zerknął przez kratkę w drzwiach; nikogo nie zobaczył, lecz miał wrażenie, że i jego nie dostrzeżono. Morderca zapewne myszkował w pakowalni.

Stratton odwrócił się i natychmiast zrozumiał swoją pomyłkę. Drzwi na oddział ceramiczny znajdowały się po drugiej stronie, on natomiast trafił do magazynu pełnego gotowych automatów. Innych drzwi tu nie było, tych zaś, którymi tu wszedł, nie dało się zaryglować. Sam się zapędził w kozi róg.

Czy mógłby wykorzystać tu coś w charakterze broni? W menażerii automatów wypatrył krępe maszyny górnicze z kilofami osadzonymi na przednich kończynach. Niestety, ostrza przyśrubowywano do ramion i nie był w stanie ich odkręcić.

Słyszał teraz, jak bandyta wdziera się do sąsiednich magazynów i kolejno je przeszukuje. Nieopodal pod ścianą stał automat, tragarz odpowiedzialny za przenoszenie towaru. Jako jedyny w tym pomieszczeniu miał antropomorficzne kształty.

Strattonowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Sprawdził tył głowy automatu. Imiona dla tragarzy już dawno stały się własnością publiczną, więc wpustu nie zamykało się na kluczyk. Z otworu sterczał brzeg pergaminowej karteczki. Sięgnął do płaszcza po notes i ołówek, które zawsze nosił przy sobie, i wyrwał kawałek pustej strony. W półmroku pośpiesznie zapisał siedemdziesiąt dwie litery w znajomym

ułożeniu, a potem wcisnął papier do ciasnego wpustu.

Do tragarza szepnął:

— Stań jak najbliżej drzwi.

Żeliwna figura ruszyła w nakazanym kierunku krokiem co prawda płynnym, ale nie za szybkim, gdy tymczasem morderca lada chwila mógł wpaść do magazynu.

— Prędziej! — syknął Stratton.

Automat usłuchał. Ledwie znalazł się pod drzwiami, Stratton zobaczył przez kratkę, że po drugiej stronie stoi jego prześladowca.

— Ustąp się! — warknął mężczyzna.

Naturalnie posłuszny, automat drgnął, żeby się cofnąć, lecz w tym momencie Stratton zabrał mu imię. Bandyta zaczął napierać na drzwi, on jednak wetknął do wpustu, możliwie głęboko, nowe imię.

Tragarz zaczął energicznie człapać, zdecydowany iść przed siebie. Był teraz jak lalka z dzieciństwa Strattona, tyle że ludzkich rozmiarów. Wsparł się o drzwi i, niczym nie zrażony, przytrzymał je impetem swoich ruchów. Każdym machnięciem żeliwnego ramienia pozostawiał wgniecenia na dębowym drewnie, obute gumą stopy szurały po ceglanej podłodze.

Stratton cofnął się na tyły magazynu.

— Stój! — rozkazał bandyta. — Ty tam, zatrzymaj się!

Stój!

Automat nadal tuptał, głuchy na polecenia. Mężczyzna daremnie starał się rozewrzeć drzwi. Uderzał w nie barkiem, lecz za każdym razem automat tylko nieznacznie ustępował i momentalnie, zanim można było wśliznąć się do środka, blokował drzwi. Przez chwilę nie działo się nic nowego, aż nagle coś przeszło przez kratkę w drzwiach. Mężczyzna usiłował wyłamać ją łomem. Kiedy się oderwała i zostało puste okienko, przełożył rękę na drugą stronę. Ilekroć tragarz zbliżał głowę, usiłował wydłubać mu z tyłu imię. Jego wysiłki spełzły na panewce, ponieważ papier był wepchany zbyt głęboko.

Zamiast ręki w okienku ukazała się głowa mężczyzny.

— Takiś cwany, ha?! — zawołał i zniknął.

Stratton nieco się uspokoił. Czyżby morderca dał za wygraną? Po chwili zaczął się zastanawiać, co dalej. Mógł poczekać, aż otworzą

fabrykę. Zejdą się ludzie i przepłoszą intruza.

Wtem w okienku ponownie zjawiała się ręka, a w niej słoik z płynem. Zawartość została wylana na głowę tragarza, spłynęła mu na kark i plecy. Dał się słyszeć dźwięk pocieranej zapałki i trzask ognia. Zapałkę przyłożono do mokrej powierzchni automatu.

Wnętrze magazynu rozświetliły płomienie, strzelające z górnych partii żeliwnego ciała tragarza. Mężczyzna musiał go polać naftą. Stratton ze zmrużonymi oczami obserwował ten spektakl. Światła i cienie pląsały po ścianach, upodabniając magazyn do miejsca druidzkich obrzędów. Żar sprawił, że automat ze zdwojoną energią szturmował drzwi, niczym demon ognia w obłądnym tańcu... aż nagle zamarł w bezruchu. Kartkę z imieniem strawił ogień.

Płomienie powoli dogasły. Jako że oczy Strattona zdążyły się przyzwyczać do blasku, teraz wokół siebie widział nieprzejrzone ciemności. Po odgłosach poznał, że morderca ponownie napiera na drzwi. Tym razem udało mu się zepchnąć automat i wcisnąć do magazynu.

— No, koniec dobrego!

Stratton chciał przebiec obok niego, lecz został z łatwością schwyty. Dostał pięścią w głowę i upadł.

Bardzo szybko odzyskał przytomność, lecz wtedy już leżał twarzą do ziemi. Zabójca przygwoździł go kolaniem, zerwał z nadgarstka amulet zdrowia i związał mu ręce na plecach. Zacisnął sznur tak mocno, że konopne włókna wgryzały się w skórę.

— Co z ciebie za człowiek? — wychrypiał Stratton z policzkiem na ceglach. — Po co to wszystko?

Morderca zachichotał.

— Ludzie nie różnią się od twoich automatów. Wciśniesz facetowi karteczkę z bazgrołami, a ten spełni twoje rozkazy.

Zrobiło się jasno, gdy mężczyzna zapalił lampę naftową.

A jeśli zapłacę więcej, żebyś mnie zostawił?

Nie da rady. Muszę dbać o swoją reputację. A więc dobrze, przejdźmy do sedna sprawy. — Chwycił mały palec lewej ręki Strattona i natychmiast go złamał.

Stratton doświadczył strasznego bólu, przez chwilę nie czuł

niczego innego. Niejako z oddali posłyszał własny krzyk. A potem słowa mężczyzny:

— Odpowiadaj zwięźle na pytania. Przechowujesz w domu kopie swoich notatek?

— Tak. W biurku. — Z trudem wypowiadał słowa. — W gabinecie.

— Nie pochowałeś gdzieś innych kopii? Na przykład pod podłogą?

— Nie.

— Twój przyjaciel na górze nie miał kopii. Ale może ma ktoś inny?

Nie mógł go wysłać do Darrington Hall.

— Nie, nie ma.

Mężczyzna wyciągnął notes z płaszcza Strattona, który usłyszał tylko szelest wertowanych kartek.

— Korespondujesz z kolegami? Wysyłasz jakieś listy?

Nie ma w nich niczego, co naprowadziłoby kogoś na moje odkrycia.

— Kłamiesz! — Mężczyzna chwycił palec serdeczny Strattona. Raptem coś głośno stuknęło i zelżał nacisk na jego plecy.

Ostrożnie uniósł głowę i się rozejrzył. Jego dręczyciel leżał obok bez przytomności.

Dalej stał Davies z metalową pałką w skórzanej oprawie, którą zaraz schował do kieszeni. Kucnął, żeby uwolnić z więzów Strattona.

— Jest pan ciężko ranny, sir?

— Złamał mi palec. Davies, jak...?

Lord Fieldhurst posłał mnie, gdy tylko się dowiedział, z kim skontaktował się Willoughby.

— Dzięki Bogu, przybył pan w samą porę.

— Życie zakpiło ze Strattona, ratunek bowiem zawdzięczał osobie, przeciwko której spiskował. Teraz jednak nie przejmował się tym, przepełniony wdzięcznością.

Davies pomógł mu się podnieść i podał mu notes. Potem sznurem związał bandytę.

— Byłem w pańskiej pracowni. Kim jest tamten jegomość?

— Nazywa się... Benjamin Roth. — Stratton przywołał w pamięci

spotkanie z kabalistą. — Nie wiem, co tu robił.

— Czasem religijni ludzie stają się nadgorliwi. — Davies sprawdził, czy więzy trzymają. — Ponieważ nie chciał pan podzielić się z nim wiedzą, postanowił sam ją sobie przywłaszczyć. Wkradł się do pracowni, ale miał to nieszczęście, że akurat przyszedł morderca.

Stratton poczuł wyrzuty sumienia.

— Mogłem mu dać, o co prosił.

— Nie wiedział pan, co się stanie.

— Jakież to podłe, że właśnie on musiał umrzeć. Niczym szczególnym nie zawinił.

— Tak to już jest, sir. Lepiej zajmijmy się pańską ręką.

Davies obandażował i usztywnił palec, zapewniając, że Towarzystwo Królewskie — z zachowaniem dyskrecji — weźmie na siebie konsekwencje wydarzeń dzisiejszej nocy. Przerzucili do kufierka nasączone naftą papiery, żeby Stratton mógł je przejrzeć w wolnej chwili poza terenem fabryki. Kiedy się z tym uporali, zajechał powóz, mający go zabrać do Darrington Hall. Gdy powóz wyruszał w drogę z dworu, Davies wsiadał do swej maszyny wyścigowej, którą o wiele wcześniej przyjechał do Londynu. Stratton władował się do karety z kufrem, natomiast Davies został, aby zająć się zabójcą i ciałem kabalisty.

W czasie jazdy Stratton co rusz przytykał do ust butelczynę brandy, próbując ukoić zszargane nerwy. Z ulgą powitał Darrington Hall — mimo iż czaiły się tutaj zagrożenia odmiennej natury, wiedział, że nie musi bać się zamachu na swoje życie.

Kiedy wchodził do pokoju, panika w przeważającej mierze ustąpiła już wyczerpaniu. Spał jak kamień.

Nazajutrz czuł się wypoczęty, więc zabrał się do sortowania papierów. Podczas układania ich w stosy zgodnie z pierwotnym ułożeniem, natrafił na nieznaną notatkę. Na kartach przewijały się hebrajskie litery, poukładane stosownie do znanych mu prawideł słowotwórczej syntezy i rozkładu. Notatki były sporządzone po hebrajsku. Ponownie doznał wyrzutów sumienia, uświadomiwszy sobie, że ich autorem jest Roth. Zapewne morderca znalazł przy nim notes i wrzucił go do reszty papierów z myślą o spaleniu.

Zamierzał odłożyć na bok notatnik, lecz ciekawość wzięła górę. Pierwszy raz widział notes kabalisty. Terminologia była w większości przestarzała, jednak dużo rozumiał. Wśród tekstów inkantacji i sefirotycznych diagramów znalazł epitet umożliwiający automatowi zapisanie swojego imienia. Osiągnięcie Rotha zadziwiało elegancją.

Epitet nie opisywał zespołu specyficznych czynności, ale ogólną zasadę lustrzanego odbicia. Imię zawierające w sobie ten epitet stawało się autonimem, samookreślającym się imieniem. Jeśli wierzyć notatkom, tego rodzaju imię uzewnętrzniało swój leksykalny charakter wszelkimi sposobami dostępnymi ciału. Animowana figura nie musiałaby nawet mieć rąk, żeby zapisać swoje imię. Jeżeli epitet wstawić prawidłowo, porcelanowy koń wykona zadanie, grzebiąc kopytem w ziemi.

Epitet Rotha w połączeniu z wyrażającymi zręczność epitetami Strattona faktycznie pozwoliłby automatowi zrobić większość z tego, co było konieczne do reprodukcji. Automat wykonałby swój bliźniaczy odlew, zapisał własne imię i włożył je, żeby animować ciało. Nie umiałby drugiego nauczyć rzeźbienia, ponieważ automaty nie mówią. Automat zdolny do efektywnej reprodukcji bez udziału człowieka pozostawał w sferze marzeń, lecz dotarcie tak blisko ostatecznego celu z pewnością uradowałoby kabalistów.

Wydawało się rzeczą niesprawiedliwą to, że łatwiej reprodukcja automatów niż ludzi. Problem z tymi pierwszymi wystarczyłoby rozwiązać jeden jedyny raz, gdy tymczasem rozmnażanie ludzi było syzyfową pracą, skoro każde następne pokolenie potęgowało złożoność prac nad imieniem.

W końcu Stratton uzmysłowił sobie, że potrzebuje imienia, które powieli nie tyle właściwości fizyczne, ile swój leksykalny charakter. Chodziło o to, by na komórce jajowej odcisnąć autonim i tym samym zapoczątkować rozwój zarodka, który będzie miał własne imię.

Imię występowałoby w dwóch wariantach: męskim i żeńskim. Kobiety poczęte w ten sposób byłyby płodne — jak zawsze. Mężczyźni również, chociaż na innych zasadach: ich plemniki nie zawierałyby preformowanych płodów, lecz nosiłyby na swej powierzchni jedno z dwojga imion, będących odzwierciedleniem tych pierwotnie odcisniętych szklanymi igłami. Jeśli taki plemnik dotrze do komórki

jajowej, imię zapoczątkuje nowy płód. Ludzie nie przestaną się rozmnażać nawet bez dostępu do opieki lekarskiej, bo będą nosili w sobie imię.

Razem z dr. Ashbourne'em zakładali, że tworzenie zwierząt zdolnych do rozrodu stwarza konieczność wyposażania ich w preformowane płody, bo tak to właśnie urządziła natura. W efekcie przeoczyli inną możliwość: jeśli żywą istotę można wyrazić słowem, powielenie jej sprowadza się do przepisania imienia. Organizm zamiast miniaturowej wersji swojego ciała zawierałby jego leksykalny odpowiednik.

Ludzkość byłaby nie tylko produktem imienia, ale i jego nośnikiem, a każde pokolenie — zarówno naczyniem, jak i jego zawartością, powtarzającym się echem.

Stratton wyobrażał sobie czasy, kiedy ludzie będą mogli przetrwać wyłącznie dzięki własnym staraniom, dążyć do zagłady lub rozkwitu w wyniku swego zachowania, zamiast po prostu zniknąć, gdy upłynie jakiś z góry narzucony termin. Inne gatunki będą przeżywać wzloty i upadki, więdnąć niczym kwiaty z nadejściem geologicznej zimy, lecz ludzkość przetrzyma wszystko, chyba że sama zdecyduje z sobą skończyć.

I żadna elitarna grupa nie stanie na straży przyrostu urodzeń. Przynajmniej w dziedzinie prokreacji jednostka zachowa swobodę wyboru. Roth wiązał ze swoim epitetem zupełnie inne plany, lecz Stratton miał nadzieje, że kabalista poparłby jego dążenia. Zanim prawdziwa moc autonomu wyjdzie na jaw, całe pokolenie — miliony ludzi na świecie — narodzi się z imienia. Żaden rząd nie będzie już w stanie sprawować nad nimi kontroli. Lord Fieldhurst (lub jego następcy) wpadnie w szal. Stratton wiedział, że przyjdzie mu za to zapłacić, lecz wcale się tym nie przejmował.

Pośpiesznie podszedł do biurka, na którym otworzył obok siebie notatnik swój i Rotha. Na pustej stronie zaczął spisywać swoje spostrzeżenia, rozmyślając, jak zespolić epitet kabalisty i eunimem człowieka. W myślach już przedstawiał litery. Pragnął znaleźć kombinację będącą uzewnętrznieniem zarówno jej samej, jak i ludzkiego ciała — ontogenetyczny kod gatunku.

tłumaczył Dariusz Kopociński

Ewolucja ludzkiej nauki

(The Evolution of Human Science)

Mija dwadzieścia pięć lat, odkąd po raz ostatni nadesłano nam do redakcji wyniki pionierskich badań, co skłania do powtórnego rozważenia kwestii, która w tamtym czasie budziła tyle emocji: jaką rolę odgrywa ludzka nauka w epoce, gdy granice naukowego poznania tak dalece wykroczyły poza zdolności ludzkiego pojmowania?

Niewątpliwie wielu naszych subskrybentów pamięta artykuły naukowców, którzy osobiście dokonywali opisywanych przez siebie odkryć. Później, kiedy metaludzie zaczęli osiągać większe sukcesy na polu eksperymentalnych badań i udostępniać ich rezultaty poprzez DNT, cyfrowy przekaz neuronowy, w czasopismach coraz częściej publikowano niepełne sprawozdania, tłumaczone na język zrozumiały dla ludzi. Bez zdolności do DNT ludzie gubili się w procedurach badawczych i nie umieli posługiwać się nowymi instrumentami, niezbędnymi do kontynuowania prac. Równocześnie metaludzie udoskonalali i intensywniej wykorzystywali DNT. Czasopisma dla tradycyjnych czytelników zniżyły się do roli popularyzatorów wiedzy, nawiasem mówiąc dość marnych, albowiem najtęższe umysły ludzkie miały kłopot z przyswojeniem najnowszych tłumaczeń.

Nikt nie podważa korzyści płynących z działalności metaludzi, lecz naukowcy płacą za nie słońną cenę, mają bowiem tę przykrą świadomość, że prawdopodobnie nigdy już nie wniosą własnego wkładu w rozwój nauki. Niektórzy porzucili swoje dotychczasowe zajęcia, pozostali oddali się — miast pracom badawczym — hermeneutyce, porządkowaniu naukowych dokonań metaludzi.

Początkowo najpopularniejsza była hermeneutyka tekstu, ponieważ uzbierały się wielkie zbiory metaludzkich publikacji, liczone w terabajtach, a ich tłumaczenia, choć pogmatwane, nadawały się do wykorzystania. Sztuka odczytywania tych tekstów w niewielkim stopniu przypomina wysiłki podejmowane przez paleografów, lecz odnotowuje się postępy: niedawne doświadczenia potwierdziły prawidłowość

odczytu Humphriesa, który zmagał się z liczącymi dziesięć lat publikacjami na temat antygenów zgodności tkankowej.

Dostępność namacalnych owoców metaludzkiej nauki przyczyniła się do rozwoju hermeneutyki przedmiotu. Naukowcy próbują krok po kroku analizować budowę najnowocześniejszych urządzeń — nie żeby tworzyć konkurencyjne produkty, ale by zrozumieć zasady fizyczne, które pozwalają im działać. Najbardziej rozpowszechniona metoda, analiza krystalograficzna nanoukładów, niejednokrotnie daje nowe wyobrażenie o możliwościach mechanosyntezy.

Od niedawna wykorzystuje się dość kontrowersyjny sposób pozyskiwania informacji: zdalny nasłuch metaludzkich ośrodków naukowych. Ostatnim obiektem zainteresowania jest zainstalowany pod pustynią Gobi akcelerator wiązek przeciwbieżnych, w którym zaobserwowano niezwykle oscylacje neutrin. Tamtejszy przenośny detektor neutrin to kolejny przyrząd zaprojektowany przez metaludzi, którego zasada działania nie została do końca poznana.

Powstaje pytanie, czy wysiłki naukowców idą w dobrym kierunku. Słysząc głosy, że marnują czas — że są jak pierwotni mieszkańcy Ameryki, pracujący nad techniką wytapiania brązu, kiedy świat zdobyły stalowe narzędzia z europejskich zakładów. Powyższe porównanie miałyby większy sens, gdyby ludzie rywalizowali z metaludźmi, lecz gospodarka dobrobytu służy jednym i drugim. Należy podkreślić, że w odróżnieniu od dawnych słabo rozwiniętych kultur, mających kontakt z kulturami wysoko rozwiniętymi, ludziom nie grozi zagłada ani utrata tożsamości.

Wciąż nie można przekształcić ludzkiego mózgu w metaludzki. Aby mózg był zdolny do DNT, terapię genową Sugimota należy zastosować, zanim w rozwijającym się zarodku rozpocznie się proces neurogenezy. Na skutek braku mechanizmów transformacji ludzcy rodzice metaludzkiego dziecka stoją przed bolesnym dylematem: czy pozwolić dziecku na kontakt z metaludzką kulturą i patrzeć, jak dorasta obok nich, w swoim własnym, tajemniczym świecie, czy raczej uniemożliwić mu w dzieciństwie dostęp do DNT, co w pojęciu meta — człowieka jest zniewoleniem porównywalnym z tym, jakiego doświadczał kiedyś Kaspar Hauser. Zatem nic dziwnego, że liczba

rodziców, którzy decydują się na terapię genową Sugimota, w ostatnich czasach zmalała prawie do zera.

Dzięki temu ludzie mają przed sobą jeszcze długą przyszłość, a i badań naukowych nic nie zahamuje. Hermeneutyka, dziś już uznana droga naukowego poznania, powiększa zasoby ludzkiej wiedzy, tak samo jak dawniej prace laboratoryjne. Mało tego: ludzie mogą rozważać aspekty pomijane przez metaludzi, którzy z wyżyn swojego naukowego rozwoju nie dostrzegają pewnych naszych wątpliwości. Przykładowo wyobraźmy sobie, że w toku badań pojawi się szansa na powstanie alternatywnej metody zwiększania inteligencji, która pozwoli zwykłym ludziom stopniowo „aktualizować” umysły do poziomu porównywalnego z umysłem metaludzkiem. Tego rodzaju metoda byłaby pomostem nad największą kulturową przepaścią w dziejach ludzkiej cywilizacji, aczkolwiek metaludziom nawet nie przyszłoby na myśl, żeby nad nią pracować. Już sama ta możliwość nadaje sens ludzkiej nauce.

Osiągnięcia badawcze metaludzi nie powinny nas wpędzać w kompleksy. Zawsze pamiętajmy, że odkrycia, dzięki którym powstałi metaludzie zostały dokonane przez ludzi, a ci wcale nie byli od nas mądrzejsi.

tłumaczył Dariusz Kopociński

Piekło to nieobecność Boga

(Hell Is the Absence of God)

To jest opowieść o człowieku nazwiskiem Neil Fisk i o tym, jak pokochał Boga. Przełomowym wydarzeniem w życiu Neila był wypadek straszliwy, lecz zarazem zupełnie zwyczajny: śmierć jego żony Sarah. Żałoba, którą czuł, była przygniatająca nie tylko z uwagi na swą oczywistą intensywność, lecz również dlatego, że stanowiła odbicie i ilustrację wszystkiego, co dotąd w życiu wycierpiał. Śmierć żony zmusiła Neila do ponownego rozważenia relacji między nim a Bogiem, co stało się początkiem podróży, która zmieniła go na zawsze.

Neil przyszedł na świat z wrodzoną wadą — jego lewe udo było zrotowane na zewnątrz i kilka cali krótsze od prawego. Specjalistyczne określenie tej wady brzmiało: ogniskowy ubytek kości udowej bliższy. Większość ludzi, których spotykał, uważała, że to Bóg jest za to odpowiedzialny, ale matka Neila nie była podczas ciąży świadkiem żadnych nawiedzeń. Jego stan był po prostu skutkiem nieprawidłowego rozwoju kończyny w szóstym tygodniu ciąży. Matka Neila była zdania, że winien był jego nieobecny ojciec, którego zarobki mogłyby umożliwić opłacenie korekcyjnej operacji, nigdy jednak nie powiedziała tego na głos.

W dzieciństwie Neil zadawał sobie niekiedy pytanie, czy Bóg próbuje go ukarać, lecz w pierwszej kolejności winił za swe cierpienia kolegów z klasy. Ich nonszalanckie okrucieństwo, instynktowna zdolność znalezienia luk w emocjonalnej zbroi ofiary, sposób, w jaki sadyzm wzmacniał więzy przyjaźni między nimi — wszystko to były przejawy ludzkiego, nie Boskiego postępowania. Choć inne dzieci często posługiwały się w swych drwinach imieniem Boga, Neil wiedział, że to nie On jest winny ich zachowaniu.

Aczkolwiek uniknął pułapki, jaką byłoby oskarżanie Boga, nigdy nie udało mu się Go pokochać. Nie modlił się do Boga o siłę ani o ulgę w cierpieniach, gdyż w jego osobowości ani w tym, jak go wychowano,

nie było nic, co by go do tego skłaniało. Powodem jego rozlicznych problemów był przypadek bądź inni ludzie i walczył z nimi czysto ludzkimi metodami. Gdy osiągnął wiek dojrzały, podobnie jak wielu innych uważał Boskie poczynania za abstrakcję, dopóki nie dotknęły one jego życia. Nawiedzenia przez anioły były czymś, co zdarzało się innym ludziom. On dowiadywał się o tym z nocnych wiadomości. Życie Neila było zupełnie prozaiczne. Pracował jako administrator w ekskluzywnym budynku mieszkalnym, pobierając czynsze i dokonując napraw. W jego opinii wydarzenia świetnie mogły się toczyć — na dobre czy na złe — bez jakiegokolwiek ingerencji z góry.

Tak patrzył na to do chwili śmierci żony.

To było zupełnie zwyczajne nawiedzenie, mniejsze niż przeciętne, ale nieróżniące się od innych charakterem. Jednym przyniosło błogosławieństwa, a innym nieszczęście. Aniołem był w tym przypadku Natanael, który objawił się w śródmiejskiej dzielnicy handlowej. Dokonał czterech cudownych uzdrowień: wyeliminował raka u dwóch osobników, zregenerował rdzeń kręgowy paraplegika i przywrócił wzrok osobie, która niedawno oślepla. Doszło również do dwóch innych cudów, które nie były uzdrowieniami: samochód dostawczy, którego kierowca zemdlał na widok anioła, zatrzymał się, nim zdążył wjechać na zatłoczony chodnik, a na innego mężczyznę w chwili odejścia anioła padł snop światłości niebieskiej, który zniszczył jego oczy, lecz uczynił go pobożnym.

Żona Neila, Sarah Fisk, była jedną z ośmiu śmiertelnych ofiar. Została uderzona taflą szkła w chwili, gdy otaczająca anioła skłębiona bariera płomieni stłukła frontową szybę kawiarni, w której przesiadywała. Wykrwawiła się na śmierć w ciągu kilku minut, a inni klienci kawiarni, którzy odnieśli jedynie powierzchowne obrażenia, mogli tylko słuchać, jak krzyczała z bólu i strachu, a potem przyglądać się, jak jej dusza wznosi się ku niebu.

Natanael nie przekazał żadnej konkretnej wiadomości. Pożegnalne słowa anioła, których grzmiące tony wypełniły całe miejsce nawiedzenia, brzmiały typowo: „ujrzyjcie moc Pana”. Z ośmiu dusz zabitych tego dnia ludzi trzy przyjęto do nieba, natomiast pięć nie — proporcja lepsza od przeciętnej dla śmierci ze wszystkich powodów.

Sześćdziesięciu dwóm osobom udzielono pomocy medycznej. Obrażenia wahały się od lekkich urazów, poprzez pęknięcie błony bębenkowej, aż do oparzeń wymagających przeszczepu skóry. Straty wyceniono na 8,1 miliona dolarów, lecz prywatne firmy ubezpieczeniowe nie zwróciły ani centa, z uwagi na ich przyczynę. Dziesiątki osób zostały potem pobożnymi wyznawcami, czy to z wdzięczności, czy ze strachu.

Niestety, Neil Fisk nie był jedną z nich.

Po nawiedzeniu wszyscy świadkowie często zakładają grupę wsparcia, by opowiedzieć sobie, jak to wspólne doświadczenie wpłynęło na ich życie. Świadkowie ostatniego nawiedzenia przez Natanaela również urządzali podobne spotkania i zapraszano na nie także rodziny ofiar śmiertelnych. Neil zaczął w nich uczestniczyć. Spotkania urządzano raz na miesiąc w podziemiach wielkiego śródmiejskiego kościoła. Były tam składane, metalowe krzesła, ustawione w rzędy, oraz stół z kawą i pączkami. Wszyscy mieli przyklejone do ubrań identyfikatory z wypisanym flamastrem imieniem i nazwiskiem.

Czekający na początek spotkania ludzie popijali na stojąco kawę i prowadzili zdawkowe rozmowy. Większość tych, z którymi rozmawiał Neil, sądziła, że jego noga ucierpiała podczas nawiedzenia, i musiał im tłumaczyć, że nie jest świadkiem, lecz mężem jednej z ofiar. To mu zbyt nie przeszkadzało, gdyż był przyzwyczajony do opowiadania o swym kalectwie. Irytował go jednak ton samych spotkań, na których uczestnicy opisywali swe reakcje na nawiedzenie. Najczęściej mówili o pobożności, która się w nich obudziła, i próbowali przekonać pograżonych w żałobie bliskich ofiar, że powinni czuć to samo.

Reakcja Neila na podobne próby perswazji zależała od tego, z kim miał do czynienia. Jeśli był to zwyczajny świadek, wydawało mu się to jedynie irytujące, ale jeśli do miłości do Boga próbował go przekonać ktoś, komu przyznano cudowne uzdrowienie, miał ochotę tego kogoś udusić. Najbardziej zaniepokojony poczuł się, gdy usłyszał podobną sugestię od człowieka nazwiskiem Tony Crane. Żona Tony'ego również zginęła podczas nawiedzenia i w każdym ruchu tego mężczyzny wyczuwało się obrzydliwą uniżoność. Cichym, płaczącym głosem opowiadał o tym, jak zaakceptował swą rolę jednego z poddanych Boga i radził Neilowi uczynić to samo.

Neil nie przestał chodzić na spotkania — uważał, że jest to winien Sarah — ale znalazł sobie też inną grupę, lepiej korespondującą z jego uczuciami — grupę wsparcia dla tych, którzy stracili w wyniku nawiedzenia ukochaną osobę i byli z tego powodu wściekli na Boga. Spotykali się co tydzień w miejscowym domu kultury, by mówić o kipiącym w nich żalu i gniewie.

Uczestnicy tych spotkań na ogół okazywali sobie współczucie, bez względu na dzielące ich różnice w podejściu do Boga. Część spośród tych, którzy przed utratą byli pobożni, uparczywie starała się taka pozostać, inni zaś bez żalu wyrzekli się pobożności. Jeśli zaś chodzi o niepobożnych, część z nich uważała, że ich poglądy znalazły potwierdzenie, a przed innymi stanęło niemal niewykonalne zadanie odnalezienia pobożności. Neil, ku swej konsternacji, znalazł się w tej ostatniej grupie.

Tak jak wszystkie niepobożne osoby, nigdy nie przejmował się zbytnio tym, dokąd trafi po śmierci jego dusza. Zawsze zakładał, że jego przeznaczeniem jest piekło, i godził się z tą myślą. Tak już było, a ostatecznie pod względem fizycznym piekło wcale nie było gorsze od królestwa śmiertelników.

Oznaczało ono wieczne rozłączenie z Bogiem — nie mniej, ale i nie więcej. Każdy mógł ujrzeć tę prawdę na własne oczy podczas piekielnych objawień. Zdarzały się one regularnie i zawsze wyglądały tak samo: ziemia nagle stawała się przezroczysta i można było zobaczyć piekło, jak przez dziurę w podłodze. Zbłąkane dusze niczym się nie różniły od żywych ludzi, a ich wieczne ciała przypominały śmiertelne. Nie można było się z nimi komunikować — rozłączenie z Bogiem oznaczało, że nie mogą się pojawiać w królestwie śmiertelników, gdzie Boże poczynania były wyczuwalne — ale przez czas trwania objawienia słyhać było, jak rozmawiają, śmieją się albo płaczą, tak samo jak robili to za życia.

Ludzkie reakcje na te objawienia były bardzo różne. Większość pobożnych osób była zelektryzowana, nie dlatego, że zobaczyły coś przerażającego, lecz z powodu przypomnienia im, że możliwa jest wieczność poza rajem. Neil jednak należał do tych, których ten widok nie poruszał. W jego opinii zbłąkane dusze jako grupa wcale nie były

bardziej nieszczęśliwe niż on sam, a ich egzystencja nie była gorsza od tej, którą wiódł w królestwie śmiertelników. Pod pewnymi względami była nawet lepsza: jego wieczne ciało nie będzie zniekształcone przez wady wrodzone.

Rzecz jasna, wszyscy wiedzieli, że niebo jest nieporównanie lepsze, lecz Neilowi ta możliwość zawsze wydawała się zbyt odległa, by mógł ją traktować poważnie, podobnie jak bogactwo, sława czy splendor. Ludzie tacy jak on szli po śmierci do piekła. Nie widział sensu zmieniania swego życia w nadziei, że uniknie tego losu. A ponieważ Bóg nie odgrywał dotąd w życiu Neila żadnej roli, nie obawiał się rozłączenia z Nim. Perspektywa życia w świecie wolnym od Bożej ingerencji, w którym fart i pech nie były rezultatem żadnego planu, nie budziła w nim grozy.

Teraz jednak, gdy Sarah była w niebie, sytuacja się zmieniła. Neil nade wszystko pragnął się z nią połączyć, a jedynym sposobem na dostanie się do nieba było pokochanie Boga z całego serca.

To jest historia Neila, ale by zrelacjonować ją we właściwy sposób, trzeba najpierw opowiedzieć o dwóch innych osobach, których droga skrzyżowała się z jego drogą. Pierwszą z tych osób jest Janice Reilly.

Spotkało ją to, o co często podejrzewano Neila. Gdy matka Janice była z nią w ósmym miesiącu ciąży, podczas nagłego gradobicia straciła panowanie nad samochodem i uderzyła w słup telefoniczny. Lodowe pięści posypały się z jasnego nieba niczym deszcz gigantycznych łożysk kulkowych. Siedząca w samochodzie kobieta była wstrząśnięta, lecz nie ucierpiała w żaden sposób, gdy ujrzała splot srebrzystych płomieni — zidentyfikowany później jako anioł Bardiel — który unosił się na niebie. Skamieniała na ten widok, lecz nie do tego stopnia, by uszło jej uwagi dziwne poruszenie wewnątrz macicy. Badanie ultrasonograficzne wykazało, że nienarodzona Janice Reilly nie ma już nóg. Podobne do płetw stopy wyrastały bezpośrednio z jej stawów biodrowych.

Życie Janice mogłoby się potoczyć podobnie do życia Neila, gdyby nie coś, co wydarzyło się dwa dni po badaniu. Rodzice dziewczynki siedzieli za stołem w kuchni, płacząc i pytając, czym sobie na to zasłużyli, gdy nagle zesłano im wizję. Pojawiły się przed nimi zbawione dusze czworga zmarłych krewnych. Kuchnię wypełnił bijący od nich

złoty blask. Zbawieni nigdy się nie odzywali, ale ich błogie uśmiechy obdarzały pokojem każdego, kto ich zobaczył. Od tej chwili Reilly'owie byli pewni, że to, co spotkało ich córkę, nie było karą.

W rezultacie Janice wychowano w przekonaniu, że brak nóg jest darem. Rodzice wytłumaczyli dziewczynce, że Bóg zlecił jej specjalne zadanie, ponieważ był przekonany, iż będzie mogła mu podołać. Janice poprzysięgła, że nie sprawi Mu zawodu. Nie kierowała nią duma ani sprzeciw. Uważała za swój obowiązek udowodnić innym, że jej stan nie oznacza słabości, lecz siłę.

W dzieciństwie szkolni koledzy akceptowali ją bez zastrzeżeń. Gdy dziecko jest ładne, pewne siebie i ma charyzmę jak ona, rówieśnicy nawet nie zauważają, że jeździ na wózku. Dopiero jako nastolatka zrozumiała, że to nie sprawnych ludzi, jakich poznała w szkole, musi przekonać. Ważniejszy był przykład, jakim mogła się stać dla innych upośledzonych — czy to dotkniętych przez Boga, czy nie — bez względu na to, gdzie żyli. Zaczęła występować publicznie, przekonując niepełnosprawnych, że mają siłę, której żąda od nich Bóg.

Z czasem stała się sławna i zdobyła grupę wyznawców. Żyła z pisania i wygłaszania mów, założyła też nienastawioną na zysk organizację, której zadaniem było szerzenie jej poglądów. Ludzie wysyłali do niej listy z podziękowaniami za to, że zmieniła ich życie. Dawało jej to poczucie spełnienia, jakiego Neil nigdy nie zaznał.

Tak wyglądało życie Janice do chwili, kiedy sama stała się świadkiem nawiedzenia przez anioła Rasziela. Wstrząsy zaczęły się, gdy tylko znalazła się w domu. Początkowo sądziła, że mają naturalne pochodzenie, mimo że nie mieszkała w geologicznie aktywnej okolicy, i czekała, aż się uspokoją. Po kilku sekundach zauważyła na niebie srebrny błysk i zdała sobie sprawę, że to anioł. Potem straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, spotkała ją największa niespodzianka w życiu. Miała teraz dwie nowe nogi, długie, dobrze umięśnione i w pełni sprawne.

Kiedy wstała, ogarnęło ją zdumienie: była wyższa, niż się spodziewała. Balansowanie na takiej wysokości bez pomocy rąk było niepokojącym wrażeniem, a jeszcze bardziej osobliwym czynił je fakt,

że czuła grunt pod podszewkami stóp. Ratownicy znaleźli ją, gdy szła oszołomiona ulicą. Myśleli, że jest w szoku, lecz kobieta — zdumiona tym, że patrzy im prosto w oczy — wytłumaczyła, co się stało.

Gdy sumowano statystykę nawiedzenia, zwrócenie nóg Janice uznano za błogosławieństwo. Przyjęła to radosne wydarzenie z pokorą i wdzięcznością. Dopiero na pierwszym spotkaniu grupy wsparcia zaczęło się u niej pojawiać poczucie winy. Janice poznała tam dwie cierpiące na raka osoby, które były świadkami nawiedzenia przez Rasziela. Obie były przekonane, że zostaną uzdrowione i poczuły głębokie rozczarowanie, gdy się okazało, że je pominięto. Janice zadała sobie pytanie, dlaczego ona otrzymała błogosławieństwo, a oni nie?

Jej krewni i przyjaciele uważali, że przywrócenie nóg jest nagrodą za wykonanie zleconego przez Boga zadania, lecz według Janice ta interpretacja prowadziła do następnego pytania. Czy Bóg chciał, żeby zaprzestała działalności? Z pewnością nie, gdyż ewangelizacja była w jej życiu czymś najważniejszym, a osób, którym mogły pomóc jej słowa, nigdy nie zabraknie. Kontynuacja nauczania była najlepszym wyjściem zarówno dla niej, jak i dla pozostałych.

Dręczące ją wątpliwości nasiliły się jeszcze podczas pierwszego spotkania po nawiedzeniu, na którym musiała przemówić do audytorium złożonego z niedawno sparaliżowanych, jeżdżących na wózkach ludzi. Janice wygłosiła swój zwyczajowy, budujący tekst, zapewniając słuchaczy, że mają siłę potrzebną, by sprostać stojącemu przed nimi wyzwaniu. Gdy przyszła kolej na pytania, ktoś zainteresował się, czy odzyskanie nóg oznacza, że ona przeszła próbę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła przecież im obiecać, że pewnego dnia oni również uwolnią się od kalectwa. Uświadomiła też sobie, że gdyby zasugerowała, iż spotkała ją nagroda, można by to zinterpretować jako krytykę innych, którzy nadal pozostawali niepełnosprawni, a tego nie chciała. Odrzekła tylko, że nie wie, dlaczego ją uzdrowiono. Nie ulegało wątpliwości, iż słuchacze nie są usatysfakcjonowani taką odpowiedzią.

Wróciła do domu głęboko zaniepokojona. Nadal wierzyła w to, co głosiła, lecz w oczach słuchaczy utraciła znaczną część wiarygodności. Jak mogła być inspiracją dla innych dotkniętych przez Boga, przekonywać ich, by uważali swój stan za oznakę siły, gdy sama nie była

już jedną z nich?

Zadała sobie pytanie, czy może to być wyzwanie, próba jej zdolności szerzenia Bożego słowa. Z pewnością Bóg uczynił jej zadanie trudniejszym niż przedtem. Być może przywrócenie nóg było przeszkodą, którą musiała pokonać, tak jak przedtem była nią ich utrata.

Ta interpretacja zawiodła ją jednak na następnym spotkaniu. Audytorium stanowiła grupa świadków nawiedzenia przez Natanaela. Często proszono ją o przemawianie do podobnych ludzi w nadziei, że jej słowa dadzą im otuchy. Zamiast unikać tego tematu, rozpoczęła od relacji z nawiedzenia, którego niedawno doświadczyła. Wyjaśniła, że choć mogłoby się wydawać, iż spotkało ją błogosławieństwo, w rzeczywistości ona również stanęła przed wyzwaniem i musiała odnaleźć w sobie siły, z których istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy.

Zbyt późno uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Jakiś mężczyzna z uszkodzoną nogą wstał nagle i zaatakował ją, pytając, czy naprawdę sądzi, że można porównać odzyskanie przez nią nogi z tym, co spotkało jego, gdy utracił żonę? Czy uważa, że oboje cierpią tak samo?

Janice pośpiesznie zapewniła go, że tak nie jest i że nawet nie potrafi sobie wyobrazić bólu, jakiego doświadczał. Dodała jednak, że nie jest intencją Boga poddawać wszystkich takiej samej próbie. Każdy musiał uporać się z innym zadaniem, a ich trudność była sprawą subiektywną. Nie można było porównywać indywidualnych doświadczeń różnych osób. Ci, których cierpienia wydawały się poważniejsze od tych, które spotkały jego, powinni mimo to mu współczuć i analogicznie on był winien współczucie tym, którzy wydawali się cierpieć mniej.

Mężczyzna nie chciał o tym słyszeć. Spotkało ją coś, co każdy poza nią uznałby za fantastyczne błogosławieństwo, a ona się skarżyła. Wyszedł ze spotkania, trzaskając drzwiami, podczas gdy Janice nadal starała się wytłumaczyć swe stanowisko.

Mężczyzną tym był rzecz jasna Neil Fisk. Słyszał nazwisko Janice Reilly niemal przez całe życie, najczęściej z ust ludzi przekonanych, że jego kalectwo jest znakiem od Boga. Wskazywali mu ją oni jako wzór do naśladowania, powtarzali, że jest ona przykładem właściwej reakcji na kalectwo. Neil nie mógł zaprzeczyć, że brak nóg jest znacznie

poważniejszym upośledzeniem niż zniekształcenie kości udowej. Niestety, jej podejście było mu zupełnie obce i nawet w najlepszych chwilach nie potrafił się od niej niczego nauczyć. Teraz, gdy pogrążył się w głębokiej żałobie i nie potrafił pojąć, dlaczego Janice otrzymała dar, którego nie potrzebowała, jej słowa wydały mu się obraźliwe.

W następnych dniach Janice dręczyły coraz poważniejsze wątpliwości. Nie potrafiła zdecydować, dlaczego zwrócono jej nogi. Czy odpowiedziała niewdzięcznością na otrzymany dar? Czy było to błogosławieństwo, a zarazem próba? A może była to kara, wskazówka, że nie wykonała zadania jak należy? Istniało wiele różnych możliwości, a ona nie wiedziała już, w co ma wierzyć.

Jest też inna osoba, która odegrała ważną rolę w historii Neila, choć spotkał się z nią dopiero wtedy, gdy jego podróż dobiegała już końca. Człowiek ten nazywa się Ethan Mead.

Rodzina, w której wychowywał się Ethan, była pobożna, lecz nieszczególnie głęboko. Jego rodzice dziękowali Bogu za ponadprzeciętne zdrowie oraz zapewniający wygodne życie status ekonomiczny, choć nie byli świadkami nawiedzeń ani nie zesłano im wizji. Po prostu wierzyli, że to Bóg — bezpośrednio lub pośrednio — jest sprawcą ich pomyślności. Ich pobożności nigdy nie poddano prawdziwej próbie i mogłaby ona jej nie sprostać, gdyż miłość, jaką darzyli Boga, opierała się na zadowoleniu ze status quo.

Ethan jednak nie przypominał rodziców. Już od dziecka był pewien, że Bóg przeznaczył mu specjalną rolę i czekał tylko na znak, który powie, na czym ta rola ma polegać. Chętnie zostałby kaznodzieją, lecz uważał, że nie ma do przekazania żadnego istotnego świadectwa. Niejasne przecucie, że czeka go coś ważnego, nie wystarczało. Pragnął spotkania z boskością, które wskazałoby mu drogę.

Mógłby udać się w jedno ze świętych miejsc, które — z nieznanых powodów — anioły nawiedzały regularnie, uważał jednak, że byłoby to przejawem arogancji. Święte miejsca były z reguły ostatnią nadzieją dla zdesperowanych, pragnących cudu, który uzdrowiłby ich ciała, bądź też widoku światłości niebieskiej, który uleczyłby ich dusze. Ethan nie był zdesperowany. Doszedł do wniosku, że wkroczył już na przeznaczoną mu drogę, a resztę zrozumie z czasem. Oczekując na ten

dzień, żył najlepiej, jak potrafił: pracował w bibliotece, ożenił się z kobietą imieniem Claire i miał z nią dwoje dzieci. Cały ten czas wypatrywał jednak oznak przeznaczenia.

Był pewien, że jego czas nadszedł, gdy stał się świadkiem nawiedzenia przez Rasziela, tego samego, które — w odległości kilku mil — przywróciło nogi Janice Reilly. Ethan był wówczas sam. Szedł do swego stojącego pośrodku parkingu samochodu, gdy nagle ziemia zadrżała pod jego stopami. Instynktownie zrozumiał, że to nawiedzenie, i padł na kolana. Nie czuł strachu, a jedynie zachwyt i bojaźń na myśl, że wreszcie pozna swe powołanie.

Po jakiejś minucie wstrząsy ustały. Ethan rozejrzał się wokół, ale nie ruszył się z miejsca. Wstał z klęczek dopiero po kilku minutach. W asfalcie pojawiła się głęboka szczelina, która zaczynała się u jego stóp i biegła krętą trasą wzdłuż ulicy. Wydawało się, że prowadzi go ona w jakimś określonym kierunku, Ethan biegł więc wzdłuż niej przez kilka przecznic, aż wreszcie spotkał innych ocalonych: mężczyznę i kobietę wychodzących z niewielkiej rozpadliny, która otworzyła się pod nimi. Zaczekał z nimi na przybycie ratowników, którzy zawieźli ich do schroniska.

Ethan zaczął potem uczęszczać na spotkania grupy wsparcia, gdzie poznał innych świadków nawiedzenia przez Rasziela. Po kilku takich spotkaniach jego uwagę przyciągnęły pewne prawidłowości. Rzecz jasna, wśród świadków byli ranni i cudownie uzdrowieni, zdarzali się jednak i tacy, których życie zmieniło się w inny sposób. Mężczyzna i kobieta, których spotkał, zakochali się w sobie i wkrótce zaręczyli; przygnieciona zawałoną ścianą kobieta znalazła w tym inspirację i została ratownikiem medycznym. Pewna właścicielka firmy weszła w spółkę, która uchroniła ją przed bankructwem, natomiast inny biznesmen, którego interes został zniszczony, uznał to za znak nakazujący mu zmienić dotychczasowe życie. Wydawało się, że wszyscy poza Ethanem potrafili zrozumieć, co ich spotkało.

Jego nie pobłogosławiono ani nie przeklęto w żaden oczywisty sposób i nie wiedział, jakiego przekazu ma się w tym doszukać. Jego żona Claire sugerowała, aby uznał, że nawiedzenie przypomniało mu, by cieszył się tym, co ma, lecz Ethan nie czuł się usatysfakcjonowany tą

interpretacją. Uważał, że taką funkcję pełni każde nawiedzenie, bez względu na to, gdzie do niego dojdzie, a fakt, że było mu dane ujrzeć je na własne oczy, musiał mieć jakieś głębsze znaczenie. Dręczyła go myśl, że zmarnował szansę, że wśród świadków był ktoś, z kim miał się spotkać. Nawiedzenie z pewnością było znakiem, na który czekał. Nie mógł go po prostu zlekceważyć. Z tego jednak jeszcze nie wynikało, co powinien zrobić.

W końcu Ethan uciekł się do procesu eliminacji: zdobył listę wszystkich świadków i kolejno wykreślał z niej tych, którzy potrafili jasno zinterpretować swe doświadczenie. Był przekonany, że jeden z pozostałych będzie człowiekiem, którego los w jakiś sposób sprzął się z jego losem. To między niepewnymi i zdezorientowanymi znajdzie osobę, z którą powinien się spotkać.

Kiedy skończył skreślać nazwiska z listy, zostało na niej tylko jedno: JANICE REILLY.

Gdy Neil przebywał w towarzystwie innych, potrafił maskować swą żalobę, jak przystało osobie dorosłej, ale kiedy zostawał sam w mieszkaniu, tamy uczuć pękały. Zdruzgotany świadomością, że utracił Sarah, padał na podłogę i zalewał się łzami. Zwijał się w kłębek, jego ciałem wstrząsała czkawka i łkanie, po twarzy spływały mu łzy i śluz, a ból nadciągał coraz potężniejszymi falami, aż wreszcie nie był w stanie go znieść. Nigdy by nie uwierzył, że można cierpieć tak bardzo. Po minutach albo godzinach ból ustawał i wyczerpany Neil zapadał w sen. Rankiem budził się i czekał go kolejny dzień bez Sarah.

Starsza wiekiem sąsiadka próbowała go pocieszyć, mówiąc, że ból z czasem stanie się łżejszy i choć Neil nigdy nie zapomni o żonie, będzie mógł żyć bez niej. Pewnego dnia spotka inną kobietę, znajdzie z nią szczęście, nauczy się kochać Boga i w swoim czasie pójdzie do nieba.

Kobieta miała dobre intencje, lecz Neil nie potrafił znaleźć pocieszenia w jej słowach. Nieobecność Sarah była dla niego otwartą raną, a perspektywa, że pewnego dnia przestanie czuć ból po jej utracie, wydawała mu się nie tylko odległą, ale wręcz fizycznie niemożliwa. Gdyby samobójstwo mogło położyć kres jego cierpieniom, popełniłby je bez wahania, ale w ten sposób osiągnąłby jedynie wieczną rozłąkę z Sarah.

Temat samobójstwa często poruszano na spotkaniach grupy wsparcia i zawsze wtedy ktoś wspominał o Robin Pearson, kobiecie, która uczęszczała na te spotkania kilka miesięcy przed zjawieniem się tu Neila. Mąż Robin zapadł na raka żołądka podczas nawiedzenia przez anioła Makatiela. Kobieta przesiadywała w szpitalu całymi dniami, lecz jej mąż zmarł nagle, gdy poszła do domu, żeby zrobić pranie. Obecna przy jego śmierci pielęgniarka oznajmiła Robin, że jego dusza poszła do nieba, i wdowa zaczęła uczęszczać na spotkania grupy wsparcia.

Po wielu miesiącach zjawiała się na kolejnym spotkaniu, dygocząc z gniewu. Nieopodal jej domu doszło do piekielnego objawienia i ujrzała swego męża między zbłąkanymi duszami. Zapytała o to pielęgniarkę, która przyznała, że skłamała w nadziei, iż Robin nauczy się kochać Boga i przynajmniej ona osiągnie zbawienie, nawet jeśli jej mężowi się to nie udało. Robin nie przyszła na kolejne spotkanie, a na jeszcze następnym grupa usłyszała, że kobieta popełniła samobójstwo, by połączyć się z mężem.

Nikt z nich nie dowiedział się, jak powiodło się Robin i jej mężowi w życiu pozagrobowym, powszechnie jednak wiadano, że zdarzają się sukcesy: niektórym parom udawało się szczęśliwie połączyć na nowo dzięki samobójstwu. W grupie wsparcia byli członkowie, których małżonkowie poszli do piekła. Mówili oni, że są rozdarci między chęcią życia a pragnieniem połączenia się z nimi. Neil nie znajdował się w podobnej sytuacji, ale gdy słuchał ich słów, jego pierwszą reakcją była zazdrość. Gdyby Sarah poszła do piekła, samobójstwo byłoby rozwiązaniem wszystkich jego problemów.

Neil zrozumiał ze wstydem, że gdyby mógł wybrać, czy on ma pójść do piekła, a Sarah do nieba, czy też oboje mają wylądować w piekle, zdecydowałby się na tę drugą możliwość. Wolałby, żeby została rozłączona z Bogiem, niż żeby miał ją utracić. Wiedział, że to samolubstwo, ale nie potrafił zmienić własnych uczuć. Wierzył, że Sarah mogłaby znaleźć szczęście w obu miejscach, podczas gdy on mógł być szczęśliwy jedynie z nią.

Jego poprzednie doświadczenia z kobietami nie były udane. Zbyt często zdarzało się, że zaczynał flirtować z nieznajomą, siedząc przy barze, a ona natychmiast przypominała sobie, że ma gdzieś umówione

spotkanie, gdy tylko Neil wstał i okazało się, że ma jedną nogę krótszą. Pewnego razu kobieta, z którą spotykał się od kilku tygodni, zerwała z nim, mówiąc, że choć sama nie uważa jego kalectwa za wadę, to gdy tylko ludzie widzą ich razem, dochodzą do wniosku, że coś musi być z nią nie w porządku, skoro się z nim spotyka. Z pewnością rozumiał, że to dla niej niesprawiedliwe?

Sarah była pierwszą poznaną przez Neila kobietą, której twarz nie zmieniła wyrazu na widok jego nogi, która nie okazała litości, grozy ani nawet zaskoczenia. Choćby z tego powodu łatwo było przewidzieć, że Neil się nią zainteresuje. Gdy poznał wszystkie aspekty jej osobowości, zakochał się w niej na zabój. A ponieważ jej bliskość wyzwalała w nim wszystkie najlepsze cechy, Sarah odwzajemniła jego uczucie.

Neil był zaskoczony, kiedy mu powiedziała, że jest pobożna. Nie demonstrowała tego otwarcie — nie chodziła do kościoła, gdyż podobnie jak Neilowi nie odpowiadało jej nastawienie większości ludzi, którzy to robili — ale na swój spokojny sposób była wdzięczna Bogu za życie, które jej dał. Nigdy nie próbowała nawracać Neila, mówiąc, że pobożność musi zrodzić się w sercu, bo inaczej nie jest nic warta. Rzadko mieli okazję mówić o Bogu i przez większość czasu Neilowi łatwo było sobie wyobrazić, że Sarah sądzi na temat to samo co on.

Nie znaczy to, że pobożność żony nie wpłynęła na niego w żaden sposób. Wprost przeciwnie, Sarah była zdecydowanie najlepszym argumentem na rzecz pokochania Boga, z jakim zetknął się w życiu. Jeśli to miłość do Boga uczyniła ją osobą, którą była, być może uczucie to miało mimo wszystko jakiś sens. Podczas lat ich małżeństwa jego opinia o życiu poprawiła się wydatnie. Gdyby było im dane zestarzeć się razem, być może Neil dotarłby do punktu, w którym byłby wdzięczny Bogu.

Śmierć Sarah odebrała mu tę szansę, nie musiała jednak zamknąć przed Neilem drzwi do miłości do Boga. Mógł uznać tę tragedię za przypomnienie, iż nikt nie może liczyć na to, że ma przed sobą całe dziesięciolecie. Mogła nim wstrząsnąć świadomość, że gdyby zginął razem z żoną, jego dusza poszłaby do piekła i zostaliby rozłączeni na wieczność. Mógł uznać śmierć Sarah za ostatnie ostrzeżenie, mówiące mu, żeby pokochał Boga, dopóki jeszcze ma szansę.

Neil jednak miał żal do Boga. Sarah była największym błogosławieństwem jego życia, a On mu ją odebrał. I teraz spodziewał się, że Neil Go za to pokocha? Neil uważał, że to tak, jakby kidnaper zażądał miłości jako okupu za zwrot żony. Posłuszeństwo mogłoby leżeć w zakresie jego możliwości, ale szczerą, serdeczną miłość? Takiego okupu nie był w stanie zapłacić.

Z tym paradoksem borykało się też kilkoro innych członków grupy wsparcia. Jeden z nich, mężczyzna nazwiskiem Phil Soames, trafnie wskazał, że uznanie tego za warunek do spełnienia gwarantuje porażkę. Miłość do Boga nie mogła być środkiem do celu. Trzeba było kochać Go dla Niego samego. Jeśli ktoś chciał pokochać Go po to, by połączyć się ze zmarłą małżonką, nie była to prawdziwa pobożność.

Kobieta nazwiskiem Valerie Tommasino oznajmiła z kolei, że nie powinni nawet próbować. Czytała książkę wydaną przez ruch humanistyczny. Jego członkowie uważali, że nie należy kochać Boga, który zadaje swym stworzeniom tak wiele bólu, i głosili, że powinniśmy słuchać własnego zmysłu moralnego, zamiast pozwalać, by kierowały nami kij i marchewka. To byli ludzie, którzy po śmierci szli do piekła, z dumą odrzucając Boga.

Neil również czytał broszurę humanistów. Zapamiętał z niej przede wszystkim fakt, że cytowano tam upadłe anioły. Nawiedzenia upadłych aniołów zdarzały się rzadko i nie przynosiły dobrych ani złych konsekwencji. Anioły te nie spełniały Bożych rozkazów, a jedynie przechodziły przez królestwo śmiertelników, zajęte swymi niewyobrażalnymi sprawami. Gdy się pojawiały, ludzie mogli zadawać im pytania: Czy znają intencje Boga? Dlaczego się zbuntowały? Odpowiedź zawsze brzmiała jednakowo. „Decydujcie sami. Tak my postąpiliśmy i radzimy wam uczynić to samo”.

Członkowie ruchu humanistów skorzystali z tej rady i, gdyby nie Sarah, Neil dokonałby identycznego wyboru. Chciał jednak ją odzyskać, a by osiągnąć ten cel, musiał znaleźć jakiś powód, by pokochać Boga.

Szukając jakiegokolwiek podstawy, na której mogliby zbudować swą pobożność, niektórzy członkowie grupy pocieszali się myślą, że ich bliscy nie cierpieli, gdy zabrał ich Bóg, lecz zginęli natychmiast. Neil nie miał nawet tego. Sarah odniosła straszliwe rany, gdy uderzyła w nią

szyba. Rzecz jasna, mogło być gorzej. Nastoletni syn pewnego małżeństwa został uwięziony w płomieniach, kiedy nawiedzenie stało się powodem pożaru, i nim dotarli do niego ratownicy, ponad osiemdziesiąt procent powierzchni jego ciała pokryły oparzenia trzeciego stopnia. Gdy w końcu nadeszła śmierć, była ona wybawieniem. W porównaniu z nim Sarah miała szczęście, ale to nie wystarczało, by Neil mógł pokochać Boga.

Przychodziła mu do głowy tylko jedna rzecz, za którą mógłby być wdzięczny Bogu: gdyby pozwolił on, by Sarah pojawiła się przed nim. Poczuliby niewyobrażalną ulgę, gdyby choć ujrzał znowu jej uśmiech. Nigdy jeszcze nie nawiedziła go zbawiona dusza, a w tej chwili taka wizja znaczyłaby dla niego więcej niż w jakimkolwiek innym punkcie jego życia.

Wizje jednak nie przychodzą dlatego, że ktoś ich potrzebuje. Neil nie otrzymał tej łaski. Musiał sam odnaleźć drogę do Boga.

Na następnym spotkaniu grupy wsparcia dla świadków nawiedzenia przez Natanaela Neil zwrócił się do Benny'ego Vasqueza, człowieka, którego światłość niebieska pozbawiła oczu. Benny nie był obecny na wszystkich spotkaniach, gdyż często przemawiał teraz również do innych grup. Tylko nieliczne nawiedzenia prowadziły do utraty przez kogoś oczu, albowiem światłość niebieska wnikała do królestwa śmiertelników jedynie na krótką chwilę, gdy anioł opuszczał niebo lub do niego wracał. Dlatego bezocy byli swego rodzaju gwiazdami i często przemawiali w kościołach.

Benny był teraz bezoki niczym żyjący pod ziemią robak. Oczy i oczodoły nie tylko zniknęły bez śladu, lecz w jego czaszce nie było już na nie miejsca. Kości policzkowe łączyły się z kością czołową. Światłość, która uczyniła jego duszę tak bliską doskonałości, jak to tylko możliwe w królestwie śmiertelników, zdeformowała jednocześnie jego ciało. Powszechnie uważano, że ma to znaczyć, iż w niebie fizyczne ciała nie mają znaczenia. Twarz Benny'ego nie mogła obecnie wyrażać zbyt wielu uczuć, lecz zawsze widniał na niej błogi, pełen uniesienia uśmiech.

Neil miał nadzieję, że usłyszy od tego człowieka coś, co pomoże mu pokochać Boga. Benny mówił, że światłość niebieska jest

nieskończenie piękna i bije od niej niewyobrażalny majestat, który rozprasza wszelkie wątpliwości. Była nieodpartym dowodem na to, że Boga powinno się kochać, równie oczywistym jak to, że $1 + 1 = 2$. Niestety, choć Benny potrafił przytoczyć wiele analogii, jego słowa nie były w stanie powtórzyć działania światłości niebieskiej. Tych, którzy już byli pobożni, opisy Benny'ego ekscytowały, ale Neilowi wydawały się frustrująco niejasne. Dlatego postanowił poszukać rady gdzie indziej.

Pogódź się z tajemnicą, przekonywał go pastor w miejscowym kościele. Jeśli potrafisz pokochać Boga, choć twoje pytania pozostają bez odpowiedzi, wyjdzie ci to tylko na dobre.

Przyznaj, że Go potrzebujesz, radził popularny poradnik rozwoju duchowego, kupiony przez Neila. Gdy zrozumiesz, że poleganie na własnych siłach jest iluzją, będziesz gotowy.

Podдай się całkowicie Jego woli, mówił telewizyjny kaznodzieja. Znosząc ból, dowodzisz swej miłości. Akceptacja może nie przynieść ci ulgi w doczesnym życiu, ale opór zwiększy tylko twoje cierpienia.

Wszystkie te metody okazały się skuteczne w przypadku niektórych osób. Każda z nich po zinternalizowaniu mogła doprowadzić człowieka do prawdziwej pobożności. Nie było jednak łatwo je przyjąć, a dla Neila okazało się to niemożliwe.

Wreszcie spróbował porozmawiać z rodzicami Sarah. Dowodziło to, jak bardzo jest zdesperowany, gdyż ich wzajemne stosunki zawsze były napięte. Jego teściowie kochali córkę, lecz często karcili ją za to, że niedostatecznie okazuje swą pobożność. Gdy się dowiedzieli, że poślubiła człowieka, który w ogóle nie jest pobożny, byli wstrząśnięci. Sarah ze swej strony zawsze uważała, że jej rodzice mają zbyt wiele uprzedzeń, a fakt, że nie chcieli zaakceptować Neila, potwierdził tylko tę opinię. Teraz jednak Neil doszedł do wniosku, że coś go z nimi łączy — ostatecznie wszyscy opłakiwali Sarah — i postanowił odwiedzić teściów w ich podmiejskiej rezydencji w stylu kolonialnym, licząc na to, że pomogą mu w jego żalu.

Mylił się gruntownie. Zamiast okazać mu współczucie, oskarżyli go, że to on jest winien śmierci Sarah. Doszli do tego wniosku kilka tygodni po pogrzebie córki. Uznali, że Bóg zabrał ją po to, by przekazać mu wiadomość, i że muszą cierpieć żałobę wyłącznie dlatego, że Neil

nie był pobożny. Byli teraz przekonani, że — bez względu na jego wyjaśnienia — zdeformowana noga zięcia była znakiem od Boga i gdyby Neil przejął się nią jak należy, Sarah mogłaby jeszcze żyć.

Ta reakcja nie powinna być dla niego zaskoczeniem: przez całe życie spotykał się z tym, że ludzie przypisują jego wadzie wrodzonej moralne znaczenie, nawet jeśli Bóg nie był za nią odpowiedzialny. Teraz, gdy spotkało go nieszczęście, którego przyczyną z całą pewnością był Bóg, łatwo można było przewidzieć, że ktoś dojdzie do wniosku, iż na to zasłużył. Tylko przypadkiem Neil usłyszał ten zarzut w chwili, gdy był najbardziej bezbronny i cios musiał nim wstrząsnąć dogłębnie.

Neil nie sądził, by jego teściowie mieli rację, ale zaczynał się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej dla niego, gdyby ją mieli. Przyszło mu do głowy, że być może łatwiej byłoby żyć w opowieści, w której sprawiedliwi otrzymują nagrodę, a grzeszników spotyka kara — nawet jeśli nie potrafił zrozumieć kryteriów odróżniających pierwszych od drugich — niż w rzeczywistości, w której sprawiedliwość nie istnieje. Nie było to pocieszające kłamstwo, gdyż musiałaby mu przypaść rola grzesznika, ale obiecywało jedną nagrodę, której nie mogła mu zapewnić wyznawana przez niego etyka: gdyby w nie uwierzył, mógłby połączyć się z Sarah.

Niekiedy nawet złe rady mogą skierować człowieka na właściwą drogę. W ten właśnie sposób oskarżenia teściów wreszcie zbliżyły Neila do Boga.

Podczas publicznych występów Janice nieraz pytano, czy chciałaby odzyskać nogi, a ona zawsze szczerze odpowiadała, że nie. Była zadowolona ze swego losu. Niekiedy pytający wskazywał, że nie może czuć braku tego, czego nigdy nie zaznała, i że gdyby urodziła się z nogami i straciła je później, mogłaby być innego zdania. Janice nigdy temu nie przeczyła, mogła jednak zgodnie z prawdą zapewnić, że nie czuje się niekompletna i nie zazdrości ludziom, którzy mają wszystkie kończyny. Kalectwo było częścią jej tożsamości. Nie zawracała sobie głowy protezami, a gdyby możliwe było przeprowadzenie operacji, która przywróciłaby jej nogi, nie skorzystałaby z tej szansy. Nigdy nawet nie pomyślała, że Bóg mógłby jej je oddać.

Jednym z nieoczekiwanych skutków ubocznych posiadania nóg

była zwiększona uwaga, jaką zaczęli ją darzyć mężczyźni. Do tej pory interesowali się nią jedynie ci, którzy mieli fetysz amputacji albo kompleks świętości, teraz zaś zdawała się pociągać bardzo wielu. Dlatego gdy Ethan Mead zwrócił na nią uwagę, pomyślała, że jego zainteresowanie ma charakter romantyczny. Była to niepokojąca możliwość, gdyż nie ulegało wątpliwości, że jest żonaty.

Ethan zaczął rozmawiać z Janice na spotkaniach grupy wsparcia, a potem również przychodzić na jej publiczne wystąpienia. Gdy zasugerował, by zjedli razem obiad, Janice zapytała go, jakie ma intencje. Wtedy wyjaśnił jej swą teorię. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ich losy łączą się ze sobą, wiedział jednak, że tak jest. Janice przyjęła jego koncepcje z niedowierzaniem, ale nie odrzuciła ich natychmiast. Ethan przyznał, że nie potrafi odpowiedzieć na jej pytania, był jednak gotów uczynić wszystko, co tylko w jego mocy, by pomóc jej znaleźć odpowiedzi. Janice ostrożnie zgodziła się pomóc mu w poszukiwaniach sensu, on zaś obiecał, że nie będzie dla niej ciężarem. Zaczęli spotykać się regularnie, by rozmawiać o znaczeniu nawiedzeń.

Wzbudziło to niepokój żony Ethana, Claire. Ethan zapewniał ją, że nie łączą go z Janice żadne romantyczne uczucia, to jej jednak nie uspokoiło. Zdawała sobie sprawę, że ekstremalne sytuacje mogą zrodzić więź między ludźmi, i obawiała się, że związek Ethana z Janice — romantyczny czy nie — zagrozi ich małżeństwu.

Ethan zasugerował Janice, że jako bibliotekarz może jej pomóc w prowadzeniu dociekań. Żadne z nich nie słyszało o przypadku, by Bóg zostawił na kimś swój znak podczas jednego nawiedzenia i usunął go podczas następnego. Ethan postanowił poszukać podobnych przykładów w nadziei, że rzucą one światło na sytuację Janice. Kilka razy zdarzyło się, że tym samym osobom wielokrotnie przyznawano cudowne uzdrowienia, lecz ich choroby lub uszkodzenia ciała zawsze miały przyczynę naturalną i nie powstały w wyniku nawiedzenia. Znano też opowieść o człowieku oślepionym za swe grzechy, który następnie zmienił własne życie i w nagrodę odzyskał wzrok, lecz sklasyfikowano ją jako miejską legendę.

Nawet jeśli w relacji tej kryło się ziarno prawdy, nie był to precedens użyteczny dla Janice. Ona straciła nogi jeszcze przed

urodzeniem, nie mogło więc to być karą za coś, co uczyniła. Czy to możliwe, by chodziło o jakiś grzech popełniony przez jej rodziców? Czy odzyskała nogi dzięki temu, że w końcu odkupili swe winy? Nie potrafiła w to uwierzyć.

Gdyby odwiedzili ją w trakcie wizji zmarli krewni, uspokoiłoby to Janice, ale tak się nie stało i zaczynała podejrzewać, że coś nie jest w porządku. Nie wierzyła jednak, by miała to być kara. Być może była to pomyłka i otrzymała cud przeznaczony dla kogoś innego; a może była to próba, która miała sprawdzić, jak zareaguje, gdy otrzyma zbyt wiele. W obu tych przypadkach mogła uczynić tylko jedno: z najgłębszą pokorą i wdzięcznością zaproponować, że zwróci otrzymany dar. W tym celu musiała udać się na pielgrzymkę.

Pielgrzymi odbywali długie wędrówki, by odwiedzić święte miejsca i czekać na nawiedzenie w nadziei na cudowne uzdrowienie. W innych częściach świata można było wypatrywać nawiedzenia przez całe życie i nigdy go nie doświadczyć, lecz w świętych miejscach oczekiwanie trwało tylko miesiące, a czasami nawet tygodnie. Pielgrzymi zdawali sobie sprawę, że szanse na uleczenie nie są wielkie — większości z tych, którzy doczekali się w świętym miejscu nawiedzenia, nie przyznawano tej łaski. Często jednak byli uszczęśliwieni tylko dlatego, że ujrzeli anioła, i po powrocie do domu łatwiej im było stawić czoło czekającemu ich losowi, czy była nim rychła śmierć, czy też życie z trwałym kalectwem. Rzecz jasna, wielu cieszyło się po prostu z tego, że przeżyli nawiedzenie, gdyż każde z nich prowadziło do śmierci niewielkiej liczby pielgrzymów.

Janice była skłonna pogodzić się z rezultatem, jakikolwiek by nie był. Jeśli Bóg uzna za stosowne ją zabrać, była na to gotowa. Jeśli zostawi jej nogi, miała nadzieję, że ześle jej objawienie potrzebne, by mogła mówić z przekonaniem o otrzymanym darze.

Niemniej miała nadzieję, że cud zostanie jej odebrany i przyznany komuś, kto naprawdę go potrzebował. Nie sugerowała nikomu, by towarzyszył jej w nadziei otrzymania cudu, który chciała zwrócić, gdyż sądziła, że byłoby to arogancją, w głębi ducha uważała jednak swą pielgrzymkę za prośbę składaną w imieniu tych, którzy byli w potrzebie.

Decyzja Janice zdziwiła jej przyjaciół i krewnych, którzy widzieli

w tym kwestionowanie Bożych postanowień. Gdy wiadomość się rozeszła, kobieta otrzymała wiele listów od swych słuchaczy, którzy byli zatrwożeni, zdumieni bądź też podziwiali ją za to śmiałe poświęcenie.

Ethan w pełni popierał decyzję Janice. Był bardzo podekscytowany. Wreszcie zrozumiał, co znaczyło dla niego nawiedzenie przez Rasziela. To był sygnał, że nadszedł czas działania. Claire z uporem sprzeciwiała się jego wyjazdowi, wskazując, że Ethan sam nie wie, jak długo go nie będzie, a przecież ona i dzieci również go potrzebują. Smucił się myślą, że wyrusza w drogę bez jej wsparcia, nie miał jednak wyboru. Uda się na pielgrzymkę i podczas najbliższego nawiedzenia dowie się, co przeznaczył mu Bóg.

Po wizycie u rodziców Sarah Neil wrócił w myślach do rozmowy z Bennym Vasquezem. Choć słowa Benny'ego nie pomogły Neilowi zbyt wiele, zaimponowała mu jego niezachwiana pobożność. Bez względu na to, jakie nieszczęścia mogły go jeszcze spotkać w życiu, Benny zawsze będzie kochał Boga niezachwianą miłością, a po śmierci pójdzie do nieba. Ten fakt otwierał przed Neilem niewielką szansę, która wydawała się tak mało atrakcyjna, że do tej pory w ogóle jej nie rozważał. Niemniej w miarę jak jego desperacja rosła, nawet to wyjście zaczęło mu się wydawać możliwe do przyjęcia.

W każdym ze świętych miejsc spotykało się pielgrzymów, którzy nie liczyli na cudowne uzdrowienie, lecz chcieli ujrzeć światłość niebieską. Tych, którzy ją zobaczyli, po śmierci zawsze przyjmowano do nieba, bez względu na to, jak samolubne mogły być ich motywy. Niektórzy pragnęli uwolnić się od niepewności, by móc się połączyć z tymi, których kochali, inni zaś zawsze żyli w grzechu i chcieli teraz uniknąć konsekwencji.

Do niedawna istniały pewne wątpliwości co do tego, czy światłość niebieska rzeczywiście może usunąć wszystkie duchowe przeszkody na drodze do zbawienia. Kres debacie położył przypadek Barry'ego Larsena, seryjnego gwałciciela i mordercy, który, ukrywając ciało ostatniej z ofiar, stał się świadkiem nawiedzenia i ujrział światłość niebieską. Po egzekucji Larsena widziano, jak jego dusza wstępuje do nieba, co wielce oburzyło rodziny ofiar. Księża próbowali je pocieszać, twierdząc — choć nie mieli na to żadnych dowodów — że światłość

niebieska z pewnością przysporzyła Larsenowi cierpień, które w jednej chwili zrównoważyły całe stulecia pokuty. Te zapewnienia nie przynosiły jednak pożądanego rezultatu.

Dla Neila była to furтка, odpowiedź na zastrzeżenie wysunięte przez Phila Soamesa. Tylko w ten sposób mógł kochać Sarah bardziej niż Boga, a mimo to połączyć się z nią. Być samolubny, a mimo to dostać się do nieba. Innym się to udało, być może jemu również się powiedzie. Mogło to nie być sprawiedliwe, ale przynajmniej było przewidywalne.

Neil czuł do tego pomysłu instynktowną niechęć. Brzmiało to tak, jakby poddał się praniu mózgu, by wyleczyć depresję. Nie potrafił się powstrzymać przed myślą, że zmiana jego osobowości będzie tak poważna, iż przestanie być sobą. Potem jednak przypomniał sobie, że wszyscy, którzy są w niebie, przeszli podobną transformację. Zbawieni różnili się od bezokich tylko tym, że nie mieli już ciał. To pozwoliło Neilowi jaśniej uzmysłwić sobie, ku czemu zmierzał. Bez względu na to, czy pobożnym uczyni go światłość niebieska, czy też osiągnie ten cel dzięki długoletnim wysiłkom, połączenie się z Sarah nie będzie oznaczało odtworzenia tego, co łączyło ich w królestwie śmiertelników. W niebie oboje będą inni, a ich wzajemna miłość zmiesza się z miłością, którą zbawieni czuli wobec wszystkiego.

Ta świadomość nie zmniejszyła jednak tęsknoty Neila za Sarah. Wzmocniła tylko jego pragnienie, gdyż wynikało z tego, że nagroda będzie taka sama, bez względu na to, w jaki sposób ją osiągnie. Skrót zaprowadzi go dokładnie w to samo miejsce co konwencjonalna ścieżka.

Z drugiej strony, poszukiwanie światłości niebieskiej było znacznie trudniejsze i bardziej niebezpieczne niż zwykła pielgrzymka. Światłość wnikała do królestwa śmiertelników jedynie w chwilach nadejścia i zniknięcia anioła, a ponieważ nie sposób było przewidzieć, gdzie się on pojawi, poszukiwacze światłości musieli za nim podążać przez cały czas trwania nawiedzenia. By zmaksymalizować szanse na to, że obejmie ich wąski snop światłości niebieskiej, trzymali się go tak blisko, jak to tylko było możliwe. W zależności od anioła, o którego chodziło, mogło to oznaczać podążanie za tornadem, czołem fali powodzi albo wierzchołkiem poszerzającej się rozpadliny, Tych, którzy ginęli podczas

próby, było znacznie więcej niż tych, którzy osiągnęli cel.

Dane statystyczne dotyczące dusz zabitych poszukiwaczy światłości trudno było zestawić, gdyż świadków podobnych wydarzeń nie było zbyt wielu. Liczby nie wyglądały jednak zachęcająco. W przybliżeniu połowa zwyczajnych pielgrzymów, którzy ginęli, nie otrzymawszy cudownego uzdrowienia, trafiała do nieba, natomiast wszyscy zabici poszukiwacze światłości kończyli w piekle. Być może na tak desperackie wyjście zdecydowali się tylko ci, którzy i tak już byli potępieni, a być może śmierć w takich okolicznościach uważano za samobójstwo. Tak czy inaczej, Neil zdawał sobie sprawę, że musi być gotowy zaakceptować konsekwencje podobnej próby.

Albo wszystko, albo nic. Cały ten pomysł wydawał się Neilowi przerażający, lecz zarazem atrakcyjny. Perspektywa dalszego życia i kontynuowania prób pokochania Boga doprowadzała go stopniowo do szaleństwa. Nawet jeśli będzie próbował przez całe dziesięciolecia, może mu się nie udać. Niewykluczone zresztą, że nie będzie miał tyle czasu. Ostatnio często przypominano mu o tym, że nawiedzenia są ostrzeżeniem, iż należy przygotować duszę, gdyż śmierć może nadejść w każdej chwili. Mógł umrzeć choćby jutro, a nie było szans, by w najbliższym czasie stał się pobożny przy użyciu konwencjonalnych metod.

Być może kryje się w tym ironia, ale Neil, który nigdy dotąd nie podążał za przykładem Janice Reilly, natychmiast zauważył, że zmieniła ona zdanie. Podczas śniadania jego uwagę przyciągnął artykuł w gazecie, mówiący o tym, że Janice planuje udać się na pielgrzymkę. Jego pierwszą reakcją był gniew: ilu błogosławieństw będzie potrzeba, by zadowolić tę kobietę? Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że skoro ona, otrzymawszy błogosławieństwo, uznała za stosowne prosić Boga o pomoc, gdyż nie mogła się pogodzić ze swą sytuacją, nie było powodu, by on, którego spotkało straszliwe nieszczęście, nie mógł postąpić tak samo. To wystarczyło, by go przekonać.

Święte miejsca zawsze są położone w niegościnnych okolicach. Jedno z nich znajduje się na atolu pośrodku oceanu, inne zaś w górach, na wysokości dwudziestu tysięcy stóp nad poziomem morza. To, do którego pielgrzymował Neil, leżało na pustyni, połaci wysuszonego,

spękanego na słońcu błota, która ciągnęła się na wiele mil we wszystkie strony. Okolica była jałowa, lecz stosunkowo łatwo dostępna i dlatego miejsce to cieszyło się znaczną popularnością wśród pielgrzymów. Wygląd świętego miejsca stanowił pokazową lekcję tego, co się dzieje, gdy niebieskie i ziemskie królestwo wchodzi ze sobą w kontakt. Krajobraz specyły tu wycieki lawy, głębokie rozpadliny oraz krater. Roślinności było niewiele i pojawiała się jedynie przelotnie, porastając glebę naniesioną przez powódź albo tornado, zanim jej warstewkę usunęła następna katastrofa.

Pielgrzymi zatrzymywali się na całym obszarze świętego miejsca, tworząc tymczasowe wioski ze swych namiotów oraz samochodów z częściami mieszkalnymi. Wszyscy starali się odgadnąć, jaka pozycja zapewni im największe szanse ujrzenia anioła, jednocześnie minimalizując ryzyko obrażeń bądź śmierci. Pewną osłonę zapewniały wały z worków z piaskiem, pozostałe z poprzednich lat i uzupełniane w miarę potrzeby. Miejscowy oddział straży pożarnej i ratownictwa medycznego pilnował, by ścieżki zawsze były przejezdne, co pozwalało pojazdom ratowniczym dotrzeć na miejsce, gdy tylko było to konieczne. Pielgrzymi przywozili żywność i wodę ze sobą albo kupowali je od handlarzy za wygórowaną cenę. Wszyscy uiszczali opłatę mającą pokryć koszty wywozu odpadków.

Poszukiwacze światłości zawsze mieli samochody terenowe, które ułatwiały im śledzenie anioła na bezdrożach. Ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, jeździli samotnie, pozostali łączyli się w grupy po dwie, trzy albo cztery osoby. Neil nie chciał być pasażerem zależnym od kogoś innego, nie pragnął też odpowiedzialności łączącej się z wożeniem drugiej osoby. To mogła być ostatnia rzecz, jaką uczyni na Ziemi, i uważał, że powinien w owej chwili być sam. Koszty pogrzebu Sarah pochłonęły znaczną część ich oszczędności, Neil sprzedał więc wszystko, co posiadał, by nabyć odpowiedni pojazd: furgonetkę z głęboko bieżnikowanymi oponami oraz solidnymi amortyzatorami.

Natychmiast po przybyciu na miejsce Neil zaczął się zachowywać tak samo jak wszyscy poszukiwacze światłości: jeździł swym samochodem po całym świętym miejscu, by zapoznać się z jego topografią. Podczas jednego z takich objazdów spotkał Ethana, który go

zatrzymał, gdyż silnik jego samochodu zgasł nagle po powrocie z najbliższego sklepu spożywczego, odległego o osiemdziesiąt mil. Neil pomógł mu uruchomić samochód, a potem, na zaproszenie Ethana, pojechał z nim do jego namiotu na kolację. Gdy przybyli, Janice nie była obecna, gdyż poszła odwiedzić pielgrzymów mieszkających w pobliskim namiocie. Neil słuchał uprzejmie, gdy Ethan — gotując paczkowane posiłki na gazie z butli — opowiadał o wydarzeniach, które przywiodły go do świętego miejsca.

Kiedy wymienił nazwisko Janice Reilly, Neil nie potrafił ukryć zaskoczenia. Nie chciał z nią rozmawiać i natychmiast przeprosił gospodarza, mówiąc, że musi już iść. Właśnie tłumaczył zdziwionemu Ethanowi, że zapomniał o umówionym spotkaniu, gdy zjawiała się Janice.

Zdziwiła się na widok Neila, ale poprosiła go, żeby został. Ethan wytłumaczył jej, dlaczego zaprosił nieznanego sobie mężczyznę na kolację, a Janice opowiedziała, gdzie się poznali z Neilem. Potem zapytała Neila, co go sprowadza w święte miejsce. Gdy oznajmił, że jest poszukiwaczem światłości, Ethan i Janice natychmiast spróbowali przekonać go do zmiany planów. Ethan tłumaczył mu, że jego decyzja może się równać samobójstwu, a zawsze są lepsze wyjścia niż samobójstwo. Janice stwierdziła, że ujrzenie światłości niebieskiej nie jest rozwiązaniem. Nie tego pragnie Bóg. Neil sztywno podziękował im za okazaną troskę i wyszedł.

Podczas tygodni oczekiwania Neil codziennie jeździł samochodem po świętym miejscu. Można tu było nabyć uaktualniane po każdym nawiedzeniu mapy, ale nie pozwalały one zastąpić zobaczenia terenu na własne oczy. Od czasu do czasu spotykał poszukiwaczy światłości, którzy sprawiali wrażenie doświadczonych w kierowaniu pojazdem terenowym. Prosił takich mężczyzn — bo byli to w znakomitej większości mężczyźni — by poradzili mu, jak się poruszać po jakimś szczególnym rodzaju terenu. Z chęcią udzielali wskazówek dotyczących ścigania aniołów, lecz żaden z nich nie chciał nic powiedzieć o sobie. Wywierali na nim osobliwe wrażenie — pełni nadziei, a zarazem całkowicie jej pozbawieni. Zastanawiał się, czy inni tak samo odbierają jego.

Ethan i Janice spędzali czas oczekiwania, nawiązując znajomości z

innymi pielgrzymami. Ich reakcje na sytuację Janice były bardzo zróżnicowane: niektórzy uważali ją za niewdzięczną, inni zaś sądzili, że jest szczodra. Historia Ethana na ogół wydawała się im interesująca, gdyż był on jednym z bardzo nielicznych pielgrzymów, którzy szukali czegoś innego niż cudowne uzdrowienie. Większość radowała się poczuciem bliskości, które pomagało im znieść długie oczekiwanie.

Pewnego dnia, gdy Neil wyruszył w drogę swą furgonetką, na południowym wschodzie zaczęły się zbierać czarne chmury, a przez radio CB ogłoszono, że zaczęło się nawiedzenie. Zatrzymał samochód, by wcisnąć zatyczki do uszu i nałożyć hełm. Gdy to zrobił, widać już było błyskawice, a poszukiwacz światłości, który znalazł się blisko anioła, zameldował, że jest to Barakiel i że przemieszcza się on prosto na północ. Neil zawrócił samochód na wschód i popędził w tamtą stronę, przyciskając gaz do dechy.

Nie było deszczu ani wiatru, a jedynie czarne chmury, z których były pioruny. Inni poszukiwacze światłości nadawali przez radio szacunkowe oceny kierunku i prędkości anioła i Neil skierował się na północny wschód, by przeciąć mu drogę. Z początku mógł ocenić odległość, licząc czas, jaki minął, nim usłyszał grzmot, ale wkrótce pioruny uderzały już tak często, że nie potrafił przyporządkować do siebie poszczególnych błyskawic i grzmotów.

Zauważył zbliżające się pojazdy dwóch innych poszukiwaczy światłości. Wszyscy ruszyli równolegle, mknąc na północ po gęsto usianym kraterami gruncie. Ich samochody podskakiwały tylko na mniejszych zagłębieniach, ale większe byli zmuszeni omijać. Wszędzie wokół były pioruny, które zdawały się nadchodzić z miejsca położonego na południe do Neila. Anioł był za nim i z każdą chwilą się zbliżał.

Pomimo zatyczek huk był ogłuszający. Neil czuł, jak włoski na skórze mu się jeżą, gdy powietrze wokół wypełniają elektryczne ładunki. Co chwila zerkał w lusterko, chcąc się upewnić, gdzie jest anioł. Zastanawiał się, na jaką odległość powinien się zbliżyć.

Przed oczyma tańczyło mu tak wiele powidoków, że trudno było odróżnić prawdziwe błyskawice. Przymrużył powieki, oślepiony blaskiem w lusterku, i zdał sobie sprawę, że widzi jedną, ciągłą błyskawicę, falującą, lecz nieprzerwaną. Obrócił lusterko po stronie

kierowcy ku górze, żeby lepiej widzieć, i dostrzegł źródło tych rozbłysków: gęstą, skłębioną masę płomieni, srebrną na tle mrocznych chmur: anioła Barakiela.

Ten widok sparaliżował Neila, sprawił go w osłupienie. Mężczyzna stracił panowanie nad furgonetką, która uderzyła w ostrą wyniosłość skalną i poleciała w powietrze. Gdy spadła na głaz, cała siła uderzenia skupiła się na przednim, lewym zderzaku pojazdu. Karoseria zmiała się niczym papier. Obie nogi kierowcy zostały złamane, a lewa tętnica udowa pękła. Neil zaczął — powoli, lecz nieubłaganie — wykrwawiać się na śmierć.

Nie próbował się ruszać. Nie czuł fizycznego bólu, ale wiedział skądś, że nawet najdrobniejsze poruszenie byłoby straszliwie bolesne. Zdawał sobie sprawę, że przygniotła go furgonetka. Zresztą nawet gdyby tak nie było, nie miał już żadnych możliwości ścigania Barakiela. Patrzył bezradnie, jak burza z piorunami oddala się od niego.

Rozpłakał się. Wypełnił go żal połączony z pogardą dla samego siebie. Przeklinał się za to, że przyszło mu do głowy, iż podobny plan może się powieść. Błagałby o drugą szansę, obiecałby, że poświęci resztę swych dni na naukę miłości do Boga, jeśli tylko będzie mu dane żyć, wiedział jednak, iż żadne targi nie są możliwe i może mieć pretensję wyłącznie do siebie. Przeprosił Sarah za to, że zmarnował szansę na połączenie się z nią, że stracił życie, decydując się na ryzyko, zamiast wybrać bezpieczne wyjście. Modlił się, by zrozumiała, że kierowała nim miłość do niej, i wybaczyła mu.

Przez łzy zobaczył biegnącą ku niemu kobietę i poznał Janice Reilly. Uświadomił sobie, że jego furgonetka rozbiła się nie dalej niż sto jardów od miejsca, w którym obozowali Janice i Ethan. Nikt jednak nie mógł mu już pomóc. Czuł, że krew z niego wycieka i zdawał sobie sprawę, że nie doczeka przybycia karetki. Wydawało mu się, że Janice coś do niego woła, ale w uszach straszliwie mu dzwoniło i nie mógł rozróżnić słów. Zobaczył za plecami kobiety Ethana Meada, który również popędził w jego stronę.

Nagle rozbłysło światło i Janice padła na ziemię, jak trafiona młotem kowalskim. W pierwszej chwili Neil pomyślał, że uderzył w nią piorun, potem jednak uświadomił sobie, że burza już się skończyła.

Dopiero gdy kobieta wstała, ujrzał jej twarz, parę bijącą ze skóry tam, gdzie jeszcze przed chwilą były oczy. Zrozumiał, że Janice poraziła światłość niebieska.

Neil podniósł wzrok, lecz zobaczył jedynie chmury. Snop światłości już zniknął. Wydawało się, że Bóg z niego drwi: najpierw pokazuje mu cel, dla którego poświęcił życie, a potem odbiera mu go, przyznając go komuś, kto go nie potrzebował ani nawet nie pragnął. Bóg zmarnował już na Janice jeden cud, a teraz czynił to po raz drugi.

W tej właśnie chwili przez chmury przedarł się drugi snop światłości niebieskiej, który padł na uwięzionego w rozbitym samochodzie Neila.

Blask przeszył jego ciało niczym tysiąc igieł, docierając do kości. Światłość pozbawiła go oczu, obracając go nie w istotę, która ongiś widziała, lecz w taką, która nigdy nie miała posiadać zmysłu wzroku. W tej samej chwili światłość ujawniła przed Neilem wszystkie powody, dla których powinien kochać Boga.

Kochał Go teraz uczuciem znacznie głębszym niż wszystko, co ludzie mogą czuć do siebie nawzajem. Nie można nawet powiedzieć, że była to miłość bezwarunkowa, gdyż słowo to zakłada pojęcie warunku, a podobna myśl stała się teraz dla Neila niepojęta. Żadne zjawisko we wszechświecie nie było niczym innym niż oczywistym powodem, by kochać Boga. Żadna sytuacja nie mogła być dla niego przeszkodą ani nawet czymś obojętnym, a jedynie kolejnym bodźcem do miłości. Neil wspomniał żalobę, która skłoniła go do samobójczej lekkomyślności, ból i przerażenie, których doświadczyła przed śmiercią Sarah, i nadal kochał Boga, nie pomimo ich cierpień, ale z ich powodu.

Odrzucił wszelki gniew, niepewność i pożądanie odpowiedzi. Czuł wdzięczność za cały wycierpiany przez siebie ból, skrucę z powodu tego, że do tej pory nie rozpoznał w nim daru, a także euforię, gdyż w końcu było mu dane pojąć prawdziwy cel swego istnienia. Zrozumiał, że życie jest niezasłużoną łaską, że nawet najcnotliwsi nie zasługują na cuda królestwa śmiertelników.

Tajemnica przestała być dla niego tajemnicą. Zrozumiał, że wszystko w życiu jest miłością, nawet ból. Zwłaszcza ból.

Dlatego po kilku minutach, gdy wykrwawił się na śmierć, był

naprawdę godny zbawienia.

A Bóg i tak wysłał go do piekła.

Ethan widział to wszystko na własne oczy. Był świadkiem tego, jak światłość niebieska przeobraziła Neila i Janice, a na ich bezokich twarzach pojawił się wyraz nabożnej miłości. Zobaczył, jak niebo pojaśniało i znowu pojawiło się słońce. Trzymał Neila za dłoń, czekając na przybycie ekipy ratunkowej, a gdy ranny zmarł, zobaczył, jak jego dusza opuszcza ciało i wznosi się ku niebu po to tylko, by opaść do piekła.

Janice tego nie widziała, gdyż nie miała już oczu. Ethan był jedynym świadkiem i zdał sobie sprawę, że to właśnie przeznaczył dla niego Bóg: miał podążyć za Janice Reilly w to miejsce i zobaczyć to, czego ona nie mogła już ujrzeć.

Po zebraniu danych dotyczących nawiedzenia przez Barakiela okazało się, że było dziesięć śmiertelnych ofiar: sześciu poszukiwaczy światłości i czworo zwyczajnych pielgrzymów. Dziewięciorgu pielgrzymom przyznano cudowne uzdrowienia, a jedynymi osobami, które ujrzały światłość niebieską, byli Janice i Neil. Nie odnotowano danych dotyczących tego, ilu pielgrzymów zmieniło swe życie w wyniku nawiedzenia, lecz jednym z nich z pewnością był Ethan.

Po powrocie do domu Janice ponownie zajęła się ewangelizacją, ale temat jej wystąpień się zmienił. Nie mówi już o tym, że fizycznie upośledzeni mają siłę, by przewyciężyć swe ograniczenia. Tak jak inni bezocy, opowiada o niemożliwym do zniesienia pięknie Bożego świata. Wielu z tych, dla których dotąd była inspiracją, jest rozczarowanych. Uważają, że stracili duchową przewodniczkę. Gdy Janice mówiła o sile, którą miała jako osoba upośledzona, jej przekaz był niezwykły; teraz, kiedy jest bezoka, stał się zupełnie zwyczajny. Ona jednak nie przejmuje się spadkiem liczby słuchaczy, gdyż niezachwianie wierzy w to, co głosi.

Ethan rzucił dotychczasową pracę i został kaznodzieją, by również móc opowiadać o tym, czego doświadczył. Claire nie potrafiła zaakceptować jego nowej misji i w końcu go opuściła, zabierając ze sobą dzieci, on jednak nie zaprzestał swej działalności. Pozyskał wielu słuchaczy, opowiadając ludziom o tym, co spotkało Neila Fiska. Mówi im, że w życiu pozagrobowym nie mogą oczekiwać więcej

sprawiedliwości niż w królestwie śmiertelników, nie chce jednak bynajmniej odwieść ich od oddawania czci Bogu. Wprost przeciwnie, zachęca ich do tego. Nalega tylko, by nie kochali Boga z powodu błędnych wyobrażeń, by — jeśli pragną Go kochać — nie zważali na Jego intencje. Bóg nie jest sprawiedliwy. Bóg nie jest dobry. Bóg nie jest miłosierny. Zrozumienie tej prawdy jest podstawą prawdziwej pobożności.

Choć Neil nic nie wie o wygłaszanych przez Ethana kazaniach, doskonale rozumiałby zawarte w nich nauki. Jego zbłąkana dusza jest wręcz ich uosobieniem.

Dla większości mieszkańców piekło nie różni się zbyt od Ziemi. Najsurowszą karą, jaka ich tu spotyka, jest żal, że za życia nie kochali Boga wystarczająco mocno. Wielu z nich łatwo przychodzi to znieść. Neilowi jednak piekło w niczym nie przypomina królestwa śmiertelników. Jego wieczne ciało ma dwie zdrowe nogi, ale on ledwie zdaje sobie sprawę z ich obecności. Przywrócono mu oczy, lecz nie waży się ich otwierać. Światłość niebieska odłoniła przed nim obecność Boga we wszystkim, co składa się na królestwo śmiertelników, a zarazem uświadomiła mu Jego nieobecność we wszystkim, co znajduje się w piekle. Wszystko, co widzi, słyszy i czego dotyka, wywołuje ból, który — inaczej niż w królestwie śmiertelników — nie jest postacią miłości Boga, lecz konsekwencją Jego nieobecności. Neil cierpi więcej, niż było to możliwe za życia, ale jedyną jego reakcją na to jest miłość do Boga.

Nadal kocha Sarah i tęskni za nią równie mocno jak zawsze, a świadomość, że był tak blisko połączenia się z nią, zwiększa tylko jego cierpienia. Wie, że nie trafił do piekła z powodu czegoś, co uczynił, że nie było w tym żadnego motywu, żadnego wyższego celu. Wszystko to nie zmniejsza jego miłości do Boga. Gdyby było możliwe, że przyjmą go do nieba i jego udręka się skończy, nie miałby na to nadziei. Podobne pragnienia stały się mu obce.

Neil wie nawet, że ponieważ znalazł się poza zasięgiem świadomości Boga, Bóg już go nie kocha. To również nie wpływa na jego uczucia, gdyż bezwarunkowa miłość nie żąda niczego, nawet wzajemności. Choć już od wielu lat przebywa w piekle, poza zasięgiem

świadomości Boga, nie przestaje Go kochać. Taka jest natura prawdziwej pobożności.

tłumaczył Michał Jakuszewski

Co ma cieszyć oczy. Reportaż.

(Liking What You See: A Documentary)

Piękno jest obietnicą szczęścia
Stendhal

Tamera Lyons, studentka pierwszego roku Uniwersytetu Pembleton:

— Po prostu nie wierzę. Kiedy w zeszłym roku odwiedziłam kampus, nic się o tym nie mówiło. Teraz po przyjeździe dowiaduję się, że prawdopodobnie wymagać będą kalio. O uczelni marzyłam między innymi dlatego, że chciałam się już tego pozbyć, no, być wreszcie normalnym człowiekiem. Gdybym wiedziała, czego tu mogą ode mnie oczekiwać, pewnie wybrałabym inną uczelnię. Czuję się oszukana.

— Za tydzień kończę osiemnaście lat i tego samego dnia wyłączają mi kalio. Jeśli przegłosują konieczność używania kalio, to nie wiem, co zrobić. Może się przeniosę, nie wiem. Na razie mam ochotę zaczepiać ludzi i namawiać ich do głosowania na „nie”. Chętnie pomogę rozkręcić jakąś kampanię.

Maria deSouza, studentka trzeciego roku, przewodnicząca Studenckiego Związku Równości:

— Nasz cel jest prosty. Na Uniwersytecie Pembleton przestrzegamy stworzonego przez samych studentów kodeksu etycznego zachowania. Kandydaci na studia zobowiązują się stosować do jego wymogów. Wyszliśmy z inicjatywą wpisania do kodeksu dodatkowego postanowienia, nakładającego na studentów obowiązek poddania się kaliognozji na czas trwania nauki.

— Skłoniło nas do tego pojawienie się na rynku najnowszej wersji Visage'a, dedykowanej pod okulary Spex. Gdy patrzymy na ludzi, oprogramowanie pozwala nam zobaczyć ich tak, jak by wyglądali po operacji plastycznej. W niektórych grupach stało się to pewną formą rozrywki, lecz wielu studentów poczuło się dotkniętych. Kiedy w dyskusjach zaczęto zwracać na to uwagę jako na przejaw głębszego problemu społecznego, pomyśleliśmy, że to najodpowiedniejsza pora na naszą inicjatywę.

— Poważnym problemem społecznym jest lookizm. Od kilkudziesięciu lat krytykuje się rasizm i seksizm, nadal jednak omija się

temat lookizmu. Tymczasem uprzedzenia wobec osób o mało atrakcyjnej powierzchowności są w nas silnie zakorzenione. Ludzie kierują się uprzedzeniami bez niczyjego nacisku, co samo w sobie jest straszne. Na domiar złego nowoczesne społeczeństwo, zamiast walczyć z tym negatywnym zjawiskiem, aktywnie je wspiera.

— Edukacja społeczna, podkreślanie wagi problemu — wszystko to jest potrzebne, ale niewystarczające. Dlatego skorzystajmy ze zdobyczy nauki. Niech kaliognozja będzie podporą naszej dojrzałości, niech pomaga nam zachowywać się tak, jak byśmy chcieli: nie wierzyć pozorom, sięgać w głąb duszy.

— Uważamy, że czas upowszechnić stosowanie kalio. Do tej pory ruch na rzecz kaliognozji był dość słabo widoczny w miasteczkach akademickich, miał tę samą rangę co kółka zainteresowań. Jednak Pembleton różni się od innych uczelni i myślę, że nasi studenci gotowi są przyjąć kalio. Jeżeli inicjatywa spotka się z poparciem, damy przykład innym uczelniom, a w końcowym rozrachunku nawet społeczeństwu.

Joseph Weingartner, neurolog:

— Ten stan nazywamy agnozą skojarzeniową, w odróżnieniu od zmysłowej. Nie mamy do czynienia z utratą zdolności rozpoznawania wzrokiem, lecz z niezdolnością do pełnej interpretacji tego, co widzimy. Kaliognotyk widzi twarze bardzo dobrze, potrafi dostrzec różnicę między wystającym podbródkiem a cofniętym, prostym nosem a zakrzywionym, czystą skórą a plamistą. Nie odczuwa jednak żadnych związanych z tym wrażeń estetycznych.

— Kaliognozja jest możliwa dzięki istnieniu pewnych szlaków nerwowych w mózgu. Zwierzęta mają własne, określone kryteria, według których oceniają możliwości rozrodcze potencjalnych partnerów — wykształciły w sobie neuronowe „obwody” do rozpoznawania tych kryteriów. Ocena potencjału rozrodczego ewentualnych partnerów seksualnych opiera się w pierwszej kolejności na analizie budowy twarzy. W tym przypadku działanie obwodu objawia się wrażeniem, że dany człowiek jest piękny, brzydki lub taki sobie. Blokując szlaki nerwowe, odpowiedzialne za analizę twarzy, wywołujemy kaliognozę.

— Biorąc pod uwagę zmienne tendencje w modzie, niektórym trudno uwierzyć, że istnieją obiektywne wyznaczniki piękna. Okazuje się

wszakże, że jeśli poprosić przedstawicieli odmiennych kultur o ułożenie zdjęć twarzy według stopnia atrakcyjności, rysują się pewne wyraźne prawidłowości. Nawet małym dzieciom jedne fotografie ogólnie się podobają, drugie nie. Pozwala nam to wyróżnić cechy zbieżne z powszechnym wyobrażeniem ładnej twarzy.

— Prawdopodobnie pierwszorzędne znaczenie ma czysta cera. To odpowiednik barwnego upierzenia u ptaków lub błyszczącego futra u innych ssaków. Skóra stanowi najlepszy wskaźnik młodości i zdrowia, istotny w każdej społeczności. Trądzik, zwykła dolegliwość, postrzegana jest jako poważna choroba, dlatego tak go nie cierpimy.

— Kolejną cechą jest symetria. Możemy nie być świadomi milimetrowych różnic między lewą i prawą stroną ciała, lecz pomiary dowodzą, że osobnicy uważani za najatrakcyjniejszych są jednocześnie najbardziej symetryczni. I chociaż geny dążą do symetrii, nader trudno ją osiągnąć w toku dorastania, ponieważ każdy niekorzystny czynnik środowiskowy — taki jak niewłaściwe odżywianie, choroby, pasożyty — prowadzi do asymetrii. Symetria świadczy o dużych możliwościach przystosowawczych do warunków środowiska zewnętrznego.

— Inne cechy wynikają z proporcjonalności twarzy. Pociągają nas proporcje zbliżone do tych, jakie w danej populacji uchodzą za przeciętne. Wiele oczywiście zależy od samej populacji, lecz bycie średniakiem zwykle oznacza brak wad genetycznych. Atrakcyjność zwiększają jedynie te odstępstwa od przeciętności, które mają związek z hormonami płciowymi i wskazują na wysoki potencjał rozrodczy.

— Krótko mówiąc, kaliognozja powoduje brak reakcji na te cechy, nic więcej. Kaliognotyk nie jest ślepy na nowe trendy w modzie ani kulturowe standardy piękna. Jeśli świat szaleje na punkcie czarnej szminki, kaliognozja nie wykasuje tego z pamięci, aczkolwiek człowiek nie zauważy różnicy między brzydkimi a ładnymi ustami pomalowanymi taką szminką. A jeśli wkoło wszyscy znajomi będą się naśmiewać z kartoflowatych nosów, i jemu wydadzą się śmieszne.

— Zatem sama kaliognozja nie wyeliminuje dyskryminacji ze względu na wygląd zewnętrzny, za to w pewnym sensie wyrówna szanse pięknych i brzydkich. Wytlumi wrodzone uprzedzenia, samą skłonność do tego rodzaju dyskryminacji. Kto zechce tłumaczyć ludziom, żeby nie

oceniali nikogo po pozorach, ten wreszcie nie będzie musiał wykonywać syzyfowej pracy. Najlepiej byłoby zacząć od społeczności, w której każdy przyjął kaliognozę i nauczył się sądzić ludzi po tym, co sobą reprezentują.

Tamera Lyons:

— W kółko mnie pytają, jak to jest chodzić do Saybrook, dorastać z kalio. Szczerze mówiąc, dla młodego człowieka to żaden problem. Wiadomo, dziecku wszystko wydaje się normalne. Wiedzieliśmy, że inni ludzie widzą pewne rzeczy, których my nie widzimy, ale to nas tylko trochę ciekawiło, nic więcej.

— Na przykład oglądałam z przyjaciółmi film i każdy próbował zgadnąć, kto jest naprawdę ładny i przystojny. Udawaliśmy, że wiemy, ale to nieprawda. Twarze nic a nic nam nie mówiły. Dlatego zwracaliśmy uwagę na to, kto jest głównym bohaterem, a kto gra rolę drugoplanową. Główny bohater zazwyczaj najlepiej wygląda. Ta metoda nie sprawdza się w stu procentach, ale zwykle można przewidzieć, że ogląda się film, w którym główny bohater gra brzydala.

— Dopiero w starszym wieku ujawniają się niedogodności. Kiedy kumpłowałam się z osobami chodzącymi do innych szkół, niemającymi kalio, czasem z tego powodu czułam się głupio. Oczywiście, nikt z tego nie robi wielkiego halo, ale ciągle miałam świadomość, że czegoś nie mogę zobaczyć. Później zaczynają się kłótnie z rodzicami o to, że ukrywają prawdę o świecie. Trudno z nimi znaleźć wspólny język.

Richard Hamill, założyciel szkoły w Saybrook:

— Szkoła powstała dzięki założonej przez nas wspólnocie mieszkańców. Mieliśmy wówczas dwadzieścia parę rodzin pragnących stworzyć społeczność opartą na wspólnych wartościach. Na spotkaniu poświęconym założeniu niepublicznej szkoły dla dzieciaków jeden z rodziców wspomniał o tym, jak duży wpływ na młodych wywierają środki masowego przekazu. Każdy nastolatek prosił o operacje plastyczną, bo chciał wyglądać jak model z reklamy. Rodzice starali się wybijać im z głowy te pomysły, nie da się jednak odizolować dziecka od świata mającego hopla na punkcie wizerunku.

— Mniej więcej w tym czasie pokonano ostatnie przeszkody prawne na drodze do zalegalizowania kaliognozi, więc zaczęliśmy o

tym rozmawiać. Pomyśleliśmy, że otwiera się szansa. A gdyby tak stworzyć społeczność, w której nikt nikogo nie sądzi po pozorach? Jak wyglądałoby wychowywanie dzieci w takiej społeczności?

— Początkowo do szkoły uczęszczały dzieci rodzin należących do wspólnoty. Aż nagle w mediach zrobiło się głośno o innych szkołach dla uczniów z kaliognozą i niedługo potem ludzie już pytali, czy przyjmimy dzieci spoza wspólnoty. Ostatecznie założyliśmy prywatną szkołę, niezależną od wspólnoty, aczkolwiek wymagaliśmy, żeby rodzice przyjęli kaliognozę na czas nauki dzieci. Dochowaliśmy się tym sposobem całej kaliognotycznej społeczności, a wszystko dzięki szkole.

Rachel Lyons:

— Jako rodzice Tamery, długo myśleliśmy nad tą kwestią, nim zdecydowaliśmy się zapisać córkę do tej szkoły. Rozmowy z członkami lokalnej społeczności sprawiły, że spodobało nam się ich podejście do nauczania. Ale dopiero po odwiedzeniu szkoły pozbyłam się ostatnich wątpliwości.

— W Saybrook mają o wiele większy odsetek uczniów z twarzą zdeformowaną przez raka kości, oparzenia czy wady wrodzone. Rodzice przeprowadzili się tutaj, żeby uchronić ich przed docinkami rówieśników, i mądrze zrobili. Pamiętam pierwszy raz, kiedy przysłam do szkoły. Akurat w klasie dwunastolatków wybierano przewodniczącego. Wygrała dziewczynka z policzkiem pokrytym bliznami po oparzeniu. Czują się świetnie, bardzo swobodnie; lubiły ją dzieci, które pewnie w innej szkole nie chciałyby się z nią przyjaźnić. Pomyślałam sobie, że to jest właśnie idealne środowisko dla córki.

— Dziewczynkom wmawia się, że ich wartość ma ścisły związek z urodą. Jeśli są ładne, ich osiągnięcia bywają wyolbrzymiane, w przeciwnym razie — umniejszane. Gorzej: dziewczynki, którym da się do zrozumienia, że poradzą sobie w życiu dzięki walorom ciała, często przestają dbać o swój rozwój umysłowy. Chciałam uchronić Tamerę przed niewłaściwym postrzeganiem świata.

— W zasadzie piękno ciała nie jest wartością dynamiczną. Jeśli się upiększamy, podnosimy swoją wartość na jednej, wąskiej płaszczyźnie. Dążyłam do tego, żeby Tamera potrafiła coś osiągnąć zarówno ciałem, jak i umysłem, zamiast ograniczać się do funkcji dekoracyjnych. Nie

chciałam, by była statyczna, i teraz stwierdzam z satysfakcją, że taka nie jest.

Martin Lyons:

— Nie zmartwię się, jeżeli Tamera w dorosłym życiu postanowi usunąć kaliognozję. Nikt jej nie odmawia prawa wyboru. Jednak dorastanie to wyjątkowo stresujący okres, presja rówieśników może zgnieść dziecko jak papierowy kubek. Martwienie się wyglądem zewnętrznym powiększa presję, więc moim zdaniem pożyteczne jest wszystko, co tę presję złagodzi.

— Starszy człowiek traktuje swój wygląd z większym dystansem, czuje się lepiej w swojej skórze, bezpieczniej, bardziej pewnie. Czy jest ładny, czy nie, ma mniejszą skłonność do samokrytyki. Oczywiście, nie każdy osiąga ten poziom dojrzałości w tym samym wieku: jedni mając lat szesnaście, inni ponad trzydzieści lub jeszcze później. Jednakże po ukończeniu osiemnastego roku życia dziecko otrzymuje prawną samodzielność i zdolność działania. Od tej pory rodzice mogą już tylko mu ufać i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Tamera Lyons:

— To był dla mnie dość dziwny dzień. Dobry, ale dziwny. Rano pozbyłam się kaliognozji. Cała sprawa okazała się prosta. Pielęgniarka umieściła mi na głowie jakieś czujniki, kazała założyć hełm i zaczęła pokazywać na zdjęciach różne twarze. Potem przez minutę klepała w klawiaturę i oznajmiła: — Wyłączyłam kalio. I tyle. A myślałam, że coś poczuję. Potem pokazała mi znowu te same fotografie, żeby sprawdzić, czy zabieg się powiodł.

— Kiedy po raz drugi popatrzyłam na twarze, niektóre wydawały się jakieś... inne. Jakby bardziej przekonujące, błyszczące, trudno to opisać. Pielęgniarka pokazała mi następnie wyniki badań, pokazujące, jak rozszerzają mi się źrenice, jak skóra przewodzi prąd i tym podobne dyrdymałki. W przypadku twarzy, które wydały mi się inne, pomiary były dużo wyższe. Powiedziała, że to są właśnie ładne twarze.

— Powiedziała również, że od razu poznam, jak czyja twarz wygląda, ale dopiero po pewnym czasie nauczę się oceniać własną. Pewnie chodziło o to, że jestem do niej zbyt przyzwyczajona.

— I rzeczywiście, kiedy po raz pierwszy spojrzałam w lustro,

odniosłam wrażenie, że wyglądam zupełnie tak samo. Po tamtej wizycie u lekarza ludzie, których spotykam w miasteczku akademickim, wyglądają zdecydowanie inaczej, ale nadal nie dostrzegłam w sobie najdrobniejszej zmiany. Przez cały dzień, gdzie tylko mogłam, gapiłam się w lustro. Z początku nawet bałam się, że jestem paskudą i ta moja brzydota ujawni się lada chwila jak nagła wysypka. No więc chociaż tyle razy wpatruję się w swoje odbicie i czekam cierpliwie, nic się nie dzieje. Stąd wniosek, że nie jestem brzydka, bo chyba bym to już zauważyła. Z drugiej strony, za piękna chyba też nie jestem, bo i to musiałabym zauważyć. Coś mi się zdaje, że jestem po prostu zwyczajna, w granicach normy. Wypada się cieszyć.

Joseph Weingartner:

— Wywołanie agnozji jest niczym innym jak symulacją pewnej zmiany w mózgu. Do tego celu wykorzystujemy programowalny lek zwanym neurostatem. Można wyobrazić go sobie jako wysoce selektywny anestetyk, którego kierowanie i aktywacja odbywa się na zasadzie dynamicznej kontroli. Neurostat aktywujemy i dezaktywujemy za pomocą sygnałów wysyłanych z hełmu na głowie pacjenta. Hełm zapewnia również informacje o wzajemnym umiejscowieniu komórek somatycznych, dzięki czemu cząsteczki neurostatu mogą zdefiniować swoje położenie. Potrafimy więc w ściśle określonym obszarze mózgu uaktywnić neurostat i utrzymać niski poziom transmisji impulsów nerwowych.

— Neurostat został opracowany z myślą o kontrolowaniu napadów padaczki i łagodzeniu chronicznego bólu. Jesteśmy w stanie pomóc osobom ciężko dotkniętym wspomnianymi dolegliwościami, nie narażając ich na skutki uboczne stosowania leków wpływających na cały układ nerwowy. W późniejszym czasie opracowano schematy postępowania terapeutycznego z wykorzystaniem neurostatu w odniesieniu do zaburzenia obsesyjno — kompulsyjnego, uzależnień i wielu innych zaburzeń. Równocześnie neurostat stał się narzędziem niezwykle pomocnym w badaniach nad fizjologią mózgu.

— Początkowo neurologia zajmowała się poznawaniem funkcji mózgu poprzez obserwację niedomagań wynikających z rozmaitych jego uszkodzeń. Jest to oczywiście metoda ograniczona, ponieważ

uszkodzenia spowodowane chorobą lub urazem często mają jednoczesny wpływ na wiele obszarów funkcjonowania organizmu. Natomiast neurostat można uaktywnić w najdrobniejszym wycinku mózgu i tym sposobem symulować uszkodzenie umiejscowione tak precyzyjnie, że praktycznie niemożliwe w warunkach naturalnych. W chwili dezaktywacji neurostatu „uszkodzenie” znika i praca mózgu wraca do normy.

— Tak więc neurologom udało się wywołać rozmaite rodzaje agnozji, w tym — co ma istotne znaczenie — prozopagnozję, czyli niemożność rozpoznawania twarzy znajomych osób. Prozopagnotyki nie rozpoznaje przyjaciół ani członków rodziny, dopóki się nie odezwą. Nie pozna nawet swojej twarzy na zdjęciu. I wcale nie z winy problemów kognitywnych czy percepcyjnych, albowiem prozopagnotyki umie rozpoznać drugą osobę na podstawie ubioru, fryzury, zapachu perfum, nawet sposobu chodzenia. Jego upośledzenie ogranicza się wyłącznie do twarzy.

— Prozopagnozja zawsze stanowiła niezbity dowód na to, że mózg zawiera w sobie specjalny „obwód”, dedykowany interpretowaniu rysów twarzy. Na twarz patrzymy inaczej niż na zwykłe rzeczy. Zresztą rozpoznawanie rysów jest jedną z wielu czynności, jakie wykonujemy przy okazji wpatrywania się w twarz. Pomocnicze „obwody” umożliwiają analizę miny czy chociażby pomagają ustalić, w którą stronę skierowany jest czyjś wzrok.

— Jedną z ciekawszych właściwości prozopagnozji wynika z faktu, że pomimo niemożności rozpoznania twarzy chorey nadal potrafi oddzielić te ładne od brzydkich. Poproszony o ułożenie zdjęć pod względem atrakcyjności, prozopagnotyki robi to identycznie jak osoba zdrowa. Eksperymenty przeprowadzone z wykorzystaniem neurostatu pozwoliły naukowcom zlokalizować ośrodek nerwowy odpowiedzialny za dostrzeganie piękna w twarzach, co z kolei doprowadziło do wynalezienia kaliognozji.

Maria deSouza:

— SZR zakupił dla Studenckiego Centrum Zdrowia dodatkowe helmy do programowania neurostatu i postarał się, żeby każdy chętny mógł przyjąć kaliognozję. Nawet nie trzeba się umawiać, wystarczy

przyjść. Zachęcamy studentów do wypróbowania tej metody, choćby na jeden dzień, by przekonali się, jak to jest naprawdę. Na początku człowiek czuje się trochę dziwnie, nie mogąc stwierdzić, czy ktoś jest ładny, czy nie, lecz z czasem zauważy, że łatwiej mu układać swoje relacje z ludźmi.

— Często słyhać obawy, że kalio pozbawia seksapilu, ale przecież piękno zewnętrzne to tylko jeden z wielu czynników stanowiących o atrakcyjności. Niezależnie od tego, jak kto wygląda, ważniejsze jest, jak się zachowuje, co mówi i jak mówi, co wyraża gestami i mimiką. No i jak się do ciebie odnosi. Ja sama powiem, że interesuje mnie facet, który zwróci uwagę na mnie. To jak sprzężenie zwrotne: zauważasz, że patrzy na ciebie, potem on dostrzega twoje spojrzenie i dalej już macie z górki. Kalio tego nie zmienia. Feromony mogą sobie szaleć jak dawniej, tu wszystko jest po staremu.

I druga rzecz, której boją się ludzie: myślą, że wszystkie twarze będą wyglądać tak samo, ale to nieprawda. Oblicze człowieka jest odbiciem jego osobowości, a kalio jeszcze to podkreśla. Czasem się mówi, że w pewnym wieku człowiek zaczyna odpowiadać za swoją twarz. Kalio tylko potwierdza, że to najświętsza prawda. Niektóre twarze są pozbawione wyrazu, zwłaszcza te młode, podręcznikowo ładne. Bez swej fizycznej urody są po prostu nudne. Za to twarze pełne ekspresji pociągają jak wcześniej, a może nawet bardziej. Zupełnie jakby można było w nich dostrzec jakieś głębsze treści.

Niektórzy pytają, czy będzie przymus. Nie planujemy nic w tym stylu. Owszem, istnieje oprogramowanie, które analizuje spojrzenia i pozwala stwierdzić, czy konkretna osoba ma kalio. Do tego jednak potrzebuje mnóstwa danych, a kamery w kampusie nie dają zbyt dużego przybliżenia. Każdy musiałby nosić osobistą kamerę i dzielić się informacjami. Dałoby się to zrobić, tylko po co? Uważamy, że kto raz spróbuje kaliognozji, zrozumie jej zalety.

Tamera Lyons:

Ale numer, jestem ładna!

Co za dzień. Zaraz rano, kiedy się obudziłam, podbiegłam do lustra jak mała dziewczynka w Boże Narodzenie. I nic: twarz wciąż wyglądała przeciętnie. Później nawet — śmieszne — próbowałam sama siebie

zaskoczyć, podkradając się do lustra, ale i to się na nic nie zdało. Byłam rozczarowana i czułam się, jak by to powiedzieć, pogodzona z losem.

Po południu poszłam się przejść z Iną, koleżanką z pokoju, i jeszcze dwiema dziewczynami z akademika. Nikomu nie powiedziałam, że wyłączyłam kalio, bo najpierw chciałam się do tego przyzwyczaić. Zajrzałyśmy do snackbaru w drugiej części kampusu — do tego, w którym jeszcze nigdy nie byłam. Siedziałyśmy przy stoliku, rozmawiałyśmy, a ja przy okazji rozglądałam się, patrząc na ludzi już bez kaliognozji. Nagle pochwyciłam spojrzenie dziewczyny, która nie spuszczała ze mnie oka. Ładna jest, pomyślałam. I wtedy — brzmi absurdalnie, wiem — połapałam się, że ta ściana w snackbarze jest lustrem, wobec czego patrzę na siebie!

Trudno wyrazić słowami, jak wielką poczułam ulgę. Uśmiech ani na chwilę nie schodził mi z twarzy. Ina pytała, co mnie tak cieszy, a ja tylko kręciłam głową. Poszłam do łazienki, żeby na spokojnie pogapić się w lustro.

No więc dzień był udany. Spodobałam się sobie! Tak, dzień był naprawdę udany.

Jeff Winthrop, student trzeciego roku, podczas studenckiej dyskusji:

Jasne, że nie powinno się nikogo sądzić po pozorach, ale ta cała „ślepotą” nie rozwiąże problemu. Lepiej edukować społeczeństwo.

Kalio z jednej strony pomaga, z drugiej strony szkodzi. Zapobiega pewnym formom dyskryminacji, ale też nie pozwala cieszyć się pięknem. Przecież z patrzenia na ładną twarz rzadko kiedy wynika coś złego. Kalio zamyka oczy na urodę człowieka, edukacja niekoniecznie.

Zaraz ktoś spyta, co będzie, jak technika pójdzie do przodu? Może zaczniemy wszczepiać do mózgu wyspecjalizowane układy, które tak działają: Czy to sytuacja, w której wolno zwracać uwagę na piękno twarzy? Jeśli tak, proszę bardzo. Jeśli nie, to wybaczone. Ale czy to byłoby normalne? Czy to byłaby ta „podpora dojrzałości”, o której tyle się mówi?

Nie sądzę. Zamiast podpory, mielibyśmy urządzenie, które podejmuje za nas decyzje. Dojrzałość to dostrzeganie różnic bez sugerowania się nimi. Nie znajdziemy drogi na skróty.

Adesh Singh, student trzeciego roku, podczas studenckiej dyskusji:

A kto mówi, że wyspecjalizowany układ będzie podejmował decyzje za człowieka? Kaliognozja dlatego się sprawdza, że stanowi minimalną zmianę. Ani o niczym nie decyduje, ani nie zabrania niczego robić. Jeśli chodzi o dojrzałość, to właśnie przyjęcie kalio jest jej najlepszym dowodem.

Wszyscy wiedzą, że piękno ciała niewiele ma wspólnego z przymiotami umysłu, edukacja nie uświadomi nam już niczego więcej. Ale nawet najbardziej oświecony człowiek nie ucieknie od lookizmu. Próbuujemy być bezstronni, nie chcemy się kierować uprzedzeniami, lecz nie możemy zablokować automatycznych reakcji organizmu, a jeśli ktoś twierdzi, że może, to bajki opowiada. Niech każdy zada sobie pytanie, czy nie zachowuje się inaczej, gdy spotyka osobę atrakcyjną i nieatrakcyjną.

Prowadzono wiele badań na ten temat i wnioski były zawsze takie same: ładni mają lżej w życiu. Podświadomie postrzegamy ich jako osoby bardziej kompetentne, uczciwsze, zasługujące na większą uwagę. Wszystko to stek bzdur, lecz wygląd wywołuje w nas określone odczucia.

Nie nazywajmy kaliognozji ślepotą, bo to raczej piękno zaślepia. Kaliognozja pozwala lepiej widzieć.

Tamera Lyons:

Oglądam sobie ładnych facetów, którzy kręcą się po akademikach. Trochę to zabawne. Dziwne, ale zabawne. Na przykład któregoś dnia siedziałam w kawiarni. Dwa stoliki dalej siedział chłopak. Nie wiedziałam, jak się nazywa, ale jakoś tak co chwila na niego zezowałam. Nie widziałam w jego twarzy nic szczególnego, po prostu wydawała się bardziej wyrazista niż inne. Zupełnie jakby była magnesem, a moje oczy igłą kompasu.

Kiedy kilka razy na niego spojrzałam, zaczęłam wyobrażać sobie, że to fajny gość! Przecież nic o nim nie wiedziałam, nie słyszałam nawet, co mówi. A jednak chciałam poznać go bliżej. Zdziwiłam się, ale nie widziałam w tym nic zdrożnego.

Z audycji EduNews w Amerykańskiej Sieci Akademickiej:

Oto ostatnie wiadomości z Uniwersytetu Pembleton w sprawie

proponowanego upowszechnienia kaliognozji. Redakcja EduNews zdobyła materiały, z których wynika, że firma Wyatt/Hayes, świadcząca usługi z dziedziny public relations, zapłaciła czterem studentom uniwersytetu, by radzili znajomym sprzeciwić się inicjatywie podczas głosowania, a jednocześnie by nie zdradzali swoich powiązań. Do redakcji trafiła oficjalna notatka z firmy Wyatt/Hayes ze wskazówką, żeby werbowano „studentów o ujmującym wyglądem, cieszących się powszechnym poważaniem”, a także potwierdzenie przelewu pieniężnego z konta firmy dla studentów z Pembleton.

Materiały nadesłała do redakcji organizacja antyrządowa SemioTech Warriors, odpowiedzialna za liczne akty medialnej dywersji.

Kiedy skontaktowaliśmy się w tej sprawie z firmą Wyatt/Hayes, wydała ona oświadczenie potępiające ludzi, którzy włamali się do wewnętrznej sieci komputerowej.

Jeff Winthrop:

Tak, to prawda, dostałem od nich pieniądze, ale nikt mi nie dyktował, co mam mówić. Dzięki tej firmie mogłem poświęcić więcej czasu kampanii antykaliognotycznej, co i tak bym zrobił, gdybym nie musiał udzielać korepetycji. Ja najzwyczajniej w świecie mówię, co myślę. A myślę, że kalio to nic dobrego.

Kilka osób związanych z kampanią prosiło mnie, żebym publicznie nie zabierał głosu na ten temat, bo mogę zaszkodzić sprawie. Przykro mi, że tak myślą, bo powinniśmy się koncentrować na rzeczowej dyskusji. Kto do tej pory zgadzał się z moimi argumentami, chyba ich teraz nie odrzuci. Ale mam świadomość, że niektórym ludziom trudno to zrozumieć, dlatego postaram się, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Maria deSouza:

Ci studenci powinni się przyznać, kto ich sponsoruje. Na pierwszy rzut oka poznać tych, co się sprzedali. Doszło do tego, że jeśli ktoś otwarcie krytykuje inicjatywę, zaraz go pytają, kto mu płaci. Najbardziej ucierpiała więc kampania przeciwników.

Uznajemy za komplement to, że ktoś do tego stopnia interesuje się naszą inicjatywą, że w związku z nią wynajął firmę public relations. Wydawało nam się, że utorujemy drogę innym szkołom, i chyba słusznie, bo duże przedsiębiorstwa myślą podobnie.

Poprosiliśmy przewodniczącego Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Kaliognozji o wygłoszenie odczytu w kampusie. Dotąd nie byliśmy skłonni angażować w nasz projekt tak dużych organizacji, ponieważ one z reguły kładą nacisk na inne aspekty sprawy: piętnują promocję piękna w mediach, podczas gdy my w naszym związku dążymy do społecznej równości. Ale biorąc pod uwagę to, jak studenci zareagowali na propozycję firmy Wyatt/Hayes, wydaje się oczywiste, że problem medialnych manipulacji pomoże nam dojść do celu. Jeśli wykorzystamy gniew przeciwko reklamodawcom, łatwiej przeforsujemy naszą sprawę. Do społecznej równości też dojdziemy.

Z odczytu Waltera Lamberta, przewodniczącego Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Kaliognozji, wygłoszonego na Uniwersytecie Pembleton:

Weźmy na przykład kokainę. W swojej naturalnej postaci, w liściach koki, pociąga człowieka, ale nie do tego stopnia, żeby miał być z tego jakiś większy problem. Jednak wystarczy ją wyodrębnić i oczyścić, a otrzymamy proszek, który z niezwykłą mocą pobudza receptory odpowiedzialne za odczuwanie przyjemności. Stąd do uzależnienia już tylko mały krok.

Za sprawą reklamodawców piękno przechodzi podobny proces. Ewolucja wyposażyła nas w obwód reagujący na ładny wygląd — nazwijmy go receptorem przyjemności w korze wzrokowej — który w naturalnym środowisku ułatwiał nam życie. Ale wybierzmy osobę o nieskazitelnej skórze i sylwetce — powiedzmy, jednej na milion — dodajmy profesjonalny makijaż i retusz, a nie będziemy już patrzeć na piękno w swej naturalnej postaci. Otrzymujemy piękno wysterylizowane, odpowiednik oczyszczonej kokainy.

Biologowie używają terminu „bodziec nadzwyczajny”. Jeśli pokażemy samicy ptaka wielkie plastikowe jajo, porzuci własne prawdziwe, żeby je wysiadywać. Madison Avenue bombarduje ludzi właśnie takimi bodźcami, tym narkotykiem dla oczu. Ludzkie receptory piękna pobudzane są silniej, niż przysposobiła je do tego natura. Jednego dnia widzimy więcej pięknych rzeczy niż nasi przodkowie od narodzin do śmierci. W rezultacie piękno powoli zatruwa nasze życie.

Zapytacie, jak. W identyczny sposób niszczą nas narkotyki, psują

nasze relacje z ludźmi. Zwyczajny szary człowiek przestaje nas interesować, bo nie umywa się do supermodelki. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów z dwuwymiarowymi zdjęciami, dostajemy speksy. Reklamodawcy stawiają nas twarzą w twarz z supermodelkami, możemy nawiązać z nimi kontakt wzrokowy. Firmy informatyczne proponują boginie, które przypominają o umówionych spotkaniach. Kto nie słyszał o mężczyznach, którzy wolą flirtować z wirtualnymi dziewczynami niż randki na żywo, chociaż nie tylko oni zostali zarażeni. Im więcej czasu spędzimy z cudownymi, cyfrowymi widmami, tym bardziej ucierpią nasze związki z ludźmi w realnym świecie.

Nie można, żyjąc w dzisiejszych czasach, uciec od tego blichtru. A zatem nie zwalczymy w sobie nałogu, bo piękno jest narkotykiem, który każdy zażywa, chyba że dosłownie nie odmyka oczu.

Tak było do dzisiaj. Bo dzisiaj dostaniecie filtr na oczy, blokujący narkotyk bez osłabiania wzroku. Nazywa się kaliognozja. Niektórzy mówią, że to przesada, ja mówię — konieczność. Technika jest instrumentem do gry na naszych uczuciach, więc nic dziwnego, że używamy jej też do obrony.

W tej chwili macie szansę dokonać przełomu. Brać studentka Uniwersytetu Pembleton zawsze szła w awangardzie postępu. Cokolwiek postanowicie, wezmą z was przykład studenci w całym kraju. Przyjmując inicjatywę, godząc się na kaliognozję, dacie do zrozumienia reklamodawcom, że młodzież przestała się godzić na rolę marionetek.

Z audycji EduNews:

Po odczycie wygłoszonym przez przewodniczącego Waltera Lamberta sondaże wykazują, że 54% studentów Pembleton popiera wniosek w sprawie kaliognozji. Według sondaży w kraju 28% studentów poparłoby identyczny wniosek na swojej uczelni, co stanowi 8% wzrostu w odniesieniu do poprzedniego miesiąca.

Tamera Lyons:

Moim zdaniem, przesadził z tym porównaniem do kokainy. Znacnie kogoś, kto kradnie lub kupuje reklamę, żeby wstrzyknąć sobie działkę? Chociaż chyba miał rację, kiedy mówił o ładnych ludziach w spotach reklamowych i naszym szarym życiu. Nie chodzi o to, że wyglądają lepiej, ale że wyglądają świetnie w inny sposób.

Na przykład niedawno byłam w sklepiku akademickim, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Kiedy założyłam speksy, na plakacie ożyła reklama. Zachęcała do kupna jakiegoś szamponu, chyba „Jouissance”. Już ją wcześniej widziałam, lecz bez kalio wyglądała inaczej. Po prostu nie mogłam oderwać wzroku od modelki. To było oczywiście coś zupełnie innego niż wtedy w kawiarni, gdy zobaczyłam tego fajnego gościa. Jej wcale nie chciałam bliżej poznać. Czułam się raczej tak, jakbym oglądała zachód słońca lub pokaz sztucznych ogni.

Stałam i obejrzałam reklamę z pięć razy, tak mi się podobała modelka. Nie przypuszczałam, że człowiek może wyglądać, hm, tak fenomenalnie.

Mimo wszystko nie zamierzam odwracać się plecami do znajomych, żeby w spokoju zachwycać się reklamami. Oglądanie reklam wciąga, ale patrzenie w twarz prawdziwej osobie na pewno jest większym przeżyciem. No i nie mam ochoty od razu lecieć i kupować, cokolwiek zareklamują. Tak naprawdę, nie zwracam dużej uwagi na sam produkt. Traktuję tego rodzaju reklamy jako ucztę dla oczu.

Maria deSouza:

Gdybym wcześniej poznała Tamerę, pewnie próbowałabym wyperswadować jej wyłączenie kalio. Choć wątpię, czybym coś wskórała, dziewczyna upiera się przy swoim zdaniu. Pomimo tego jest doskonałym przykładem korzyści, jakie wynikają z kaliognozji. Łatwo to zrozumieć, jeśli się z nią rozmawia. W pewnej chwili powiedziałam, że musi się czuć szczęśliwa, na co ona: — Bo jestem piękna? I nie żartowała! Jakby mówiła o wzroście. Wyobrażacie sobie kobietę bez kalio, która mówi o sobie w ten sposób? Tamera nie krępuje się mówić o swoim wyglądzie. Nie jest zarozumiała ani cyniczna, urodę traktuje jako coś powszedniego. Swoją drogą, jest śliczna. Wiele pięknych kobiet ma w swoim zachowaniu trochę szpanerstwa. Tamera nic a nic. Czasem silą się na fałszywą skromność, łatwą do rozszyfrowania, ale Tamera niczego nie musi udawać, ona naprawdę jest skromna. Z pewnością nie byłaby taka, gdyby nie to, że wychowywała się z kaliognozą. Mam nadzieję, że taka już zostanie.

Annika Lindstrom, studentka drugiego roku:

A ja uważam to całe kalio za poroniony pomysł. Podoba mi się, że

faceci zwracają na mnie uwagę. Źle bym się czuła, gdyby nagle przestali.

Szczerze mówiąc, tę sprawę rozdmuchali ludzie, którzy nie należą do najpiękniejszych, więc chcą wyrównać szanse i poczuć się lepiej. Dlatego postanowili ukarać tych, co mają to, czego im brakuje. Krzywdzą nas.

Kto nie wolałby być ładny? Pytajcie, kogo chcecie — pytajcie nawet ludzi, którzy za tym stoją, a założę się, że wszyscy potwierdzą. Wiem, jasne, ładna dziewczyna musi czasem opędzać się od kretynów, ale ich spotykamy wszędzie, są częścią tego życia. Gdyby naukowcy znaleźli jakiś sposób na wyleczenie ich z kretynizmu, pierwsza bym ich poparła.

Jolene Carter, studentka trzeciego roku:

Zagłosuję za wnioskiem, bo jeśli wszyscy będą mieli kalio, pocujemy się wreszcie swobodniej.

Ludzie są dla mnie mili, bo jestem ładna. Nie mam im tego za złe, ale czasem dokucza mi myśl, że nie zasłużyłam sobie na to niczym specjalnym. Fajnie jest, kiedy facet się za tobą ogląda, jasna sprawa, z drugiej strony trudniej odgadnąć, co naprawdę chodzi mu po głowie. Jeśli lubię faceta, zaraz się zastanawiam, czy zainteresuje się mną, czy moim ciałem. I naprawdę niełatwo to wykombinować, bo wiadomo, że na początku w każdym związku jest cudownie. Dopiero po pewnym czasie widać, czy jest sens być razem. Weźmy mojego byłego chłopaka. Patrzył na mnie krzywo, jeśli nie wyglądałam oszłamiająco, przez to nigdy nie mogłam czuć się wyluzowana. Kiedy to do mnie dotarło, bardzo mi już na nim zależało, więc zdołowałam się, że nie dostrzega we mnie tego, co naprawdę cenne.

Dochodzą też problemy w towarzystwie kobiet. Wątpię, czy każda to lubi, ale one się wiecznie porównują do innych. Czasem mam wrażenie, że biorę udział w jakimś turnieju, a wcale nie chcę.

Kiedyś zastanawiałam się nad przyjęciem kalio, jednak musieliby to zrobić wszyscy, inaczej to nie ma sensu. Jeśli sama się zmienię, inni nadal będą traktować mnie tak samo. No ale gdyby wszyscy studenci w kampusie mieli kaliognozę, chętnie bym ją przyjęła.

Tamera Lyons:

Pokazywałam Inie, mojej koleżance z pokoju, album z fotografiami

ze szkoły średniej. Doszliśmy do zdjęć przedstawiających mnie i Garretta, mojego eks. Ina wypytuje mnie o szczegóły, a ja nie mam przed nią tajemnic. Opowiadam jej, jak chodziliśmy ze sobą w ostatniej klasie, jak bardzo go kochałam i jak chciałam, żebyśmy się nie rozstawali. Ale on chciał się ode mnie uwolnić, żeby móc randkować w college'u. Mocno się zdziwiła. — To on zerwał z tobą? — zapytała.

Nie od razu udało mi się ją przekonać, żeby wytłumaczyła mi, o co jej chodzi. Najpierw dwa razy musiałam obiecać, że się nie będę złościć. W końcu wydusiła z siebie, że z Garretta żaden przystojniak. Wydawało mi się, że jest przeciętnym chłopakiem — przynajmniej takie odniosłam wrażenie po pozbyciu się kalio. Ina jednak twierdziła, że jest zdecydowanie poniżej przeciętnej.

Wygrzebała skądś zdjęcia facetów, którzy jej zdaniem wyglądali podobnie. Ci już nie wydawali mi się ładni. Ich twarze były po prostu jakieś... durne. Potem znowu popatrzyłam na zdjęcie z Garrettem. Zauważyłam teraz, że pod pewnymi względami faktycznie przypomina tamtych dwóch, chociaż w sposób dość przyjemny. Przynajmniej dla mnie.

Chyba to prawda, co mówią: miłość jest trochę jak kalio. Jeśli kogoś kochasz, nie przejmujesz się jego wyglądem. Oceniam Garretta subiektywnie, bo wciąż do niego coś czuję.

Ina powiedziała, że to nie do wiary, żeby ktoś taki jak on zerwał z kimś takim jak ja. Powiedziała też, że prawdopodobnie w szkole dla uczniów bez kaliognozji ani razu by się ze mną nie umówił. Gralibyśmy w różnych ligach.

To niezwykle, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Kiedy chodziłam z Garrettem, zawsze myślałam, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie chcę przez to powiedzieć, że wierzę w przeznaczenie, ale uważałam, że idealnie do siebie pasujemy. Dlatego dziwnie się czuję, gdy sobie wyobrażam, że gdybyśmy chodzili do zwykłej szkoły, moglibyśmy się w ogóle nie zejść. Nikt mi nie udowodni, że Ina ma rację, ale też nie udowodni, że jej nie ma.

Może to i lepiej, że miałam kalio, dzięki temu mogłam być z Garrettem. Tak mi się zdaje.

Z audycji EduNews:

W dniu dzisiejszym witryny internetowe dwunastu organizacji studenckich, wspierających kaliognozję, zostały zawieszony wskutek ataków typu „odmowa usługi” (DoS). Chociaż nikt nie przyznał się do winy, słyhać opinie, że sprawcy zemścili się za incydent sprzed miesiąca, kiedy strony internetowe Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów Plastycznych zostały podmienione na strony propagujące kaliognozję.

Tymczasem organizacja SemioTech Warriors powiadomiła o wypuszczeniu nowego wirusa komputerowego o nazwie Dermatology. Wirus atakujący serwery wideo zmienia przekaz w ten sposób, że na ciele widać pryszczki i żylaki.

Warren Davidson, student pierwszego roku:

Chciałem przyjąć kalio już w szkole średniej, ale nie wiedziałem, jak pogadać z rodzicami. Kiedy na uczelni zaczęli nas do tego zachęcać, pomyślałem sobie, że nie szkodzi spróbować. I nie narzekam.

Fakt, powodów do narzekania nie mam. Mój wygląd zawsze doprowadzał mnie do szału. W czasach szkoły średniej nienawidziłem swojego odbicia w lustrze. Z kalio już tak się nie martwię. Wiem, że nie zmieniłem się w oczach innych ludzi, ale teraz przestałem się tym przejmować. Czuję się lepiej choćby dlatego, że nic mi już nie przypomina, że niektórzy wyglądają o wiele lepiej niż inni.

Pomagałem w bibliotece dziewczynie, która męczyła się nad zadaniem z całek. Kiedy rozmawialiśmy, nie czułem się jak dziwoląg. Przed kaliognozą strasznie się wstydzilem, co jeszcze pogarszało sprawę. Wreszcie mogę się wyluzować.

Jasne, że nie myślę o sobie w samych superlatywach, i wiem, że innym ludziom kalio niekoniecznie pomoże, ale jeśli chodzi o mnie, to dzięki niemu odzyskałem pewność siebie. A to już coś znaczy.

Alex Bibescu, profesor religioznawstwa na Uniwersytecie Pembleton:

Ludzie beztrąsko uciekają przed problemem kaliognozji, bo myślą, że to błaża kwestia, spór o makijaże i o to, kto z kim może się umówić na randkę. Wystarczy jednak przyjrzeć się uważniej, by zauważyć, że w tej kwestii odzwierciedla się stare, przeciwstawne podejście do ludzkiego ciała, obecne w cywilizacjach Zachodu od zamierzchłych

czasów.

Podwaliny naszej kultury powstały w starożytnej Grecji, w której hołd oddawano fizycznemu pięknu człowieka. Z drugiej strony, ta właśnie kultura została przesiąknięta tradycją monoteistyczną, która marginalizuje ciało na rzecz ducha. Właśnie te odwieczne sprzeczności toczą bój, tym razem pod postacią debaty o kaliognozji.

Podejrzewam, że zwolennicy przyjmowania kalio w znacznej mierze uważają się za postępowych, świeckich liberałów, którzy nie przyznają się do czerpania wzorców z monoteistycznych religii.

Spójrzmy wszelako, kto jeszcze opowiada się za kaliognozją:

konserwatywne grupy wyznaniowe. W łonie trzech największych religii monoteistycznych — judaizmu, chrześcijaństwa i islamu — powstały społeczności przychylnie kaliognozji, które bronią w ten sposób młodego pokolenia przed urokami zewnętrznego świata. Ta zbieżność nie jest dziełem przypadku. Wprawdzie liberalni zwolennicy kaliognozji nie posługują się w swoich wypowiedziach sformułowaniami typu „przeciwstawmy się pokusom ciała”, to jednak na swój sposób wyrażają znaną z religii znikomość rzeczy materialnych.

W zasadzie jedynymi zwolennikami kaliognozji, którzy zgodnie z prawdą mówią, że nie mają na nich wpływu idee monoteizmu, są Nowomyślący Buddyści. To sekta, która traktuje kaliognozję jako krok w stronę oświeconej myśli, ponieważ dzięki niej człowiek w mniejszym stopniu zwraca uwagę na ułudę ziemskiego świata. Jednakże Nowomyślący Buddyści chcą się posługiwać neurostatem w charakterze narzędzia do medytacji, co samo w sobie jest dość radykalnym stanowiskiem. Pewnie rzadko który z postępowych liberałów czy konserwatywnych monoteistów poparłby coś takiego.

Widać zatem, że gra toczy się nie o reklamy i kosmetyki, ale o ustalenie, jakie powinno być podejście do ciała i umysłu. Czy odrzucając fizyczną stronę ludzkiej natury, czujemy się bardziej ludźmi? Chyba każdy się ze mną zgodzi, że to niełatwe pytanie.

Joseph Weingartner:

Po odkryciu kaliognozji niektórzy naukowcy zastanawiali się, czy nie dałoby się założyć pacjentowi takiej blokady, żeby był niewrażliwy na różnice rasowe czy etniczne. Podejmowano wiele prób — opartych na

różnych poziomach kategoryzacji w połączeniu, przykładowo, z rozpoznaniem twarzy — lecz nie udało się uzyskać pożądaných upośledzeń. Przeważnie osoby poddane testom nie potrafiły rozróżnić ludzi o podobnym wyglądzie. W jednym przypadku otrzymano łagodną odmianę urojenia Fregoliego, w wyniku czego pacjent każdą napotkaną osobę uważał za członka rodziny. Niestety, traktowanie wszystkich jak braci, w dosłownym tego słowa znaczeniu, nie jest tym celem, do którego dążymy.

Kiedy w powszechnym zastosowaniu znalazły się terapie pozwalające za pomocą neurostatu leczyć zachowania kompulsywne, ludzie założyli, że nadeszła era „programowania umysłów”. Pytano lekarzy, czy możliwa jest zmiana preferencji seksualnych pod kątem upodobań małżonki czy małżonka. W mediach krytycy wyrażali obawy, że zbliża się chwila, kiedy będzie można zaprogramować człowiekowi lojalność wobec rządu lub przedsiębiorstwa, ideologię bądź przekonania religijne.

W gruncie rzeczy jednak nie mamy dostępu do cudzych myśli. Umiemy kształtować ogólne aspekty osobowości, dostosowując zmiany do naturalnych właściwości mózgu, lecz są to wszystko mało wyrafinowane udoskonalenia. Nie ma szlaków nerwowych odpowiedzialnych za stosunek do imigrantów, nastawienie do filozofii marksistowskiej czy fetyszym stóp. Jeśli kiedykolwiek uda się skutecznie programować umysł, stworzymy „obojętność rasową”, lecz na razie naszą nadzieją jest tylko edukacja.

Tamera Lyons:

Miałam dzisiaj ciekawe zajęcia. Na wykładzie z historii myśli Anton, nasz asystent, mówił, że mnóstwo słów opisujących atrakcyjnych ludzi miało dawniej związek z magią. Na przykład „uroczy”. Słowem „urok” w starych wierzeniach określano siłę magiczną. To samo można przypisać słowu „czarujący”. Narzucają się jeszcze takie wyrazy, jak „urzekający” czy „zniewalający”. Słuchając tego, pomyślałam sobie: fakt, o to właśnie chodzi. Kiedy w kimś się zadurzamy, pozostajemy jakby pod wpływem czarów.

Anton opowiadał również, jak to głównymi zastosowaniami magii było obudzenie w człowieku miłości i pożądania. Absolutnie ma to sens,

jeśli pomyśli się o oczarowaniu czy urzeczeniu. Bo gdy patrzymy na coś pięknego, czujemy się jak zakochani. Spoglądając na piękną osobę, przez chwilę jesteśmy nią zafascynowani.

Ostatnio myślę sobie, że może jeszcze zejść się z Garrettem. Gdyby nie miał kalio, niewykluczone, że znowu by się we mnie zakochał. Wspomniałam wcześniej, że kaliognozja pozwoliła nam być razem. A jeśli teraz nas od siebie oddała? Może Garrett zechciałby do mnie wrócić, gdyby się przekonał, jak naprawdę wyglądam?

Na wakacjach skończył osiemnaście lat, ale nie wyłączył kalio, bo nie widział takiej potrzeby. Teraz uczy się w Northrop. Zadzwoiłam do niego, żeby pogadać o różnych rzeczach, tak po koleżeńsku. Przy okazji zapytałam, co sądzi o naszym wniosku w sprawie kaliognozji. Odpowiedział, że nie rozumie, skąd ta cała afera. Powiedziałam mu wtedy, że przyjemnie jest nie mieć kalio i że sam powinien spróbować, by mieć porównanie. Zgodził się, że to niezły pomysł. Nie robiłam sobie wielkich nadziei, ale z niecierpliwością czekam na to, co się zdarzy.

Daniel Taglia, profesor literatury porównawczej w Pembleton:

Studencka inicjatywa nie odnosi się do kadry profesorskiej, ale jeśli zostanie przyjęta, z pewnością będą naciski, żeby kadra poszła za przykładem studentów. Dlatego zawczasu uprzedzam, że jestem stanowczo przeciwny kaliognozji.

Oto najlepszy przykład politycznej poprawności, posuniętej do granic absurdu. Zwolennicy kaliognozji działają w dobrej wierze, ale nie wiedzą, że to po prostu infantylizacja człowieka. Sama myśl, że piękno jest czymś, przed czym powinniśmy być chronieni, jest obraźliwa. Nim się obejrzymy, jakaś organizacja studencka zacznie namawiać do przyjęcia agnozji muzycznej, żebyśmy nie mieli o sobie złego zdania, słuchając utalentowanych kompozytorów i piosenkarzy.

Czy podczas oglądania zmagani olimpijskich nasze poczucie wartości spada do zera? Oczywiście, że nie. Wprost przeciwnie, odczuwamy podziw i zdumienie. Niejednokrotnie sam fakt, że istnieją tak wybitni ludzie, inspiruje nas do wielkich czynów. Dlaczego więc nie przyrównać tego do piękna? Feministki napiętnowałyby nas za takie nastawienie. One chcą zamienić estetykę w politykę: im więcej działają, tym bardziej nas zubożą.

Spotkanie oko w oko z kandydatką na miss świata jest równie silnym przeżyciem jak słuchanie występu światowej sławy sopranistki. Utalentowane jednostki nie korzystają same ze swoich darów. Wszyscy z nich korzystamy. Czy raczej możemy korzystać. Pozbawienie nas tej możliwości byłoby zbrodnią.

Reklama sponsorowana przez Ligę na rzecz Etycznego Stosowania Nanomedycyny:

Głos lektora:

Znajomi opowiadają wam, że fajnie mieć kalio, że to mądre rozwiązanie? A może pogadajcie z tymi, którzy dorastali z kaliognozją.

Po wyłączeniu kalio poczułem wstręt na widok pierwszej brzydkiej osoby. Wiem, że to głupie, ale nie mogłem się opanować. Kaliognozja nie pomogła mi dojrzeć, raczej mi w tym przeszkodziła. Znowu muszę się uczyć podejścia do ludzi.

Poszedłem do szkoły, bo chciałem być artystą grafikiem. Harowałem dzień i noc, ale do niczego nie doszedłem. Nauczyciel powiedział, że nie mam dobrego oka, że kalio przytępiło mi zmysł estetyczny. Nie odrobuję już tego, co straciłem.

— Posiadanie kalio to jak trzymanie w głowie rodziców, którzy cenzurują myśli. Dopiero po jej wyłączeniu przekonałam się, w jakim dotąd żyłam zniewoleniu.

Lektor:

Skoro kaliognozji nie polecają osoby, które się z nią wychowały, to czy nie powinniście jeszcze raz wszystkiego sobie przemyśleć? Oni nie mieli wyboru, wy macie. Uszkodzenie mózgu to kiepski pomysł, niezależnie od tego, co wam mówią znajomi.

Maria deSouza:

Nie mieliśmy żadnych informacji o Lidze na rzecz Etycznego Stosowania Nanomedycyny, więc postanowiliśmy trochę poszperać. Niełatwo było, ale oto co się okazało: nie jest to żaden ruch obywatelski, lecz próba obrony zagrożonego przemysłu. Kilka firm kosmetycznych połączyło siły, żeby wołać jednym głosem. Nie udało nam się skontaktować z osobami, które wzięły udział w reklamie, toteż trudno powiedzieć, czy w ich wypowiedziach tkwi ziarno prawdy. Ale nawet jeśli to ich szczere zdanie, nie należą do grupy reprezentatywnej. Ludzie,

którzy zrezygnowali z kalio, w większości poczuli się lepiej. I można stwierdzić z całym przekonaniem, że istnieją graficy z kaliognozją.

Przypomina mi się ogłoszenie, które kiedyś widziałam.

Opublikowała je agencja modelek, zanim jeszcze kaliognozją się upowszechniła. Pod zdjęciem supermodelki widniał napis: „Jeśli nie widzisz w niej piękna, kto traci więcej: ty czy ona?”. Ta nowa kampania ma to samo przesłanie, które można by wyrazić w trzech słowach: „Uważaj, bo pożałujesz”. Tylko że zamiast traktować nas z butą, uderza się w ton troski i ostrzeżenia. Klasyczna gierka speców od public relations: zasłonić się szumnymi hasłami i stworzyć wrażenie grupy bezinteresownie dbającej o dobro konsumenta.

Tamera Lyons:

Myślę, że to idiotyczna reklama. Nie żebym popierała wniosek, ale nie powinno się głosować przeciwko przyjęciu wniosku z niewłaściwych powodów. Wychowywanie się z kalio nie jest kalectwem. Nie potrzebuję niczyjego współczucia, czuję się świetnie. Trzeba się sprzeciwić kaliognozji, bo doświadczanie piękna dobrze robi człowiekowi.

Tak czy owak, gadałam znowu z Garrettem. Poinformował mnie, że właśnie wyłączył kalio. Powiedział, że na razie jest nieźle, choć czasem dziwnie się czuje. Pocieszyłam go, że sama na początku czułam się tak samo. Zabawne: zgrywałam starego wygę, a przecież pozbyłam się kaliognozji zaledwie parę tygodni temu.

Joseph Weingartner:

Jedno z pierwszych pytań, które zadawali sobie naukowcy, dotyczyło „przerzutów”. Obawiali się ograniczenia wrażliwości na piękno w sensie ogólnym, nie dotyczącym twarzy. Prawie w każdym przypadku odpowiedź jest satysfakcjonująca. Kaliognotyków cieszy patrzenie na te same rzeczy, które podobają się zwykłym ludziom. Mimo to nie da się wykluczyć możliwości wystąpienia efektów ubocznych.

Posłużmy się przykładem prozopagnotyków i obserwowanych u nich odchyień. Pewien chory na prozopagnozję mleczarz nie potrafił odróżnić jednej krowy od drugiej. Kto inny miał kłopoty z rozpoznawaniem modeli samochodów. Aż trudno to sobie wyobrazić. Te przypadki sugerują, że nasze układy do rozpoznawania twarzy czasem służą innym celom. Co prawda nie uważamy, że coś przypomina twarz

— na przykład auto — ale na poziomie neurologicznym traktujemy je, jakby było twarzą.

Podobne „przerzuty” mogłyby następować w przypadku kaliognozji, ale ponieważ jest bardziej wyrafinowana od prozopagnozji, odchylenia od normy trudniej zauważyć. Przykładowo modny design ma o wiele większy wpływ na estetykę samochodu niż modny makijaż na estetykę twarzy. Poza tym nie sposób osądzić, który samochód ma najatrakcyjniejszy wygląd. Nawet jeśli gdzieś żyje kaliognotyk nie lubiący patrzeć na pewne samochody, gdy normalnie chętnie by na nie patrzył — dotychczas się nie ujawnił.

Dochodzi jeszcze rola, jaką pełni układ rozpoznawania piękna, gdy pobudza nas do reakcji na symetrię. Doceniamy symetrię pod wieloma postaciami, w obrazie, rzeźbie, grafice, ale równocześnie doceniamy asymetrię. Na postrzeganie dzieła sztuki wpływa mnóstwo czynników i trudno przewidzieć, który okaże się najważniejszy.

Dobrze byłoby sprawdzić, czy rzeczywiście z kaliognotycznych środowisk pochodzi mniej wybitnie utalentowanych artystów plastyków, ale biorąc pod uwagę, że nie rodzi się ich wielu nawet w zdrowym społeczeństwie, trudno przeprowadzić badania wiarygodne pod względem statystycznym. Wiadomo tylko, że kaliognotycy skarżą się czasem na trudność w odbiorze piękna portretów, jednak nie jest to efekt uboczny *sensu stricto*. Portret oddaje przecież niuanse twarzy osoby sportretowanej.

Oczywiście, niektórych byle drobiazg odstraszy. Niekiedy rodzice nie pozwalają dzieciom przyjąć kaliognozji, bo chcą, żeby umiały podziwiać Monę Lisę, może nawet stworzyć drugie tak sławne arcydzieło.

Marc Esposito, student czwartego roku College’u Waterstone:

Tych w Pembleton totalnie pogięło. Żeby to jeszcze dla jaj robić, to może bym zrozumiał. Normalnie, podsunąć gościowi jakiegoś paszczura, wmówić mu, że to ekstra laseczka, a on się nawet nie skapnie. Niezły ubaw, nie?

Osobiście leję na to kalio, mam je gdzieś. Chcę się umawiać z ładnymi dziewczynami. Po co miałbym obniżać wymagania? Dobra, wiadomo, czasem się rozglądasz, a tu wszystkie laski wyrwane, no i

musisz wybrać coś z resztek. Ale od czego piwo, nie? Co wcale nie znaczy, że chciałbym chodzić ciągle w piwnych goglach!

Tamera Lyons:

Wczoraj wieczorem rozmawiałam przez telefon z Garrettem. Spytałam, czy nie włączyłby obrazu, żebyśmy mogli się zobaczyć. Zgodził się.

Byłam rozluźniona, choć przygotowywałam się naprawdę długo. Ina uczy mnie nakładać makijaż, ale jeszcze kiepsko mi idzie. Wolałam zainstalować oprogramowanie telefoniczne, dzięki któremu wyglądam jak w makijażu. W ustawieniach wybrałam małą zmianę, ale zdaje się, że moja twarz nabrała zupełnie nowego wyrazu. Może i trochę przesadziłam — nie wiem, czy tak to odebrał Garrett — lecz zrobiłam wszystko, żeby pięknie wyglądać.

Zaraz po włączeniu obrazu zobaczyłam jego reakcję. Jakby oczy mu wyszły na wierzch. Powiedział chyba: — Świetnie wyglądasz. — Na co ja: — Dzięki. Potem się zawstydził, zażartował na temat swojego wyglądu, ale mu powiedziałam, że taki mi się podoba.

Rozmawialiśmy chwilę i przez cały czas widziałam, jak mi się przygląda. Fajne uczucie. Chyba żałował, żeśmy się rozstali, ale może to tylko moja wyobraźnia. Może przy okazji następnej rozmowy zaproponuję mu, żeby wpadł do mnie na weekend. Ewentualnie mogłabym odwiedzić go w Northrop. Byłoby super. Tylko najpierw musiałabym nauczyć się robić porządny makijaż.

Nie ma gwarancji, że zechce się ze mną znowu spotykać, wiem o tym. Odkąd pozbyłam się kalio, nie przestałam go kochać, więc może on nie zacznie kochać mnie na nowo. Ale mam nadzieję.

Cathy Minami, studentka trzeciego roku:

Kto mówi, że upowszechnienie kaliognozji wyjdzie na dobre kobietom, ten szerzy propagandę, jaka pada z ust wszystkich okupantów: nie będziemy was zniewalać, tylko chronić. Zwolennicy kalio demonizują kobiety, którym natura dała piękno. Uroda sprawia tyle samo przyjemności tym, co ją mają, jak tym, co na nią patrzą, lecz ostatnio wszyscy chcą, żeby zadowolone ze swojego wyglądu kobiety miały z tego powodu poczucie winy. To kolejna szowinistyczna nagonka na kobiecą seksualność, której niestety wiele kobiet uległo.

Oczywiście, piękno nieraz służyło do znęcania się, ale samo wyeliminowanie go nie poprawi sytuacji. Nie można uszczęśliwiać ludzi na siłę, ograniczać ich horyzontu doświadczeń. To jak z powieści Orwella. Trzeba wypracować prokobiecą koncepcję piękna, żeby wszystkie kobiety czuły się dobrze w swojej skórze, a nie żeby większość czuła się źle.

Lawrence Sutton, student czwartego roku:

Zgadzam się w stu procentach z tym, o czym mówił Walter Lambert. Od pewnego czasu czuję dokładnie to samo co on, choć może ująłbym to w innych słowach. Kalio przyjąłem dwa lata temu, dużo wcześniej, niż powstała ta cała inicjatywa, bo chciałem się koncentrować na ważniejszych rzeczach.

Nie znaczy to, że obchodzi mnie tylko nauka. Mam dziewczynę, dobrze nam się układa. W tych sprawach nic się nie zmieniło. Zmieniło się moje nastawienie do reklam. Przedtem za każdym razem, kiedy przechodziłem obok stojaka z gazetami lub oglądałem reklamę, czułem, że coś przyciąga moją uwagę. Zupełnie jakby ktoś podniecał mnie wbrew mojej woli, choć nie nazwałbym tego erotycznym podnieceniem. Oni chcieli wpłynąć na moją podświadomość. Automatycznie się sprzeciwiałem, wracałem do poprzedniego zajęcia, lecz to było natrętne i musiałem z tym walczyć. A przecież mógłbym tę energię spożytkować inaczej.

Mając kalio, nie czuję już presji. Kalio uwolniło mnie od natrętnych reklam, znów mam więcej energii. Jak najbardziej popieram.

Lori Harber, studentka trzeciego roku College'u Maxwell:

Kalio fundują sobie patałachy, ja tam wolę ostrą jazdę. Brzydactwo górą! A ładni niech patrzą i się uczą.

Prawie dokładnie rok temu usunęłam nos. To trudniejsza sprawa, niż by się wydawało, w sensie chirurgicznym. Żebym była zdrowa, musieli przesunąć do środka włoski, które chwytają kurz. A kość, którą widać, nie jest prawdziwą kością. Tworzywo ceramiczne. Nie odsłania się kości, bo jest duże ryzyko zakażenia.

Lubię straszyć ludzi. Czasem ktoś na mój widok traci apetyt do jedzenia. Ale tu nie chodzi o straszenie. Najfajniejsze jest to, że piękna lala przegrywa z brzydulą. Na ulicy gapi się na mnie o wiele więcej

ludzi, niż gdybym była ładna. Dajmy na to, że stoję obok wideomodelki. Na kogo zwrócisz większą uwagę? Jasne, że na mnie! Chcąc nie chcąc, ale jednak.

Tamera Lyons:

Wczoraj wieczorem po raz kolejny rozmawiałam z Garrettem. Zgadaliśmy się na temat, no, czy z kimś chodzimy. Odpowiedziałam mu bez skrępowania, że owszem, spotykałam się z paroma chłopakami, ale nic z tego nie wyszło.

Gdy miał opowiedzieć o sobie, przyznał się niechętnie, z ociąganiem, że trudno mu zaprzyjaźnić się z dziewczynami w college'u — trudniej, niż się spodziewał. Teraz myśli, że wszystko bierze się z tego, jak wygląda.

Powiedziałam: — No coś ty! — ale co innego miałam mu powiedzieć? Z jednej strony, cieszyłam się, że Garrett z nikim się nie spotyka, z drugiej — było mi go żal, czułam się również trochę zaskoczona. Przecież to bystry, wesoły, naprawdę fajny chłopak, i nie mówię tego dlatego, że z nim chodziłam. W szkole średniej był przez wszystkich lubiany.

Przypomniałam sobie, co o nas powiedziała Ina. Chyba samo to, że jest się mądrym i dowcipnym, nie oznacza przepustki do grona osób, które przede wszystkim patrzą na wygląd. Jeśli Garrett startuje do ładnych dziewczyn, mogą patrzeć na niego z góry.

Nie drążyłam tematu, bo chyba nie chciał się tym zadreć. Później jednak pomyślałam sobie, że jeśli w końcu zdecydujemy się na spotkanie, to ja powinnam pojechać do Northrop, nie on do mnie. Oczywiście chcę, żeby coś zaskoczyło między nami, ale też mam nadzieję, że poczuje się lepiej, jeśli wszyscy zobaczą nas razem na uczelni. Wiem, że to często się sprawdza. Kto spędza czas z fajną osobą, po chwili sam myśli o sobie, że jest spoko i że każdy mówi o nim: spoko gość. Nie uważam siebie za jakąś ekstra laskę, ale podobam się ludziom, więc może trochę podbuduję Garretta.

Ellen Hutchinson, profesor socjologii na Uniwersytecie Pembleton:

Podziwiam studentów, którzy przedstawili tę inicjatywę. Walczą o swoje ideały i chwala im za to, ale czy osiągną spodziewany efekt — tu mam mieszane uczucia.

Jak wszyscy w moim wieku, musiałam spojrzeć prawdzie w oczy: czas nas postarza. Niełatwo było się z tym pogodzić, ale w końcu polubiłam swój wygląd. Choć nie przeczę, że jestem ciekawa, jaka przyszłość czeka społeczność, którą tworzą wyłącznie posiadacze kalognozji. Może babka w moim wieku nie zacznie stawać się niewidzialna, kiedy do pokoju wejdzie młoda kobieta.

Ale czy chciałybym w młodości przyjąć kalio? Sama nie wiem. Na pewno oszczędziłybym sobie wielu stresów, jakie przeżywają ludzie w podeszłym wieku. Jednakże w młodości naprawdę lubiłam na siebie patrzeć i cieszyć się, że to mnie nie ominęło. Trudno mi powiedzieć, czy gdybym na starość zestawiła straty i korzyści, bilans byłby dodatni.

Co się tyczy studentów, to całkiem możliwe, że nigdy nie stracą ładnego wyglądu. Dzięki dzisiejszym terapiom genowym zachowują młodość przez kilkadziesiąt lat, jeśli nawet nie do śmierci. Może nigdy nie będą musieli przyzwyczajać się do starości, wobec czego przyjęcie kalio nie miałoby nawet tego sensu, że uchroniłoby ich od zgryzoty i rozczarowania. Tak więc świadomość, że dowolnie rezygnują z jednego z przywilejów młodości, doprowadza człowieka do rozpacz. Czasem wytarnosiłabym jednego z drugim, mówiąc: „Stój! Nie rozumiesz, co posiadasz?”.

Podziwiam młodych ludzi za chęć walki w obronie tego, w co wierzą. Między innymi dlatego zawsze potępiałam znane powiedzenie, że młodzi marnują swoją młodość. Niestety, ta inicjatywa potwierdza słuszność tego powiedzenia, i to jest w tym wszystkim najgorsze.

Joseph Weingartner:

Przez jeden dzień miałem kaliognozję. Przyjmowałem na krótko wiele rodzajów agnozji. Neurologowie często tak postępują, żeby dokładniej poznać dany stan upośledzenia i tym samym lepiej zrozumieć pacjenta. Jednak nie przyjąłbym kaliognozji na dłuższy czas, nawet gdybym dzięki temu miał lepiej wczuć się w świat chorego.

Istnieje drobna zależność między kaliognozją a zdolnością do wzrokowego określania zdrowia pacjenta. Z pewnością człowiek nie staje się ślepy, powiedzmy, na kolor skóry; kaliognotyk umie rozpoznać objawy choroby, ponieważ świetnie sobie z tym radzi jego ogólny zmysł obserwacyjny. Jednakże lekarz, badając pacjenta, musi być wyczulony

na pewne nieuchwytnie symptomy. Czasem w diagnozie pomaga mu intuicja, ale kaliognozja w tego typu sytuacjach bywa przeszkodą.

Rzecz jasna, byłbym hipokrytą, twierdząc, że powstrzymują mnie od przyjęcia kaliognozji wyłącznie względy zawodowe. Czy zdecydowałbym się na kaliognozję, gdybym nie miał do czynienia z pacjentami, tylko przesiadywał w laboratorium? Odpowiedź brzmi: nie. Jak wielu zwykłych ludzi, z przyjemnością patrzę na ładną twarz, choć uważam, że jestem na tyle dojrzały, by nie ulegać pozorom.

Tamera Lyons:

Nie do wiary, Garrett z powrotem przyjął kalio!

Wieczorem rozmawialiśmy przez telefon, zwyczajna gadka — szmatka. Zapytałam, czy chce włączyć obraz. Zgodził się. I nagle uświadomiłam sobie, że nie patrzy już na mnie jak przedtem. Pytam więc, czy u niego wszystko w porządku, na co on, że wrócił do kalio.

Denerwował go jego wygląd, dlatego to zrobił. Spytałam, czy ktoś się z niego śmiał, lecz okazało się, że po prostu nie podobało mu się odbicie w lustrze. Ja mu wtedy: — O czym ty gadasz, przecież fajnie wyglądasz. Próbowałam go namówić do pozbycia się kalio, tłumacząc, że powinien dłużej pochodzić bez niego, nim podejmie decyzję. Obiecał się zastanowić, ale nie wiem, co mu chodzi po głowie.

Tak czy owak, rozmyślałam później o naszej rozmowie. Czy odradzałam mu kaliognozję, bo jej nie znoszę, czy może chciałam, żeby widział, jak naprawdę wyglądam? No pewnie, że podobało mi się to, jak na mnie patrzy, i miałam nadzieję, że coś z tego wyjdzie, ale chyba nie myślę irracjonalnie? Co innego gdybym zawsze popierała kalio, tylko robiła wyjątek dla Garretta. Ale jestem przeciwnikiem kalio, więc to inna sprawa.

Dobra, kogo ja oszukuję? Ze względu na siebie chciałam, żeby Garrett wyłączył kalio, nie dlatego że ogólnie jestem przeciw. Aha, no i nie występuję przeciwko kaliognozji jako takiej, ale przeciw temu, że ktoś ją komuś narzuca siłą. Nikt — ani rodzice, ani organizacja studencka — nie ma prawa decydować, czy kaliognozja w czymś mi pomoże. Ale jeśli ktoś postanowi przyjąć kalio, dobra, niech sobie przyjmuje. Trudno, musiałam się pogodzić z decyzją Garretta.

Z drugiej strony, można się załamać. Plan wydawał się

niezawodny, Garrett nie mógł oderwać ode mnie oczu i wiedział, jaki popełnił błąd. Jestem rozczarowana, to wszystko.

Z przemówienia Marii deSouzy w przeddzień głosowania:

Osiągnęliśmy etap, na którym możemy już ingerować w umysł. Pytanie tylko, kiedy powinniśmy zacząć to robić? Nie należy bezkrytycznie zakładać, że natura urządziła to lepiej, ani że można ją bezkarnie poprawiać. Od każdego zależy, które wartości ceni wyżej i jakim sposobem chce je osiągnąć.

Twierdzę, że piękno ciała nie jest nam do niczego potrzebne.

Nie jest tak, że po przyjęciu kaliognozji nie widać w nikim piękna. Zobaczymy je, patrząc na szczery uśmiech. Zobaczymy je, patrząc na hojność i odwagę. A już zwłaszcza wtedy, gdy patrzymy na kogoś, kogo darzymy miłością. Kalio pomaga wznieść się ponad pozory. Prawdziwe piękno widzimy oczami miłości, ono nie podda się niczemu.

Z przemówienia Rebekki Boyer, przedstawicielki Ligi na rzecz Etycznego Stosowania Nanomedycyny, w przeddzień głosowania:

Posiadacze kalio stworzą idealną społeczność w jakimś rezerwacie, lecz w realnym świecie odczują swoją ułomność. I to jest właśnie wada kaliognozji. Kaliognozja się sprawdza, jeśli wszyscy ją mają, ale jeśli nie ma jej jedna osoba, ta osoba wykorzysta swoją przewagę.

Chyba nikt nie zaprzeczy, że zawsze znajdą się tacy, którzy odrzucą kalio. Wyobraźmy sobie, do czego dojdzie. Kierownik może promować atrakcyjnych pracowników, a pomijać brzydkich, lecz nikt tego nie zauważy. Nauczyciel może nagradzać atrakcyjnych uczniów, a brzydkich gnębić, lecz nikt na to nie zwróci uwagi. Mogą mieć miejsce wszystkie rodzaje dyskryminacji, których tak nienawidzicie, i nikt z tym nic nie robi.

Oczywiście, jest szansa, że to nie nastąpi. Ale gdyby ludziom można było ufać, że będą zachowywać się jak należy, nikt nie promowałby tej całej kaliognozji. Prawdę mówiąc, ludzie skłonni do negatywnych zachowań zaczną nam bruździć ze zdwojoną energią, jeśli poczują się bezkarni.

Jeżeli wytaczacie działa przeciwko lookizmowi, to z jakiej racji godzicie się na kalio? Przecież tacy jak wy wytykają palcami degeneratów, a tymczasem z kaliognozją nawet ich nie poznacie.

Chcecie walczyć z dyskryminacją? To miejcie oczy otwarte.

Z audycji EduNews:

W głosowaniu na Uniwersytecie Pembleton wniosek w sprawie kaliognozji nie przeszedł. Wniosek poparło 36% studentów, przeciw było 64%.

Wcześniejsze sondaże dawały zwycięstwo zwolennikom kaliognozji, dopiero w przeddzień głosowania proporcje się zmieniły. Wielu studentów, przedtem zagorzałych zwolenników inicjatywy, dało się przekonać Rebecce Boyer, przedstawicielce Ligi na rzecz Etycznego Stosowania Nanomedycyny. Mimo pogłosek, że Liga powstała z woli przeciwnych kaliognozji firm kosmetycznych.

Maria deSouza:

Czujemy się rozczarowani, nie ma w tym nic dziwnego, lecz od początku nastawialiśmy się na długofalowe działanie. Właściwie tylko szczęśliwym trafem przez chwilę popierała nas większość, więc nie mogę martwić się tym, że zmienili zdanie. W rozmowach słyszy się, że ludzie chcą uciec od fikcji życia, i to jest najważniejsze. Coraz więcej osób opowiada się za kaliognozją.

Nikt z nas nie składa broni. Szczerze mówiąc, następne lata zapowiadają się bardzo ciekawie. Producent speksów zademonstrował nową rewolucyjną technologię. W okulary wbudowano nadajniki do lokalizowania komórek somatycznych, ustawione pod konkretnego klienta. Nie trzeba już używać hełmu, nie trzeba przeprogramowywać neurostatu w gabinecie lekarskim. Można założyć speksy i zrobić to samemu. Dzięki temu każdy w dowolnej chwili będzie w stanie włączyć lub wyłączyć kalio.

Skończy się narzekanie ludzi, że muszą całkowicie zrezygnować z przeżywania piękna. Równocześnie przekonujemy ich, że w pewnych sytuacjach piękno przeszkadza, w innych nie. Na przykład można włączyć kalio w pracy, a wyłączyć w gronie przyjaciół. Ludzie zrozumieją, że kaliognozją przynosi korzyści, i przynajmniej co pewien czas będą ją stosować.

Myślę, że osiągniemy sukces, jeżeli kalio stanie się wymogiem w kulturalnym towarzystwie. U siebie w domu człowiek zawsze może wyłączyć kalio, ale niech publicznie odcina się od lookizmu.

Podziwianie piękna powinno być obustronnie zaaprobowane, to znaczy zgodzić się musi zarówno patrzący, jak i ten, na kogo się patrzy.

Z audycji EduNews:

Oto ostatnie wiadomości z Uniwersytetu Pembleton w sprawie kaliognozji. Redakcja EduNews dowiedziała się, że w związku z przemówieniem przedstawicielki Ligi Rebekki Boyer posłużono się nową formą cyfrowej manipulacji. EduNews otrzymała od organizacji SemioTech Warriors dwie nagrane wersje przemówienia: oryginał skopiowany z komputera przedsiębiorstwa Wyatt/Hayes i materiał wyemitowany przez rozgłośnię. Nadesłany materiał zawiera również porównanie obu wersji.

Różnice sprowadzają się głównie do poprawy intonacji wypowiedzi, wyrazu twarzy i języka ciała pani Boyer. Oglądający wersję oryginalną uznali jej wystąpienie za dobre, oglądający wersję przetworzoną powiedzieli, że było wspaniałe, niezwykle dynamiczne i przekonujące. SemioTech Warriors sugerują, że Wyatt/Hayes stosuje nowy program do wygładzania form poza — językowych, co z kolei prowadzi do wzmocnienia emocjonalnej reakcji widzów. Za sprawą tych manipulacji niesłychanie wzrasta skuteczność prezentacji, zwłaszcza oglądanej przez speksy. Prawdopodobnie zastosowanie tej technologii sprawiło, że tak wielu zwolenników kaliognozji zmieniło zdanie.

Walter Lambert, przewodniczący Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Kaliognozji:

W całej swojej karierze spotkałem tylko dwie osoby z tak dużą charyzmą, jaką wykazała się pani Boyer w swoim przemówieniu. Charyzmatyczni ludzie roztaczają wokół siebie specyficzną aurę, dzięki której mogą przekonać kogokolwiek do swoich poglądów. W ich obecności czujemy się poruszeni, gotowi otworzyć portfel lub spełnić każdą prośbę. Wątpliwości przychodzą dopiero później, najczęściej gdy jest już za późno. Naprawdę boję się, co wzmówią nam korporacje dysponujące takim oprogramowaniem.

Musimy stawić czoło kolejnym bodźcom nadzwyczajnym, takim jak nieskazitelne piękno, tyle że groźniejszym. Dysponowaliśmy bronią przeciwko pięknu, lecz Wyatt/Hayes postawił poprzeczkę wyżej. Bronić się przed nową, wzmocnioną perswazją będzie o wiele, wiele trudniej.

Istnieje pewien rodzaj agnozji słuchowej, zwany aprozodią, uniemożliwiający zrozumienie intonacji wypowiedzi. Chory słyszy słowa, ale nie słyszy przekazu emocjonalnego. Inna znowu agnozja upośledza rozpoznawanie wyrazu twarzy. Przyjęcie obydwu agnozji ochroniłoby człowieka przed wspomnianymi manipulacjami, ponieważ skupiłby się wyłącznie na treści, bez zwracania uwagi na formę. Ja tego jednak nie polecam, bo skutki będą inne niż w przypadku kalio. Jeśli ktoś nie rozumie tonu wypowiedzi i nie potrafi czytać z twarzy, pogubi się w swoich relacjach z otoczeniem. Byłoby to coś jak wysoko funkcjonujący autyzm. Na znak protestu kilku członków naszego stowarzyszenia przyjęło obie agnozje, lecz wątpię, by inni poszli w ich ślady.

Kiedy oprogramowanie wejdzie do powszechnego użytku, utoniemy w zalewie sugestywnych propozycji, obecnych w reklamach, prospektach, naukach kaznodziejów. Politycy i generałowie zaczną wygłaszać mowy, które poruszą nas do głębi. Skorzystają nawet wywrotowcy i antyglobaliści, po prostu żeby nie zostać w tyle. A kiedy oprogramowanie stanie się, również filmowcy zaczną je stosować. Talent aktora przestanie się liczyć, ponieważ gra aktorska będzie dopracowana do perfekcji.

I stanie się to samo co z pięknem: świat zbombardują bodźce nadzwyczajne, które utrudnią nam interakcję z otoczeniem. Jeśli każdy mówca w radiu czy telewizji będzie miał dar przekonywania Winstona Churchilla lub Martina Luthera Kinga, zaczniemy odbierać wywody zwykłych ludzi, nieotrząskanych z parazytykowymi chwytami, jako miłą, niekompetentną gadaninę. Przestaną nas interesować kontakty z ludźmi w realnym świecie, ponieważ nie będą tak ciekawi jak postacie oglądane przez speksy.

Mam nadzieję, że speksy pozwalające przeprogramować neurostat szybko wejdą na rynek. Spróbujemy przekonać ludzi, by przyjmowali silniejsze agnozje, kiedy oglądają telewizję. Może jeśli zachowamy emocje dla bliskich i znajomych, uda się uratować autentyczne relacje międzyludzkie.

Tamera Lyons:

Wiem, jak to zabrzmie, ale... zastanawiam się nad przyjęciem kalio.

Trochę ze względu na to nieszczęsne orędzie Ligi.

Nie jestem wkurzona na producentów szminek za to, że nie chcą, żeby ludzie przyjmowali kalio. Nie o to chodzi. Trudno to wytłumaczyć. Zdenerwowali mnie tym, że w nieuczciwy sposób manipulują opinią publiczną, to fakt, ale przy okazji uświadomiłam sobie, że tak samo postępowałam z Garrettem. Czy raczej chciałam. Próbowałam posłużyć się wyglądem, żeby go zdobyć. Nie grałam tak do końca.

Oczywiście, nie stawiam się na równi z reklamodawcami! Ja Garretta kocham, a oni po prostu chcą zbić kasę. Swego czasu mówiłam o pięknie w kategoriach magii. Ono daje przewagę i można je wykorzystać do niecných zamiarów. Kaliognozja daje człowiekowi ochronę przed urokami. Więc chyba nie powinnam się złościć na Garretta, że wybrał ochronę, skoro sama najpierw go atakowałam. Jeśli mam go zdobyć, to niech wszystko odbędzie się jak trzeba, niech pokocha mnie, a nie mój wygląd.

Samo to, że postanowił włączyć kalio, nie oznacza od razu, że ja też muszę, wiem. Fajnie było zobaczyć, jak naprawdę wyglądają twarze, ale jeśli Garrett wybiera ochronę, to mam wrażenie, że i ja powinnam. Równe szanse, o to chodzi. Jeśli się znowu zejdziemy, może kupimy sobie te nowe speksy, o których tyle się mówi. Będąc sam na sam, wyłączałibyśmy kalio.

Zresztą kaliognozja ma sens także z innych powodów. Producenci szminek i cała reszta — wszyscy próbują sprytnie wmówić człowiekowi, że potrzebuje czegoś, o czym normalnie nawet by nie pomyślał. I tego właśnie nie trawię. Jeśli mam zachwycać się reklamą, to tylko wtedy, kiedy będę w nastroju, a nie kiedy im się spodoba mija wcisnąć. Chociaż tych innych agnozji, na przykład słuchowej, na razie wolę nie przyjmować. Może później, jak już wyjdą te nowe speksy.

Nie oznacza to, że podziękuję rodzicom za młodość z kaliognozja. Nadal uważam, że nie mieli racji. Odrzucili piękno, jakby chcieli stworzyć jakąś utopię, a to kompletna bzdura. Problem nie w samym pięknie, ale w tym, że go nadużywamy. I kalio właśnie chroni nas od tego. Nie wiem, może kiedy rodzice byli młodzi, inaczej to wyglądało. W dzisiejszych czasach musimy mieć się na baczności.

tłumaczył Dariusz Kopociński

